

KAŻDY ma w życiu dzień, który wszystko zmienia. Ja też taki miałem, nawet pamiętam datę - 20 marca 1991 roku. Przyjechał chłopcaś na europejskie salony, w koszulce z zaklejoną reklamą i zapakował dwie bramki. I to komu! Sampdoria to była wtedy jeśli nie najlepsza, to jedna z najlepszych drużyn świata - zdobywca PZP, przyszły mistrz Włoch. Nikt nam, legionistom, nie dawał szans na awans do półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Gdy działacze usłyszeli, że chcemy negocjować premie za awans, kpili z nas pod nosem.

- Ile chcecie? - zapytali. Gdybyśmy krzyknęli, że po milionie dolarów bylibyśmy w porządku, to by podpisali! Rzuciliśmy sumę równie abstrakcyjną.

- Jeśli awansujemy, chcemy po dziesięć tysięcy dolarów na głowę - powiedział Krzysiek Budka, kapitan zespołu.

- OK - padła odpowiedź. No kochani, tu was mamy! Już wtedy czułem, że ta kasa będzie moja.

W pierwszym meczu miałem nie grać, ale Andrzej Łatka doznał kontuzji. Wszedłem za niego, w rewanżu też wystąpiłem, już od pierwszej minuty. Nikt w zespole nie miał pretensji, że gram, bo byłem... lubiany. No, taki chłopak od wszystkiego, co potrafi wszystko zorganizować, a i na piwo pójdzie po treningu. Lubiliśmy się wtedy spotykać, w dużej grupie. To była atmosfera! Patronat nade mną objął Darek Czykier.

Gdy przyszło już wyjść na boisko w Genui, nie miałem żadnej tremy. Nigdy przed meczami się nikogo nie bałem. Tu może tylko była we mnie pewna rezerwa, bo rywali wcześniej oglądało się w kolorowych pismach. No i ten stadion, to było to - świetne miejsce, aby przedstawić się ludziom. - Dzień dobry, nazywam się... - powiedziałem w 19 minucie meczu, gdy minąłem trzech makaroniarzy i nie dałem szans Pagliuce na interwencję. - ...Wojciech Kowalczyk - dodałem zaraz po rozpoczęciu drugiej połowy, gdy "ukłułem" ponownie. Poszło dośrodkowanie z prawej strony, od Leszka Piza. Nie wiem, czy ta piłka była adresowana do mnie. W każdym razie... przyjąłem ją ręką. To znaczy bardziej ona mnie trafiła, bo nie wykonałem żadnego ruchu. Sędzia nie zareagował, a ja miałem przed sobą tylko bramkę i bramkarza. Nie miałem wątpliwości, że będzie gol. Głupio by to wyglądało, gdybym zaczął cieszyć się przed strzałem, ale w zasadzie mogłem - mając tyle miejsca, wiedziałem, że trafię. Tak! Wojciech Kowalczyk tego dnia przestał być anonimowym młokosem z wąsem. - Rany Boskie, przecież to wszyscy oglądają! Tata, mama, koledzy z osiedla! - pomyślałem po minucie. 20 marca to moje piłkarskie urodziny. O kasie się w takich momentach nie myśli, choć miałem 10 tysięcy dolarów - pieniądze wtedy niewyobrażalne dla ludzi w moim wieku - w kieszeni.

Wiadomo, jaka była końcówka tego meczu. Czerwona kartka dla Maćka Szczęsnego - nikt nie miał do niego pretensji, bo i tak wybronił nam mecz - i Marek Jóźwiak między słupkami.

"Beret" był z siebie strasznie dumny, nawet złapał jedną piłkę. - Jestem jedynym bramkarzem, który nie dał się pokonać w europejskich pucharach! - chwalił się. A ja... zostałem sam, no, jeszcze z bólem. Nawet nie poszedłem na kolację, bo z powodu kontuzji musiałem leżeć w pokoju. Miałem kompletnie rozwaloną nogę. Tylko w pewnym momencie ktoś zapukał:

- Kto tam?

- Ty, młody, otwieraj, bo sobie tę kasę weźmiemy!

Okazało się, że przyniesiono mi pięćset dolarów dodatkowej premii od Andrzeja Grajewskiego. Jedyne raz w życiu dostałem kasę od razu po meczu. Miałem dziesięć tysięcy pięćset dolarów. Nieźle, jak na chłopaka, który dopiero przedstawił się publiczności. - Zobaczcie, to dopiero początek! - powiedziałem sam do siebie.

Idę ulicą, chłopaki z osiedla się na mnie patrzą, trochę inaczej niż zwykle.

Nie wiem, czy to nie za duże słowo, ale może są dumni. Już wcześniej na Bródnie byłem popularny. Ludzie cieszyli się, że gość z ich bloku - a blok mam spory - gra w piłkę, w

dodatku w Legii. I do tego kręci Włochami, jak kolegami z podwórka!

Z moim przyjściem do Legii było tak, że w zasadzie już miałem przygotowane wszystko z Polonią. Grałbym na Konwiktorskiej, choć kibicowałem Legii. No, ale skoro zgłosiła się Legia, to decyzja mogła być tylko jedna - idę! Zawsze byłem kibicem tego klubu. Chodziłem na mecze jeszcze, gdy mieszkałem na Woli, gdy nie miałem 11 lat. Tata razem z kolegami szedł na stadion, to i ja się gdzieś tam pałętałem. A potem to już były wycieczki z Bródna, wesołym autobusem. Takim wesołym, w którym często się coś psuje, coś wypada. Ja też nim jeździłem, też czasami coś psuję. Taki byłem - zwyczajny.

Gdy zgłosił się pan Olędzki, to już wiedziałem, że w Legii będę grał.

Wprawdzie czekał mnie jeszcze decydujący test - mecz sparingowy sprawdzanych zawodników kontra Legia - ale wiedziałem, że go zdam celująco. Nawet opilem ten sukces!

Dzień przed meczem zorganizowaliśmy z dwoma kolegami małą imprezkę i... wzniesiliśmy toast za moja gre na Łazienkowskiej. No to skoro

już przyjąłem gratulacje, to jak mogłem dać plamę? Nie mogłem! Nie dałem! Byłem w Legii!

Całe moje dzieciństwo było jednym wielkim dążeniem do gry na Łazienkowskiej. Szybko wyszło na jaw, że skończyłem tylko sześć klas szkoły podstawowej. Szkoła... komplikowała mi plany treningowe. Miałem wybór - albo zostanę piłkarzem, albo magistrem. Czasami tylko wpadałem na WF i pomagałem chłopakom wygrać ważny mecz.

- Kowalczyk! - mówiła nauczycielka. - Nie ma! - odpowiadała klasa. To było tak oczywiste, jak piątka z WF. W końcu już przestali czytać moje nazwisko, a ja... raz na jakiś czas wpadałem. - On jest! - poprawiała nauczycielkę klasa, gdy o mnie zapomniano. Byłem lubiany, choć nietypowy. Nikt jednak nie miał ze mną problemów. Tyle tylko, że mnie nie było. Wiadomo - rano ciekawe filmy w kinie, później treningi. Zawsze byłem najlepszy, wygrywałem wszystkie turnieje i wiedziałem, że będę piłkarzem. Goraco miałem tylko raz w miesiącu, gdy były wywiadówki. Zdarzało się oberwać sznurem od żelazka. No bo rodzice myśleli, że ja się normalnie uczę.

- Idę do szkoły! - krzychałem na odchodnym, każdego ranka, zrzucając plecak.

- Powodzenia! - zegnano mnie.

Raz była nawet taka sytuacja, że na trzy dni uciekłem z domu. Pojechałem do... rodziny. - Cześć, rodzice mnie przysłali na trzy dni - powiedziałem. A chodziło o to, że po wywiadówce miałbym areszt domowy. Tymczasem Olimpia rozgrywała ważny mecz. No i rodzice znaleźli mnie dopiero na murawie. Musiałem być piłkarzem!

- Szkoła mi chleba nie da, tylko piłka! - powtarzałem.

- Przecież w piłce kasa jest za granicą - powtarzali mi koledzy.

- No właśnie! - odpowiadałem.

Moje Bródno to przyjaźnie na całe życie, osiedlowe walki, gra w kapsle, piłkę i tenisa. Niczego nie żałuje. Że nie zostałem magistrem? Znam magistrów, których za mądrych nie uważam. Sam nigdy głębem nie byłem. Z polskiego, matematyki czy geografii byłem jednym z najlepszych w klasie. Potem tylko do tej nauki zniechęciła mnie chemia i fizyka. No i raz powtarzałem klasę, bo po przeprowadzce z Woli na Bródno nie mogłem się w nowej szkole zaaklimatyzować. Nie to, co... w Legii! Ale o tym następnym razem.

LEGIA? Od razu mnie wszyscy polubili. Przeszedłem na Łazienkowską pod koniec 1990 roku. Mielśmy taki mecz Pucharu Polski, z Zagłębiem w Wałbrzychu. Wygraliśmy. Podróż była na tyle wesoła, że w Warszawie niektórzy koledzy już wypadali z autobusu. Pewnie wszyscy się zdziwią, ale najbardziej niedobrze zrobiło się Maćkowi Szczęsnemu. To dziwne, bo Maciek był zawsze poza grupą. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale z czasem się zorientowałem. - Znowu go nie ma - myślałem, podpalając papierosa na kolejnym potreningowym spotkaniu. Pewnie wielu zdziwi słowo "papieros". Zacząłem palić, gdy miałem 18 lat. Spotkałem znajomego. - O, ty palisz?! - zapytałem. - Daj spróbować! - padło po chwili. No i tak się wciągnąłem. W Legii to nie był problem, bo wtedy było niewielu... niepalących. Chociaż oczywiście w szatni nikt nie kurzył.

Mecz z Zagłębiem w Wałbrzychu był ostatnim w roku i ostatnim Romka Koseckiego w Legii. W autokarze przechodziliśmy roztrenowanie połączone z pożegnaniem "Kosy". "Szczęśniak" w nim uczestniczył, choć na co dzień to rozmawiał chyba tylko z... żoną i słupkami. Ja tam z nim zawsze miałem dobre układy, ale z nim było tak: trening, prysznic, białe renault i w długą! Tego dnia siedziałem w środku autokaru i nie wychylałem się, bo byłem nowy. Wałbrzych - koledzy otwierają piwa. 20 kilometrów od Wałbrzycha - kolejne. 40 kilometrów - kolejne. A do Warszawy kawałek drogi jest! Już byliśmy na "katowickiej", gdy... zostałem zaproszony do tańca. Zaproszenie przyjąłem. To było tak...

- Młody, choć no tutaj! - krzyknął bodajże Darek Czykier.

Młodemu nie trzeba było powtarzać dwa razy. Po chwili integrowałem się już z grupą. Młody się spodobał! Młody nie pęka! Młody jest normalny! Młody... pije! Ale to było tylko piwo. Trenerzy nie zwracali uwagi, bo to był ostatni mecz w roku, potem czekały nas urlopy. A ja wkupełem się w łaski na dobre, choć ekipa się wnet zmieniła. Później, po sezonie, "Piszczyk" poszedł na zesłanie do Motoru Lublin, Iwanicki wyjechał, Kubicki wyjechał. W zasadzie niewielu nas zostało. Do Pizy i Czykiera trener Stachurski podobno miał pretensje, że gdzieś poszli na miasto przed finałem Pucharu Polski. Tak, jak gdyby w Spale dało się iść na miasto... To fizycznie niemożliwe, dopóki nie wybudują tam miasta!

Warto jeszcze wrócić do tego meczu w Wałbrzychu. Mało kto wie, ale... tam strzeliłem swojego pierwszego gola dla Legii. Wróciłem do Warszawy, rodzina nie spała, bo wszyscy przeżywali mój debiut.

- Grałeś? - spytał tata.

- Grałem - odpowiedziałem krótko.

- I jak? - ciągnął temat.

- Dobrze, 90 minut, strzeliłem gola - tyle powiedziałem i położyłem się spać. No to następnego dnia mój tata pobiegł do kiosku i kupił wszystkie możliwe gazety. Bierze pierwszą - nic o Kowalczyku, drugą - nic, trzecią - nic, czwartą - nic. Wszyscy napisali, że gola zdobył Iwanicki i tak już zostało, nawet w poważnych książkach! A to jakiś dziennikarz z Wałbrzycha pomyślał, że jak gola strzelił ktoś z wąsami, to na pewno Iwanicki. Nic z tego, to byłem ja! Mój tata nawet zadzwonił do "Przeglądu Sportowego". - Co wy wypisujecie? Mój syn, Wojtek Kowalczyk, strzelił gola dla Legii, a wy żeście napisali, że Iwanicki. Amatorka! Błąd za błędem! Dno! Żenada! Kompromitacja! - mówił. Nawet potem wydrukowano tę wypowiedź. A historia... powtórzyła się. Kilka miesięcy później był mecz z

ŁKS. Wszyscy napisali, że gola zdobył.. Iwanicki z rzutu wolnego, a tymczasem ja uderzyłem dośrodkowaną przez niego piłkę głową. Tak to "Kowal" promował Iwanickiego.

MAŁEM SZCZĘŚCIE, że ten mecz z Sampdorią przyszedł tak szybko. Dzięki temu moja pozycja z dnia na dzień umacniała się stopniowo. Co tu dużo mówić, byłem ważnym ogniwiem drużyny. Sprzęt jeszcze przez jakiś czas za starszych kolegów nosiłem, ale... już niezbyt długo. Pamiętam, że nawet w Genui targałem torby. Skoro taki Leszek Pisz ich nie wziął, to było dla mnie jasne, że po nie nie wróci w najbliższym czasie. Ale po jakimś czasie jak widziałem stojącą torbę, to mówiłem: - O, torba stoi! Inni młodzi musieli się zreflektować, że przecież noszenie sprzętu mogłoby źle wpłynąć na moją formę. A gdyby ktoś się notorycznie nie domyślał, to by pewnie nie grał.

Zresztą, niektórzy młodszy zawodnicy byli w kilku kwestiach lepsi ode mnie. Pamiętam, jak przyszedł jeden z nich na trening. Napruty! Wchodzi do szatni i jeszcze jakoś się trzyma, choć widać, że w nogach ma z osiem meczów, oczy równie zmęczone. Idziemy na trening. Nie wiem, czy to słońce tak go trzepnęło, ale gościu kamuflował się coraz słabiej. Myślał, że trenerzy nic nie zauważą. Początkowo szło nieźle. Ustawiliśmy "dziadka" i kopujemy w kółko. On nie może wyjść ze środka przez kilka minut. - Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem... - słychać odliczanie przy każdym kopnięciu piłki. W końcu poszła szybka wymiana. Tak się chłopak zakręcił, że... z rozpędu przywalił głową w kraty. Nie to było jednak najgorsze. On w tych kratkach utknął! - Kurwa, nie mogę wyciągnąć głowy! - belkotał. Trener patrzy, a nawalony piłkarz w połowie jest na boisku, a w połowie na trybunach! - Nie rób jaj, wychodź - mówimy. - Jak wychodź, jak kurwa łeb mam między kratami?! - pytał. W końcu wydostał się z pułapki, choć równie dobrze mógł pójść w drugą stronę - od razu na trybuny. Tego dnia dostał wolne.

Nieuchronnie zbliżał się termin półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Oprócz nas do tego etapu awansowała Barcelona, Juventus i Manchester United. Miała być jeszcze Sampdoria i wszystko git. Tymczasem taki obciach - w półfinale jakaś tam Legia, z jakiejś tam Polski, z jakimś tam Kowalczykiem w ataku. Najpierw było losowanie. Strasznie chciałem trafić na Barcelonę. Pod względem sportowym losowanie nie miało żadnego znaczenia, ale ta Barcelona we mnie tkwiła. Czulem, że nadszedł czas, aby... zagrać na Camp Nou. Siedziałem ze swoją paczką przy placu Konstytucji, w Horteksie na lodach. Nagle wiadomości sportowe w radio. Kelner na nasze życzenie podgłosił. - Teraz podajemy wiadomość dnia. Legia Warszawa w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów zmierzy się ze słynnym angielskim Manchesterem United. Pierwszy mecz odbędzie się przy Łazienkowskiej - dopłynęło do nas z głośników.

- Dobra, wszystko jedno. Old Trafford też jest ładne - powiedziałem. Skoro byłem taki bezczelny, że dokopałem Sampdorii, to teraz nie mogłem bać się losowania. Jeszcze przed meczem mieliśmy z działaczami Legii identyczną rozmowę jak przed rywalizacją z Włochami.

- Ile chcecie? - zapytali. Myśleliśmy, że znowu potraktują nas jak frajerów i zgodzą się na każdą sumę.

- Po dwadzieścia tysięcy dolarów na głowę - palnął na pewniaka Budka.

- Nic z tego!!! - usłyszeliśmy w odpowiedzi. Widać było, że premie za Sampdorię troszkę

uszczupliły budżet.

- Ale przecież to półfinał Pucharu Zdobywców Pucharów! Musimy dostać więcej niż za ćwierćfinał - kontynuował Budka.

- No to ile chcecie? - chyba w końcu wychodziło na nasze.

- Piętnaście tysięcy dolarów na głowę - stwierdził nasz kapitan.

- Ech, dobra... - i wszystko jasne!

Takich gwiazdeczek, co błyszczały raz w życiu, było tysiące. - Kował, weź usadź tych Angoli, zrób im Heysel - mówili mi koledzy. To był czas, gdy angielscy kibice mieli na sobie jeszcze kary za tamte wydarzenia z Brukseli. No i na Legii do pewnego momentu robiliśmy im Heysel. 41 minuta - Jacek Cyzio wali na 1:0. Jest! - Sampdoria, powtórka z Sampdorii! Ta drużyna jest szalona i nikt nie wie, na co ją jeszcze stać! - myślałem sobie wtedy na boisku. I jestem pewien, że pozostali legioniści mieli wtedy w głowie: - Sampdoria, powtórka z Sampdorii!

Znowu strzelamy gola do przerwy, znowu 1:0 u nas i wystarczy dotrzymać do końca wynik, a potem na pewniaka jechać na rewanż. No to się natrzymaliśmy wyniku... Anglicy wznowili od środka, poszła piłka do Lee Sharpe'a, ten skręcił Arka Gmura i dośrodkował - 1:1. Potem prasa pisała, że to wszystko przez Arka, bo po голу Jacka Cyzio przez całe boisko zasuwał, żeby go ucałować. Prawy obrońca do lewego napastnika. A jak go mógł nie ucałować!? Szwagier szwagra?! Szwagier szwagra w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów?! Nikt nie popełnił błędu, po prostu Manchester strzelił gola, jak setkom innych drużyn.

- To się kurwa nagraliśmy - pomyślałem. I w tym momencie Marek Józwiak wyciął Anglika wybiegającego na czystą pozycję. Czerwona kartka w 44 minucie! Cztery minuty przed przerwą mieliśmy 1:0 i wystarczyło przeczekać kilkaset sekund. Zrobiło się 1:1 i kończymy w dziesiątkę, momentalnie zawałił się mecz. W szatni grobowa cisza. Mamy remis z Manchesterem United, ale każdy załamany. Marek Józwiak siedzi z boku i płacze. Normalnie ryczy. Ech, mógł mu ten sędzia nie dawać czerwonej! Nie było szans na dobry wynik - ten płacz, ta cisza. Ktoś spuścił powietrze, czekaliśmy na egzekucję. Manchester nawet nic wielkiego nie zagrał. Oł, zrobił dwie akcje i strzelił jeszcze dwa gole.

Plus taki, że w rewanżu nie mieliśmy nic do stracenia. Już na rozgrzewce szok. Ci ludzie przyszedli na mecz z Legią, choć Manchester już ma awans w kieszeni! Komplet ludzi! Widać było, że to inny świat piłki. Właśnie na rozgrzewce uderzyłem piłkę w nietypowy dla siebie sposób - z przewrotki. Nigdy tego nie robiłem, bo bałem się, że się połamię. A tu jedna próba i od razu gol. Tysiące ludzi zaczęło bić brawo, przeszedł taki przyjemny szmerek. - Oho, widzę, że żyjecie. To ja was tu jeszcze uciszę! - stwierdziłem. Uśmiechnąłem się sam do siebie. Coś we mnie wstąpiło. - To ja was tu jeszcze uciszę! - powtórzyłem. Skoro Manchester może mieć boisko-kartoflisko (a takie miał), to może mieć i piłkarzy-frajerów.

Mecz zaczął się tak, że przez pierwsze 20 minut może raz wyszliśmy z połówki. Potem wszystko wróciło do normy, normalna walka. Dostaliśmy gola, potem strzeliliśmy. Jacek Bąk

wybił piłkę na uwolnienie, w kierunku Pallistera. Wzięłem go na plecy, przyjąłem piłkę na klatę, on mnie gdzieś tam kopnął, ale piłki nie wybił. Pojechałem na szybkości. Byłem sam na sam. - Gdzie strzelać? - to była pierwsza myśl. - W długi! - to była druga. No to strzeliłem w długi... Piłka poleciała między nogami bramkarza w sam środek. Cóż, trochę farta też trzeba mieć. Ale co tam, potem cwaniakowałem, że na spokoju założyłem gościowi siatę! A stadion, tak jak sobie obiecywałem, ucichł. Tu was mam!

Po meczu z Manchesterem United, mimo że odpadliśmy, w szatni panowała radość. 1:1 na Old Trafford to nie taki zły wynik, niektórzy spodziewali się premii za ten remis. Świetny mecz zagrał wtedy Zbyszek Robakiewicz. Z powodu czerwonej kartki zagrać nie mógł Maciek Szczęśny. Wiadomo, jak oni dwaj na siebie patrzyli. Wtedy górą był "Robak". My, piłkarze, cieszyliśmy się, że mamy dwóch znakomitych bramkarzy. Prywatnie każdy wołał Zbyszka. Jego żona świetnie przygotowywała ryby, a że rybka lubi pływać, to chętnie go odwiedzaliśmy. Szczęśny miał swoje grono, spoza drużyny, i też na pewno nie prowadził życia ascety. Był trochę na straconej pozycji przez to, że nie imprezował akurat z nami.

Często mnie pytano: - Ty, Wojtek, kto jest lepszy? Robakiewicz czy Szczęśny? Moim zdaniem od meczu z Sampdorią Maciek przestał bronić. Sprawiał wrażenie rozżalonego, obrażonego na cały świat, że przyszedł czas Zbyszka. A prawda jest taka, że Robakiewicz to był jedyny bramkarz, który... nie siadał na dupę. Szczęśny był przewidywalny do bólu. Wiadomo, że to odczytany człowiek, więc robił wszystko dokładnie tak, jak w książce. Jak w podręczniku piłkarskim! A wystarczyło zrobić coś niekonwencjonalnie i był bezradny. Machnąłem nóżką i już siedział. A z "Robakiem" nigdy się nie wiedziało. Czasami puścił coś, czego Maciek by nie puścił, bo było zbyt książkowe. Jednak czasami bronił coś ponadto. Oczywiście "Szczęśniakowi" też się zdarzały głupie bramki. Coś o tym może powiedzieć Piotrek Jegor, choć nie wiem, czy dobrze widział, bo do bramki miał ze czterdzieści metrów.

Siadanie na tyłku nie było jedyną wadą Szczęśnego, mimo wszystko wielkiego bramkarza. Kilka lat później, za kadencji trenera Apostela, reprezentacja Polski poleciała do Brazylii. I bramki zawalił Maciek. Chodzi o to, że on uparł się, aby przy rzutach różnych brać obrońcę tylko do jednego słupka, drugi pozostawiał odkryty. No i ZAWSZE dostawał w ten odkryty róg gola. Nic się nie uczył, nie wyciągał wniosków. - Jeden do słupka! - wrzeszczał przy rzutach różnych chyba już do końca kariery.

Cała grupa była od Maćka oddzielona, ale wszyscy go doceniali. Był jeszcze trzeci bramkarz, Marcin Muszyński, ale to był chłopak znakomity do wszystkiego, poza graniem w piłkę. Tego specjalnie nie potrafił i nawet się z tym nie krył. Gdy w Manchesterze siedział na ławce, to później śmiał się, że w czasie meczu miał serce w gardle, czy "Robakowi" się nic nie stanie. Pewnie wołałby zobaczyć znowu Marka Józwiaka w bramce, niż samego siebie.

Mnie w szatni na Old Trafford nie interesowała kwestia "Robakiewicz kontra Szczęśny". Siedziałem tak sobie i myślałem: - Sampdoria, Manchester. Dopiero co Bug Wyszków i Mazur Karczew. Manchester, Karczew. Jezu, jakie to wszystko jest pomieszane!

To był chyba jedyny moment w moim życiu, gdy byłem wszystkiego ciekaw. - Co się teraz stanie? Co dalej? Co o mnie napiszą gazety? Co powiedzą w telewizji? Co na to moja rodzina? Co na to koledzy? - mnóstwo pytań przechodziło przez głowę. Legia zapakowała się do samolotu do Polski, a ja... do Irlandii, na zgrupowanie reprezentacji olimpijskiej. I wciąż

pojawiły się kolejne pytania. Królestwo za "Przegląd Sportowy"! Byłem tak potwornie ciekaw, co się dzieje w Polsce. Po meczu z Sampdorią "PS" dał tytuł, który utkwił mi w pamięci na całe życie: "Chłopak z Bródna królem Genui". To zdanie chodziło mi po głowie, w dodatku ten Manchester. Stało się, robię karierę. Jestem kimś.

Jadąc na zgrupowanie reprezentacji olimpijskiej, miałem mieszane uczucia. Z jednej strony - wspaniale, kolejny krok w karierze. Z drugiej strony, wciąż ta pożerająca mnie ciekawość, co mówi się w Polsce. A raczej - co o mnie mówi się w Polsce. Potęgowały to odprawy trenera Janusza Wójcika. Nie znaleźmy się jeszcze wtedy prawie w ogóle. A on ciągle powtarzał: "Przyjechaliśmy do Irlandii wygrać. Jak zremisujecie, to jesteście pedały. Patrzcie na Kowala i Legię. Dali wycisk Manchesterowi United! Kowal i Legia, Kowal i Legia, Kowal i Legia!". Była we mnie ta duma - Kowal i Legia. Chłopaki byli z jakichś Górników Zabrze i Olimpiii Poznań, więc mogli nie wiedzieć, o co chodzi. Pokazałem im - goł, asysta, najlepszy na placu. Oto Kowal, oto Legia!

Byłem pewny siebie. Ludzie wokół mnie byli... pewni mnie. Oho, coś nam tu rośnie, coś rośnie! Coś, co uratuje polski futbol. Jakiś nowy Boniek!

Po meczu z Sampdorią, wracając do domu, podjechałem taksówką z tyłu bloku, nie chciałem się rzucać w oczy. Jakoś dziwnie się czułem. Wiadomo, że kumple czekali, więc chwilę pogadałiśmy. - Ty, ale jeszcze będziesz grał z nami w piłkę? - pytali. - Nie, teraz będę grał tylko z Viallim i Mancinim - wypaliłem. - Kowal, nie pierdol! - odpowiedzieli. No i się umówiliśmy. Dzień po meczu z Sampdorią spędziłem na boisku pod blokiem. Grałem ubrany w koszulkę Manciniego. Ktoś może to sobie dziś wyobrazić? Zawodowy piłkarz na osiedlowym placu. Dla mnie to było normalne. Nawet chciałem podkreślić, że to ja strzeliłem te dwa gole Sampdorii - jak gdyby koledzy tego nie wiedzieli - i stąd ta koszulka, oryginalna, prosto od magazyniera z Genui - zorganizował ją dla mnie Andrzej Grajewski. Wtedy na boisku nie było jak się wymienić, bo Włosi byli wściekli, a publiczność ciskała w nas monetami, zapalniczkami, butelkami. Nie pamiętam, jak mi poszło dzień później na Bródnie. Pewnie coś strzeliłem i pewnie moja drużyna wygrała. Bo moja drużyna zawsze wygrywała! Graliśmy tak długo, aż wynik się zgadzał.

Po Manchesterze byłem już spokojniejszy i nie było we mnie tej skromności schowanej w taksówce z tyłu bloku. Mogłem afiszować się ze swoimi sukcesami. Najpierw Anglicy, później olimpijska. Coś się zaczyna wokół mnie dziać! Jednak to nie było tak, że odbiła mi sodówka. Miałem jeszcze zaległe imieniny Wojciecha zaraz po powrocie z Manchesteru, więc koniecznością było zorganizowanie czegoś. No to ruszyliśmy z kumplami w tango, trzeba było to wszystko odreagować. Poza tym cały czas jeździłem autobusem. Lubilem, bo można było w spokoju poczytać sobie gazetkę. A że Andrzej Łatka mieszkał na Pradze, bodajże przy Stalowej, to często się spotykaliśmy w autobusie numer 162. Gość, który walnął gola Barcelonie z gościem, który powtórzył jego wyczyn z Manchesterem patrzący, czy kanar nie wchodzi, bo akurat zapomnieli biletu... Kibice czasami zagadywali nas w środkach komunikacji miejskiej, ale rzadko. Polacy wolą szeptać: - Ty, to on! W Hiszpanii dostałbym plaskacza w plecy połączonego z powitaniem.

Po jakimś czasie miałem już znajomego taksówkarza z Bródna. Był u mnie... na etacie. Nigdy nie włączał licznika, tylko płaciłem mu dniówki. Ile mu dałem, tyle brał. Wiedział, kiedy mnie zawieźć na Legię, kiedy odebrać. Miał cały plan tygodniowych treningów. Na pewno stratny nie był!

W tamtych latach liga polska była zdecydowanie silniejsza niż obecnie. Teraz wszyscy pieją z zachwytem, że wyeliminowano po dogrywce dziewiąty zespół ligi włoskiej, który nie ma w składzie trzech poważnych piłkarzy. Wtedy było inaczej. Doszło do tego, że Legia, która dokopała Sampdorii, rok później broniła się przed spadkiem. Inna sprawa, że to już nie był ten sam zespół. Co tu dużo mówić - grali wszyscy, którzy byli w klubie, bo brakowało szrotu! Gdyby wymienić poważnych piłkarzy to byłbym ja, Zbyszek Robakiewicz, Darek Czykier i Jacek Sobczak. Później przyszli jeszcze Jacek Zieliński i Krzysiek Ratajczyk.

Trener też był, jaki był - Etmanowicz, który wziął swoich ludzi z rezerw. Jednak to był śmieszny zespolek! Modzelewski czy nie Modzelewski, jakiś Wójcik - tacy ludzie w nim grali! Nawarstwiała się problemy finansowe w klubie. Pamiętam, jak obiecano nam wysokie premie za wygraną z Widzewem. No i wygraliśmy 1:0. Dostaliśmy po 8 milionów złotych, w banknotach... prosto z kas biletowych, od kibiców! Każdy z nas wyszedł więc - dosłownie! - z reklamówką pieniędzy. Poszedłem do sklepu na osiedlu, poprosiłem, żeby mi zamieniono na grubsze. Ludzie stali w kolejce, czekali kilkanaście minut, a tam liczone kasę. - Skąd on ma tyle pieniędzy?! - słyszałem za plecami. - To pewnie jakiś bandzior! - odpowiedział ktoś. I tak sobie wtedy pomyślałem, że najbardziej przewalone to miał ten, kto rozdzielał te pieniądze na kilkunastu zawodników i się przy tym nie pomylił. 8 milionów to było sporo kasy, bo w Legii podpisałem kontrakt, który gwarantował mi 25 milionów przez... pięć lat. To nie była taka znowu wielka suma, bo ten cały pięcioletni kontrakt (jedyne, jaki miałem w Legii aż do wyjazdu do Hiszpanii!) wydałem w ciągu dwóch miesięcy, a może... w jeden dzień. Poszedłem do sklepu.

- Poproszę telewizor i wideo. Co tu jeszcze macie? - spytałem.

- Wieżę stereo.

- Też poproszę.

Później, w następnych latach, gdy te 25 baniek były przeszłością, zarabiałem na pensji, przez rok miałem dodatkowy kontrakt z panem Romanowskim oraz trafiały do mnie premie. Razem z Piszem, akurat wtedy wypożyczonym do Lublina, zawsze miałem najwyższe w drużynie. Romanowski zaczął nas zresztą wspierać dość nietypowo. Dla strzelca gola przy Łazienkowskiej dawał po półtora miliona złotych. A najlepszemu zawodnikowi przyznawano aparat fotograficzny Kodaka. W końcu miałem tyle tych aparatów, że zacząłem je rozdawać. A kasa z bramek zawsze szła na wspólne konto drużyny. Przełożenie proste - im więcej bramek, tym więcej piwa po meczu na czyjś koszt. Problem w tym, że szło nam jak po grudzie. Te Modzelewskie nie nadawały się do gry na tym poziomie. Jeden nie mógł ciężko trenować, inny miał problemy z psychiką. Dobrze, że chociaż kibice nie robili nam problemów. Wtedy była taka sympatyczna atmosfera, że choćby kompletnie nie było czego gratulować, to jak spotkało się kibica - składał gratulacje. Później wokół polskiej piłki atmosfera zrobiła się taka, że podejrzania zaczęły gonić podejrzania, plotki ścigały się z plotkami. Dla nas zbliżały się najważniejsze mecze sezonu. Ważniejsze niż te w późniejszych latach o mistrzostwo kraju. Czas uciekał, a my wciąż dramatycznie broniliśmy się przed degradacją. Zbliżały się mecze o życie.

Sytuacja kadrowa w Legii w sezonie 1991/92 była nieciekawa. No, ale przecież nie będziemy pić do lusterka z rozpachy. Stwierdziliśmy, że zorganizujemy małą imprezkę nad wodą. Taką integracyjną, z rodzinami, z grillem. Pojechaliśmy nad Świder. Troszkę się wypilo i od razu padło hasło: - Gramy w piłkę!

Bierzemy piłeczkę i idziemy na piaszczysty brzeg. Każdy boso, niczym w Brazylii. Najpierw ustawiamy jakiegoś prostego "dziadka", kopujemy sobie w kółko, potem mały meczek. Andrzej Łatka, jeden z niewielu nie-ogórków w klubie, wziął zamach. Szykował się niezły strzał, jak na Camp Nou z połowy boiska! Patrzę na nogę Łatki, na piłkę, na nogę, na piłkę. Nagle "trach", a piłka stoi w miejscu. - Kurwa!!! Ja pierdołę, urwało mi nogę! - krzyczy Andrzej. Bosa stopa trafiła centralnie w twardy korzeń. My wszyscy w śmiech i na ziemię. Po dziesięciu sekundach śmiech przeszedł, a ten wciąż wrzeszczy. Tak patrzę... - Kurwa, ja pierdołę, urwało mu nogę! - pomyślałem. Aż tak źle nie było, ale stopa mu spuchła tragicznie. No ładnie, pojechali chłopcy nad wodę, a tu kontuzja! Oddaliśmy piłkę dzieciom, to nie był nasz dzień - a raczej nasz sezon - do uprawiania sportu. Trenerowi Łatka powiedział, że kopnął w łóżko, gdy z synem grał w piłkę i z tego względu przez jakiś czas nie będzie można na niego liczyć. Lekarz się dziwił - tak przywalić w łóżko? "Łata" to był super gość, dusza towarzystwa. Lubił innych wypuszczać. - Młody, prezes ma dla ciebie kasę. Czeka na ciebie w gabinecie i to natychmiast! - mówił. No to młody prosto z boiska pakował się prezesowi do pokoju i słyszał tylko: - A ty czego?!

I tak nie mieliśmy kim grać, a tu kontuzja... Jak tu się dziwić, że do końca walczyliśmy o utrzymanie w lidze? Wszystko miało się wyjaśnić w przedostatniej kolejce, w Lublinie. Motor też walczył o życie. Kto przegra, ten spada. Była ewentualność, że także remis daje utrzymanie, lecz wtedy nie można było przegrać w ostatniej kolejce u siebie z ŁKS. A ŁKS to była wtedy mocna drużyna. Wiedzieliśmy, że jest spółdzielnia, cała Polska chce spuścić Legię. W dodatku z Łodzi przyszły wiadomości, iż w ostatniej kolejce ŁKS gra na całego. Wprawdzie z tego klubu miał do nas przyjść po sezonie Julek Kruszankin, ale wiadomo, że Julek nie decydował o tym, jak zagra drużyna, co zrobi. Mieliśmy wieści, że na pewno się nie podłoży. Nie ma wyboru, trzeba wygrać z Motorem.

Przez cały tydzień Andrzej Łatka i Zbyszek Robakiewicz rozmawiali z Leszkiem Piszem, który był na zsyłce w Lublinie. Leszek nawet nie chciał do nas przyjechać dzień przed meczem do hotelu, żeby tylko nie padły na niego żadne podejrzenia. Zresztą, w meczu z nami nie wystąpił. Miał lekką kontuzję, a że za dwa tygodnie miał wracać do Legii, to uznał, że lepiej będzie, jeśli nie zagra. Tracił na tym kasę, bo w Motorze miał prywatnego sponsora - pięć milionów złotych za każdy mecz. Jednak my się cieszyliśmy. W końcu Pisz był zdecydowanie najlepszy z całego Motoru, co tydzień miał miejsce w jedenastce kolejki.

Niemniej i tak pewni swego nie byliśmy. Widziałem w oczach starszych zawodników, że są... przerażeni. Staliśmy na krawędzi. Wystarczył jeden wypadek losowy - podmuch wiatru, obsunięcie ziemi - i bylibyśmy w drugiej lidze. - Nie możemy być pierwszymi baranami, którzy spuszcza Legię z ligi po wojnie - stwierdził Czykier. Wszyscy wiedzieli - nie możemy być, ale... możemy. Już prawie nimi byliśmy. Klęska wisiała w powietrzu.

Ja chyba beznadziejnym sezonem 1991/92 przejmowałem się najmniej. Dlatego, że dla mnie,

kibica Legii, warszawiaka, spadek do drugiej ligi był niewyobrażalny. Legia nie spada nigdy i już. Nie po to goniliśmy makaroniarzy rok wcześniej, żeby teraz gonił nas Motor. Ale widziałem, że cała drużyna była przybita. Całe szczęście, że właśnie wtedy rozpoczynały się mistrzostwa Europy. Gdy dzień przed meczem przyjechaliśmy do hotelu, akurat w telewizji była transmisja z turnieju w Szwecji. Część oglądała, część tylko patrzyła w ekran i zastanawiała się, za jakie grzechy kazano grać dzień później mecz. Motor musi wygrać, ŁKS się na nas nastawia, lecimy z ligi, kibole będą wściekli i kto wie, co z klubem. - Gramy o życie. Pamiętajcie, że jak przegramy, to może być koniec wielu dobrze zapowiadających się karier - powtarzał trener Etmanowicz.

Co tu dużo gadać - jedno wielkie przerażenie! Przerażenie w oczach zawodników, którzy pół życia spędzili na boisku. O żadnych przedmeczowych podchodach nie mogło być mowy, bo dla obu stron porażka oznaczała śmierć. A akurat samobójców w żadnej z drużyn nie było. Koniec, koniec, koniec - to się ciągle przewijało w rozmowach. Słowo "koniec" można było wyczytać nawet z oczu dyrektora Mazurka. Jeszcze nie wyszliśmy na boisko, a już czuliśmy się drugoligowcami. Niby z jednej strony wszystko przed nami - mecz, który wystarczy wygrać. Jednak tak naprawdę nikt nie wierzył w tę szansę. Za dużo pecha mieliśmy wcześniej, by nagle uśmiechnęło się do nas szczęście.

I oto stał się cud! Napięcie puściło, gdy zaczął się mecz. A gdy napięcie puściło, wtedy... zdobyliśmy gola! To była 40 sekunda spotkania. Tamci nawet chyba nie zdążyli piłki dotknąć, a ja już trafiłem po raz pierwszy. Niby wszystko pięknie, a zagraliśmy... prowincjonalnie. Do przerwy Motor powinien nas powieźć ze 4:1. - Ładnie zaczęliśmy i jak zwykle wszystko spieprzamy - pomyślałem. I oto znów stał się cud! Ledwo zaczęła się druga połowa, a już jest 2:0 dla nas. I tym razem znów ja strzeliłem gola, w typowy dla siebie sposób. Nawinałem obrońcę "na zamach" i uderzyłem po krótkim rogu. W tym momencie nie dało się już przegrać, Motor się załamał. Na stadionie słychać było tylko naszych kibiców. Dołożyliśmy jeszcze na 3:0 i było pozamiatane. Zostajemy!

Dzięki temu sukcesowi, spotkanie z ŁKS straciło już swój ciężar gatunkowy. Jak się tak na nas nastawiali, to niech się nastawiają. Nas już nikt nie spuści! Klub nawet dał nam wolne i nie organizował przedmeczowego zgrupowania. Jeszcze dwie godziny przed spotkaniem z Łodzianami, wraz z Czykierem i Sobczakiem, bawiliśmy się na publicznych basenach przy Legii. - To co, idziemy już? - pytał ktoś raz na jakiś czas. - Nieee, i tak bez nas nie zacząną - padała odpowiedź. W końcu poszliśmy i wygraliśmy z tym ŁKS 1:0. W ogóle cały ten tydzień był strasznie luźny. Świętowaliśmy utrzymanie w lidze, ale w mniejszym gronie, pięcio- czy sześcioposobowym. Innych, w większości gamoni, się nie zapraszało, bo by jeszcze coś popsuli. Wystarczyło, że prawie cały sezon popsuli.

To był mój najważniejszy rok i najważniejszy sukces w życiu - Legia uratowana, zagraliśmy na nosie całej piłkarskiej Polsce. Patrzcie, jak się bawimy! Chcieliście nas uśmiercić, a my przed ostatnim meczem pluskamy się w wodzie na basenie! Jeszcze nas popamiętacie!

Swoją najważniejszą w życiu bój wygrałem. Mogłem chodzić po Warszawie z podniesioną głową. Gdybyśmy spadli z ligi, chyba nie mógłbym spojrzeć kolegom w oczy. Ten mecz z Motorem, mecz o przetrwanie, może nawet o przyszłość Legii, zawsze stawiałem na pierwszym miejscu wśród piłkarskich osiągnięć - żadne mistrzostwo Polski, żaden medal olimpijski. Wszystko to nie umywało się do satysfakcji, jaką sprawiły mi bramki w Lublinie.

Uratowałem Legię. Uratowałem mój klub.

W tym samym roku toczyłem prywatną bitwę. To przecież był sezon poprzedzający olimpiadę w Barcelonie. A mnie na igrzyskach nie mogło zabraknąć! Pamiętam pierwsze spotkanie z trenerem Wójcikiem. Na zgrupowanie kadry w Spale przywiózł mnie kierownik drużyny. Zajeżdżamy, a Wójcik się opala na ławeczce przed ośrodkiem.

- Dzień dobry, Kowal jestem - powiedziałem z uśmiechem.

- Misiu, ty tu jesteś zwykły Wojtek, żadna tam gwiazdeczka, tylko jeden z wielu - wypalił na dzień dobry. Takie klasyczne "zdołowanie na powitanie" w stylu Wójcika. - A co ty tu masz? - zdziwił się, patrząc na moją rękę. Miałem - teraz już nie mam, usunąłem - na palcach wytatuowane "EWA".

- Imię mojej dziewczyny - odpowiedziałem spokojnie. Pokój dostałem z Markiem Bajorem. Nie znałem nikogo, bo z Legii byłem jedynym powołanym, a wcześniej, niewiele wcześniej, grałem w Polonezie. Wiadomo, że na Poloneza nikt nie zaglądał, bo działacze nie mieli w pewnych kręgach układów - przez to nie zagrałem w żadnej juniorskiej reprezentacji Polski. Na kadrze olimpijskiej - tydzień wyjęty z życia. Wójcik musiał gówniarstwo za mordy trzymać, dyscyplina była, na sam koniec zgrupowania zagraliśmy z Turcją, ja rozegrałem tylko trzy minuty. Od początku wiedziałem, że to nie będzie występ życia, ale spodziewałem się, że jednak spędzę na placu trochę więcej czasu.

Później był ten mecz z Irlandią, o którym wcześniej pisałem. Na treningach wyglądałem nieźle, wygrałem rywalizację z Grześkiem Mielcarskim. Jednak trener Wójcik przekonał się do mnie po meczu, choć i na boisku byłem najlepszy. Doszło do dyskusji, raczej żartobliwej. Trener wbił mi szpilę, taką perfidną, żebym tylko schylił głowę i wyszedł na dupę wołową. A ja mu wyjechałem z kontrą! Zapanowała konsternacja, bo w takich momentach nikt się nigdy nie odzywał. - Oho, warszawiak, ma charakter! - pomyślał zapewne Wójcik. Później w Dublinie wszyscy poszliśmy do pubu na piwo. Załatwił to Jurek Brzęczek, porozmawiał z kim trzeba. Oficjalnie w takich wypadkach można wypić jedno piwo. Ale jak ktoś ma spust, to i cztery przyjmie.

Problem w tym, że wciąż nie byliśmy pewni awansu na olimpiadę. Przed nami były jeszcze mecze barażowe z Danią. Chcicie wiedzieć, jak to jest w reprezentacji Polski - wszystko jedno czy pierwszej, czy też olimpijskiej - po meczach? Pije się, na przykład, piwo, zawsze, niezależnie czy się wygrało, przegrało, czy zremisowało. Jedyna różnica jest taka, że gdy się wygrywa, to się pije oficjalnie, w hotelowym pubie. A jak się przegrywa, to browary kupuje ktoś na stacji CPN, a pije się w pokoju, by nikt nie widział. Jednak pije się zawsze. I tak właśnie było po meczu z Danią. Piliśmy na górze, w pokoju. Zrobili z nas ogórków. Takich ogórków, że nawet nie było chętnego, żeby iść po piwo. Trzeba było wysłać jakąś przypadkową osobę. Nikt nie chciał się dodatkowo narażać. Ale o meczu z Danią - następnym razem.

DANIA - najgorszy mecz w życiu. Zdobyliśmy komplet punktów w meczach eliminacyjnych, najwięcej w Europie. A tu trzeba było jeszcze grać jakiś baraż o awans na olimpiadę. Padło na Duńczyków. Skoro chcemy się liczyć w świecie, to i Danię trzeba ogrywać. A tu bach, bach, bach, bach. No i jeszcze raz bach. W sumie pięć bramek do przerwy, oczywiście, wszystkie w plecy! To było coś kompletnie niezrozumiałego. Mielliśmy łatwo wygrać, a zrobiono z nas

miazgę. Jeszcze się dobrze mecz nie rozpoczął, a już 1:0 dla nich. Po chwili 2:0 i Kłak doznaje kontuzji. To od tego meczu zaczęły się problemy zdrowotne Alka. A więc pech za pechem - nie dość, że spora strata bramkowa, to jeszcze zamieszanie ze zmianą bramkarza. Każdy myślał wtedy: - Ale numer! Tyle punktów, tyle miesięcy pracy i wszystko na nic.

A tamci nie ustawiali w robieniu z nas coraz większych frajerów. 3:0, 4:0, 5:0. Nawet nie wiem, czy czasem Dania w pierwszej połowie nie oddała tylko tych pięciu strzałów. - Co to ma, kurwa, być? Nie tak się umawialiśmy! Miała być walka, miała być jazda z frajerami! Ale to oni mieli być frajerami!!! Musimy zatrzeć tę kompromitację, musimy strzelić jednego gola! A jak strzelimy jednego, to i drugi wpadnie! A jak drugi wpadnie, to w rewanżu wystarczy nam 3:0! Pomyślcie o tym. To wcale nie jest niemożliwe! - mówił w przerwie meczu piekielnie zagotowany Janusz Wójcik.

No i rzeczywiście w drugiej połowie zegraliśmy lepiej. Jednak tylko na tyle, że już nie straciliśmy kolejnych goli. Optycznie mieliśmy przewagę, ale nic z niej nie wynikało. Byliśmy straceni i dobrze o tym wiedzieliśmy - wszystko na nic, kompromitacja, my w rewanżu sześcioro nie jesteśmy w stanie strzelić, a Duńczycy stracić. Wtedy zaczęły się jednak kalkulacje. Dziennikarze mówili, że ze względu na punkty być może w rewanżu wystarczy nam remis i jakoś tam się załapiemy na tę olimpiadę, przy odpowiednich wynikach innych spotkań. Gdybyśmy nawet tej szansy nie wykorzystali, to byłby obciach straszliwy. Wykorzystaliśmy, wyniki ułożyły się pod nas - jedziemy!

Awans świętowaliśmy później, na zgrupowaniu w Buku. Ale tylko raz i w dodatku niezbyt hucznie. Nie było wtedy ekipy do balowania - sami młodzi, sami przestraszeni. Ja też tam z nikim specjalnie nie trzymałem. Początkowo z Radkiem Majdanem i Darkiem Szubertem. Chyba ze względu na to, że byli z Pogoni, a wiadomo, że Legia z Pogonią dobrze żyje. Wielu kolegów nie miałem z tego względu, że w zasadzie byłem w tej drużynie nowy. Zagrałem kilka minut z Turcją, cały mecz z Irlandią, a później już jeździłem na zgrupowania pierwszej reprezentacji Polski, za kadencji Andrzeja Strejlaua. Jako jedyny młodzieżowiec byłem wtedy powoływany.

W Buku atmosfera o tyle nie była taka bardzo wesoła, że nie wszyscy mieli pewność wyjazdu na olimpiadę. Wiadomo było, że ktoś naszą grupę opuści, że dla kogoś zabraknie miejsca w samolocie. Ja akurat się nie martwiłem, bo byłem pewny swego, ale już innym ciągle coś chodziło po głowie. - Myślisz, że kto nie pojedzie? - pytał Grzesiek Lewandowski. Szkoda chłopaka, on nie pojechał. Podobnie jak Jacek Bąk czy Radek Majdan.

Ich zabrakło na olimpiadzie, natomiast mnie... na przedolimpijskim zdjęciu. W Warszawie, w hotelu "Solec", przygotowaliśmy się do wyjazdu do Buku. Ponieważ byłem jedynym chłopakiem z Warszawy, pozwolono mi przespać się w domu. Rano się budzę - "Zaraz, zaraz. Czy ja gdzieś nie miałem jechać?". Rzut oka na zegarek - o cholera, poważna obsuwa! Szybko się ubrałem, zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy i do hotelu. Wchodzę, a tam trener Paweł Janas.

- Dzień dobry, zasnęłam - wykrztusiłam, trochę mi było głupio.

- Czy ty normalny jesteś? Dobra, jedziemy samochodem, później wszystko wytłumaczysz.

Goniliśmy autokar z chłopakami przez jakiś czas, w końcu stali gdzieś na stacji benzynowej i mogłem dołączyć do reszty grupy. Jednak to już było za późno - na fotce mnie nie ma.

Wspomniałem już, że grałem i w reprezentacji olimpijskiej, i w pierwszej. A z tą pierwszą to nie brakowało ciekawych przygód. O debiutanckim powołaniu poinformował mnie trener Władysław Stachurski, nastawiony do mnie niezwykle życzliwie. - Synek, jedziesz na kadrę, dobrze się tam spisz, bo to duży krok w twojej karierze. I nie wywiń takiego numeru, jak dwa tygodnie wcześniej - powiedział.

A dwa tygodnie wcześniej rzeczywiście było ostro. Legia miała wtedy mecz w Poznaniu z Olimpią. A ja miałem... imieniny kolegi. To znaczy imieniny były w piątek, a mecz w sobotę. Oczywiście pójść na imprezę musiałem, tylko z założeniem, że nic nie będę pił, bo na kacu źle się gra. - Wojtek, walnij jednego z nami. Wojtek, walnij jednego - to słyszałem w kółko. Aż w końcu tak się zmęczyłem tym patrzaniem, jak inni piją, że zachciało mi się spać. Poczulem się naprawdę zmęczony. Patrzę na zegarek - czwartą. Nie bardzo jest sens się kłaść, skoro o dziewiątej wyjeżdżamy z Legii do Poznania. Akurat przyjdę prosto na stadion to nikt się nie zorientuje, że nie spałem. Minęła piąta, minęła szósta, minęła siódma i... usnąłem. W domu u kolegi!

Nagle ktoś mnie szturcha za ramię.

- Wojtek, wstawaj!

- Daj mi spokój.

- Wojtek, ale przyszedł po ciebie Szczęsny!

Otwieram oczy.

- O kurwa.

W drzwiach stał Maciek Szczęsny z drugim trenerem Legii. Przyjechali po mnie. Wyrząłem szybko przez okno, czy to cały autokar z drużyną czeka. Ale nie, oni grzali silnik na Łazienkowskiej. Po mnie wysłano tylko dwóch ludzi. Jak gdyby nigdy nic, złapałem za torby, które stały koło mnie. Byłem przygotowany do podróży! Równie dobrze mogłem krzyknąć: - Oho, już jesteście! Czekałem na was! No to idziemy!

Na stadion jechaliśmy z dziesięć minut, może piętnaście. Tak sobie myślałem, co powiedzieć. I nic sensownego nie mogłem wymyślić. Trener na bank wkurzony. Ja już zdążyłem spojrzeć w lusterko - byłem rozczochrany, cały opuchnięty. I tak mi nikt nie uwierzy, jeśli powiem, że tylko patrzyłem, jak koledzy pili. Ale trener Stachurski tylko oznajmił: - Synek, porozmawiamy, jak wrócimy z meczu. Bez kary się nie obejdzie.

Od razu skierowałem swoje kroki na koniec autokaru. Tam wtedy było piętrowe łóżko, z dwoma miejscami. Jak się położyłem, to się obudziłem dopiero na stadionie! W zasadzie prosto z łóżka wyszedłem na murawę. Miałem to szczęście, że byłem jednym z najlepszych na placu. Zrobiłem rzut karny, wykorzystany przez Darka Kubickiego. Zremisowaliśmy 1:1, co było wtedy dla nas idealnym wynikiem - po poprzednich dwóch bolesnych porażkach. No i dzięki temu jakoś obyło się bez kary. Jednak to, że drużyna na mnie czekała, też o czymś świadczy. Na patalacha machnęliby ręką. A na mnie nie machnęli.

Wtedy wiedziałem, że przesadziłem. Wywinałem numer, jakiego nie powstydziliby się najstarsi zawodnicy. Kto wie, może nawet zyskałem w ich oczach? Ten młokos przed niczym nie pęka! Jednak już w łaski reprezentantów Polski musiałem wkupić się inaczej. Po piłkarstwu. Najlepiej strzelonym golem. To był mecz ze Szwecją, w Gdyni. Debiut mój i Mirka Trzeciaka.

Trenera Streljaua zdążyłem dobrze poznać, choć w tamtym czasie miałem prawdziwe urwanie głowy. Jak nie kadra Wójcika, to olimpiada. Jak nie olimpiada, to się akurat obraziłem na PZPN. Do tego dojdziemy, ale i tak dałem radę rozegrać za kadencji pana Streljaua sporo spotkań. Jedno można stwierdzić - ekstra gość. Ogromna wiedza o piłce, przy dobrej dyscyplinie, jak dzisiaj, na pewno by sobie poradził. Tyle tylko, że zawsze żał nam było tego, który w czasie popołudniowych spacerów szedł koło niego. Jak ktoś lubi historię sportu, to miał czego słuchać. Jednak większość z nas w takich momentach patrzyła w ziemię i marzyła, żeby być już w hotelowym pokoju. A Streljau mówił: - W 1938 roku to był Leonidas, który grał bosą, który w 63 minucie, który lewą nogą, który z prawego skrzydła, który przewrotną. I tak dalej. W tym tonie.

Czasami kończyło się tak, że wracaliśmy do pokoju, a ten, który szedł koło Streljaua pytał: - Gdzie do jasnej cholery gra ten cały Leonidas?!

Niemniej ogólnie o ówczesnym selekcjonerze można było mówić w samych superlatywach. Miał gość pojęcie, o co chodzi. I był to jedyny szkoleniowiec w moim życiu, który... rozpisывał sposób wyrzutu piłki z autu. - Pamiętajcie, nawet po aucie można rozpocząć akcję, która da najważniejszą bramkę - powtarzał. Patrzyliśmy się po sobie, ale cóż - skoro tak mówi...

Na mecz ze Szwecją powołał z kadry olimpijskiej mnie, Grześka Mielcarskiego i Tomka Waldocha. Wystąpiłem od początku, w końcu strzeliłem gola. Romek Kosecki jechał z jakimś Szwedem na plecach, tamten go tak złapał za złoty łańcuch - w zasadzie prawdziwy kajdan - że prawie Romka udusił. Łańcuch jednak puścił, zerwał się, i "Kosa" zagrał mi dobrą piłkę. Wyszedłem sam na sam, pokonałem Ravelliego. Tak sobie wtedy pomyślałem: - Mamy rok 1991. Rok temu strzeliłem sześć goli Mazurowi Karczew i chyba trzy Bugowi Wyszków. Czyli jednak tamci bramkarze nie byli takimi frajerami, skoro teraz już mam na rozkładzie Gianlucę Pagliucę z Sampdorii, Gary'ego Walsha z Manchesteru United i Thomasa Ravelliego z reprezentacji Szwecji. Ładny zestaw, o co chodzi, jakieś pytania?

Polska - Szwecja to był mecz bez większych historii pozaboiskowych, ponieważ do Warszawy wracałem samochodem. Niezły skład w środku - drugi trener Legii, pan Kosiński, nasz ulubiony fotograf "nigdy nie mam kliszy" pan Gienio Warmiński oraz Darek Kubicki. Jak to zobaczyłem, to się załamałem. Podróż stracona! Tak siedziałem w tym samochodzie i liczyłem uciekające kilometry. - Dojadę na Bródno, będzie weselej - myślałem. Wiadomo, że moi koledzy z podwórka to patrioci i świętują każdy sukces reprezentacji. Jednak coś Warszawa się nie zbliżała. A ja musiałem słuchać tych dialogów.

- Bardzo dobry mecz, Darku, prawda?

- Bardzo dobry, jasne.

- Bardzo ładna pogoda, Darku, prawda?

- Bardzo ładna, jasne.

I tak kilometr za kilometrem. Jechanie jednym samochodem z trenerem to dramat. Z Darkiem

też zresztą nigdy nie byłem w tej samej grupie, on szykował się do wyjazdu na Zachód. Poza tym elegancik. Wchodził do brudnej, paskudnej szatni Legii w garniturze. Nie mieliśmy wielu wspólnych tematów. - Dojedziemy do Bródna, będzie lepiej - tylko ta myśl trzymała mnie przy życiu.

Pamiętam bardzo dobrze moje drugie zgrupowanie za trenera Strejlaua, przed meczem z Holandią. To był hotel "Ławica" w Poznaniu. Dali mnie do pokoju z Ryśkiem Tarasiewiczem, kapitanem zespołu. W razie czego młody starego przyka zaciągnie do łóżka, gdy będzie trzeba. I nie wiem, co się ze mną stało. Czy w tym lokalu nie było klimatyzacji, czy co? W każdym razie pierwszego dnia mieliśmy wieczorek zapoznawczy, jak zawsze. Trzepnęło mnie błyskawicznie! Inni jeszcze dobrze "z białą" nie wystartowali, a Kowal nieprzytomny. Skończyło się, że nie ja Tarasiewicza, ale on mnie. Razem z "Kosą" zanieśli mnie nieprzytomnego do pokoju. Ale wtopa - to przecież ja miałem pokazać starym zgredom, jak się pije! Obiecałem sobie, że takie coś już się nigdy więcej nie powtórzy. Jeśli kogoś będą wynosić, to na pewno nie mnie!

Reprezentacja Polski, niby ważniejsza, wtedy była w cieniu olimpijskiej. Jakoś w PZPN nikt nie mógł wziąć się należycie za wykonywanie swojej pracy i wystarczyło, że Janusz Wójcik popracował chwilę, a już olimpijczycy mieli sześć razy lepszą organizację niż główna kadra. Sponsorzy, premie, najlepsze boiska i hotele. Wyjazd na olimpiadę to było coś!

Wioska olimpijska nas niespecjalnie fascynowała. Ogólnie - nudno. Mieszkaliśmy w blokach, w których były dwa mieszkania na piętrze. W każdym mieszkaniu trzy pokoje i wspólny salon. Ja dzieliłem pokój z Piotrkim Świerczewskim. W zasadzie wszyscy dobierali się według pewnych podobieństw - grupa palaczy razem, grupa karciana razem. W pokojach nie jaraliśmy, żeby nie smrodzić tym, którzy tego nie lubili. Paliliśmy przede wszystkim na balkonach. To chyba lepsze niż chowanie się po kiblach? Minus był taki, że pokoje nie miały klimatyzacji, a chyba nikomu nie trzeba mówić, jak upalnie jest latem w Barcelonie. No to nikt w tych pokojach nie siedział. Lepiej już było spędzić wolny czas na deptaku, wśród licznych kawiarenek.

Tyle tylko, że wolnego czasu to my za dużo nie mieliśmy. Mówiąc wprost - wcale. Odprawa gonila odprawę, trening gonil trening. Czasami aż się nie dojadło na obiedzie, byle tylko zdążyć na kolejne spotkanie z trenerem. A to oglądanie naszego meczu, a to oglądanie meczu rywali. Całe dni zajęte od rana do wieczora. - Przyjechaliśmy tu po medal. Co ja gadam?! Przyjechaliśmy tu po złoty medal. Zakodujcie to sobie raz na zawsze, bo nie mam zamiaru powtarzać - złoty medal! Wygramy, bo jesteśmy tu zdecydowanie najlepsi. Jak ktokolwiek nam podskoczy, to się mocno zdziwię. No kto zdobył komplet punktów w eliminacjach? My czy ci frajerzy, którzy są tu poza nami? Na pewno nie ci frajerzy! Oni są tu tylko po to, bo kogoś musimy ogolić. Opierdolimy tych kelnerów! - przekonywał nas trener Wójcik. A drużyna w oczach nabierała wiary. Czasami o tym rozmawialiśmy z Piotrkim Świerczewskim.

- Wiesz, tu są różne drużyny. Jak się dobrze ułoży, to rzeczywiście mamy szansę na medal - mówiłem.

- No tak, ale w grupie mamy Włochów. Mistrzowie Europy. Chodzi o to, żebyśmy trafili na kogoś łatwego, jeśli wyjdziemy z drugiego miejsca. Pierwsze trzeba zostawić tamtym.

- Jasne, że tak. Jeszcze mnie nie pogięło, żeby się zaraz przed Włochami ustawiać.

Byliśmy realistami, a przynajmniej tak nam się wtedy wydawało. Optymizm, że możemy być pierwsi, raczej byłby odbierany jako szaleństwo. A co myślał trener Wójcik, nie wiem. Momentami się nad tym zastanawiałem. Z jednej strony nie mógł sądzić, że ogramy

Włochów. Dopiero co przeczłgali nas Duńczycy. Z drugiej strony, był tak piekielnie pewny siebie. - Ogolimy frajerów, opierdolimy ich - i tak w kółko. Każdy dla niego był kolejnym frajerem do ogrania - nieważne, czy to akurat Włochy, czy też Kuwejt. Frajer to frajer. Każdy jest taki sam, każdemu tak samo strzela się gole. A może coś jednak w nas jest? Może rzeczywiście świat dzieli się na Polskę i kelnerów? Trzeba spróbować, olimpiada w Barcelonie rozpoczęta!

Pierwszy gwizdek, pierwsze dotknięcie piłki, pierwsze brawa i gwizdy z trybun. Niby normalny mecz, ale każdy z nas miał świadomość, że olimpiada jest czymś więcej niż zwykłym kopaniem się po kostkach. Olimpiada jest kawałkiem historii, życiową przygodą, wielką szansą. Na dzień dobry dostaliśmy Kuwejt. Goście wyglądali tak, że 23 lata to może i mieli, ale kiedyś. Znaliliśmy jednak zasadę - każdy frajer jest po to, żeby go ogolić.

No to goliliśmy, a z brzytwą biegał przede wszystkim Andrzej Juskowiak. Strzelił dwa gole. Mogliśmy wygrać jeszcze wyżej, ale w ostatniej minucie Waligóra nie wykorzystał rzutu karnego. To był jego koniec na olimpiadzie. W tamtym meczu jeszcze Darek Gęsior zagrał bodajże 45 minut, a potem wszedł za niego Marcin Jałocha. I tak "Jałoszkin" grał aż do samego finału. Część chłopaków była podłamana, że nie gra, część nie czuła się pewna, co dalej. - Ciekawe w jakim składzie zagramy... - mówili ci najmniej pewni. I czekali, aż ktoś powie: - No przecież ty na bank zagrasz!

Kuwejt, jak to Kuwejt. Była trema przed pierwszym meczem, ale nikt nie dopuszczał możliwości porażki. Liczyło się jedno spotkanie - z Włochami! Gdy słyszało się określenie "kelnerzy" w odniesieniu do nich, każdy z nas czuł, że coś jest nie tak. Co tu mówić, to nie były ogórki. W prasie jechali z nami strasznie. Tłumaczono nam gazety, a Włosi - ówczesni mistrzostwie Europy - mieli nas za ostatnich patałachów. Skoro już się muszą po nas przejechać, to się przejadą. Jednak bez specjalnej satysfakcji, bo woleliby przejechać się po kimś poważnym.

W tunelu zachowywali się pewnie. Nawet jak spluwali, to z jakąś pewnością siebie. Ale my też byliśmy naładowani. - Pierwsza minuta! Pokazujemy, kto tu rządzi! Jedziemy równo z murawą! Wślizg, wślizg, wślizg! Opierdalamy ich! Niech pamiętają ten dzień do końca życia! - krzyczał chwilę wcześniej Wójcik. My jeszcze dodaliśmy sobie otuchy stałym okrzykiem - jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! W tunelu zdążyłem popatrzeć w oczy Francesco Antoniolemu, obecnemu bramkarzowi Romy. - Jak tam, ogóreczku? Pagliuca opowiadał ci o mnie? Mówił, jak go usadziłem? - pomyślałem sobie. Musiał mnie pamiętać z meczów Sampdorii z Legią. - Wtedy was, makaroniarzy, napocząłem, to teraz dokończę - wycedziłem, tak sam do siebie.

Zaczął się mecz. A każdy w głowie miał: - Pierwsza minuta, wślizg, wślizg, wślizg! Jedziemy! No i ruszyliśmy. Równo z trawą, tak, jak chciał trener. I stało się - w czwartej minucie Andrzej Juskowiak strzelił pięknego gola! 1:0! Cholera, mamy ich! I znów wślizg, wślizg, wślizg. Napędzamy się. Każde udane zagranie dodaje nam energii. Karmimy się ich słabością, ich frustracja jest naszą siłą. Wślizg, wślizg, wślizg. Nie ma czasu na odpoczynek, za dużo jest do stracenia. Nie, odpoczniemy później. Wślizg, wślizg, wślizg. U nich widać narastającą złość. Jedna niewykorzystana sytuacja, druga. W końcu gol dla nas! Rysiek Staniek "ukłuł". No, panowie. Gdzie ta wasza pycha? Gdzie ci mistrzowie Europy? Gdzie ten piłkarski walec, dla którego przejechanie "Polaczków" jest tyleż oczywiste, co uwłaczające? Antonioli, gdzie ten twój refleks i pewny chwyt? Pagliuca już wie, jak grają Polacy, czas na ciebie! Poznaj moich kolegów! "Jusko", Rysiek - przywitajcie się!

Zaczęły się nerwy Włochów, czerwone kartki. Kończyli mecz w dziewiątkę. A my robiliśmy swoje. Trójka do zera i Polska zegna... Tak, teraz już mogliśmy spokojnie, bez zbędnego

zmieszania powiedzieć "FRAJERA". Teraz wystarczy nawet nikła porażka z USA, i wychodzimy z grupy. Ale nikt przegrywać nie miał zamiaru. Jesteśmy tu najlepsi, jesteśmy tu po medal!

Awans mamy pewny, wystarczy się tylko nie skompromitować w spotkaniu z USA. A jak się skompromitujemy, to znaczy, że nic tu po nas i tyle. Wiedzieliśmy, że awansujemy, ale torby wciąż stały spakowane. Tak od samego przyjazdu. Jeden dzień mógł wszystko zmienić, jednego dnia mogło się okazać, że misja dobiegła końca. No i nawet nikomu nie chciało się wyklądać rzeczy na półkę. Kto wie, co będzie jutro?

Z USA nie przegraliśmy. Remis 2:2 i wyjście z grupy. Eh, gram dobrze, nawet bardzo dobrze. W każdym meczu od pierwszej do ostatniej minuty. Zaliczam asysty. I coś nie mogę zdobyć gola! - Spokojnie Kowal, nie grzej się, ty tu jeszcze nie jednego usadysz - myślałem sobie. Te bramki musiały w końcu przyjść. Czekanie na nie było o tyle nieznośne, że dużo strzelał Andrzej Juskowiak. Nigdy nie lubiłem być w cieniu. Jednak czułem się pewnie, wiedziałem, że jestem zbyt dobry, żeby przebijać się przez cały turniej bez trafienia. Ale konkurencja nie spała. - Kowal nie strzelił, może ja zagram? - zastanawiali się zapewne Mielcarski i Waligóra. Ja byłem o tyle przekonany, że wystąpię i w następnym meczu, bo nie dość, iż grałem dobrze, to w dodatku pasowałem stylem gry do "Jusko". On był egzekutorem, a ja tym, który robi wiatr.

Po wyjściu z grupy czekał na nas Katar. - Panowie, kataru to można dostać, ale na pewno nie dostać od Kataru! - mówiłem przed meczem. Wójcik jechał ze starą śpiewką: - Golimy frajerów! Wślizg, wślizg, wślizg! Ta adrenalina, przesyłana w słowach przez trenera, wszystkim nam się bardzo udzielała. Byliśmy tak naładowani, że nawet gdy krzyczeliśmy "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", to było słyhać tę pozytywną agresję. To był brutalny okrzyk. Katar był dla mnie o tyle przełomowym momentem, że w końcu strzeliłem gola, pod koniec pierwszej połowy. Potem poprawił jeszcze Jałocha. Wygraliśmy 2:0, ale to nie był łatwy mecz. Katar nie grał w piłkę. Przeciwno takim zespołom walczy się ciężko. - Strzeliłeś gola, nadchodzi najpiękniejszy moment - marzyłem. A może "marzyłem" to nie najlepsze słowo. Lepsze byłoby "wiedziałem".

I przyszedł półfinałowy mecz z Australią, rewelacją turnieju. Ale skoro wyszliśmy z najtrudniejszej grupy, odprawiliśmy mistrzów Europy z Antoniolim, Albertinim i Dino Baggio w składzie, to... bądźmy poważni. Zresztą Wójcik nie po to chodził i bezustannie powtarzał, że wygramy tę olimpiadę, żeby dostać od gości, co na co dzień kopia się z kangurami. A czuliśmy, że naprawdę możemy tu zdobyć złoty medal. Hiszpanie grając z Włochami, tymi samymi, których zmiażdżyliśmy, niemiłosiernie się męczyli. Czyli jesteśmy silni.

Zacząłem ja. Odebrałem piłkę obrońcy, przerzuciłem nad bramkarzem - 1:0. I to był już do końca mój mecz! Walnąłem raz jeszcze, Australijczyk po moim zagranu wpakował piłkę do własnej bramki - to już trzy moje gole. Dograłem też Andrzejowi Juskowiakowi. W zasadzie przy każdym z sześciu trafień, ja gdzieś tam byłem, gdzieś tam tę pieczęć przystawiłem. Pieczęć z napisem "Kowal dotknął, można strzelać!". W czasie gry było widać świetne zrozumienie w trójce Staniek-Kowalczyk-Juskowiak. Do finału podchodziliśmy już jako uznani zawodnicy - "Jusko" był królem strzelców, ja i Rysiek prowadziliśmy w punktacji kanadyjskiej, nikt w sumie nie miał tylu bramek i asyst, co my.

- Panowie. Czeka nas dzień próby, ostatecznej próby. Cała Hiszpania będzie życzyła nam

śmierci, prawie cała Polska zwycięstwa. Prawie, bo tych misiów z PZPN nie można liczyć. Te misie muszą nas popamiętać. Skoro gramy im na nosach od kilku tygodni, to zagramy do końca. Pamiętajcie, że przed nami mecz życia. Rodziny będą na was patrzyły, cieszyły się i płakały razem z wami. Panowie, czekają nas kolejni frajerzy do opierdolenia! - mówił trener. Finał. Przed nami wielki finał. Szczyt marzeń na wyciągnięcie ręki. Jakaś tam Polska, a pół piłkarskiego świata u jej stóp! Widzieliście półfinał z Australią? Widzieliście te sześć bramek? Widzieliście nas? Jesteśmy najlepsi. Każdy w to wierzył.

Finał, ludzie, telewizja, historia, olimpiada, sukces, kariera. Nagle chlast! Trener Wójcik wymierzył mi soczysty cios w plecy. Nie było czasu, żeby teraz rozmyślać, co będzie. Cios w plecy skutecznie leczył z takich stanów. Leczył zawsze i dobitnie. To był ulubiony sposób trenera, aby pobudzić zawodników. Plecy szczypały, ale poziom adrenaliny wzrastał lawinowo. Poza tym Wójcik lubił zadawać pewne pytania.

- Kowal! Co zrobimy z tymi frajerami?

- Jak to co? Opierdolimy!

To była najbardziej pożądana odpowiedź. Jeśli ktoś nie lubił przeklinać, mówił "ogolimy". Jednak "opierdolimy" było jak najbardziej na miejscu. To był miód na serce trenera. Ponieważ można było mieć pewność, że ja użyję właśnie tego słowa, w dodatku z szelmowskim uśmiechem na ustach, trener lubił zwracać się przede wszystkim do mnie. - Sto tysięcy ludzi jest teraz na trybunach, a 40 milionów Polaków przed telewizorami. No i te misie z PZPN. Sto tysięcy Hiszpanów plus misie kontra 40 milionów Polaków. Tymi Polakami jesteśmy my. My ich reprezentujemy, my będziemy dziś decydować o wszystkim. Karty są w naszych rękach. Król Hiszpanii nawet przyszedł. Jeszcze nie wie, że mamy zamiar opierdolić tych frajerów. Tak, Kowal? Co z nimi zrobimy? - pytał Wójcik.

- Oczywiście, opierdolimy! - odpowiedziałem z uśmiechem.

Jedni wiążą buty, inni poprawiają ochraniacze, jeszcze inni po prostu czekają. Do meczu minuty, sekundy, zaraz się zacznie. Za kilka chwil wyjdziemy na murawę najśłynniejszego stadionu świata, Camp Nou. Jeszcze nie teraz. Jeszcze okrzyk. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! - ryknęło w szatni. Już. Już teraz. Można iść. Trzeba! Wślizg, wślizg, wślizg - tak musimy zacząć. Przecież to potrafimy. Nie jednego barana już przegoniliśmy po całym boisku. Jest w nas agresja i odpowiedzialność. Hiszpanie też zdenerwowani, widać, że nas szanują. Może nie boją się, ale szanują. Na nich ciąży większa presja. My już i tak wykonaliśmy plan ponad normę. Jednak dziś normy nie istnieją. Nikt nie chce słuchać o planach minimum. Jeszcze tylko rzut oka na kapliczkę przed wejściem na boisko. Kto chce, ten się modli. Gwizdek. Jest. Biegniemy. Wślizg, wślizg, wślizg.

Na początku przewaga Hiszpanów. Nie możemy wyjść z połowy. Po chwili opanowujemy sytuację. Jedziemy z nimi. Może nie jedziemy, ale przynajmniej oni z nami nie jadą. Jest dobrze. Nie są lepsi. Możemy spokojnie nawiązać walkę. W końcu udaje mi się urwać obrońcom. Moment i jestem sam przed bramkarzem. Nikt mnie nie dogoni. To wiem, jestem za szybki. Jadę z piłką, jadę, bramka się zbliża. Podjechałem za daleko... Zamiast oddać strzał, podbiegłem za blisko bramkarza i trafiłem w niego. Kurwa!!! Przecież to był ten moment, kiedy miałem przejść do historii! To był ten moment, w którym mieliśmy wygrać mecz! - Wojtek, co ty zrobiłeś? - tak sobie myślałem. Gdybym miał jeszcze dziesięć takich sytuacji, wszystkie bym wykorzystał. Ale mogę już nie mieć... W finale tak to już bywa. Masz jedną szansę, aby przejść do historii. Nie przeszedłeś - trudno, przeszedł kto inny. Nikt za tobą nie zapłacze.

Jak to "kto inny"?! To mam być ja, a nie jakiś hiszpański ogórek! Kowal, weź się w garść, jedziemy z nimi! Żar leje się z nieba, na termometrach chyba brakuje skali. Upał, parno, mokre koszulki lepią się do ciała. Trzymamy 0:0, więc nie jest źle. Chociaż szkoda tej sytuacji... Jeszcze minuta i będzie można odpocząć. Ruszam do przodu, a nuż coś się uda?...

Mam piłkę! Odebrałem obrońcy! Kopnął mnie dwa razy, ale utrzymałem się. Jestem już tylko ja i bramkarz. Kowal, nie myśl! Wal!

Jeeeeest!!! I co? I co teraz? Kto jest najlepszy? Kto strzelił gola? No śmiało, chcę to usłyszeć z ust spikera. "Kowalcik!". Tak jest, zapamiętaj to nazwisko. Przeczytasz je, gdy złoci medaliści staną na pudle! Tylko dotrzynamy, dotrzynamy do przerwy! Z radości upadłem na murawę, przygnietli mnie koledzy. Jestem wycieńczony, nie mam siły wstać. Kończ!

Wycieńczenie, duma, przerażenie. Wszystkie możliwe uczucia zbiegają się w jedno i rozpierają każdego z nas. Jest przerwa, być może najważniejsza przerwa w naszym życiu. Prowadzimy 1:0 w finale olimpijskim z gospodarzami, z Hiszpanią. Pierwsza myśl - odpocząć. Część zespołu idzie pod prysznic, część do basenu. Szatnie Barcelony są olbrzymie, można w nich nawet popływać w zimnej wodzie. To działa kojąco na zmęczony organizm. Ochłodzić się! Na zewnątrz jest ze sto dwadzieścia stopni! Nieludzka temperatura!

- Brawo Kowal, jest dobrze. Teraz już się nam nie wywiną! Jedziemy dalej. Pamiętajcie, zostało nam tylko czterdzieści pięć minut. Czterdzieści pięć minut, w czasie których nie ma czasu na cokolwiek innego niż walkę. Napoczęliśmy ich. Dokończmy. To oni są teraz przerażeni. To oni mają nóż na gardle. A my swoje! Walka! Wślizg, wślizg, wślizg! - mówi Wójcik. Każdy z nas czuje na sobie oczy milionów ludzi. Każdy na swój sposób odczuwa tę presję. Jednych mobilizuje, innych przytłacza. Szatnia jest takim miejscem, w którym jesteśmy sami. W którym nikt na nas nie patrzy. Dobra, czas na drugą połowę!

Jest źle. Zamiast 1:0, po chwili mamy 1:2. Publiczność szaleje, wskazała zwycięzcę. Jak ją uciszyć, jak zmienić ten werdykt? Robimy swoje. Przecież ani przez moment w tym meczu nie byliśmy słabsi. Dwa głupie gole. Mijają minuty, a my wciąż przegrywamy. Teraz to my mamy nóż na gardle, Hiszpanie robią swoje. Cały rok szykowali się do roli wielkich faworytów i wreszcie nimi są. Wreszcie prowadzą i złote medale prawie wiszą na ich szyjach...

Dostałem w nogę. Muszę na chwilę zejść. Jednak tylko na chwilę, lekarz pomoże!

Ułożyłem się przodem do boiska, chciałem dokładnie widzieć, co się dzieje. Nagle zamieszanie. Konsternacja na trybunach. Ktoś z naszych dostał piłkę, jest blisko bramki. Co tam się dzieje? Słabo widzę. Gooooo!!!! Rysiu!

Niewiele zostało do końca. Każdy z nas widzi, że Hiszpanie są kondycyjnie słabsi. Nigdy nie lubili biegać, a gdyby mieli to robić przez 120 minut, zamiast 90, to by chyba popadali jak muchy. Świetnie, teraz po naszej stronie jest piłeczka. Teraz to wciąż nas bardziej stać na wyprowadzenie śmiertelnego ciosu niż ich. Tylko ten sędzia. Z Maroka. Od początku lekko faworyzuje gospodarzy. Każde wątpliwe starcie jest osądzane na ich korzyść. Ale trudno. Poradzimy sobie. Minęła ostatnia minuta. Będzie dogrywka, a wtedy w najgorszym razie wygramy w karnych. Jeszcze jedna akcja. Hiszpan wybija piłkę poza boisko. Zacznie Kłak. No nie! Rzut różny. Jak mógł dać rzut różny skoro piłkę wybił Hiszpan?! Niech mu będzie, poradzimy sob... Kurwa mać... Strzelili... Cieszą się... Koniec... Już nie odrobimy. Sekundy do końca. Przecież Kiko strzelił tam, gdzie stał Olek! Czemu on usiadł na dupie? Wpadłaby mu prosto w ręce. Wpadłaby... Koniec.

W szatni cisza. Ci, którzy nie zagrali, pocieszają tych wykończonych. - I tak zrobiliśmy swoje. Mamy medal, pamiętajcie - mówi Tomek Wieszczycki. On nie zagrał ani minuty w

całym turnieju. Musi być z tego powodu zły, a jednak pociesza innych. W końcu coraz częściej słychać, z różnych stron szatni: - Niech ta porażka nie przesłoni naszego wielkiego sukcesu.

No tak, w końcu i tak zrobiliśmy furorę. Mielśmy wrócić do Polski po tygodniu, a tymczasem przegraliśmy złoty medal olimpijski w ostatniej sekundzie finału. W końcu drzwi do szatni otwierają się. Wchodzi Kazimierz Górski. - No nie, jeszcze tego tu brakowało! - pomyślał sobie każdy z nas i spojrział złowrogo...

Już widzę teraz twarze oburzonych ludzi. Kowal nie szanuje świętości, Kowal to kretyn, który potrafi oczernić nawet Kazimierza Górskiego! A przecież pana Kazimierza nie wolno, pan Kazimierz jest święty. Wiecie o czym marzyliśmy, gdy wszedł do szatni po finale olimpijskim? Żeby zmiatał. Po prostu, jak najszybciej, zmiatał! W podskokach! Nie mieliśmy ochoty na niego patrzeć. Ale on wszedł. Zadowolony, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Gratuluję medalu - powiedział dumnie. Medalu? Medalu to my mieliśmy już od wielu dni. Chodziło o złoto. Czy on tego nie wiedział? Czy nie wiedział, że tylko nas irytuje tymi gratulacjami i swoim szczerym uśmiechem? Ostatni raz widzieliśmy go chyba na lotnisku po przylocie na olimpiadę. Potem ani przez moment się nami nie zainteresował. Prezes PZPN poleciał z piłkarzami do Barcelony i jedyny raz widziano go cieszącego się po przegranym meczu finałowym. No, poza tym, że nasz kochany związek nie potrafił niczego zorganizować, poza startem rozgrywek ligowych, gdy jeszcze olimpiada się nie skończyła. Misie z PZPN i szef misiów, pan prezes Górski..

Naprawdę nikt nie myślał o jego osiągnięciach z 1974 roku. Dla nas liczyło się tylko to, że nie był z nami, nie był naszym przyjacielem. A kto nie był z nami, ten był przeciwko nam. I właśnie dlatego, gdy wracaliśmy do Polski samolotem, wznosiliśmy ironiczne toasty: - Zdrowie Kazimierza Górskiego! Zdrowie naszego kochanego prezesa! Zdrowie!

Ten cały PZPN wiecznie robił problemy. Tuż przed olimpiadą chciano zwolnić trenera Wójcika. Bo niby za mało doświadczony na tak poważną imprezę. No i wypląnęła nagle sprawa rzekomego dopingu. To było typowe podłożenie świni. Jasne, doping u bramkarza (niby po co?), defensywnego pomocnika i rezerwowego bez szans na grę. Już widzę, jak Kłak, Świerczewski i Koseła szprycowali się po nocach, a potem w czasie olimpiady byli sprawdzani po czterysta razy i nikt niczego nie wykrył. Wszyscy braliśmy odżywkę, jak to w profesjonalnej drużynie. Jednak to były typowe witaminy. I jeśli ktokolwiek jechałby na doping, to by złapano 23 piłkarzy. Tymczasem niby złapano bramkarza z rezerwowym. I dziwnym trafem potem się okazało, że nie ma pewności, iż cokolwiek brali. No i dziennikarze nagle o sprawie zapomnieli i nie pociągnęli tematu. Ktoś chciał narobić niedobrego szumu wokół nas i tyle. Nie każdemu na rękę były sukcesy Wójcika. Misie z PZPN też nie czuły się z tym dobrze. Jeśli teraz tak wszyscy zaczną sobie wszystko załatwiać na własną rękę - jak Wójcik, który sam znalazł sponsorów - to po co my? Tak pewnie myśleli. Jedyne na co ich było stać, to jakieś głodowe premie, które i tak malały z każdą rozmową. Skończyło się bodajże na jednej czwartej obiecywanej sumy. A prezes pokazał się raz. "Gratuluję medalu". Jakże bym chciał mieć w tym momencie złoto w garści! Chciałbym mu je pokazać i obserwować znikający uśmiech.

Gdy wysiedliśmy na lotnisku w Warszawie, mocno zawiani, nie baliśmy się mówić prawdy. Oświadczyłem wtedy, że pan Kazimierz Górski powinien odejść i przestać pełnić funkcję prezesa PZPN. Rozległy się głosy oburzenia. Kowalczykowi odbiło. Strzelił kilka bramek i mu kompletnie odwalilo! Pewnie po pijaku nie wiedział co mówi. A Kowalczyk wiedział i choć może nie chodził tego dnia prosto oraz "jaskółki" by nie wykonał, o Kazimierzu Górskim miał wyrobione zdanie. Podobnie jak wszyscy olimpijczycy. Nie wiem, ile bym

musiał wypić, żeby zapomnieć o wygłoszeniu akurat tej opinii. Owszem - nie byłem trzeźwy, jak każdy z nas - młodych chłopaków - po wielkim sukcesie. Przyjąłem akurat tyle, aby powiedzieć całą prawdę - czas Kazimierza Górskiego minął w chwili, gdy koła samolotu dotknęły warszawskiego lotniska...

Oczywiście po finale nie wróciliśmy tak od razu do Polski. Mielśmy jeszcze trzy dni wolnego na miejscu. W wiosce olimpijskiej był taki zwyczaj, że gdy Polak zdobywał medal, wtedy wszyscy zbieraliśmy się pod główną siedzibą i świętowaliśmy. Tamten dzień należał do nas. Pamiętam, że zdarzały się nam imprezy na przykład z Beatą Maksymow albo z szermierzami. Było wesoło, bo być musiało. I nawet pan Aleksander Kwaśniewski się wyluzował. On, jakoś w przeciwieństwie do Kazimierza Górskiego, był z nami cały czas. I mimo, że był byłym ministrem sportu, nie budował bariery. - No i jak tam? Dokopiecie im? Skopcie im tyk! - mówił przed meczami. Lubiliśmy go, a on nas. Jak normalni, biali ludzie.

Jednak po samym powrocie ze stadionu, trzeba było trochę odsapnąć. Część chłopaków poszła zadzwonić do domów. Ja nie miałem gdzie. Na Bródnie nie mieliśmy telefonu, więc z rodziną mogłem porozmawiać dopiero po przyjeździe do Polski. Wpadł do mnie na chwilę "Wieszczy". - Ty, Kowal, 1:1! - powiedział. Legia akurat grała w Łodzi z ŁKS. Wkurzyłem się, że znowu bez zwycięstwa.

W końcu jednak zaczęliśmy wychodzić z pokojów, dobierać się w jakieś grupki. Po jakimś czasie zorientowałem się, że w zespole dzieje się coś dziwnego. Część chłopaków nie chciała rozmawiać z "Jałoszkinem". Marcin Jałocha zszedł w czasie meczu finałowego z powodu kontuzji. Siedzieliśmy wśród kawiarenek na deptaku. - To szczur, uciekł z tonącego okrętu - stwierdził Jurek Brzęczek. A reszta, zwłaszcza grupa poznańska z Grześkiem Mielcarskim w roli głównej, potakiwała. - Pieprzony symulant. Przez niego przegraliśmy! - padło po chwili.

Jechali z "Jałoszkinem", nie zostawiali na nim suchej nitki. Ejże, jak to? To po kiego my przed każdym meczem krzyliśmy "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego"?! Kto uwierzy w to, że Jałocha zasymulował kontuzję w finale olimpiady? - Przestańcie - rzuciłem. Nic. Brzęczek brnął dalej. - To szczur, nie gadamy z nim więcej. Zawalił nam olimpiadę - znowu powtarzano to samo. Skoro tak, to ja idę do Marcina! Walnąłem wszystkim o stół, rozlało się piwo, kilka osób odskoczyło. Mam was gdzieś. Nie po to mówiłem, że jeden za wszystkich, żeby teraz robić sobie z gęby cholewę. Przecież "Jałoszkin" był naszym kolegą, od początku do końca. A na olimpiadzie należał do najlepszych w zespole. Jechali z nim goście, którzy ledwo powąchali murawę. Bawcie się dalej we własnym gronie, możecie teraz jechać ze mną. Ja też pewnie specjalnie nie wykorzystałem jednej okazji w finale.

Właśnie od tamtego momentu nie przyjaźniłem się z Jurkiem Brzęczkiem. Byliśmy zwykłymi kolegami i nic więcej. On miał swoją grupę, ja swoją. Moja nie obgadywała. Jego może była trochę większa, ale moja lepsza piłkarsko. Oczywiście ta - z dzisiejszego punktu widzenia - krótka kłótnia nie zmąciła radości z mimo wszystko udanych igrzysk. Trzy dni wolnego, to były tak naprawdę trzy dni picia, opalania się, imprezowania. Zero snu. Na parkiecie najbardziej zadziwiali murzyni, w tym Marlene Ottey, słynna sprinterka. Szkoda, że koszykarze z NBA mieli swój hotel poza wioską olimpijską. Z chęcią wypiłbym z Jordanem. Ciekawe, czy wytrzymałby nasze tempo? Nie sądzę. Szybko nabieraliśmy kolorków. Nie tylko od słońca. Prawy do lewego, wypij kolego.

Po wylądowaniu na lotnisku Okęcie, trudno było znaleźć kogoś trzeźwego. To jakiś problem, że piłkarze po wielkim sukcesie chcą poświętować? Mielśmy na sobie te śmieszne, słomiane kapelusze. Część oficjalnego stroju. Tyle PZPN nam załatwił, więc docenialiśmy ten gest - każdy paradował w kapeluszu. W czasie kilku wywiadów zdążyłem zwolnić co drugiego

działacza w Polsce, powiedziałem słynne "zmieniamy szyld i jedziemy dalej". Misie na pewno nie były szczęśliwe, że młokos szuka dla nich zastępstwa. Potem wsiedliśmy w autokar i pojechaliśmy na przyjęcie do pana Niemczyckiego. Tam przez jakiś czas trwała zabawa, ale nie jakaś brutalna, tylko wyważona. Przecież byliśmy u poważnego człowieka. Następnie czekała nas wizyta w PZPN. Ja już tam nie pojechałem. Nie chciało mi się, byłam zbyt zmęczony i "zrobiony". Zamówiłem taksówkę.

- Na Bródno! - to wystarczyło taksówkarzowi.

Podróż minęła błyskawicznie, być może się lekko zdrzemnąłem. W końcu wkroczyłem do domu. Rodzina czekała. Wcześniej nie mieliśmy żadnego kontaktu ze sobą. Nie rozmawialiśmy ponad miesiąc.

- Cześć, idę spać.

- Ale czekaj, Wojtek, opowiadaj! Wojtusi!

- Opowiem jutro.

Zawiesiłem tylko medal olimpijski tak, aby rodzice mogli nacieszyć oczy. Poszedłem prosto do swojego pokoju i walnąłem się na łóżko. Musiałem odespać. Odespać cały miesiąc. Jak to dobrze być znowu w Polsce!

Obudziłem się rano i od razu pojechałem na stadion Legii. W końcu dzięki naszym mądrym działaczom z PZPN, sezon już był w pełni. Na Łazienkowskiej - wiadomo, że powitano mnie z radością. Jak dawno nie widzianego kolegę, któremu się powiodło. Wszakże byłem jednym z bohaterów olimpiady, o którym dużo się mówiło. Po Barcelonie stałem się naprawdę popularny. Na ulicy rozpoznawało mnie coraz więcej osób. "Kowal, Kowal" - słyszałem, spacerując. Także w klubie odbierałem codziennie coraz większą porcję korespondencji. Staralem się odpowiadać, a przynajmniej wysyłać zdjęcie z autografem. Czekałem aż zbierze się większa sarta listów, szedłem na pocztę i wrzucałem do skrzynki. Natomiast jeśli ktoś mi pisał "Napisz mi proszę, co czułeś po strzeleniu gola w Barcelonie", to odpuszczałem. Takie pytanie padało w co drugim wywiadzie, wystarczyło kupić gazetę. Dostawałem też listy z prośbami o koszulkę, a jeden nawet o wsparcie finansowe. Po takiej korespondencji zawsze ma się mętlik w głowie. Raz wyślesz kasę, będziesz musiał później robić to w nieskończoność. A co, jeśli ktoś naprawdę potrzebuje? Chodziło to za mną wiele dni.

Gdy kilka lat później byłem w Hiszpanii, często pomagałem ludziom z Polski wrócić do kraju. Przylecieli na wakacje i przeliczyli się z możliwościami finansowymi. Dawałem im na bilet. Raz dałem takiemu gagatkowi, żeby sobie wrócił do kraju, a on po miesiącu, po jakimś meczu, znowu do mnie przyszedł, żeby mu dał raz jeszcze. Ludziom nie można ufać, zdarzają się takie ananasy.

Po olimpiadzie dostawałem nie tylko listy. Dostawałem też... samochody. Jeden za medal - Poloneza, i jeden za bramkę w finale - Cinquecento. Pierwszego odebrałem, bo mi przywieźli na Legię. Głupio nie odebrać, jak stoi obok. Złoty Polonez. Nawet gdybym potrafił, to i tak bym nim nie jeździł, bo zbyt się rzucał w oczy. Przez jakiś czas katował go Krzysiek Ratajczyk, w ogóle jeździło nim pół Legii. Ja się nie dotykałem. Po kilku miesiącach sprzedałem go, za 100 milionów. Ale takiego Arka Onyszkę jeszcze wiele lat później widziałem, jak złotym Polonezem zasuwał.

A Cinquecento nie odebrałem. Nie chciało mi się. Przychodzili do mnie, żeby pojechał do tej firmy i wziął papiery. Nawet rok później trener Janas mi mówił: - Wojtek, pojedź. To ci zajmie chwilę i odbierzesz to auto.

Ale jakoś nie było mi tam po drodze. W końcu firma padła.

Dostałem jeszcze telewizor, 75 milionów premii od pana Niemczyckiego i bodajże 22 miliony

z PZPN. Jak dodamy do tego stówkę za Poloneza, premia godna sukcesu. Ale ja jeszcze zarobię na sukcesie w klubie...

Już wcześniej wspomniałem, że Janusz Romanowski coraz konkretniej interesował się Legią. Sezon 1992/93 był tym, kiedy zdecydował się poważnie wkroczyć do gry. Wiadomo, że udana olimpiada napędzała koniunkturę. W Warszawie Romanowski miał stadion, miał kibiców, miał Kowalczyka z Barcelony. Brakowało jednego - Wójcika. Jakoś na początku sezonu przegraliśmy mecz w Białymstoku. Nic wielkiego się nie stało, ale to był pretekst potrzebny do tego, aby wywalić Etmanowicza. Dzień później jechałem na trening. Jak zawsze - na przystanek 162, kilka minut czekania i w autobus. Wcześniej kupowałem gazetki i w czasie jazdy przeglądałem. No i właśnie w czasie jazdy autobusem patrzę - "Wójcik w Legii!". Nawet nie wiem, co sobie wtedy pomyślałem poza banalnym "jest dobrze". Ale uśmiechałem się już przez całą drogę. Wiedziałem, że skoro jest Wójcik, to jest i sukces. Przy takich piłkarzach i z tym trenerem drużyna musiała "zaskoczyć".

- No cześć misiu, znowu się spotykamy. Teraz będziemy razem golić frajerów w polskiej lidze - powitał mnie w szatni, z uśmiechem, "Wujo".

Wtedy jednak nie byłem jego "synkiem", jak się mówi w piłkarskiej gwarze. Na to musiałem jeszcze sobie zapracować. Wójcik lubił piłkarzy niepokornych, kozaczków, którzy mieli własne zdanie. Taki Grzesiu Wędzyński, co bał się trenerowi w oczy spojrzeć, nie miał czego szukać w pierwszym składzie. A ze mną było inaczej. Jednego dnia odbywaliśmy trening strzelecki.

- Kowal!!! Na siłę!!! Laga!!! Armata!!! - wrzeszczy Wójcik.

Podbiegam do piłki, pyk technicznie i gol.

- Kowal!!! Miało być na siłę!!!! Lagaaaaaa!!! - wrzeszczy znowu.

Znowu podbiegam do piłki, znowu pyk technicznie i gol.

- Kowal!!! Bomba!!! Petarda!!! - słyszę.

A ja swoje - pyk technicznie i bramka.

- Kuuurwaaa, Kowal!!! Napierdalaj!!! - trener nie zmienia śpiewki. Tego było za wiele.

- Jest kurwa gol, czy go nie ma? Wpadło czy nie?! - zapytałem zdenerwowany.

- Ale ty masz napierdalać! - stwierdził Wójcik.

- To niech trener sam sobie napierdala, ja będę strzelał gole! - stwierdziłem, po czym było - pyk technicznie i gol. Małolat rozpoczął współpracę z nowym trenerem. No ładnie, taki "Wędzyna" pewnie myślał, że popełniłem piłkarskie samobójstwo. A to on popełnił, dając łagę, kiedy trener chciał łagę i lobując, kiedy trener chciał loba. I mówiąc "pokonamy", kiedy trener się pytał, co zrobimy z najbliższymi frajerami z ligi.

Wójcik jest mistrzem tworzenia atmosfery w szatni. Gdy został trenerem, wezwał do siebie Leszka Pisza, Maćka Śliwowskiego, Zbyszka Robakiewicza, no i Maćka Szczęsnego - bo on zawsze i wszędzie musiał być - i wytłumaczył zasady współpracy. Ja nigdy nie lubiłem chodzić na jakieś spotkania, należeć do rady drużyny. Nawet gdy trener mówił, że po treningu chce ze wszystkimi piłkarzami porozmawiać, to miałem dziwne przeczucie, iż to nie o mnie chodzi, ja się do "wszystkich piłkarzy" nie zaliczam - i sobie wychodziłem. Trener lubił też nas odwiedzać w "Garazu", czyli knajpce koło Legii. Wtedy jak się przychodziło tam o 13.30 w piętnaście osób, po treningu, to wychodziło się o 23.30. A Wójcik czasami przyjeżdżał. - O, siedzcie! - mówił niby zaskoczony. - To i ja się przysiadę - dodawał od razu. I tak sobie rozmawialiśmy, co nas czeka w trwającym sezonie. Mistrzostwo Polski...

Cel był ambitny, to i gra musiała być ambitna. Drużynki przyjeżdżały na Łazienkowską, my pakowaliśmy im dwa czy trzy gole i odjazd. Następny proszę! Każdy mecz wyglądał podobnie - "od pierwszej minuty wślizg, wślizg, wślizg - niech się nas boją!!!". Założenie Wójcika było takie, że na początku rywale mają poznać siłę naszych łokci, a my wtedy coś zapakujemy. Jezu, jaki to był efekt! Wychodziliśmy z tunelu tak naładowani, że czasami mecze trwały dla nas zaledwie dziesięć minut. Przykłady? Proszę bardzo! Z Zagłębiem Lubin bramka w drugiej minucie, z GKS w szóstej, z Lechem w siódmej, z Zawiszą w ósmej, z ŁKS w piątej, z Siarką w czwartej, z Olimpią w piątej, ze Stalą Mielec w drugiej, z Widzewem w pierwszej, z Wisłą w ósmej. A to tylko jeden "wójcikowy" sezon! Pewnego razu zaczęliśmy jakiś mecz po swojemu, od ostrej jazdy równo z trawą, momentalnie sędzia dał nam ze trzy żółte kartki i się skończyło - przegraliśmy.

Atmosfera w zespole dzięki wynikom coraz bardziej się nakręcała, właściciele knajpki "Garaz" zacierali ręce, bo za morzem piwa płynęła rzeka legijnych pieniędzy. Dzień w dzień. Wtedy nie było obawy, że wsiadając po pijaku do samochodu trafi się do więzienia. Teraz tak zaostrzono przepisy, że pewnie nikt by sobie już tak nie folgował. Ale wtedy można było.

Mieliśmy zabawnego masażystę. Lubił sobie łyknąć i gdyby też odwiedzał "Garaz", to dziś pewnie mielibyśmy do czynienia z siecią restauracji o tej nazwie. "Maser Zbyszek" nie pojechał na olimpiadę tylko z powodu zakładu z Wójcikiem. Założył się, że szybciej niż trener przebiegnie połowę boiska. No i ruszył. Ponad sto kilo wagi w dramatycznym wyścigu. Sto kilo wagi plus kilkaset mililitrów alkoholu. Pędzi, trzęsie się ziemia, gna! Nagle - bum! Upadł, przewrócił się, zarył w murawę. Krzyk, złamany obojczyk. Olimpiada? Innym razem.

W sezonie 1992/93 doszło do innego śmiesznego zdarzenia. Zbyszek zawsze na mecz przygotowywał sobie w bidonie drinka. Może przesadziłem - nalewał do bidonu czystą wódkę. Gramy kiedyś mecz, druga połowa, wszyscy już wycieńczeni. Wreszcie przerwa w grze, ktoś kontuzjowany. Leszek Pisz podbiegł do ławki, żeby dali mu coś do picia. No i maser pomylił bidony - rzucił wódkę. Leszek, jak to zawsze robią piłkarze, najpierw wylał sobie pół zawartości na twarz, a potem wziął wielkiego łyka na przepłukanie gardła. Jakże nim wstrząsnęło! Przy takim wysiłku alkohol działa błyskawicznie. - Ty, Leszek, chyba na głodzie jesteś, bo pociągnąłeś strasznie z tego bidonu - śmialiśmy się z niego. A on błady. - Lesiu, na fantazji się dobrze gra - żartowali inni. Skończyło się tak, że na następnych meczach... też był bidon z wódką. Ale zawsze z naklejonym szerokim plastrem, żeby nikt się nie pomylił. Bidon z plastrem - dopiero po meczu!

I tak nam mijał rok na zabawie połączonej z goleniem frajerów. Ekipa była zgrana, a jak ktoś nie pasował, to... szybko wypadał. Na przykład Jarek Jedynak. Przyszedł tuż przed trenerem Wójcikiem. Nikt nie wiedział, co to za gość. Żaden z nas wcześniej o nim nie słyszał, w polskiej lidze zupełny anonim. Podobno wcześniej występował gdzieś w Niemczech. Na Łazienkowskiej dostał najwyższy kontrakt w drużynie - miliard złotych. Przypomnę, że ja miałem 25 milionów. A ten od razu miliard! Kto to jest? Jakiś Romario uchował się w tajemnicy? Ale nie - przychodzi na trening i widzimy, że koleś ma zerowe pojęcie o piłce. Nic, fajtlapa, patalach, łamaga, drewno! Tyle tylko, że wielkie chłopisko. Co oni, od centymetra mu płacili?! Do tego jak raz się spóźnił na trening i przyszedł mocno zmęczony, to stwierdził, iż to wszystko przez to, iż musiał wziąć lekarstwa przeciw gorączce.

Zagrał w naszej drużynie raz. Raz i wystarczyło. To był debiut Janusza Wójcika, mecz z Olimpią w Poznaniu. Siedzimy w szatni. Wójcik prowadzi odprawę. Mówi długo, zawile. A my słuchamy. Trener był strasznie przejęty debiutem, więc zdążył chyba powiedzieć wszystko, co tylko można - kto na kogo gra, kto kogo kryje, kto jakie ma mocne strony, jak atakujemy, przez kogo gramy piłki, i tak dalej! - Są jakieś pytania? - padło na koniec. I wtedy

Jedynak wypalił: Ń Panie trenerze, a czy ja mogę tak raz na jakiś czas ruszyć z piłeczką po skrzydelku?

Z piłeczką po skrzydelku! Jak cała szatnia buchnęła śmiechem, to koncentrację diabli wzięli. A Jedynak w końcu w czasie meczu ruszył z piłeczką po skrzydelku. Wpadł centralnie na naszego obrońcę, Krzyśka Ratajczyka. To było zderzenie pociągów towarowych. Na ten widok, mimo że to przecież mecz profesjonalnej drużyny, wszyscy piłkarze polewali!!! Na ławce rezerwowych prawie nikt nie mógł usiedzieć ze śmiechu. Po chwili Jedynak zszedł, więcej nie zagrał. Jak się posypały na niego kary, to nie wiem, czy z tego miliarda cokolwiek mu zostało. I nie mam pojęcia, gdzie później ruszał z piłeczką po skrzydelku.

Jarek Jedynak tak szybko zniknął, jak szybko się pojawił. Co innego Arek Gmur, który przez sezon 1992/93 jeszcze się utrzymał, a zaraz na początku następnego poszedł w odstawkę. Potrafił wyłączyć z gry Viallego, żeby potem zagrać ostatnie dno w polskiej lidze. Też - jak wypadku Jedynaka - wystarczył jeden mecz i było po nim. Graliśmy z Siarką Tarnobrzeg, prowadziliśmy 4:0 i wtedy na boisko wszedł Arek. Co zrobił? Wypromował Czarka Kucharskiego! Jak go pokrył, to "Kucharz" błyskawicznie strzelił dwa gole i wypracował rzut karny. Skończyło się na 6:3 dla nas i "menago Gmur" już za Wójcika nie wystąpił. - Ty, misiu, teraz promuj sobie rywali innych drużyn - usłyszał.

Arek to była ciekawa postać. Mówiliśmy na niego "Twarz rzeźbiona przez wiatr". I miał nieprawdopodobną zdolność - zawsze kiedy jechał na trening, to widział wypadek. Zawsze! Tylko wchodził do szatni i mówił: - A wiecie, jakiej katastrofy byłem świadkiem?! Tu ten tego, trach, bach, olaboga.

Później do tych jego opowieści się tak przyzwyczailiśmy, że gdy tylko się pojawiał, padało pytanie: - No i gdzie dzisiaj wypadek widziałeś?

Jednego dnia mówi: - A tutaj, tuż koło Legii, przy Torwarze!

No nie, niemożliwe. Trzeba go sprawdzić, żeby nas nie czarował dzień w dzień. Patrzymy - przy Torwarze wypadek! Gdy Arek wychodził na ulicę, policja powinna wstrzymywać ruch w trosce o bezpieczeństwo obywateli.

Patrząc na jego umiejętności piłkarskie - ogólnie rzecz biorąc był drewniany. Niemniej potrafił godzinami podbijać piłkę o wąski fragment ściany. Zawsze trafiał tam, gdzie chciał. Tak to już bywa, że ludzie mają całą masę kompletnie bezużytecznych zdolności. Jak taki Chomontek, co piłki prosto nie kopnie, tylko w górę potrafi. "Gmurek" miał mimo wszystko swoje pięć minut w Legii. Szkoda, że do imprez nie pasował. Codziennie przyjeżdżała po niego żona. Gdyby imprezował, to może by się jeszcze dało go odratować i wkupić w łaski trenera.

Byli w tamtych latach w Legii piłkarze, którzy dobrze grali, ale nie balowali i tacy, którzy byli przydatni na wszystkich frontach. Tylko ten drugi typ zawodników mógł się tak naprawdę sprawdzić. Na przykład szybko przypasował do nas Krzysiek Ratajczyk. Ekipa hermetyczna nie była, szukała wrażeń i chętnie werbowała nowych członków. "Rataj" na tyle znalazł z nami wspólny język, że wnet nie wiadomo było, kto jest liderem grupy, a kto outsiderem. Brakowało nam żółtych koszulek lidera! Plus tego był taki, że nie było dnia, żeby ekipa rozrywkowa liczyła mniej niż pięć osób. W szatni zawsze były dwie rzeczy - gumy do żucia i krople do oczu. O zapas kropli dbał właśnie "Rataj". Jak ktoś miał zmęczony wzrok po całej nocy, to ratunku szukało się u niego. Krople były w szatni tak samo oczywiste jak ręczniki czy buty piłkarskie.

"Rataj" miał wtedy dość często "problemy ze wzrokiem", wykazywał - podobnie jak ja - sporą tendencję do unikania snu w nocy. Zdarzyło się też Krzyśkowi wpaść w tarapaty.

Akurat przy tym nie byłem, ale prasa pisała, że pobił jakiegoś taksówkarza, bodajże złamał mu nos pod hotelem "Marriott". Pamiętam, że następnego dnia przyszedł do szatni jak gdyby nigdy nic - usiadł, mówił o tym, co zawsze, w ogóle nie chciał się przyznać. Potem sprawa wypłynęła, więc i on nie robił tajemnicy. Twierdził, że to taksówkarze go napadli, a on się tylko bronił. A że jak "Rataj" się broni, to przeprowadza zmasowany atak, to już inna sprawa. Skończyło się tak, że ci taryfciarze chcieli od niego kilka dobrych "baniek" za wycofanie oskarżenia, a my żartowaliśmy: - Krzyśka na żadną imprezę nie bierzemy, bo bije ludzi.

Wbrew pozorom on nie jest mrukiem, lubi sobie pogadać. To przecież nie było tak, że spotykaliśmy się, ja - jako gaduła - ciągle nawijałem, a Krzysiek słuchał. Nie, "Rataj" to normalny gość. Ale to wszystko działo się po meczu. Gdzieś tak na trzy dni przed następnym spotkaniem odpuszczaliśmy. Zresztą, cel był zbyt ambitny, żeby go przepić. Chcieliśmy być mistrzem Polski. Mijały kolejne mecze, a my wciąż podążaliśmy we właściwym kierunku. Sezon 1992/93 zbliżał się do końca

Na Legii była wtedy popularna taka piosenka: "Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud. Zrób z Legiuni, mistrza Polski zrób. My czekamy już ... lat. Jezu, Jezu, nadszedł chyba czas". W miejscu trzech kropek padała liczba lat, które minęły od 1970 roku. Wiadomo, że w latach osiemdziesiątych zawsze tytuł był o krok. Wystarczyło zrobić krok w przód, a drużyna robiła... krok w tył. Nie brakowało podtekstów. Sam mówiłem wtedy: - Trzeba rozpedzić tę zbieraninę, bo tym wieśniakom nie zależy na tytule dla Warszawy.

Gdy już sam byłem piłkarzem Legii i do tego wiodącym, nie mogłem pozwolić na to, żeby za chwilę znowu słuchać tej piosenki, z kolejnym dodanym rokiem. Nie, tego już za wiele, w końcu przecież trzeba wygrać tę ligę. Jakieś Szombierki i Zagłębia Lubin ją wygrały, a Legia nie? Ludzie byli spragnieni mistrzostwa, które przecież już tyle razy im się należało, a w efekcie wpadało w inne ręce. 23 lata to szmat czasu. 23 lata i... już wystarczy! Mielśmy silną drużynę, z bardzo mocnym atakiem. Grałem w nim z Maćkiem Śliwowskim. "Śliwka" ładował gola za golem, ja mu dogrywałem, robiłem wiatr - jak to typowy skrzydłowy. Środkowym napastnikom zawsze się dobrze ze mną grało i przy mnie bili życiowe rekordy. Ja też swoje, kilkanaście bramek w sezonie, zawsze strzelałem. A w odwodzie mieliśmy jeszcze Grzesiaka - w ofensywie byliśmy piorunująco silni! Zespół się budował, ale na polską ligę w zupełności wystarczył.

Sezon 1992/93 ślimaczył się. Kolejne mecze bez historii, kolejne łatwe zwycięstwa, świetna atmosfera i ciągła niepewność - uda się, czy się nie uda? Pomagali nam czasami.. rywale. Taki Krzysiu Łętocha ze Stali Mielec. Gdy go widzieliśmy, od razu było wesoło! Ten gość w życiu chyba strzelił trzy gole samobójcze w meczach z nami! Pamiętam, że po kolejnym swoim trafieniu, gdy wepchnął piłkę w zamieszaniu podbramkowym, podbiegł nawet do Julka Kruszankina i płaczącym tonem zapytał: - Ale to ty strzeliłeś, tak? Julek spokojnie odparł: - Nie, ty. Ja nie dotknąłem. Gazety i tak zaliczyły bramkę Kruszankinowi.

W środku rundy rewanżowej doznałem kontuzji, wypadłem na kilka spotkań. Niestety, zanotowaliśmy głupie porażki, jedną z nich oglądałem z trybun, bo trener Wójcik kazał mi jeździć z drużyną na mecze wyjazdowe nawet wtedy, gdy o grze mogłem tylko pomarzyć. Jeszcze ze mną w składzie przegraliśmy na Hutniku Kraków, a później beze mnie na Śląsku. We Wrocławiu to był typowy mecz "na Legię!". Barany waliły głową w mur, aż w końcu jakimś gościowi zesza piłka, wpadła po samych widłach - stadiony świata. Wygrywamy na Śląsku i ostatnia kolejka sezonu o niczym nie decyduje - jesteśmy mistrzami Polski. Ale na Śląsku przegraliśmy...

W przedostatniej kolejce mieliśmy tyle samo punktów co ŁKS. Kontaktowaliśmy się z Zagłębiem Lubin, żeby grali z łodzianami na maksa. Dzwoniliśmy do tych piłkarzy i

prosiłiśmy, różnymi sposobami. Padła w końcu odpowiedź - Zagłębie będzie walczyć z ŁKS na śmierć i życie. O to nam chodziło. W Lubinie była mocna ekipa, raczej nie wierzyliśmy, że po normalnym meczu ŁKS może tam wygrać. No i chyba już po 30 minutach było 2:0 dla Zagłębia. Łodzianie wyczuli, co się święci, Zagłębie też nie było w ciemną bitę. I tak się jakoś dziwnie stało, że po 30 minutach jedna z drużyn się obudziła, a druga w tym samym czasie poszła spać. Mecz się skończył, Zagłębie - ŁKS 2:3.

No i ładnie... Zamiast wygrać na Hutniku czy na Śląsku, to teraz mieliśmy nóż na gardle. Ale bez dramatu - wystarczyło pokonać Wisłę w Krakowie. Mieliśmy przewagę w bramkach, byliśmy lepsi od ŁKS aż o trzy gole. To powinno wystarczyć. Oczywiście, o ile w Łodzi nie byłoby cyrku. Rozmawialiśmy o tym bezustannie. Był stres w drużynie, ale z drugiej strony przekonanie, że co mieliśmy spieprzyć, to już spieprzyliśmy. I skoro nie pomogło nam Zagłębie, to sami musimy sobie pomóc. Trener Wójcik ciągle myślał o zbliżającej się kolejce. Jednego dnia wszedł do szatni i powiedział: - Panowie, mam informację z Poznania co do ostatniej serii spotkań...

Wiecie, co powiedział nam wtedy trener Wójcik? Jaką miał dla nas informację z Poznania? Uspokoił nas. Nie mogliśmy wyjść na frajerów stulecia i przegrać mistrzostwo, mimo trzech bramek przewagi. Trzeba było więc zadbać o szczegóły. Na przykład o Olimpię Poznań. To właśnie poznaniacy grali w ostatniej kolejce z ŁKS w Łodzi. Trener Wójcik wszedł do szatni i oznajmił: - Panowie, mam informację z Poznania. Jest dobrze, rozmawiałem z Bołem Krzyżostaniakiem i mówi, że Olimpia w Łodzi nie podłoży się. Wszystko ustalone, zagrają bez odpuszczania.

Uff. Rzeczywiście - jest dobrze. Skoro Olimpia jest umotywowana do gry, to nie ma siły, żeby ŁKS pociągnął ją dychą. Przecież poznaniacy mieli kilku całkiem niezłych piłkarzy, a łodzianie to żadne asy. Tak, będziemy mistrzem Polski. Jeszcze tylko trzeba pokonać Wisłę. Ale to akurat są leszcze, w dodatku już o nic nie walczą. Zniechęcone pierdoły - czyli musimy wykorzystać szansę. Pojechaliliśmy do Krakowa na jeden z najważniejszych meczów w życiu. Z kolegami z drużyny ustaliliśmy tak: - Jak najszybciej strzelamy gola, atakujemy wszystkimi siłami. Jak nas skontratakują, to chuj! Trudno! Musimy strzelić gola. Wtedy przerzucimy piłeczkę na stadion w Łodzi. Niech oni się martwią. Nam powinno wystarczyć 2:0. Przecież Olimpia gra dla nas. ŁKS to nie Barcelona. Gdyby to była Barcelona, to byśmy się martwili.

"Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" - okrzyk przed meczem, jak zawsze. Wychodzimy na murawę pewni siebie, Wisła już w tym momencie przestraszona, już jest po niej. Nie nas się tak bali, tylko kibiców. Ci ciągle spekulowali, który z krakusów sprzedał mecz i za ile. A my zgodnie z planem - trzeba wygrać mecz. Jak trzeba wygrać, to się jedzie z frajerami. Jak się jedzie, to się strzela gole. Mieliśmy naprawdę dobrą drużynę. Postawiliśmy sprawę jasno - wy dzisiaj, misie, na boisku nawet nie piśnecie, bo my gramy o życiowy cel, a wy jak zawsze macie za sobą beznadziejny sezon. Nie pociągniecie nas na dno. Pada pierwszy gol - zgodnie z planem. Mecz się dobrze ułożył, bo szybko daje o sobie znać nasz atak - ja i Maciek Śliwowski. Jesteśmy nieprawdopodobnie naładowani - mobilizacja, jak przed finałem mistrzostw świata. A przeciwko nam leserzy. Też chcieliby pograć w piłkę, ale po pierwsze - nie potrafią, po drugie - mobilizacja tego, który "chciałby sobie pograć i nie skompromitować się", a tego, który myśli "wygramy, a potem choćby śmierć", to dwie zupełnie inne sprawy. Nieporównywalne. Prowadzimy 1:0, ale to mało. 2:0 i mamy pewność - mistrz Polski w stolicy. W końcu udaje się wcisnąć na 2:0. Wisła już nie dość, że załamana, iż ktoś kazał im grać, czyli położyć się przed nadjeżdżającym walcem, to jeszcze pod presją widzów. A krakowska widownia, wiadomo - "z kim jak z kim, ale z warszawką trzeba wygrać!".

My słyszymy tylko jedno - prawie dwa tysiące kibiców śpiewa "Mistrzem Polski jest Legia".

- No tak, przerzuciliśmy piłkę na stadion w Łodzi. Niech się martwią! - pomyślałem. A oni się nie martwili, tylko... ładowali. Z ławki pokrzykiwania. Trener macha rękoma. Ktoś tam błdy przy krótkofalówce, ktoś inny z radiem w ręku zielenieje. - Co jest, do cholery?! Co ten ŁKS wyprawia? - zapytałem. A niech to, dali radę. Piłeczka znów jest na stadionie w Krakowie. To znów my musimy strzelić. Tyle tylko, że i my robimy się coraz bardziej zdenerwowani. Przerwa, trzeba zejść do szatni. Co się dzieje w Łodzi? Nie, nie będziemy frajerami. Mistrzem Polski będzie Legia!

Ja bym do Warszawy bez mistrza nie wrócił. Wstyd, hańba. Nie wróciłbym i już. Tyle że ten pieprzony ŁKS oszalał. Ładnie ta Olimpia dała nam cynk, pięknie. Dziękujemy wam, koledzy, za grę na całego i na pewno przy okazji postaramy się odwdziżyć. Oj, na mecz z wami o naszą motywację nie musicie się martwić. Ze sportowym pozdrowieniem.

Jak zawsze - skoro Legia, to samotnie. Żadne Zagłębie, żadna Olimpia. Umiesz liczyć, licz na siebie. A ja liczyć umiem. Nawet jak graliśmy w karty, to zawsze ja liczyłem punkty. Teraz też potrafiłem pododawać. Brakuje nam goli. Wiemy jedno - w Łodzi dają ostro do pieca i Bóg jeden wie, kiedy skończą. Trzeba strzelać, ile sił w nogach. Jak ktoś ma zamiar teraz na boisku odpoczywać, akurat w meczu z Wisłą, to niech zmiata. Takich nie potrzebujemy. "Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego". Wślizg, wślizg, wślizg. Z trybun słychać "Mistrzem Polski jest Legia". Naładowaliśmy się. Już my pokażemy tym ogórkom z Łodzi, z kim zadarli. Chcecie strzelać? Chcecie pojedynku? Śmiało, nie zdziwcie się, jak wam na tablicy świetlnej żaróweczek nie starczy. Jedziemy!

Zaczęła się druga połowa. Wiślacy z każdą minutą podłamani coraz bardziej i przestraszeni kibiców. Proszą nas, żebyśmy już przestali, bo ich tłum zlinczuje. Panowie, bądźmy poważni. Nie ma miejsca na litość w takim momencie. Im nogi płaczą się ze zdenerwowania, a my mamy w głowie zakodowane trzy litery - "ŁKS". Wójcik przy linii jak zawsze wyżywa się na bocznym pomocniku i bocznym obrońcy. Czasami Krzysiek Ratajczyk prosił naszego kapitana, Leszka Pisz przed meczami - "Lesiu, wybierz tę połowę, żebym nie musiał na początku biegać po stronie Wójcika. Lesiu, proszę cię!". "Rataj" wołał biegać pod słońce, pod wiatr, w śniegu i błocie, byle nie widział go trener. Ci, którzy czuli na sobie oczy "Wójta", mieli przechlapane, ale w meczu z Wisłą - podwójnie! Krzyk był bezustanny: "Zapierdalać!!!!". A tak naprawdę nikomu tego nie trzeba było powtarzać. Jest gol. 3:0. Znowu. 4:0. W Łodzi nie odpuszczają, gnoją dalej tę Olimpię. My robimy swoje. Kończy się na 6:0. Ja strzeliłem dwie, "Śliwka" trzy, Darek Czykier jedną. Mogliśmy więcej, ale nie zawsze wchodziło. I nikt mi nie powie, że którakolwiek z naszych bramek była "dziwna". Kto oglądał ten mecz na spokojnie, ten wie, iż wszystkie gole zostały strzelone z normalnych, boiskowych sytuacji.

Najważniejsze jest jedno - mistrzostwo! Wszyscy jesteśmy w szampańskich nastrojach, kibice Legii szaleją. Dwa tysiące ludzi przyjechało tu razem z nami i razem z nami będą się cieszyć! Cóż za chwila. Jednak nie okazałem się lamusem, mogę z dumą wrócić do Warszawy. Z dumą i z tytułem mistrza Polski. No i jak tam w Łodzi? Jak tam ogórki z ŁKS? Na kolana przed mistrzem! Koronacja trwa! Nigdy więcej pieśni "Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud...!". Pojechaliśmy autokarem prosto do Konstancina. Autokar pijany ze szczęścia. W Konstancinie, u pana Romanowskiego, mała imprezka. Dosyć sztywna, ale z tańcami na stołach. - Co robimy? - zapytałem. - Na dyskotekę - zdecydował Leszek Pisz. No to raz! Szybko znaleźliśmy się w Ground Zero. Jeśli zamykają równo z ostatnim gościem, to niech lepiej nastawią się na lokal całodobowy! Tylko wspomnianego "masera" nam wyrzucili, nie pozwolili mu się bawić tak, jak lubił... Trudno, on zawsze sobie poradzi. Piosenka "Mistrzem Polski jest Legia..." coraz bardziej zmieniała brzmienie. Gubiono literki, potem całe słowa. A na końcu to już nic się nie zgadzało, tylko stężenie alkoholu we krwi było odpowiednie. Ale

było co świętować! Po 23 latach wróciliśmy na swoje miejsce! A przynajmniej tak nam się wydawało...

Nawet nie mieliśmy tamtego lata roztrenowania. Cel osiągnęliśmy, wszyscy szczęśliwi, a przerwa w rozgrywkach tak krótka, że trzeba było czym prędzej jechać na urlopy. Każdy piłkarz w swoją stronę. Ja ze swoją paczką pojechałem do Mikołajek. Nastawiłem się na świetny urlop, tylko trochę irytowali mnie ci pisarze, którzy robili aferę w prasie. Ale nic tam, niech szczekają. Wraz z Jurkiem, Piotrkim, Leszkiem, Markiem i Pawłem wynajęliśmy sobie domek. To właśnie oni, koledzy z Bródna, byli ze mną przez całe życia - gdy przychodziłem do Legii i uczylem to toastem, gdy wracałem z Genui, gdy stałem się sławny. Jednego dnia w Mikołajkach padło hasło: - Panowie, włączmy telewizor, zobaczymy, co się w świecie dzieje.

O 19.30 "Wiadomości". Patrzyliśmy w ekran i... oczom nie mogliśmy uwierzyć. - Legia Warszawa nie jest już mistrzem Polski w piłce nożnej. Polski Związek Piłki Nożnej po kontrowersyjnym zakończeniu sezonu 1992/93 postanowił odebrać Legii punkty z ostatniej serii spotkań, kiedy to warszawianie wygrali w Krakowie z Wisłą aż 6:0. Ten mecz, podobnie jak wygrana ŁKS z Olimpią Poznań 7:1, wzbudził wątpliwości działaczy - powiedziano... Szok... Cisza... Pustka w głowie... Zaraz, zaraz. Jak to nie jest mistrzem? O co tu chodzi? - Ty, Kowal, co to będzie? - zapytał kolega. I znów cisza... Co ma być? Siedziałem błady. Przecież to nie może być prawda - nie straciłem w jeden dzień tego, na co pracowałem cały rok. Wkurzony. Gdyby wtedy do pokoju wszedł ktoś, kto maczał palce w tej decyzji, zabiłbym go jak psa.

- Napijmy się.

Zamiast kontynuowania zabawy, zrobiła się stypa. Jedna stypa, druga stypa, tak mijały dni. Tylko z rana szło się po gazety i nowe zapasy. A wiadomo, że im dalej od Warszawy, tym gazety ostrzej z nami jechały. "Brawo PZPN" i takie tam. Gdy teraz o tym myślę, chciałbym podejść do każdego z tych leśnych dziadów z PZPN i zapytać: - Dlaczego pan okradł mnie i moją rodzinę? Na jakiej podstawie?

Najbardziej gardłował wtedy Ryszard Kulesza. Wcześniej wspomniałem, że nie każdy magister musi być mądry, a ten - rozgarnięty jedynie fragmentarycznie - był szczególnym tego przykładem. Mówił, że "cała Polska widziała", choć meczu Wisła - Legia żadna ogólnopolska stacja nie transmitowała. W zasadzie Kulesza wypowiedział się za całą Polskę. Szkoda, że nie poszedł dalej i nie stwierdził "Polska to ja". Wtedy wyszedłby na kompletnego świra i zostałby potraktowany tak, jak na to zasługiwał. Niestety, ugryzł się w język...

Urlop - czyli stypa - minął szybko. Spotkaliśmy się w klubie. I tu nawet nie wiadomo, co powiedzieć, wchodząc do szatni. Różnie to było. Część mówiła: "No to się nagraliśmy w Lidze Mistrzów". Inni brali to na śmiech przez łzy: "Witam wicemistrzów Polski!". Jeszcze inni informowali, jaką czynność seksualną wykonaliby z Ryszardem Kuleszą. A na dzień dobry spotkaliśmy się z działaczami. - Chcieliśmy was poinformować, że nie dostaniecie premii za mistrzostwo, tylko za awans do europejskich pucharów - wypalili. No ładnie, jeszcze nie zdążyliśmy się ze wszystkimi przywitać, a tu taka piguła. Chłopaki wkurzeni. Niektórzy już zdążyli wydać tę kasę, której... nigdy nie dostaną. A chodziło o dobry kawalek grosza... Pół dnia rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło i o tym, co będzie. Najczęściej padały dwa nazwiska - Kulesza i Tomasz Zimoch. Zimoch to dziennikarz Polskiego Radia, jak się okazało - intelektualnie medialny odpowiednik Kuleszy, jeszcze jeden potwierdzający moją teorię o magistrach. Opowiadał nam o nim pochodzący z Łodzi Zbyszek Robakiewicz. Otóż pan Zimoch komentował mecz ŁKS - Olimpia i zachwycał się, jakie to piękne sportowe widowisko przyszło mu oglądać, piał nad kunsztem łodzian, a humor psuli mu ci skorumpowani warszawiacy, którzy kilkaset kilometrów dalej odstawiali cyrk. No ładne rzeczy! Koleś siedzi

w Łodzi i opowiada o tym, co dzieje się w Krakowie! Skąd się tacy biorą? W kapuście raczej mądrzejszych znajdują. Jeśli chciał wiedzieć, jak było z tą Wisłą, to mógł ze mną porozmawiać. Opowiedziałbym mu. Ja swoich pieniędzy nie dałem... Ale o tym następnym razem. n

O meczu z Wisłą mówi się do dziś. Czy był kupiony? A w zasadzie - za ile? Nie będę ukrywał - nie wiem. Nie wiem, czy był kupiony, bo ja żadnych pieniędzy nie dałem. Nikt mnie o nie nawet nie prosił. W Legii był fundusz stworzony z kar dla zawodników (a kary za wszelakie przewinienia były wyjątkowo potężne), jednak nie wiem, na co ta kasa szła. Gdzieś znikala. Może w klubowych gabinetach działaczy? Może jeszcze gdzie indziej? Nie mam wiedzy na ten temat, więc nie chcę udawać wielkiego specja - jak niektórzy ludzie z PZPN. Wiem jedno - specjalnych składek na końcówkę ligi nie robiliśmy. Mecz z Wisłą był dla mnie normalnym spotkaniem. Z nikim się nie umawiałem. Robiłem to, co potrafię. Strzelałem gole. I pamiętajmy o jednym - to nie my musieliśmy się martwić. To ŁKS miał do nas trzy bramki straty. A Olimpia miała grać na całego...

PZPN to chora instytucja. Dla tych leśnych dziadków nieważne były dowody i to, że jednym głupim podniesieniem ręki nie wybierali herszta swojej bandy, tylko zabierali ludziom cały rok pracy, marzeń i ogromne pieniądze. A że wszystko oparte było na podejrzeniach? Nic to. Mogą się cieszyć, że w Polsce tylko oni działają na zasadzie domniemania winy, bo w przeciwnym razie sami już odsiadywaliby długie wyroki. Trzeba podkreślić jedno - Wisła przeciwko nam grała o czapkę gruszek, a my o życiowy sukces. My musieliśmy, oni mogli. Ich łapała zadyszka, my wypluwaliliśmy płuca. Zwycięstwo 6:0 nie jest niczym nadzwyczajnym. Gdyby w polskiej lidze wszystkie drużyny chciały wygrywać jak najwyżej i strzelać jak najwięcej goli, to co tydzień jakieś spotkanie kończyłoby się właśnie takim rezultatem. Ale po co, skoro wystarczy 2:0? Nam tamtego dnia nie wystarczyło. Musieliśmy strzelać. Poza tym później wygrywaliśmy na wyjeździe równie wysoko i nikt się nie czepiał.

Gazety z nami jechały. Jestem ciekaw, czy ci dziennikarze choć raz zadali sobie pytanie: - No dobra, a co bym napisał, gdyby Legia wygrała tylko 2:0 i straciła mistrzostwo? Ja wiem, co by było w prasie. Nie, nikt by nie krzychał, że ŁKS kupił mecz. Tu nie chodziło o gole, ale o Legię, Warszawę i trenera Janusza Wójcika. I też byłaby jazda z Legią - "Frajerzy stulecia", "Banda nieudaczników", "Kretyni!!!!". Tak źle, tak niedobrze. Różnica taka, że przy drugim wariantcie Kulesza przyjąłby tytuł honorowego obywatela miasta Łodzi.

Kiedyś nam tego mistrza zwrócą - kiedy tylko w PZPN zmieni się pokolenie i przyjdzie młodszy rocznik. Zaraz po decyzji o odebraniu trzech punktów - w praktyce mistrzostwa - mieliśmy spotkanie z Januszem Romanowskim. Powiedział wtedy: - Prokuratura zbada sprawę. Jeśli wyjdzie na nasze, to PZPN zwróci nam tytuł. Wtedy zaskarżymy ich z powodu strat finansowych. Nie odpuścimy odszkodowania, wy też swoje dostaniecie.

Prokurator przesłuchiwał Leszka Pizsa i kilka innych osób. I umorzył śledztwo. Dziadki z PZPN miały dwa wyjścia - albo oddać mistrzostwo, albo schować się pod stół. Wybrały drugie. A jeśli kiedyś zmądrzeją, to ja im nie popuszczę. No, cwaniaczki, płacicie i płacicie. Przecież gdyby nie wasze złodziejstwo, ja bym w tamtym sezonie odebrał premię za mistrzostwo, awansował do Ligi Mistrzów, zdobył Puchar Europy i przeszedł do Barcelony! Wiecie, ile płaci się w najlepszych klubach świata? Panowie, oj grubo mnie nacięliście.

Po decyzji PZPN tylko kilka dni drużyna spędziła w Warszawie. My trenowaliśmy, kibice pikietowali pod PZPN, ale niestety, spalili tylko drzwi, nawet nie skopali żadnego złodzieja. W końcu wyjechaliliśmy na zgrupowanie do Zakopanego, gdzie dopiero miało wydarzyć się najgorsze. Niektórzy piłkarze tak się przerazili, że zrezygnowali z gry w klubie. Ostro było... n

Takich zgrupowań się nie zapomina. Pojechaliśmy do Zakopanego, żeby przygotować się do nadchodzącego sezonu i startu w Pucharze UEFA. Aż tu znowu bomba - oglądamy wieczorem telewizję i znów dowiadujemy się o kolejnych karach. Wykluczono polskie kluby z europejskich rozgrywek! No, ładnie misie z PZPN zaszalały ku chwale naszego futbolu! To był dla nas cios na szczękę. Tyle tylko, że po ciosie na szczękę od razu idzie się spać, a my musieliśmy jeszcze odreagować. Musieliśmy upić się z rozpaczy. Zdezynfekować nową ranę. Nie jesteśmy mistrzem, nie gramy w pucharach, minus trzy punkty na nowy sezon, masa kasy koło nosa.

Poszliśmy wszyscy w miasto, znaleźliśmy jakąś knajpę i siedzieliśmy do rana. Co jakiś czas ktoś się wykruszał i wracał do hotelu. Ja zawsze lubiłem zostawać do końca, więc całą noc spędziłem z kilkoma kolegami z kieliszkiem w ręku.

- Ty, jutro mieliśmy chyba z kimś grać, tak? Z GKS? - zapytał ktoś.

- A, niech se hanyasy same grają!

I siedzieliśmy dalej. Dzień później, o godzinie 11.00, rzeczywiście mieliśmy stawić się na boisku i rozegrać mecz kontrolny z Katowicami. Przyszła godzina 11.00, a na boisku sami zawodnicy GKS. Trener Janas zaczął biegać po pokojach i wszystkich budzić. Nie było szans znalezienia jedenastu zdolnych do gry! Tym bardziej, że niektórzy o tej porze dopiero próbowali usnąć. - Nie po to się przed chwila położyłem, żeby wstawać... - mruknąłem. W zespole były same zrzuty! Wszyscy kompletnie nawaleni. Nawet nie było jak się dogadać z niektórymi, że mecz mają grać. A gra takiej ekipy mogła skończyć się w najlepszym wypadku drobną kontuzją. Jak sobie GKS chce, to niech gra. My tego dnia mieliśmy większy cel niż wygranie z katowiczankami - musieliśmy wygrać z katem. Przez cały dzień toczyliśmy wyrównane boje, atakując przede wszystkim browarami, ale także czymś mocniejszym. Trenerzy chyba nie mieli pretensji, bo przecież też musieli odreagować i dobrze wiedzieliśmy, że nie siedzą w pokoju i nie czekają, aż ktoś poprosi o piłkę. Wreszcie, gdy już zapadł zmrok, trener wezwał nas na zebranie: - Dobra, panowie. Od jutra zapominamy o picciu, bo mimo wszystko trzeba się przygotować do tego sezonu. Dwa dni picia to wystarczająca dawka. Czekają nas ciężki rok. Mamy coś do udowodnienia. Musimy pokazać misiom z PZPN, z kim zadarli i żeby pilnowali własnych dup. Mamy minus trzy punkty, ale trzeba walczyć o mistrza. Zresztą, olać mafię z PZPN. Całej Polsce pokażemy, gdzie jest nasze miejsce, a gdzie miejsce frajerów. Niech znajdą swoje miejsce w szyku! My swoje znamy - pierwsze!

Miał wtedy do nas dołączyć Janusz Góra ze Śląska Wrocław. Jednak gdy przyjechał do Zakopanego i zobaczył, co ta drużyna potrafi wypić i kiedy kładzie się spać, to się przestraszył, że nie wytrzyma tempa. Nawet nie zdążyliśmy go przetestować. Spakował się i wyjechał bez pożegnania! - Chłoptasiu, nikt po tobie płakać nie będzie. Jak chcesz jechać całe życie na Isostarze, to marnie skończysz - pomyślałem. Natomiast Adam Fedoruk i Zbyszek Mandziejewicz, mimo że w poprzednim sezonie nie grali u nas, szybko zrozumieli na czym polega ogrom tragedii i połączyli się z nami w rozpaczy. Patrząc na nich śmialiśmy się, że za mądrych to do Legii nie biorą. Oczywiście w pozytywnym znaczeniu - dwóch wesołych wąsaczy z mocną głową i apetytem do żartów. No i do tego dwóch znakomitych piłkarzy. Wkrótce dołączył do nas także Darek Dziekanowski, ale to już była zupełnie inna historia

Wkrótce dołączył do nas Darek Dziekanowski. My mieliśmy w pamięci nasz poprzedni mały konflikt. To było tak. W Legii dopiero zaczynałem grać na dobre, ale już byłem znanym zawodnikiem i czołowym napastnikiem w Polsce. Pewnego razu "Dziekan" przyjechał na Łazienkowską i oczywiście spytano go się o ocenę mojego występu. A ten wypalił: - Kowalczyk? A z którym numerem on grał?

Oż ty w życiu, już ja ci pokażę, z którym numerem. Pewnie, że z "dychą", ślepaku! Oczywiście,

gdybym nie odpowiedział, to bym chyba był chory. Więc lekko pojechałem z "Dziekanem" i mu wspomniałem, żeby lepiej się nie nastawiał, że kiedykolwiek numer dziesiąty odzyska, bo teraz nadszedł mój czas, a on jest już tylko gasnącą w oczach gwiazdą. No i bodajże dodałem, że w obecnej Legii to by się chyba nie łapał do składu. Może trochę przesadziłem, ale prasa podchwyciła i zrobiła z tego wielką aferę.

Gdy okazało się, że "Dziekan" będzie u nas grał, znów dziennikarze ruszyli do mnie. Ale już nic nie mówiłem. W końcu tak naprawdę się z Darkiem nie znałem, nie chciałem wywoływać kłótni za wszelką cenę. Nie to, że się bałem o swoją pozycję w drużynie, czy też o popularność. Byłem pewny swojego miejsca, czułem się straszliwie mocny. Wiedziałem, że i tak jestem i będę numerem jeden, czyli... numerem dziesięć. Choćby Dziekanowski stawał na głowie.

Darek pewnie nie spodziewał się takiego powitania w klubie. Przyszedł elegancik do szatni, w gajerku za kilka pensji, z gazetką w ręku, pełen dystans. No wielki pan z Wysp Brytyjskich! Pierwszego dnia poszedł właśnie z tą gazetką do toalety. U nas był taki zwyczaj, że drzwi się nie zamykało. A jak ktoś zamknął, to przyjmował wiadro wody od góry. "Dziekan" o tym nie wiedział. Ktoś akurat wyszedł do kibla na papieroska, patrzy - zamknął się. No to po chwili był okrzyk: "Zamknięte!". Markowi Józwiakowi nie trzeba było powtarzać dwa razy, wiadro z wodą stało już przygotowane...

Ogólnie, wolałem grać z "Dziekanem", niż z nim nie grać, bo to był świetny zawodnik. Na treningach obrońcy spinali się, żeby tylko odebrać mu piłkę. Ruszał taki "Rataj" czy "Beret" na niego, a ten pyk, zasłonięcie, obrót i obrońca zamiast odbić z piłką, lądował na plecach. - Ty, Rataj, co ty jesteś, worek treningowy? - śmiałem się z Krzyśka. No to ten jeszcze raz, a Darek swoje - zasłonięcie, ramię, biodro, "Rataj" na ziemi. "Dziekan" miał mnóstwo wyćwiczonych, piłkarskich ruchów. Wszyscy się cieszyliśmy, że do nas dołączył. Tylko, że wkrótce - na zimowym zgrupowaniu - został wyrzucony. Rano mieliśmy spotkanie z Markiem Polakowem-Stepanowem, wyjątkowo nielubianym działaczem. - Podjęliśmy decyzję, że za wybryk z nocy Dziekanowski zostanie usunięty z klubu, a Szczęsny dostanie dotkliwą karę finansową. Sprawa jest poważna, niech wszyscy mają się na baczności - powiedział. Nawet nie wiem, co oni aż tak straszego zrobili. Wszyscy byliśmy zgodni w dwóch kwestiach - na pewno skoro byli razem, to można było ich potraktować tak samo, czyli karą finansową. No i gdyby jeszcze w klubie był Janusz Wójcik (a już zastąpił go Paweł Janas), to "Dziekana" nikt by nie wyrzucił.

Nie wiem, jak oni wpadli? Może oknem chcieli wracać? Ja zawsze wracałem drzwiami, co być może było elementem zaskoczenia dla trenerów i dlatego nikt nigdy mnie nie wyrzucił. Maciek czuł się nieswojo - w końcu miał kolegę do baletów, to mu go niemal na dzień dobry wyrzucili... n

W sezonie 1992/93 narodziła się Wielka Legia. W sezonie 1993/94 mieliśmy pokazać, że złodzieje z PZPN nie są w stanie jej zburzyć swoimi nawet najbardziej absurdalnymi decyzjami. Zamiast grać o Ligę Mistrzów, na sam początek wylądowaliśmy w strefie spadkowej - minus trzy punkty. Oczywiście szybko się z niej wygrzebaliśmy, ale to nie była nasza życiowa runda. Gdzieś jeszcze w zespole było to podłamanie, złość, która nie zawsze przekładała się na pozytywy. Przegraliśmy chyba dwa mecze - najpierw w Poznaniu z Lechem. Tam strzeliłem gola w pierwszej minucie, podobno pokazałem kibolom gest Kozakiewicza, choć z emocji już tego dobrze nie pamiętam. Ale pewnie tak - pewnie pokazałem. Lech miał naprawdę niezłych, głośnych kibiców, ale piłkarzy bez honoru - drużynę, która przygarnęła sobie tytuł mistrzowski, chociaż kompletnie na niego nie zasługiwała. Chcieli posmakować europejskich pucharów. No to posmakowali, ogórki. Dostali piątkę u siebie ze Spartakiem i tylko był z tego wstyd dla kraju. I jeszcze żądali od

działaczy premii za mistrzostwo. Komedianci. A gdzie honor? Na premie to czekaliśmy my. Zaszukane. Podobno w Poznaniu, czego wtedy nie widziałem, kibice wywiesili transparent "Gratulujemy wicemistrzostwa". Gdybym wiedział wcześniej, to bym na mecz wyszedł z transparentem "Gratuluję ogórkom występu w europejskich pucharach". Nawet Adam Fedoruk szydził z tej ich gry z Rosjanami. Kiedy zimą przyjechali do nas Jurek Podbrożny i Mirek Trzeciak, to gdy tylko wysiedli z samochodu, "Fedor" głośno zawołał: "Oho, przyjechali ogurcy!" (po rosyjsku - "przyjechały ogórki").

Poza tą porażką, graliśmy całkiem dobrze. Jak już napisałem, wzmocnienia składu w postaci Fedoruka i Mandziejewicza były poważne. Dwaj doświadczeni piłkarze w najlepszym dla siebie okresie. "Fedor" miał charakterystyczny zwód, tego swojego "przekładanica", na którego jakimś cudem nabierała się cała Polska. Polski Denilson. Kiedyś nas tego uczył na treningu. Stanął z boku, podparł się na piłce i patrzył. - Ej, bo wysię jeszcze połamiecie! - śmiał się. - Kowal, tylko nie stawaj na chalcie! Hehehe - pouczał. Chałka to po piłkarzku "piłka", a wykonując ten zwód, rzeczywiście o stanięcie na piłce było łatwo. Ja spróbowałem dwa razy i uznałem, że każdy niech robi to, co potrafi najlepiej. Głupio byłoby się połamać, naśladując Fedoruka. Poza tym jego siła tkwiła w tym, że ja, próbując tak minąć kogokolwiek, prawdopodobnie zaryłbym w rywala głową, bo bym patrzył na piłkę. A on patrzył się, gdzie chciał!

Ja też miałem swój zwód opanowany do perfekcji - zwód na zamach. Prosty, ale wyjątkowo skuteczny. Coś o tym może powiedzieć Krzysiek Ratajczyk, bo na treningach często graliśmy na siebie. Zawsze wyglądało to identycznie. On podbiega, ja robię zamach, on jedzie na dupie prosto w reklamy. I zawsze zanim dojechał do reklam, słycać było: "Kuuuurwaaaaa, wiedzialeeeeeem!". I bach. A po chwili znowu: "Wiedziaaaaaaleeeeem!". No i wszyscy w śmiech.

Przed ostatnim spotkaniem rundy mieliśmy cztery punkty straty do Górnika Zabrze, czyli prawie dokładnie tyle, ile na samym starcie rozgrywek - straciliśmy jeden. Wóz albo przewóz. Niestety, jeszcze tym razem przewóz. Przegraliśmy taki dziwny mecz na śniegu 2:1, w tych trudnych warunkach Maciek Szczęsny puścił gola prawie z czterdziestu metrów. Nikt nie miał pretensji, bo po co - po prostu następną rundę zaczyna w bramce Zbyszek Robakiewicz i koniec tematu. Nikt się nie spodziewał, że zimą dojdzie w klubie do rewolucji... n

Nie samą Legią człowiek żyje, chociaż akurat wtedy ja... żyłem samą Legią. Warto na chwilę cofnąć się w czasie do decyzji o odebraniu nam mistrzostwa Polski. Wtedy to zdecydowałem, że skoro PZPN mnie okradł, to ja mu w wywalczeniu kasy za ewentualny awans do mistrzostw świata nie pomogę! Niektórzy mówili: - Kowal, przecież reprezentacja to nie PZPN, tylko wszyscy kibice w Polsce.

A ja to miałem gdzieś. Dla mnie reprezentacja oznaczała wtedy PZPN, a kibice Legii i tak byli za mną. Powiedziałem, że jak ktoś będzie wysyłał powołania, to niech się nie fatyguje, bo mam ciekawsze sprawy niż mieszanie się w złodziejskie układy. No chyba, drodzy misie, że mi oddacie tytuł mistrzowski. Wtedy inaczej porozmawiamy. Zresztą, misiom też to chyba było na rękę, bo jeszcze mogłem się na zgrupowaniu nieodpowiedzialnie zachować i komuś nawrzucać. Wróciłem do reprezentacji mniej więcej po pół roku, gdy już kadra nie miała szans na awans, a Andrzeja Strejlaua zastąpił Lesław Śmikiewicz. Zagrałem mecze z Turcją i Holandią. Za wiele z nich nie pamiętam, poza tym, że w Turcji nie wszyscy na lotnisku wiedzieli, jak się nazywają, co mogło utrudniać pracę obsłudze. Mecz z Holandią w Poznaniu, przegrany 1:3, też taki nijaki. Bez historii. Trener Śmikiewicz był, bo był, ale już jak gdyby go nie było - wiedział, że jego robota jest tylko tymczasowa i nawet nie ma sensu się rozpakowywać.

Na hasło "Holandia" przypominają mi się zawsze mecze rozegrane wcześniej, jeszcze za kadencji Strelaua. Wtedy starsi koledzy poznali moje walory boiskowe i pozaboiskowe. W Rotterdamie, gdzie zremisowaliśmy 2:2, zdobyłem świetnego gola - po dośrodkowaniu Romka Koseckiego uderzyłem piłkę z ostrego kąta, w długi róg, z kozłem. To jest moja klasyka! Każdy bramkarz, który ze mną trenował, wie, że uwielbiam takie strzały i tam nie było mowy o przypadku. Stanley Menzo frunął do mnie niczym ptak, więc musiał go "nawrócić" po rogu. Całe szczęście, że rozstawił nogi. Ogólnie nie mam nic do Murzynów, ale moim zdaniem bramkarze powinni być biali. Ten nie był, więc się nadział.

A propos bramkarzy i Murzynów. Wtedy w naszej bramce bronił Jarek Bako. Słynął głównie z tego, że gdy się przebierał, to w szatni panowała konsternacja. I na pewno większość Murzynów, patrząc na przyrodzenie Jarka, też popadłaby w kompleksy. Gdy Bako szedł po prysznic, to się krzychało: - Można wejść, czy też Bako zajął wszystkie miejsca?! Nikt nie chciał dostać po... kolanach.

Po meczu w Rotterdamie trener podobno powiedział dziennikarzom coś, co mnie zagotowało - że zasymulowałem kontuzję, bo już mi się nie chciało grać do końca. Otóż, panie trenerze, dziś mogę panu powiedzieć, że nie zasymulowałem. Inna sprawa, że i tak bym wkrótce zszedł, bo - skoro mecz był w Holandii - trzeba było wpuścić na boisko Włodka Smolarka. Miałem wtedy 20 lat i sobie myślałem: - Nieźle, dopiero co występowałem w Poloniezie, a już zdążyłem trafić do jednego drużyny z Koseckim, Kubickim, Tarasiewiczem czy właśnie Smolarkiem!

Jak już wspomniałem, udowodniłem także swoją wartość pozaboiskową, a było to po spotkaniu z Holandią w Eindhoven, kiedy nie miałem jeszcze 20 lat. Zremisowaliśmy 1:1, strzeliliśmy gola w ostatniej minucie i - jak to Polacy - w ostatniej dostaliśmy, od Dennisa Bergkampa. W hotelu przyszedł po mnie "Kosa" i powiedział: - Kowal, chodź, zapoznasz się ze starszą. Tylko weź całą zawartość barku!

No to szybko wziąłem piwo z barku i poszedłem do wskazanego pokoju.

- A co to ma być, Kowal?! Piwo?! Na co nam piwo?! Miała być zawartość barku, cała!!!

- Dobra, zaraz wracam.

- Wróciłem do pokoju, wziąłem co było i znowu w tę samą stronę. No teraz miałem, co trzeba i poznałem tajemny przepis. Jeśli ktoś organizuje imprezy, nie jest on zastrzeżony - bierze się całą zawartość wszystkich możliwych barków - cokolwiek, co tylko jest cieczą - i wlewa do wspólnego pojemnika, na przykład wiadra. Do tego dodaje się sok pomarańczowy i wychodzi z tego wyśmienity, wyjątkowo poniewierający koktajl przywołujący niehumanoidalnego kaca... - Ostre chłopaki - pomyślałem. - Chyba szybko znajdziemy wspólny język! n

W końcu w Legii wybuchła bomba. Nasz kapitan, Leszek Pisz, któregoś zimowego wieczoru odebrał telefon.

- Cześć Leszek, tu Janusz Wójcik. Słuchaj, hmm, odchodzę. Waszym trenerem będzie teraz Paweł Janas. Uprzedź chłopaków - mocne uderzenie na dzień dobry w słuchawce.

- Zaraz, zaraz. Jak to? Gdzie pan odchodzi? Dokąd? - zapytał Leszek.

- Słuchaj, jutro porozmawiamy. Jadę do Emiratów Arabskich. Wiesz, w Polsce jest jak jest, a dostałem dobrą propozycję. Kasa, misiu, kasa...

No tak, kasa. Trener Wójcik wszystko robi na maksa. Jak kogoś lubi, to podwójnie. Jak kogoś nienawidzi, to też podwójnie. I pieniądze też kocha podwójnie. Zespół go rozumiał - odebrane mistrzostwo, zła atmosfera w PZPN wokół niego, wieczne pretensje. Typowe polskie bagienko. "Wujo" chciał się z niego wygrzebać. Następnego dnia spotkaliśmy się w klubie. Trener tłumaczył nam: - Panowie, jadę do bardziej cywilizowanego kraju, mam tu na myśli

działaczy piłkarskich. No i bardzo dobrze tam placą. Dziękuję wam za wspólną pracę.

- Kował, chodź na chwilę - zawołał mnie. - Robię małe pożegnanie. Zapraszam ciebie, Leszka, "Mandzie" i Robaka. Dobra? U mnie na Mokotowie, wieczorem - powiedział. Oczywiście nie odmówiłem, choć trochę mi było przykro, że trener wyjeżdżał. Pojechaliśmy we czwórek. U Wójcika w mieszkaniu czekała nas mała nasiadówka, w odpowiednim towarzystwie - z jakimiś komendantami policji, bo trener wszędzie miał znajomości, oraz przede wszystkim z dwoma butelkami whisky. Takimi butelkami, co się nigdy nie kończą - na widelkach. Potrzeba kilku lub kilkunastu godzin na ujrzenie dna. Samolot Wójcika był w środku nocy, więc było o czym pogadać i co wypić. - Misie, ja wam mówię, że zaraz wracam! Wy tu mi żadnych numerów nie róbcie, bo będę kontrolował - mówił, a mundurowi potakiwali głowami. - On jest niemożliwy - pomyślałem, uśmiechając się w duchu. W końcu trzeba było przyspieszyć z tymi butelkami, bo zbliżał się termin odlotu. Gdy wybiła ostateczna godzina, wszyscy wsiedliśmy w samochody i pojechaliśmy pożegnać trenera na lotnisku.

A tam - wiadomo. Obściskiwanie się, obślinianie, ostatnie... groźby. - No misie, pamiętajcie, że ja tu jeszcze wrócę zrobić porządek! Szykujcie się na kadre, bo mam was zamiar zaraz powołać. Kował, żebyś mi tu wstydu nie przynosił! Co będziecie robić z frajerami? - zapytał na Okęciu. - Jak to co? Opierdalać! - odpowiedziałem. Przynajmniej mu się na sam koniec miło w duszy zrobiło, że nie pozostawił po sobie spalonej ziemi w Warszawie. Zapamiętał Wojtuś wskazówki trenera! - Dobra, panowie, lece! Pamiętajcie o reprezentacji! - i poszedł. Jak wiadomo, "trochę" na tę reprezentację przyszło mu jeszcze zaczekać. Mnie jeszcze zdążył powołać, ale "Piszczyka", "Robaka" i "Mandzi" już nie...

Miałem mętlik w głowie. Z jednej strony wiedziałem, że przecież nie mogliśmy całe życie razem pracować. Ale z drugiej strony, coś krótko trwała ta przygoda z Legią. Zaledwie półtora roku. - Jest jeszcze Paweł Janas, więc w porządku. Będzie tak samo dobrze, jak było - pomyślałem. I potem raz na jakiś czas trener Janas wchodził do szatni i pozdrowiał nas od Wójcika. - Mówi, że widział wasz mecz i macie tak dalej golić frajerów - przekazywał. Raz chyba nawet "Wujo" zadzwonił do Pizsa, jako kapitana. Pocztówek nie wysyłał. Myślę, że nigdy nie miał do tego... hmm... predyspozycji. - Misiu, szykuj się na kadre, my się wkrótce spotkamy! - to zdanie chodziło mi po głowie. Może miał jakieś cynki?

Janusz Wójcik odszedł. No dobra, był jeszcze Paweł Janas. Ci, których "Wujo" tępił, jak na przykład wspomniany wcześniej Grzesiu Wędryński, poczuli się mocniejsi - wreszcie uwierzyli, że mogą zacząć grać. Na dobre odżyła rywalizacja w drużynie, choć i wcześniej była, a w dodatku doszedł do nas Jurek Podbrożny z Lecha. O tym, jak jego i Mirka Trzeciaka powitał Adam "Cięty język" Fedoruk, już pisałem. W końcu tak się jakoś złożyło, że Mirek u nas nie został. Do dziś nie wiem, dlaczego. Niektórzy twierdzą, że drużyna go nie lubiła, ale to nieprawda. Przecież Mirek to taka sympatyczna gaduła, która co drugie zdanie zaczynała od: "A może opowiem wam dowcip? "

To bardziej "Guma" Podbrożny był tym, który miał kłopoty z aklimatyzacją. Wiadomo, że jeśli ktoś nie jest dostatecznie odważny aby samemu wykonać pierwszy krok, a nie ma "przewodnika" to raczej będzie miał problemy, aby się stać duszą towarzystwa. Jurek zawsze wołał usiąść z boku, jak typowy mruk. Ze względu na wiek, wiele osób sądzi, że trzymał on się głównie z grupą "rządzącą" ekipą Legii, czyli ze mną, Leszkiem Piszem czy Zbyszkim Robakiewiczem. A to nieprawda. "Guma" wołał szukać towarzystwa wśród Piotрка Mosóra czy Marcina Jałochy. A z Mosórem to im tak jakoś do dzisiaj zostało... Podbrożny miał jeszcze jedną wadę - nie lubił piwa, tylko od razu przechodził do poważniejszych trunków. Kiedy my zaczynaliśmy spożywanie alkoholu, to on już miał kaca. A jak my mieliśmy kaca, to on już chciał grać mecz. Zawsze był ten jeden krok przed nami i chyba do końca życia będzie stawiał "białą" ponad piwem. I jak tu nawiązać nić porozumienia? Ale "Guma" nie

izolował się od nas, często chodził z nami posiedzieć, tyle tylko, że zazwyczaj siedział i nie mówił. Kiepski z niego imprezowicz. Nikt pretensji nie miał, bo chociaż na boisku nie zostawał w tyle - co tu dużo mówić, Jurek jest zawodnikiem wielkiej klasy, wybitnym. Wiedzieliśmy jedno - może specjalnego wzmocnienia pod względem rozrywkowym nie stanowił, ale w grze nam się przydał i to bardzo. Mnie na tym szczególnie zależało, bo przecież miałem grać z Jurkiem w duecie.

Zimą wyjechaliśmy na obóz do Włoch. Chyba nikt do końca życia nie wyjawí, kto ten obóz zorganizował, ale za takie rzeczy powinno się trafiać do pierdła. Wylądowaliśmy w jakiejś wsi na południu, po dwudniowej jeździe autokarem. Wysiedliśmy w śniegu, hotel jeszcze nie w pełni oddany do użytku i bez czynnej stołówki. Nic tylko przygotowywać się do walki o mistrzostwo Polski. To całe zgrupowanie byłoby nieprawdopodobnie mdłe, gdyby nie Julek Kruszankin, a raczej jego żona i to co wyprawiali razem dziewięć miesięcy wcześniej. Pewnego dnia pojawiło się hasło - "Julek ma syna!". No to co trzeba zrobić z takim fantem? Oczywiście opić! Szast, prast, Julek szybko zorganizował zapasy zimowe i zaczęło się typowo polskie opijanie potomstwa. Śmiechy, jaja, w końcu patrzymy - Zbyszek Mandziejewicz usnął. - Coś się chyba Mandzia dawno nie golił - wymamrotał "Piszczyk". Wkrótce wrócił z maszynką do golenia i Zbyszkowi starannie pielęgnowane wąsy ogolił, przy asyście Marka Józwiaka. Rano patrzymy, a jakiś typ schodzi na śniadanie. Z twarzy niepodobny zupełnie do nikogo, nie najmłodszy. Halo, co jest? Nowego piłkarza kupili? Obcym wstęp wzbroniony! - Ja wam durnie dam wzbroniony - wypalił wkurzony "Mandzia". A Leszek go tylko podpuszczał.

- Ale głupio wyglądasz bez tych wąsów, ja bym swoich nigdy nie ogolił! Po co żeś to zrobił - śmiał się.

- Lepiej żebyś na treningu koło mnie nie przebiegał, bo ci nogi urwę! - burknął gołowąs.

No i rzeczywiście "Piszczyk" później już tylko koło Mandziejewicza skakał, bo się bał normalnie przebiec. Zgrupowanie się w końcu skończyło i ruszyliśmy w drogę powrotną. A to była długa i ciekawa droga... Oj, jest o czym opowiadać...

Jedziemy już tysięczną godzinę, a na drogowskazach wciąż nie widać Warszawy. Gdzie my do jasnej cholery jesteśmy? No tak, jeszcze we Włoszech, choć już na północy. Jacek Zieliński cały czas przycina całą drużynę w karty. Ma chłopak zdrowie. Potrafił kosić tak, że wracając z meczu, na średniej długości trasie, wygrywał drugą meczową premię.

Bezwzględnie najlepszy w te klocki! Czasami przypominaliśmy mu powiedzenie: "Kto ma szczęście w kartach, ten nie ma w miłości" i rozpoczynały się docinki. - Jacek, zadzwoń do domu, pewnie żony nie ma! - mówił ktoś. - Zielu, a co twoja druga połowa teraz robi? - żartowano. A Jacek nic, tylko trach, trach, trach i kolejna kupka pieniędzy przed nim. On chyba więcej w życiu zarobił na kartach, niż na boisku!

Hazard to ciekawy temat. Niejeden piłkarz już stracił w nim majątek życia. My akurat wtedy takich nie mieliśmy. Pomysł grania na pieniądze pojawił się później, a normalnie grało się w kierki na takich zasadach, że dwóch ostatnich zawodników stawiało na całą drogę browary całej czwórce. Założenie było więc proste - nie ważne kto sponsorem, liczba butelek musi się zgadzać. Do kasyn chodziliśmy rzadko, choć zdarzało się. Ja zacząłem w poprzednich sezonach, głównie towarzyszyłem Darkowi Czykierowi i donosiłem drinki, gdy on był zaafetowany kolejną życiową szansą. Chodziliśmy w różne miejsca, ale chyba najczęściej do Sali Kongresowej. Zasadę miałem prostą - kiedy Darek wygrywał, to mówiłem: - Chodź, na

dzisiaj już wystarczy, wychodzimy! Byłem typową zrzedzącą opiekunką, tyle że chociaż wiedziałem, co dobrego do picia trzeba zamówić.

"Lejba" przy mnie wygrywał prawie zawsze. A jak już z nim nie poszedłem, to potem mówił: "Wiesz, już byłem na plusie...". Jak każdy hazardzista. Mnie to jakoś nie wciągało. Lubiłem tylko bingo i do dziś lubię. Jednak akurat tam nie da się dużo przegrać, bo kupony kosztują dwa, pięć lub dziesięć złotych. Wygrane też nie są duże, choć teoretycznie to można trafić cały milion. Tylko że ja chodzę na bingo raczej dla przyjemności, żeby posiedzieć sobie przy piwie, pogadać z kolegami, a i w salonie bingo w Warszawie wszyscy mnie znają, więc atmosfera jest miła.

Dość tych opowieści o hazardzie, bo przed nami był jeszcze szmat drogi autokarem do Polski. Zatrzymaliśmy się na nocleg jeszcze we Włoszech. W hotelu oczywiście znów w ruch poszły karty i butelczyny. Od słowa do słowa, ktoś coś źle policzył, ktoś za szybko rzucił kartę i zrobiła się kłótnia. A że w butelczynach nie było wody mineralnej, to niektórzy szybko się zagotowali. Nagle Marek Jóźwiak chwycił za telewizor i jeb! Rzucił w Krzyśka Ratajczyka. - Łap! - zawołał "Beret". "Rataj" oczywiście niczego nie łapał, tylko zrobił unik i spojrzał na Marka jak na kretyna. A telewizor... jak to telewizor rzucony przez wielkiego chłopca - szczątki. Nagle "Beretowi" wrócił rozum.

- Czemu żeś tego nie złapał?! - krzyknął do Krzyśka.

- A po co żeś rzucił?!

- No bo miałeś złapać!

- Ja miałem złapać?

- Przecież gdybym wiedział, że nie złapiesz, to bym nie rzucił!

- Nie jestem kretynem, żeby telewizory łapać! Po co żeś rzucił?

- Bo miałeś złapać!

I tak w kółko. Śmiałyśmy się z tej ich kłótni o to, który głupszy, do rozpuku! Następnego dnia do śmiechu nie było już Markowi, bo musiał zapłacić 400 dolarów za telewizor oraz lampkę, która poszła przy okazji. Stwierdził, że prezentów nikomu robić nie będzie i te części telewizora zabrał autokarem do Polski! Później mieliśmy przystanek w Wiedniu, gdzie nawet rozgrywaliśmy mecz towarzyski. Jednak po tych wszystkich ekscesach - imprezie za syna Julka, rozróbie w hotelu we Włoszech, tam już nas dokładnie pilnowano. Co za dużo, to niezdrowo. Przecież przed nami była walka o udowodnienie dominacji w kraju. Czuliśmy, że mimo wszystko zdołaliśmy świetnie przygotować się do gry.

Mieliśmy po rundzie jesiennej sześć punktów straty do Górnika, a przypomnijmy, że wtedy zwycięstwo było punktowane tylko za dwa oczka. Wyjście na pozycję lidera wydawało się nie lada sztuką, lecz wiedzieliśmy, że prędzej czy później dopadniemy ich, a wtedy już nie popuścimy. Na dzień dobry pojechaliśmy do Lubina i tam po bardzo trudnym meczu wygramy z Zagłębiem 2:1. Wtedy coś zaskoczyło i rozpoczęliśmy prawdziwą pogoń za pozycją lidera. Górnik zaczął przegrywać jakieś śmieszne mecze i był coraz bliżej. Już czułem nasz oddech, już się bałem.

Przełom nastąpił po meczu z Zawiszą w Bydgoszczy. Przyjechaliśmy tam dzień przed meczem, spaliśmy w stadionowym hotelu. Siedzieliśmy sobie w knajpce, część chłopaków grała w karty, część w bilard. Obsługa zacierała ręce - oho, szykuje się dobry interes, warszawiacy szybko nie wyjdą! W pewnym momencie kelner wypalił: - Panowie, a może byście tak poratowali chłopaków z Zawiszy i dali im ze 200 złotych, bo im tu prawie nie płacą i chłopaki w ogóle do nas nie wpadają. A tak, jak byście dali...

Leszek Pisz, zgodnie z prawdą, odpowiedział, że jeszcze czeka nas niejedna impreza i wolimy kasę przeznaczyć na nasze balowanie, niż na cudze. A chłopaki jak chcą potańczyć, to niech stawiają się punktualnie na boisku, to... już my z nimi zatańczymy. No i zatańczyliśmy.

Walnęliśmy im szóstkę, specjalnie chcieliśmy osiągnąć taki wynik, jak w meczu w Krakowie. Niech PZPN znowu odbiera punkty, jeśli chce. W tej samej kolejce punkty stracił Górnik i okazało się, że w końcu - po raz pierwszy w sezonie - wyszliśmy na prowadzenie. "Mamy lidera, w Warszawie mamy lidera" - śpiewaliśmy co chwilę w autokarze w czasie drogi powrotnej. Sezon układał się pięknie. Tak pięknie, że aż za łatwo było to wszystko popsuć...

Tak się akurat złożyło, że zanim rozstrzygnęliśmy z Górnikiem walkę o mistrzostwo, spotkaliśmy się z zabranami w półfinale Pucharu Polski. W pierwszym meczu, w Warszawie, zaprezentowaliśmy się kapitalnie. Patrzcie i ucicie się chłopcy, bo później możecie nie mieć takiej okazji! Wygraliśmy 5:2, pokazując dobitnie, ile lat świetlnych przed Górnikiem jest Legia. Nie strzeliłem wprawdzie żadnego gola, ale pamiętam, iż redaktor Atlas napisał, że to był jeden z moich najlepszych meczów w karierze. Faktycznie, piłka nie odskakiwała od nogi, a jak już podawałem, to koledzy strzelali gole. Rządził jednak "Piszczyk" - strzelił dwie bramki i zanotował dwie asysty. - Jesteśmy w finale. Nie oszukujmy się, wszyscy widzieli, co ten Górnik gra. W Zabrzu to już nie czas Janów Urbanów, żeby przegrać tam 0:3 - powiedziałem wtedy.

Mały włos, a bym się pomylił. Ledwie zaczął się mecz, a Górnik dostał gola z rękawa. Widziałem wszystko z perspektywy napastnika - biegnie nasz obrońca trzy metry od zabranina, tamten się przewraca, a sędzia Ryszard Wójcik gwizdże - rzut karny! To był jeden z najbezzelniejszych karnych, jakie w życiu widziałem, nawet kibice Górnika z początku nie wiedzieli, o co chodzi. - No ładnie, gramy na dwunastu - pomyślałem. Po chwili, już w normalnych okolicznościach, Górnik strzelił na 2:0. Jeszcze jeden gol i będzie po nas. Rywal poczuł pismo nosem i wykazał nieprawdopodobne zdziwienie. W roli głównej wystąpił Grzesiek Mielcarski. Krzyškowi Ratajczykowi zrobił obrzydliwą dziurę w nodze. Mimo skarpety i ochraniacza, w nogę "Rataja" wszedł cały korek i ta rana goiła się przez wiele następnych tygodni - rana z serii takich, w które niewierny Tomasz mógłby wsadzić palec, żeby przekonać się o powadze sytuacji. W wypadku Mandziejewicza konieczna już była poważna operacja kolana. Oczywiście Zbyszek z decyzją o operacji chwilę zaczekał, bo wtedy biorąc pod uwagę stan polskich szpitali, każdy wolał się sześć razy zastanowić, czy czasem nie jest zdrowy.

Sędzia Wójcik stwarzał wrażenie, że nic nie widzi.

- Co pan robi? Nie widzi pan co się dzieje?! - krzychałem.

- Żadnych dyskusji!

- To sędziu po równo!

- Rozmawiam tylko z kapitanem...

- Jak tak dalej pójdzie, to kapitan wyląduje w szpitalu!

- Tylko z kapitanem...

- Ty baranie...

Na szczęście przejęliśmy inicjatywę. Na 1:2 przed przerwą strzelił Pisz. Chyba chciał wrzucać, a wyszedł prześliczny łob, przy którym ciała dał Marek Bęben. W tym momencie w praktyce skończył się mecz. Na 2:2 strzeliłem ja. Podbiegłem do kibiców Górnika, bo coś tak ucichli, że kompletnie nie słyszałem, co śpiewają. - W ogóle tam jesteście? - zaśmiałem się. Obrzucili mnie zapalniczkami. Panowie, jak rzucacie zapalniczkami, to złitujcie się. Rzucicie też papierosa. Z chęcią bym zapalił, będąc już spokojnym o awans do finału Pucharu Polski.

Co się tak denerwujecie? Czyżbyście zrozumieli, kto rządzi w kraju?

Pierwszy raz w życiu coś takiego widziałem. Jedenastu chłopów zapomniało, jak się gra w piłkę - w tym ja. Trenowaliśmy normalnie, mieliśmy zgrupowania i każdy wiedział, że nie można niczego zaniedbać, bo czeka nas mecz o mistrzostwo Polski. Znow ten jedyny, decydujący. Ostatnia kolejka sezonu. Górnik przyjeżdża do Warszawy. Jeśli będzie remis, mistrz zostaje w stolicy...

Ciążyła na nas ogromna presja - gdyby stadion mógł pomieścić tego dnia 60 tysięcy ludzi, to by wypełnił się w komplecie. Kibice wisieli na jupiterach, pobliskich drzewach, przy płotach widziało się twarz obok twarzy. I my - panowie sytuacji. Tylko od nas zależy, czy będą cieszyli się ci, którzy nas kochają, czy też ci, którzy na co dzień nazywają nas pedałami. Do tego PZPN. Przecież musimy udowodnić tym złodziejom, że rok wcześniej zadarli z najlepszą polską drużyną. Każdy z nas wiedział - oto nadszedł moment, w którym wszystko, co było za nami, już się nie liczy. Moment, w którym poprzednie remisy stawały się porażkami, a porażki prawdziwymi wrzodami. Jest tylko 90 minut - być albo nie być. Prawda, że to niesprawiedliwe? Harowaliśmy cały rok, cały pieprzony rok! Gdybyśmy startowali bez minus trzech punktów, już bylibyśmy mistrzem. A teraz udowadniaj znowu, że jesteś najlepszy. Udowadniaj! Już udowodniłeś? Trudno, udowadniaj do skutku, aż misiowie z centrali powiedzą: - Starczy.

- Będzie dobrze? - pytaliśmy się nawzajem. - Będzie - odpowiadano. A po chwili ten, który odpowiadał, zadawał to samo pytanie. Stres. Na mnie największe wrażenie zrobiło pierwsze wyjście na boisko. To meczu były jeszcze chyba ponad dwie godziny. Chcieliśmy się po prostu przejść, przespacerować po murawie. Wyszliśmy z tunelu i szok. Stadion pełny. Ludzie wstali z miejsc i zaczęli bić brawo. Skandowano moje nazwisko. - Rany boskie. Ilu tu może być kibiców? Dwadzieścia pięć tysięcy? Więcej? Rany... Musimy wygrać - pomyślałem, mając żołądek w gardle. Każdy z nas się bał, że ten jeden raz w życiu zawiedzie i będzie na niego. Mimo wszystko przed spotkaniem nie przeczuwałem, że coś będzie nie tak. Krzyknęliśmy jak zawsze, że jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i wyszliśmy na boisko. To w końcu Górnik miał problem. To Górnik musiał wygrać mecz. Dopiero co dostał przy Łazienkowskiej 5:2...

Gdy zaczął się mecz, wnet wyszło na jaw, że jeśli ktoś ma problem, to raczej my. Pierwsze zagranie do mnie - pierwsza strata piłki. Nic nam nie wychodziło. I wszystkim razem, i każdemu z osobna. Ci, którzy wcześniej mieli kiwkę, już jej nie mieli. Ci, którzy potrafili strzelać, już o tym zapomnieli. Ci, którzy normalnie wygrywali wszystkie główki, teraz nie mogli trafić w piłkę. Nerwy, frustracja, złość. Mnie piłka odskakiwała raz za razem, Leszek Pisz miał jakiegoś głupie straty.

I w końcu stała się rzecz tragiczna, ale taka, którą można było przewidzieć - straciliśmy gola. Sytuacja była o tyle kuriozalna, że bodajże Jurek Brzęczek wyjechał z piłką za boisko. Ewidentnie. Każdy to widział i gdyby wtedy było tyle piłek do gry jak w dzisiejszych czasach, to pewnie chłopcy nie namyślając się rzuciliby piłkę do naszego zawodnika. Nasz obrońca nawet stanął, bo przecież ten aut był mniej więcej półmetrowy. A sędzia nic. Po chwili piłka była już pod nogami Marka Szemońskiego. Ten strzelił przedziwnie. Jakiś taki niby balon, w krótki róg, ale piłka odbiła się od słupka i wpadła w długi. I już nawet nie wiadomo, czy rzucić się do odrabiania strat, czy też czekać na przerwę. Nie wiadomo, co myśleć. Nie wiadomo, co się z nami dzieje... Patrzymy na siebie jak barany. Czuliśmy na sobie oczy grubo ponad dwudziestu tysięcy ludzi. Chyba gdyby ten mecz nie był w Warszawie, byłoby nam łatwiej. Ten jeden raz presja nas przerosła. Przecież może coś nie

wychodzić dwóm, trzem, ale do jasnej cholery - nie jedenastu! Traciliśmy wiarę...

- Pobudka!!! - wrzasnął w szatni Paweł Janas. - Chcecie być mistrzem, czy nie?!

Mieliśmy piętnaście minut na postawienie właściwej diagnozy, znalezienie lekarstwa i wyleczenie się. Zaczęły się przemowy Janasa i Lucjana Brychczego. Każdy słuchał, jak nigdy. Może jest choć jeden mądry w tym całym towarzystwie? Może...

Trener Janas w przerwie meczu z Górnikiem stał przed arcytrudnym równaniem z jedenastoma niewiadomymi. Kowalczyk - co on gra? Nie wiadomo. Pisz - nie wiadomo. Fedoruk - nie wiadomo. Podbrożny - nie wiadomo. Ratajczyk - nie wiadomo. I tak dalej. W dodatku gdzie jest ta awaria?! Biegać - biegają. Walczyć - walczą. Chcieć - chcą. Grać - ni cholery nie grają. Janas to widział, ja to widziałem, każdy był tak samo mądry. Tego jednego dnia sytuacja nas przerosła. W piętnaście minut niczego się nie zmieni. - Panowie, 45 minut zapierdalania. Dobrze wiecie, że jesteśmy lepsi. Cały sezon byliśmy lepsi. W meczu pucharowym ich zmiotliśmy. Strzeliliśmy im wtedy pięć goli! Teraz też możemy. Wystarczy jeden gol i jesteśmy mistrzem. Jeden gol!!! Przecież strzeliliście już ich dziesiątki! Jeden gol Górnikiem, który może się od nas uczyć każdego elementu gry. Pokażcie wszystkim tym ludziom, kto rządzi w Polsce. Ja wiem, że wy. Wy wiecie, że wy. Ale do diabła nie trzymajcie tej wiedzy dla siebie! W szatni Górnika jest teraz jeszcze bardziej nerwowo. Oni wiedzą, że my się przebudzimy! - sędzę, że mniej więcej takie słowa wypowiedział wtedy nasz trener.

I co to zmieniło? Oczywiście, że nic. Całe szczęście, że... Górnik był jeszcze gorszy. My byliśmy słabi, ale tamci... Tamci to już duża przesada! Najbardziej żalony mecz o mistrzostwo Polski w historii naszego futbolu. Jedni zestresowani, drudzy jeszcze bardziej. Tak naprawdę to my jednak lepiej wytrzymaaliśmy obciążenie niż Górnik. Po nich widać było, że wyszli naładowani typowo lorenrowską gadką - czyli jazda z warszawiakami po kościach, im więcej dziur w nogach, tym lepsza wypłata, a jeśli przy okazji udałoby się wybić kilka zębów... O, wtedy byłoby fantastycznie! A więc dalej panowie, niech łokcie nie zatrzymują się nawet na sekundę. Chcę widzieć krew! Lorens zapomniał jednak o tym, że sędzia Wójcik tym razem siedzi przed telewizorem, a po boisku biega Redziński. Pierwszy wyleciał Bałuszyński, bez żadnych wątpliwości dwie w pełni zasłużone żółte kartki. Dziękujemy ci Heniu, chociaż ty jesteś z nami w tych trudnych chwilach. Później się okazało, że nie on jeden. Kolejne brutalne zagrania, kolejne żółte kartki. Górnicy chyba chcieli nas przestraszyć, a my byliśmy i tak na tyle otumanieni, że nam było wszystko jedno.

Upływały kolejne minuty. Faule, faule, faule i poza tym nic, zupełna nuda. Nadal nic nam nie wychodziło. Gdy Górnik grał już w dziewiątkę, w końcu wywalczyliśmy rzut różny. Dośrodkował Leszek Pisz, piłkę stracił Jurek Podbrożny, a Adaś Fedoruk trafił w samo okienko! To już nawet nie była radość. To był amok lekko przytłumiony poczuciem ulgi. Ulga, że jednak się udało. Już wtedy wiedzieliśmy, że nie możemy stracić gola. Kolejny zawodnik Górnika wyleciał z boiska, a w ósemkę to i AC Milan nic by nam nie wcisnął. Byliśmy mistrzami. Trzeba było tylko odczekać te ostatnie dziesięć minut...

Oczywiście przez kolejne lata pojawiały się głosy, że to wszystko dzięki sędziemu. Skoro tak, to czemu arbiter nie widział autu w akcji, z której Górnik strzelił gola? Czemu akurat wtedy "przydrukował" przeciwko nam? Wszystkie kartki dla piłkarzy z Zabrze były słuszne, kto widział powtórki, ten nie może mieć wątpliwości. Zresztą zabranie przy stanie 1:1 chcieli koniecznie dostać jeszcze jedną czerwoną, bo wtedy byłby walkower 3:0 dla nas. Moim zdaniem tak właśnie powinno się stać - powinien być walkower i "wyjazd, frajerzy". Oczywiście nie jestem ślepy i dziś, gdy o tym myślę, sędzę, że ktoś w PZPN chciał nam naprawić krzywdę, którą wyrządził rok wcześniej. Moim zdaniem ktoś powiedział sędziemu

Redzińskiemu, że tego dnia ma nam się nie stać nic złego. I sędzia działał tak, żeby nam pomóc. Tyle tylko, że nagle okazało się, iż... wystarczy, że będzie rzetelnie i uczciwie wywiązywał się ze swoich obowiązków. Nie wiem, jak on by sędziował, gdyby piłkarze Górnika nie grali jak naćpani. Może wtedy rzeczywiście by coś wykręcił? Nie musiał. Zabrzanie się podstawili. Sami przegrali ten mecz. Oczywiście inny arbiter mógłby się przestraszyć stawki i nie pokazywać tych kartek, ale to już inna sprawa - miał prawo pokazać to pokazywał.

Oczywiście później Lorens bredził, że jest moralnym mistrzem Polski. Jakiś czas później na zgrupowaniu reprezentacji Polski temat wrócił. Siedzieliśmy przy ognisku razem z piłkarzami Górnika. Adam Fedoruk wyjął gitarę i zaśpiewał im utwór własnego autorstwa pt. "Moralni mistrzowie". Łączymy się z wami w bólu, szanowni koledzy z Zabrzeza...

Wreszcie... Wreszcie gwizdnął i jest koniec. Nagle na boisku pojawiło się tysiące ludzi. Jak ja dojdę do szatni? Panowie, koszulki nie oddam! Nie, nie ciągnij mnie za nią, nie oddam! Muszę mieć pamiątkę. Spokój, zostawcie, proszę was. No, dziękuję. Ktoś założył mi na szyję swój szalik, kolejne osoby klepią mnie po plecach. Nawet nie mówią do mnie nic specjalnego. Są zbyt szczęśliwi, żeby się wysilić na jakieś inteligentne pytanie. A ja jestem zbyt szczęśliwy, żeby inteligentnie odpowiedzieć. Zaraz wrócę. Tylko się przebiorę!

- Dobra, z tą radością to poczekajcie, aż Kulesza mistrza przyklepie! Kto wie, co tym razem cała Polska widziała? - mówił w szatni Marek Józwiak. Mimo to tego dnia przebój był prosty: "Kto został mistrzem, Kulesza kto został mistrzem?". Śpiewał to cały stadion, śpiewaliśmy my.

Po chwili wybiegliśmy na płytę, tam już czekały na nas tekturowe korony. Ustawiliśmy się wzdłuż trybuny krytej i raz jeszcze zapytaliśmy pana Rysia, czy może nie wie, kto wygrał ligę. Jednak pomeczowa zabawa była poważnie utrudniona faktem, że już trzy dni później czekał nas finał Pucharu Polski, przeciwko ŁKS. Trenerzy nie byli idiotami i wiedzieli, że tak czy siak - będzie picie. Trzeba je było tylko choć trochę ograniczyć. Pojechalśmy po meczu do Konstancina - najpierw krótkie i szywne spotkanie z panem Romanowskim, a potem zameldowanie w hotelu "Marta". Jeszcze nie zwariowałem, żeby mistrza z Martą świętować. I nie po to rezerwowaliśmy wcześniej stoliki w Ground Zero, żeby teraz miały się zmarnować. Zamówiliśmy taksówki i wszyscy pojechalśmy do tej warszawskiej dyskoteki. Co tu dużo mówić - nikt raczej nie tańczył, bo każdy wolał pilnować miejsca przy stoliku, żeby go nikt nie podsiadł, albo - broń Boże - żeby go kolejka nie ominęła. Opłacanie doby hotelowej w "Marcie" było tego dnia raczej wyrzuceniem pieniędzy w błoto, bo relaksowaliśmy się w innych miejscach.

Pierwsza noc po meczu to było wielkie picie, ale przecież zbliżał się finał Pucharu Polski. W przypadku dubletu premia była dużo pokaźniejsza. Pan Romanowski to bogaty człowiek, więc trzeba mu zabrać. W związku z tym trenowaliśmy. Ale z drugiej strony - przecież dopiero co zdobyliśmy mistrzostwo! Następnego dnia znowu impreza. Trenowaliśmy na kacu, kropli do oczu nawet nikt nie stosował, bo po co było udawać, że białe jest czarne. Balanga? Pewnie, że tak. Była! Znowu pojechalśmy do Warszawy. W końcu nadeszła ostatnia noc przed meczem. Trenerzy się wkurzyli. Przy wyjściu z budynku ochroniarze. Przy drzwiach na korytarzu - ochroniarz. Gdzie nie pójdziesz, ktoś cię ma na oku.

- Krzysiek, przecież to chore, żeby nas, dorosłych chłopaków, jakieś typy pilnowały. Co to, kolonia?

- Weź, nic mi nie mów. Ale co to za różnica, i tak jutro mecz.

- Pokażmy im, ile są warci.

- Jak?

- Widzisz to drzewo?

Wyszliśmy przez okno, spokojnie po gałęziach drzewa zesliśmy na ziemię. Następnie jak gdyby nigdy nic weszliśmy głównym wejściem. - Co jest?! - podskoczył ochroniarz, jak oparzony. No widzisz, odważniaku, kiepski z ciebie cieć. Musiałbyś nas przykuć do kaloryfera, żeby być górą. Jeszcze nikt "Kowala" z "Ratajem" nie ujarzmił. A teraz idziemy spać, bo jutro mecz. Patrzcie sobie na te kłamki do rana.

Mecz z ŁKS nie układał nam się przez długi czas, choć graliśmy zdecydowanie lepiej niż z Górnikiem. Do przerwy jednak 0:0.

- Rataj, czy my nie przesadziliśmy z balowaniem?

- Sam nie wiem, źle mi się gra.

- No właśnie, nie mam siły. Cholera, zjedzą nas, jak nic nie zrobimy.

Dwie nieprzespane noce musiały dać o sobie znać. I dawały. Przezieliśmy pałę... 25 minut do końca i ciągle 0:0. Mijają minuty. Sił coraz mniej. "Rataj", weźmy się w garść. W końcu "Rataj" dorzucił z lewego skrzydła. Leci do mnie, leci! Przepchnąłem się i uderzyłem głową. Bardzo, bardzo mocno i jeszcze bardziej precyzyjnie! Jest! Od tego momentu kompletnie zapomniałem o zmęczeniu. Jeszcze jedna moja akcja, przedarłem się prawym skrzydłem na pełnej szybkości, podałem do Jurka Podbrożnego - do "pustaka" i 2:0! No to jeszcze jedna moja akcja, identyczna, znów prawą stroną na szybkości - do Leszka Piszka, ale on tym razem do "pustaka" nie trafił. Koniec. Legia na tronie, Legia w podwójnej koronie!

Podnosząc Puchar Polski, nie sadziłem, że to mój koniec w Legii. A tymczasem okazało się, że... ukreciłem na siebie bat. Każdy nasz sukces, każdy gol był kolejnym zobowiązaniem finansowym dla działaczy. Tamtego lata, jednego z najlepszych w historii klubu, zdobyliśmy jeszcze Superpuchar Polski, po pokonaniu w finale ŁKS 6:4. Premia za potrójną koronę miała być jak na tamte czasy imponująca - po 700 milionów złotych. A za tyle można już było kupić dwupokojowe mieszkanie. Ratunku finansowego upatrywano w awansie do Ligi Mistrzów.

Analizowaliśmy, na kogo nie chcielibyśmy trafić w eliminacjach do Ligi Mistrzów. Byliśmy zgodni - tylko nie Hajduk Split. Ta drużyna była w koszyku ze słabszymi tylko dlatego, że przez poprzednie lata z powodu wojny nie grała. Jednak wiadomo, co wtedy prezentował futbol balkanski. W dodatku dochodziły do nas wieści, że Hajduk ściągają piłkarzy z zagranicy. My zostaliśmy niemal w tym samym składzie, bez wzmocnień. No, doszedł na przykład Piotrek Mosór, ale... zapomnijmy - zależy do czego on miał być wzmocnieniem. Tyle tylko, że kiedyś podobno przyjechał motorem na Legię i wyrzucił w drzewo. Aha, był jeszcze Marcin Mieciel, potrafił nam zaimponować na treningach strzałami z przewrotki, widac było, że będzie z niego piłkarz. Ale jeszcze nie wtedy, jeszcze nie miał szans na gre. "Mietowy" czy Mosór trzymali się w młodszej grupie. Dlaczego nie wykupili się do starszyny, podobnie jak ja na początku? Może nie chcieli, a może... nie byli w stanie. Ja czułem się na siłach, by wytrzymać tempo kolegów, więc skorzystałem z zaproszenia. Mieciel raczej by nie nadziął.

Hajduk... Co tu dużo mówić. Byliśmy bez szans. W pierwszym meczu, u siebie, zamurowali się perfekcyjnie, wygrali 1:0. Nie miałem pół sytuacji! - Trafiliśmy za mocno - mówiliśmy jeszcze przed rewanżem. Niby nie czuliśmy się straceni, ale gdzieś tkwiło w nas, że... już po wszystkim. Przed wylotem do Splitu mieliśmy zgrupowanie w Konstancinie. Chwilke pospaliśmy, bo już o czwartej rano trzeba było zapakować się do samolotu. Czwarta rano!

Potem lot, hotel, trening, hotel, mecz i znów w środku nocy samolot. No bo skoro czarter, to trzeba lecieć! Co z tego, że żadna normalna drużyna nie podróżuje w takich porach? Legia podróżuje! Sam mecz ułożył się fatalnie, szybko czerwona kartka dostał Krzysiek Ratajczyk. Tamci pokazali, jak się gra - 4:0. Niby czolgi na ulicach, ale kopali zdecydowanie lepiej od nas.

Wkrótce po meczu przyszedł do nas trener Paweł Janas. Do nas, czyli do mnie i kilku innych wiodących zawodników - wiadomo, Leszek Pisz, Zbyszek Robakiewicz, Zbyszek Mandziejewicz, Krzysiek Ratajczyk. Wyjał jakieś zdjęcie.

- Podobno przed meczem z Hajdukiem pilście całą noc - stwierdził.

- Ze co? - wyraziłem szczerze zdziwienie, bo akurat nie pililiśmy.

- Dostałem zdjęcie.

Patrzmy, a tam fotki, co rzekomo znaleziono pod naszymi łózkami. Znaleźliby że dwie butelki piwa - dobra, mogło być piwo. Ale tam zawałone butelkami wódki, whisky... Całe stosy tego! Nawet nasza grupa nie byłaby w stanie tyle wypić, a co dopiero przed meczem.

- Panie trenerze, przecież mieliśmy wylot o czwartej rano. Gdybyśmy to lykneli, to albo byśmy nie wstali na czas i spali do dziś, albo byśmy poleciali na ten mecz nawaleni. Sam pan dobrze wie, że na meczu byliśmy, a do samolotu weszliśmy o własnych siłach.

- No tak, wiem. Od początku w to nie wierzyłem.

Janas to mądry facet i doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś podłożył nam swinie. A może to rzeczywiście było pod łóżkiem, po poprzednich gościach hotelowych. Przecież w Konstancinie przez cały tydzień odbywały się jakieś kursy. Kto na kursach czyta książki?

To wszystko działo się przed meczem w Katowicach. Strzeliłem tam gola, mogłem dwa. Jak się później okazało - było to moje ostatnie trafienie w barwach Legii. W klubie zaczynało brakować pieniędzy - Ligi Mistrzów nie ma, za to zaległości są, sięgają już trzech miesięcy. - Wiesz Wojtek, przydałoby się kogoś sprzedać. Dobrze by było, gdyby jakiś wartościowy piłkarz wyjechał za granicę - powiedział mi niby przypadkiem Marek Polakow-Stepanow...

Wojtek, trzeba kogoś sprzedać... No tak, takie słowa prawej ręki Janusza Romanowskiego sporo mówiły. Ze zdaniem Marka Polakowa-Stepanova trzeba się było liczyć, choć Bóg jeden wie, co to za gość, skąd się wziął i czy ktokolwiek w życiu go lubił. Bo my go nienawidziliśmy. Krząta się, chodzi, zagląda wszędzie, wielkie panisko. A o piłce nie ma żadnego pojęcia! Żadnego! Cała jego działalność w klubie ograniczała się do kilku wyuczonych na pamięć kwestii, postaram się przytoczyć wszystkie: "Nie ma!", "Niestety, nie mogę pomóc", "Nic z tego", "Nie uda się", "Nie do załatwienia". W zasadzie wszystkie można podsumować jednym stwierdzeniem oddającym nastawienie tego gościa do piłkarzy - "pocałuj mnie w dupę". Gdy ktoś z nas musiał iść "na górę", żeby o coś prosić, trafiał go szlag! - Znowu trzeba się z tym bałwanem użerać! - mówiono w Legii. A ten wycwaniał się na tyle, że zatrudnił w klubie swoją żonę jako sekretarkę. Ta to dopiero dawała czadu! Oprócz wyuczonych przez męża kwestii potrafiła także - sekretarka!!! - opieprzyć piłkarza, że jak on w ogóle śmie przychodzić po coś, skoro tak beznadziejnie gra! Kazała się przyłożyć do pracy i zmiatać. No ładnie. Ciekawe, czy chociaż telefony odbierała...

Polakow-Stepanow zasugerował mi, że wszyscy czekają na moje odejście. Dostałem propozycję z Betisu Sewilla. Przedstawiciele tego klubu kontaktowali się ze mną wcześniej, jeszcze zimą, ale powiedziałem im wtedy, że zanim przystąpimy do rozmów to ja muszę zdobyć z Legią mistrzostwo Polski, a oni muszą awansować do pierwszej ligi. Ja zdobyłem

mistrzostwo, oni awansowali, zarzekali się, że mają ciekawy zespół. To była jedyna propozycja. Wiadomo, że prasa donosiła, iż chce mnie pół Europy (w tym pół ligi angielskiej), ale nikt poza Betisem bezpośrednio się do mnie nie zgłosił. W Legii o niczym mnie nie informowano. - Kowal, jedź. Nam zapłacą, tobie zapłacą, ciekawa liga - mówili mi koledzy. - Zarobisz i będziesz miał spokój na całe życie - dodawali.

Szczerze mówiąc, nie chciałem wyjeżdżać. Miałem dopiero 22 lata, świetnie - od wielu bramek - rozpocząłem następny sezon, w Warszawie zbudowano drużynę, która rok po roku mogła sięgać po mistrzostwo i w końcu awansować do Ligi Mistrzów. Kurczę, chciałem zostać! Z drugiej strony liga hiszpańska, moja ukochana. W Legii nie płacą od trzech miesięcy. Jeśli nie odejdę, to nic się nie poprawi - i mnie, i kolegom. Prezes nalega, aby wyjechał. Może ma rację? Może w kraju osiągnąłem już wszystko, co mogłem? - Kowalczyk powinien wyjechać - pisali przychylni mi dziennikarze. Hiszpania... Zgodziłem się.

Najpierw dzwoniła do mnie tłumaczka, potem do Warszawy przyjechali przedstawiciele Betisu. Załatwiliśmy wszystkie formalności w jeden dzień. Wreszcie zaczynałem zarabiać konkretne pieniądze - na początek 200 tysięcy dolarów za sezon. Hiszpanie zapłacili za mnie 1,7 miliona dolarów, co sprawiało, że byłem najdroższym piłkarzem i w historii Legii, i w historii Betisu. Wtedy taka kasa, to jak na dzisiejsze warunki 10 milionów. Doceniano mnie. To dobrze wróżyło na przyszłość. - Wojtek, wolelibyśmy, abyś już nie grał w żadnym meczu, bo jeśli odniesiesz kontuzję, to jeszcze może się tak zdarzyć, że oni nam nie zapłacą - poinformował mnie prezes Romanowski.

Niech to! Cały czas nalegałem, że chcę mieć pożegnalny mecz. Potem okazało się, że niepotrzebnie... To było spotkanie ze Stalą Mielec. Pogadałem chwilę z chłopakami w szatni, wyszedłem za nimi z tunelu. Stałem za bramką i... na tym się skończyło. Nikt mi nie dał żadnych kwiatów, nikt nawet nie powiedział publiczności, że jestem na meczu. Był piłkarz, nie ma - kop w tyłek na pożegnanie. - Cholera, do czego ja czułem ten sentyment? Do tych działaczy, pracowników klubu? Wszyscy tacy sami, uśmiechają się, bo widzą w tobie kasę - pomyślałem. Byłem wkurzony. Kibice raz na jakiś czas skandowali moje nazwisko, ale... nie tak to miało wyglądać. Nie tak sobie wyobrażałem ten ostatni dzień w klubie. Spojrzałem jeszcze po raz ostatni na stadion, na trybuny, na bramki. Tu się wszystko zaczęło.

Łazienkowska 3.

Miałem żal do trenera Janasa, że nie pozwolił mi rozegrać pożegnalnego meczu w barwach Legii. Wiem, nieuzasadniony żal. Wiem, to nie była jego decyzja. Wiem, nie miał wyboru. Ale do niego było najbliżej. Nie myślałem racjonalnie, tylko grały we mnie uczucia. Mam teraz biegać za prezesem i go prosić, by wpuścił mnie na boisko? Jest trener - można się przecież na niego zezłościć. Paweł Janas zawsze miał jednak bardzo dobrą i poszukiwaną u trenerów cechę - potrafił się dogadać z piłkarzami. Wtedy też tak było. Porozmawialiśmy chwilę, ja ochłonąłem, on mi powiedział: - Wiesz Wojtek, po co masz złapać kontuzję? Jest dobrze tak, jak jest.

Lubiliśmy się, zawsze było nam ze sobą po drodze - Janas był przy mnie, gdy spóźniłem się na przedolimpijskie zdjęcie, czy też wybuchła mała afera związana z rzekomymi dowodami pijaństwa przed Hajdukiem. Jeśli ustalimy, że w skali jeden do dziesięciu Janusz Wójcik lubił mnie na dychę, to Paweł Janas na dziewięć, a może dziewięć i pół. Pamiętam nawet, że kiedyś zaprosił mnie do siebie do domu, do Podkowy Leśnej. - Przyjedź, weź ze sobą dziewczynę, pogadamy jak koledzy - powiedział. Oczywiście skorzystałem, odwiedziłem go razem z Ewą. Przyjął nas bardzo miło, zaimponowała mi przede wszystkim jego kolekcja trofeów myśliwskich oraz pokaźny barek. O, takiego barku to dawno nie widziałem. Ale tyle moje, co się napatrzyłem. Nie piliśmy alkoholu, tylko bodajże kawę.

Janas to bardzo dobry fachowiec, a jego główną zaletą jest właśnie to, iż potrafi znakomicie porozumiewać się z zespołem. I to nie tylko z wąską grupą ulubieńców, ale także z tymi, którzy nie grają. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby jakikolwiek piłkarz skarżył się na współpracę właśnie z nim. Janas grał w piłkę, bardzo dobrze grał w piłkę i wie, co piłkarz czuje, kiedy nie gra, co czuje, kiedy coś mu nie wyszło, wie, czego potrzebuje w danym momencie. To po prostu w nim siedzi, taki ma charakter - tego nie da się wyuczyć. Gdy w zespole jest dwudziestu dorosłych mężczyzn, to każdy z nich ma swoje odmienne życie, w którym piłka jest tylko jakimś tam - mniejszym lub większym - epizodem. Trzeba umieć balansować między sportem a codziennością, trzeba umieć rozmawiać, robić atmosferę. Janas umie. I nie jest ważne, czy to klub, czy też kadra. I tu, i tu jest dwudziestu facetów.

Niektórzy trenerzy stawiają na ostrość - "zapieprzaj!" to ich jedyny sposób motywacji, gdy komuś nie wychodzi. Inni głaszczą po główce i pytają, czy czasem nie potrzebny sok albo fryzjer. Janas jest kimś pomiędzy. Ma też tę zaletę, że jest... normalny. Na przykład prowadząc Legię pracował z piłkarzami z którymi wcześniej grał w jednej drużynie - z Leszkiem Piszem czy Zbyskiem Robakiewiczem. I oni, co było dla wszystkich zrozumiałe, zwracali się do niego na "Paweł". Po prostu, koledzy. A że jeden jest trenerem? Nie na tym polega zdobywanie autorytetu, aby nagle kazać się nosić w lektyce. Jak trudny jest przeskok na poziomie piłkarz-trener, zorientowałem się kilka lat później, gdy do Legii wrócił Dariusz Kubicki. On sobie z tym nie poradził. Są ludzie i ludzie.

Oczywiście pojawiały się w związku z tym głosy, że Leszek Pisz ustalał skład czy coś w tym stylu. Nie wiem czy tak było, szczerze mówiąc - nie sędzę. Przecież i tak w zasadzie graliśmy tą samą jedenastką przez cały czas.

Wiele osób teraz mnie pyta, czy wybór Janasa na selekcjonera jest właściwy. A ja się pytam - jaki wybór? To był jedyny rozsądny kandydat. Owszem, my Polacy, jakoś najczęściej tak mamy, że z grona czterdziestu milionów futbolowych ekspertów wybieramy tego jednego jedyne, który o piłce nie ma pojęcia i dajemy mu do prowadzenia kadre. A potem narzekamy, że nieudacznik. Z Janasem moim zdaniem tak nie będzie. Owszem, był jeszcze pod ręką Henryk Kasperczak, ale odłożył kadre na później. Na później, czyli pewnie na zawsze - jak w wypadku Franciszka Smudy.

Paweł Janas nie ma samych zalet - to oczywiste. W następnym odcinku postaram się wyeksponować to, co w naszej współpracy nie do końca mi się podobało. Nie można przecież tylko słodzić, bo wtedy łatwo o mdłości!

Jan Tomaszewski zarzuca Pawłowi Janasowi, że ten gdzieś tam przed jakimś meczem nie upilnował piłkarzy. Cóż, moim zdaniem akurat tym razem nie ma racji. Piłkarzy nie da się upilnować. Uciekali za Strejlaua, Apostela, Piechniczka, Wojcika, pewnie za Górskiego też. I za Janasa też będą uciekali. Co może zrobić trener? Musiałby siedzieć pod drzwiami, a najlepiej w pokoju zawodnika, żeby ten czasem oknem nie wyszedł. To wszystko mrzonki. Powiedzieć w szatni, że jedno wyjście i wywalenie z kadry? A co zrobić jak dziesięciu wyjdzie, jak to zawsze bywa? Dziesięciu wyrzucić? A skąd wziąć następnych? Co to ma być, wylegarnia talentów? Gdybym był trenerem, też przymykałbym oczy. Piłkarz ma prawo wyjść z kolegami i w sympatycznej atmosferze, trzy dni przed meczem, porozmawiać sobie przy piwie czy nawet whisky. Trzeba tylko znać porę, znać umiar czy też własne możliwości. Jeśli ktoś zna - proszę bardzo, liczy się to, co pokażesz w meczu. Nie można traktować dorosłych, 30-letnich facetów jak uczniów na "zielonej szkole". Na tej zasadzie powinno się też zabraniać piłkarzom palić papierosy. Tylko po co, skoro ten kto będzie chciał i tak zapali? Prosinecki palił trzy paczki dziennie i grał w Realu. Raula też widziałem z papierosem. Mieliby się zamykać w toalecie?

Jakie więc wady ma Paweł Janas? Będąc szczerym, to szukać ich trzeba głęboko, bo naprawdę "Janosik" zna się na fachu. Na pewno niczego nie można mu zarzucić w kwestii treningów. Te Janas zawsze miał perfekcyjnie zorganizowane i charakteryzował się tym, iż wybornie współpracował ze swoim sztabem. Wiadomo było, kto za co odpowiada. Jeden przygotowywał obrońców, inny bramkarzy, kolejny zajmował się techniką. Każdy piłkarz w czasie zajęć miał świadomość, iż nie ma zmarnowanej kropelki potu - to jest robione z głową, więc gdzieś się w końcu przyda.

No, może nie wszystko. Jeśli chodzi o wady, to wymienilibym wadę wszystkich polskich trenerów, w tym Janasa. Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co na odprawach rozrysowują schematy akcji ofensywnych. I jeszcze każą grać według nich, jak Antoni Piechniczek. Chwila, zaraz. Narysował pan, jak ma to wszystko pięknie wyglądać, ale pan na tej tablicy poustawiał rywali! Na boisku też pan ich poustawia? To może od razu zetrzemy ściereczką bramkarza, będzie łatwiej strzelić gola. Albo chociaż narysujmy, w którą stronę się rzuci. Rozumiem, że można tak jak Strelau rozrysować schemat krótkiej akcji, jednego podania, obiegu - to ma sens. Jednak gdy widzę, że piłka ma przejść przez pięciu zawodników, ten ostatni ma wykonać przerzut do szóstego, a szósty odegrać do siódmego, który wszystko zakończy strzałem, to nie wiem, gdzie oczy podziać. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się na boisku znaleźć w takiej sytuacji, jak na tablicy. Nigdy! Nie mówię, że akurat Janas przywiązywał do tego specjalną wagę, bo tak nie było, ale zdarzają się tacy trenerzy. "Janosik" też czasami te akcje rozrysowywał, co chyba wynika z faktu, że nasi szkoleniowcy chcieliby czuć większą odpowiedzialność, za wszystko, co dzieje się na boisku, niż to jest możliwe. W Hiszpanii mi mówiono: - Jesteś napastnikiem, dobrym napastnikiem, ty masz kreować akcje, wszystko zależy od twojego instynktu, wyobraźni.

A u nas trenerzy czasami całe życie czekają, aż kiedyś wyjdzie przez przypadek schemat z tablicy i wtedy, po czterdziestu latach, na konferencji prasowej opromienieni krzyczą: "Sprawdziło się!". Choćby nawet przegrali 1:8 - sprawdziło się!

Zawsze uważałem, że tego typu odprawy to strata czasu. Oby Janas, który już wcześniej takich rysuneków nie eksponował, kompletnie o nich zapomniał. Trenerze, to nie ma sensu. Jeśli jakkolwiek piłkarz z piłką przy nodze będzie szukał rozwiązania narysowanego wcześniej kredą, to trzeba z niego zrezygnować - to słaby piłkarz, który nigdy prochu nie wymyśli. W reprezentacji Polski nie powinni grać kopacze piłkarsko niedouczeni, ale ludzie z futbołowym zmysłem, iskrą pozytywnego szaleństwa.

Różne krążą o mnie plotki. Jedna z nich głosi, że jestem "goły" i tak zdesperowany, że już nawet musiałem swoje wspomnienia na łamach gazety drukować. Olewam to. Prawda jest taka, że kontrakt z Betisem ustawił mnie całkiem, całkiem... W Legii zarabiałem śmieszne pieniądze, tylko na koniec przyznano mi siedemset milionów premii za potrójną koronę. Hiszpania to już inny świat - najpierw dostawałem dwieście tysięcy dolarów netto. Jednak tylko przez pierwszy sezon, bo później klub był na tyle ze mnie zadowolony, że koniecznie chciał przedłużyć umowę na... osiem lat. - Spokojnie, po co na osiem? Podpiszmy od razu na dziesięć i będziecie mieli mnie z głowy - odparłem. Oni wniebowzięci - z miejsca podpisali! Sporządzono dwa kontrakty - jeden oficjalny, ten który wysłano do federacji, i drugi nieoficjalny, zgodnie z którym dostawałem pieniądze "na boku". Dzięki temu w praktyce nie płaciłem podatków, a miałem same zwroty. Jeśli ktoś myślał, że tylko w Polsce robi się takie machlojki, to się grubo mylił. Zresztą, w Hiszpanii się nawet mecze sprzedaje, do czego jeszcze wrócę w następnych odcinkach.

Oczywiście dostałem też znaczną podwyżkę - z dwustu do czterystu tysięcy dolarów na rękę, a z każdym sezonem miało być o dziesięć procent więcej. Betis płacił mi regularnie przez 3,5

roku. Kolejno: dwieście tysięcy dolarów, czterysta tysięcy dolarów, czterysta czterdzieści tysięcy dolarów i dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wszystko co zarabiałem, szło na konto. Godnie mogłem wyżyć z premii, to w zupełności wystarczyło. Później na chwilę źródółko wyschło. W Las Palmas nic poważnego nie odłożyłem, kasa rozchodziła się na duperele (zapytajcie piłkarzy, ile wydają na duperele - niektórzy po czterysta baniek miesięcznie). Gdyby naprawdę kasa mi się skończyła, nigdy nie wróciłbym do Polski. Siedziałbym w Sewillii i patrzył na rosnącą kupkę pieniędzy. Ale mi się nie chciało, mnie to nudziło. Na półtora roku skończyłem z piłką.

Ktoś powie, że wróciłem do futbolu, żeby znów mieć z czego żyć. W jaki sposób można wydać na Bródnie konkretną kupkę dolarów? W jaki sposób można wydać choćby sto tysięcy? Nie można, to nierealne. Nigdy nie kupiłem sobie samochodu, hazard mnie nie bawił, biedakom nie rozdawałem, a jedyną zachcianką, jaką sobie w życiu sprawiłem była budowa domu. Jak można przepić takie pieniądze? Nie wiem, co i gdzie musiałbym pić, żeby stracić połowę takiej sumy. Może ktoś ma pomysł? Może ktoś potrafi przeliczyć te dolary na litry czarnej whisky? Moim największym hobby jest zbieranie grzybów. A zapewniam, że samolotem na grzyby nigdy nie latałem... Nie wróciłem do futbolu dla pieniędzy. Wróciłem dla piłki, dla meczów, dla adrenaliny. Znudziło mi się siedzenia na tyłku i patrzenie w telewizor. Chciałem udowodnić sobie i innym, że jeszcze mogę być naprawdę dobry.

Teraz też podobno już nic nie mam, jak mówią ci niby najlepiej zorientowani. Po powrocie do piłki grałem przez pół roku w Legii. Miałem kontrakt wynoszący 180 tysięcy złotych rocznie, po odjęciu świadczeń zostawała połowa. Czyli obłowić było się nie sposób, ale nie tak traktowałem grę w Legii. Liczyła się piłka, Legia, Warszawa. Na przejazdy wystarczyło. Do odejścia na Cypr jeszcze dojdę, ale po ponad roku w Anorthosisie wpłynęło na moje konto kolejne 200 tysięcy dolarów. Pytam się jeszcze raz - jak to wydać? Jeśli ktoś ma jakieś ciekawe pomysły, niech mi pomoże, może skorzystam! A przecież czekam na kolejne, przyznane mi przez FIFA, 200 tysięcy zielonych... No i jeszcze w czasie gry w piłkę coś zarobię. Wkrótce skończę 31 lat.

Nie wiem, czy mogę nic nie robić do końca życia. Po pierwsze - mam zamiar jednak coś robić, żeby nie umrzeć z nudy, po drugie - nigdy nie interesowało mnie wieczne jechanie na jakichś odsetkach. Mam kasę i tyle, jak mogę zapłacić, to płacę. Dedykuję to wszystkim tym, którzy chcieliby widzieć mnie bez grosza. Owszem, wydaję na razie sporo. Miesięcznie dwadzieścia tysięcy złotych - na mnie, kobietę, córkę, brata, ojca, matkę - musi iść. Pomogłem też siostrze kupić mieszkanie i tak dalej. Było trochę wydatków. A przecież gdyby nie ja, jedynym źródłem utrzymania dla wszystkich byłoby 500 złotych renty mojego ojca. Sądzę, że z czasem będę wydawał coraz mniej. Zabawa się znudzi, potrzeby znikną.

Już widzę niektórych "życzliwych" po przeczytaniu tego odcinka, jak im kable na szyi wyłazą. Tak panowie i panie, "Kowal" ma się dobrze. Nigdy w życiu nie myślał o pieniądzach. Wiedział, że i tak będzie bogaty. Wyjeżdżając do Hiszpanii chodziło mu tylko o grę w tamtejszej lidze.

Wolę się witać niż żegnać. Dlatego wyjeżdżając do Hiszpanii zostawiłem wszystko za sobą tak, jak było. Wiedziałem, że te trzy godziny samolotem to nie tylko zmiana klimatu. To zmiana całego mojego życia. Wiedziałem, że nadszedł moment, od którego nic już nie będzie takie, jak kiedyś. Nic. Nie będzie imprez, alkoholu, zabaw, spotkań w "Garażu". I nie tęskniłem, zanim jeszcze na dobre zdołałem wyjechać, nie odwracałem się trzysta razy na lotnisku w poszukiwaniu znajomych twarzy. Wszedłem na pokład samolotu zadowolony i pewny siebie. Moja dziewczyna była w trzecim miesiącu ciąży. Nowa piłka, nowa rodzina,

nowy ja.

W Hiszpanii na mnie czekano. Już na lotnisku w Madrycie odebrał mnie menedżer. Pięć godzin jechaliśmy samochodem do Sewilli, nawet nie miałem okazji się przebrać, bo od razu zawieziono mnie na stadion. A tam... O cholera! Pięć tysięcy ludzi przyszło tylko po to, żeby zobaczyć jak wyglądam. Czekał też na mnie trener, prezes i cała drużyna. - Fakt, że nie jestem słaby, ale oni chyba mnie jednak z kimś pomylili - zaśmiałem się. Przeszedłem obok ustawionych w szeregu nowych kolegów, każdemu podałem rękę.

- Wojciech Kowalczyk - przedstawiałem się.

- Juan.

- Wojciech Kowalczyk.

- Rafael.

- Wojciech Kowalczyk.

- Pedro.

I tak dalej. Oczywiście nic a nic z tego nie zapamiętałem i następne trzy dni siedziałem nad skarbem kibica gazety "Don Balon" i wkuwałem na pamięć. - No, ty jesteś Pedro, cwaniaczku! O, a ty Rafael! - uczyłem się. Dla nich też ta moja prezentacja nie była zbyt owocna, bo następnego dnia usłyszałem tylko jak rżęzili: "Wo... Wojsc... Wojesi... Ech... Kowalciz... Kowalzi... Ech". - Polaco! - ktoś krzyknął i to był koniec nauki mojego imienia i nazwiska. Byłem "Polaco". Po kilku miesiącach, gdy już potrafiłem się porozumieć, powiedziałem im: "Chłopaki, ja jestem Kowal". Tylko, że "Polaco" tak już się zakorzeniło, że ten "Kowal" padał raz na dziesięć. Po jakimś czasie niektórzy wołali też na mnie "bigotes", co oznacza wąsy. Co szedłem pod prysznic, to mi pokazywali, żebym i wąsy ogolił. "Bigotes, bigotes!" - śmiali się i robili ruchy sugerujące, że powinienem pozbyć się tego zarostu raz na zawsze. No, troszkę się naczekali. Mniej więcej trzy lata. Ksywka "Polaco" była o tyle niewdzięczna, że tak w Sewilli mówi się na Katalończyków. I za każdym razem, gdy mnie ktoś z kolegów poznał w sklepie i wrzasnął "Polaco!", to się wszyscy klienci gapili. - A mi tam te Polaco pasują, bo jestem za Barceloną! - odgryzałem się.

Pierwszego dnia w klubie, zaraz po prezentacji, miałem też konferencję prasową z setką pytań najzwyczajniejszych ze zwyczajnych oraz rozmowę z trenerem. - Wiem, jak grasz, obserwowałem cię od dawna i zrobiłeś na mnie duże wrażenie. Mam nadzieję, że będziesz stanowił spore wzmocnienie dla zespołu. Na razie będę starał powoli wprowadzać cię do zespołu. Nie miałeś z nami okresu przygotowawczego, spokojnie poznasz kolegów, zobaczysz, jak to wszystko wygląda, jak tu się gra. Ale spokojnie. Widziałem cię i wiem, że sobie poradzisz - wyznał. Nigdy, ani wtedy, ani przez następne lata nie miałem z tym szkoleniowcem problemów. To był prawdziwy profesjonalista, przesiadujący w klubie od rana do wieczora. Takie zaangażowanie jeszcze polscy trenerzy są w stanie sobie wyobrazić. Ale panowie, spokojnie! On siedział w klubie cały dzień i przez ten czas nie rozmawiał o kasie! Taktyka, taktyka, taktyka. Tylko to się liczyło. Zajmował się też najmłodszymi piłkarzami w zespole. Nie jakieś tam: "Kto chce, niech zostanie". Najmłodsi mieli zostać i już - ćwiczyli technikę, strzały, przerzuty.

Trener powiedział, że najpierw da mi trochę wolnego czasu. Przyleciałem do Hiszpanii w środku tygodnia i sobotniego meczu kolegów z Athletic w Bilbao nawet nie obejrzałem. Przez ten czas zwiedzałem Sewillę z dziewczyną i tłumaczką. - Źle wybrałeś! Już my ci pokażemy, że do niewłaściwego klubu trafiłeś! - zagadywali fani FC Sewilla. Kibice Betisu cały czas chcieli o czymś rozmawiać. Kurczę, szybko stałem się popularny! Myślę, że zdradzały mnie te "bigotes", niczym spadochron szpiega Stirlitza z ruskich dowcipów. A już wkrótce miały mnie zacząć zdradzać... gole!

Zawsze miałem szczęście do debiutów. Gdziekolwiek grałem po raz pierwszy - zawsze strzelałem gola. Czuję, że tak może być także i tym razem. Problem tylko w tym, że pierwszy mecz ligi hiszpańskiej, który miałem widzieć z bliska, musiałem rozpocząć z ławki rezerwowych. - Polaco, spokojnie popatrz, jak tu się gra, spróbuj znaleźć miejsce dla siebie. Bez względu na wynik, wpuszczę cię w drugiej połowie - poinformował mnie trener. W szatni wszyscy mnie poklepywali po plecach. Nic nie rozumiałem, ale potakiwałem: - Si, si. Może i mówili, że niezły baran ze mnie, ale to "si, si" powtarzałem niestrudzenie. W końcu zaczął się mecz. Stadion - grywałem na lepszych. Ale nie powiem, ładny i duży. My w Polsce mamy albo ładne, albo duże. A tam potrafili połączyć przyjemne z pożytecznym. Na trybunach 45 tysięcy ludzi - jest dla kogo grać! Mija pierwsza połowa, w szatni trener nic mi nie pokazuje - cholera, jeszcze nie wchodzę. Poszedłem się jednak rozgrzewać - w końcu dał słowo, że mnie wpuści. 60 minuta - nic. 70 minuta - nic. Co jest grane? No, wreszcie! Kwadrans przed końcem trener mnie zawołał. Kilka klepnięć w plecy, zastępujących język hiszpański. - Dobra, teraz patrzcie! - i wbiegłem. Z trybun doszedł do mnie tumult braw, wiedziałem, że wszyscy patrzą właśnie na mnie. - Tylko dajcie mi piłkę - marzyłem. W końcu poszła akcja prawą stroną boiska, dośrodkowanie na krótki słupek. Uprzedziłem bramkarza i starałem się trafić pod poprzeczkę, ale kął był tak ostry, że wydawało mi się, iż nic z tego. Uderzyłem. Chwila niepewności, ale ludzie się cieszą. Jest! Znowu gol w debiucie! Sporting Gijon rozgromiony.

Sędzia jeszcze nie zdążył wyjąć gwizdka z ust, a już koło mnie tłum dziennikarzy, na płycie boiska. I coś zaczynają paplać w tym swoim języku. - Przepraszam, nie mówię po hiszpańsku - stwierdziłem. - He? - zdziwili się dziennikarze, ale byli zadowoleni, że cokolwiek nagrali i będą mogli puścić na antenie radiowej. - No hablo espanyol! - powtórzyłem to samo, ale już w sposób dla nich zrozumiały i uciekłem do szatni. Tam oczywiście wszyscy zaczęli mi gratulować - piłkarze, trenerzy, prezes. Pod stadionem stał tłum kibiców. Wystarczyło, że lekko się wychyliłem, a już rozpoczęło się skandowanie: "Ko-wał-cik, Ko-wał-cik!". - No ładnie namieszałem - pomyślałem wesoło. Na rozmyślania nie miałem jednak czasu, bo zaraz przejął mnie menedżer: - Kowal, idziemy na kolację!

- Wszystko idzie na razie jak po maśle. Wydaje mi się, że na razie nie powinieneś mieć tu żadnych problemów. Teraz wyjeżdżam i musisz radzić sobie sam. W razie czego, dzwoń. Zawsze ci pomogę - powiedział mi w restauracji "menago". Był ze mną przez pierwsze 10 dni w Sewilli, ale w końcu musiał wrócić do swojego życia.

Nie wiedziałem, jak to wszystko będzie wyglądało. Był wrzesień. Patrzyłem w kalendarz i odliczałem dni do Świąt Bożego Narodzenia - do czasu, gdy znów będę mógł polecieć do Polski. Na razie zostałem sam z Ewą. Klub wynajął nam apartament w spokojnej dzielnicy niedaleko stadionu - sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych, dla nas nawet chyba za dużo. Nalegałem, aby odległość od obiektu Betisu nie była zbyt duża, bo chciałem spokojnie dochodzić sobie piechotką na treningi. Autobusy 162 akurat w Sewilli nie kursowały...

Jedyny kontakt z krajem miałem wtedy, gdy udało się ze mną skontaktować jakiemuś dziennikarzowi. Na co dzień zostawał mi tylko język hiszpański. Poznać go musiałem... sam. Mój nauczyciel - Polak - miał mnie gdzieś, odkąd poznał różnicę w zarobkach moich i jego. - Sam się pan ucz! - rzucił, odwrócił się na pięcie i tyle go widziałem. Okazało się, że nie jestem wcale taka ofiara losu, bo po trzech miesiącach w szatni spokojnie mogłem rozmawiać na tematy piłkarskie - na zasadzie "Ty podać Kowal, Kowal strzelić gola". Koledzy mnie lubili. Może dlatego, że gdy już się odzywałem, to starałem się nie puścić jakiegoś smętniaka, tylko wszystkich rozbawić. Mimo to czasami trener wzywał mnie na rozmowę.

- Polaco, masz jakieś problemy? - pytał

- Ja? Problemy? Panie, ja nigdy w życiu żadnych nie miałem!

- Żadnych?

- Panie, sprowadź mi pan kolegów z Bródna to już na pewno mi pan wszystkie problemy rozwiąże!

- Br... Bród... Bródna?

- Tak tylko żartowałem.

W Betisie możesz strzelać gole każdemu, ale najważniejsze, abyś skaleczył FC Sewillę. Jeśli to zrobisz, jesteś kozakiem. Ja tym kozakiem byłem!

Derby w tym mieście zawsze smakowały wyjątkowo, a ja od początku kariery doskonale się czułem w wyjątkowych meczach. Ten z Sewillą wygraliśmy 2:1, sam strzeliłem drugiego gola. Dostałem piłkę w polu karnym, nie miałem czasu, aby spojrzeć, jak ustawiony jest bramkarz. Uderzyłem na siłę, przypadkiem, bez celowania - wpadła gościowi między nogami! Tak to już bywa, że jeden będzie strzelać bez celowania całe życie i tylko sobie krzywdę zrobi, a inny jak nie kopnie, tak wpada - i do tej drugiej grupy należałem ja! Zresztą, tak szczerze, to prawie żaden piłkarz oddając mocny strzał nie celuje. Wie gdzie jest bramka i tyle - raz wpadnie po widłach, a raz pójdzie w sam środek. Takich, którzy potrafią naprawdę kontrolować dokładny kierunek piłki, jest na świecie bardzo niewiele - Sinisa Mihajlović i nie wiem, kto jeszcze. Nie tak dawno Sylwek Czereszewski strzelił w Krakowie bramkę po huknięciu w samo okienko. Nikt mi nie powie, że on tam celował. Po prostu prawie nie trafił w bramkę! Ot, i cała zasługa.

Po strzeleniu gola Sewilli stajesz się królem miasta. Ludzie kłaniają ci się w pas, a ty wiesz, że gdy jutro kupisz gazetę, to znów będziesz na pierwszej stronie. To jest jednak tylko jedna strona medalu w lidze hiszpańskiej. Jest też druga, pokryta cieniem, paskudna. Brutalna rzeczywistość - sprzedawanie meczów. Tak, tak, zgadza się. W Hiszpanii także ustawia się wyniki spotkań i udaje się, iż wszystko jest cacy. Właśnie ułożony mecz najbardziej kojarzy mi się z FC Sewillą. Ułożyliśmy go my, Betis. Mieliliśmy przegrać...

- Chłopaki, w sobotę macie dostać w dupę od Sportingu Gijon. Tak zadecydowałem. Zrozumieliśmy się? - wypalił prezes klubu, zanim jeszcze na dobre wszedł do szatni.

- O co panu chodzi? - zapytał nasz kapitan.

- Jak przegracie ze Sportingiem, to Sewilla leci z ligi! - wytłumaczył swoją filozofię i ruszył do wyjścia. - Żeby mi tylko nikt numeru nie wywinął, bo będzie skończony! - rzucił na koniec. No to ładnie wpadłem!

Au! Chyba coś poczułem w nodze. Och, to na pewno groźna kontuzja. A jeśli nie jest groźna, to na pewno nie jest też lekka! Zaraz, zaraz - przecież mnie nic nie boli. No to na pewno zabolę! - Panie trenerze, wydaje mi się, że sobie coś nadsięgnąłem. Cholernie mnie "dwójka" boli - stwierdziłem. I w tym momencie zobaczyłem, że ból przeszył co najmniej połowę drużyny. - Oho, panie trenerze! Chyba ostatnim razem się nie wyleczyłem do końca! - dodał następny piłkarz. - Oj, skrzypi mi Achilles. Gdzie jest doktor? - padło pytanie z następnego końca szatni.

Im bliżej było meczu, który musieliśmy przegrać, tym więcej dolegliwości pojawiało się w zespole i prawie nie było ludzi zdolnych do trenowania. Jeden z ostatnich poważnych piłkarzy przyszedł dzień przed meczem do trenera z informacją: - Nie wiem, co się stało, ale mam wysoką temperaturę.

No, ten to ruszył po całości. Nie udawał, że coś go pobolewa, tylko chyba biegał nago przez całą noc albo przynajmniej zjadł surowego ziemniaka. - Panowie, to przesada! Jak ja skompletuję jedenastu!? Nikt już nie może zachorować, rozumiano?! Proszę wszystkich, aby poważnie podeszli do zawodu i nie odnosili kolejnych kontuzji - oświadczył szkoleniowiec. I tak zostali mu do gry tylko juniorzy oraz rezerwowi. Siedziałem w czasie spotkania na trybunach i żał mi było tych chłopaków. Jeden z nich nawet miał dobrą sytuację do zdobycia gola. Nie ryzykował - walnął jak najbardziej w górę, byle dalej od poprzeczki. Skończyło się na 0:1, na własnym boisku. Gdy Sporting strzelił gola, kilkadziesiąt tysięcy fanów Betisu wyskoczyło z radości - FC Sewilla spada! Tymczasem po meczu koledzy, którzy musieli wystąpić, mieli łzy w oczach. W szatni panowała kompletna cisza.

- Brawo!!! - przerwał ją nagle nasz prezes. - Wszyscy macie dodatkowe, potrójne premie! To była fantastyczna robota. Dla każdego po milion pesos, jutro do odbioru! - krzyknął. Milion pesos można było w najlepszym wypadku dostać za pokonanie Barcelony czy Realu... - Nie chcemy tych pieniędzy - odpowiedział jeden z tych, którzy grali. Uśmiech zniknął z twarzy prezesa. - Kto nie chce? - spytał. - My - usłyszał. Ten kto chciał, miał podnieść rękę. Nie podniósł nikt... - Nie jesteście warci tego klubu. Skoro nie chcecie moich pieniędzy, to ja się was prosić nie będę - wykrztusił z siebie wkurzony szef. Zaczęły się kłopoty z płatnościami...

Pierwszy sezon w Betisie był bajeczny. Jako beniaminek zajęliśmy trzecie miejsce w lidze. Nie strzelaliśmy dużo bramek, chyba mieliśmy rekordową liczbę remisów 0:0, ale prawie w ogóle nie przegrywaliśmy. Grałem dobrze, może bardzo dobrze, choć na pewno nie tak, jak sobie wymarzyłem. W klubie byli jednak ze mnie zadowoleni. - Polaco, ty zarabiasz za mało. Nie możesz dostawać ledwie dwustu tysięcy dolarów. Dostaniesz podwyżkę, do czterystu tysięcy! - powiedział mi prezes. Nie protestowałem specjalnie i rzeczywiście moje zarobki wzrosły. W dodatku dzień po zakończeniu ligi dostałem wszystkie pieniądze - przyszedłem do klubu, wydano mi czek - i po sprawie! Tak, dobrze trafiłem.

Atmosfera w zespole była bardzo sympatyczna. Raz w miesiącu mieliśmy obiad z prezesem i trenerami oraz kolację, już we własnym gronie. Kolację stawiali ci, którzy najgorzej typowali wyniki ligowe. Trzech ostatnich płaciło za resztę. Raz też się załapałem, ale był taki gość, co przez kilka lat płacił bezustannie. W ogóle chyba nie wiedział, o co w tym wszystkim biega! Przy stole opowiadaliśmy sobie różne zabawne anegdoty. Czasami koledzy pytali mnie, czemu cały czas nie jeżdżę samochodem.

- Bo nie umiem - mówiłem.

- Ale mówiłeś, że masz prawo jazdy.

- Bo mam.

- Masz i nie umiesz jeździć?

- Zgadza się. Kupiłem.

Tłumaczyłem, że naszym sponsorem w Legii było FSO. Przyszedł do mnie człowiek, mówi, że za 300 dolarów załatwi mi prawko, zupełnie normalne, a ja nie będę się musiał ruszać z domu. Proszę bardzo, kolego. No i rzeczywiście. Bez jazu dali mi dokument, widocznie widzieli, że - normalnie - twarz wykapanego kierowcy! - Dziękuję - powiedziałem. Dla Hiszpanów to było dziwne, tak jak dla Polaków dziwne było, iż Hiszpanie do trzeciej rano dzień w dzień siedzieli w restauracji i pili wino, a o dziewiątej rano byli na treningu.

Dla mnie pierwszy rok w Betisie jest pamiętny nie ze względu na atmosferę czy też sukces sportowy. Wtedy wydarzyło się coś znacznie ważniejszego - urodziny córki, Karoliny. W klubie już wcześniej poinformowano mnie: - Widzieliśmy, że twoja partnerka spodziewa się

dziecka. Wszystko już załatwiliśmy. Masz się stawić do tego i tego szpitala, to elitarna, droga placówka.

Gdy już Karolina przysłała na świat, dostałem dzień wolny, drużyna przyniosła mi prezent dla córeczki - złoty łańcuszek ze złotą tabliczką z wygrawerowanym "Carolina" oraz datą urodzenia. Spędzałem sporo czasu na spacerach z wózkiem, mogłem się wykazać w roli kucharza - o czym zawsze marzyłem - choć to może za duże słowo w odniesieniu do osoby, która przygotowywała jakieś niemowlęce papki. Przypomniało mi się też moje dzieciństwo i byłem dumny, że mogę wychowywać dziecko w odpowiednich warunkach - że mogę iść do sklepu i po prostu wybrać najładniejszą zabawkę. Moją zabawką były trampko-korki, z każdym miesiącem coraz bardziej zdarte. W domu nigdy się nie przelewało i należało oszczędzać każdy grosz. A już na pewno nie wydawać na takie głupoty, jak sprzęt do grania w piłkę. Niemniej zawsze sobie jakoś radziłem - starałem się szukać dorywczych prac, aby zarobić parę złotych. Przenosiłem jakieś paczki, pomagałem rozwozić towar. Moje dziecko nie musiało szukać kasy. Już ją miałem.

Przypomniała mi się też inna sytuacja. Kiedy byłem jeszcze straszonym gnojkiem, rodzice zostawili mnie w domu z rocznym bratem. - Tylko siedź przy nim i uważaj, żeby sobie krzywdy nie zrobił! - pouczyli. No tak, ale... moja Olimpia miała mecz. Co tu zrobić? Przyszedł po mnie trener. - Proszę pana, nie mogę jechać na mecz. Muszę zostać z bratem - powiedziałem. - To weź go ze sobą! - odrzekł. To było ważne dla nas spotkanie, musieliśmy wygrać. Miał rację - przecież mogę wziąć brata ze sobą! Wszystko skończyło się tak, że ja biegałem po boisku i pakowałem gołę, a trener stał z kołyską obok i zabawiał grzechotkami mojego brata. Wygraliśmy!

- Tato, wygraliśmy! - krzyknąłem zadowolony.

- Rany Boskie, gdzie ty byłeś? Miałeś opiekować się z bratem! Co z nim?! Już wezwaliśmy policję!

Teraz sam miałem wystąpić w roli ojca. Podobało mi się to. Chciałem nim być.

Lotnisko w Madrycie. Dwóch młodych ludzi ubranych w dresy. Ja i Roman Kosecki, grający wtedy w Atletico.

- Dobra, Kosa, trzymaj się, widzimy się w Buku.

PZPN wykupił nam miejsca w innych samolotach, gdzie indziej mieliśmy międzylądowania. Po kilku godzinach Roman był już na zgrupowaniu kadry. Ja miałem pecha, bo odwołano mój drugi lot i skończyło się tak, że dotarłem do Buku dzień później.

- O rany, Kowal, balonem leciałeś?! - przywitał mnie Romek.

To był mój powrót do reprezentacji Polski. Skoro dobrze radziłem sobie w lidze hiszpańskiej, trener Apostel nie miał wyboru i musiał mnie powołać - było zapotrzebowanie. Wcześniej wypadłem z kadry po porażce z Izraelem w Tel Awiwie 1:2. Już wtedy szykowałem się do zmiany klubu. Wszyscy mi powtarzali: - Co się będziesz, kisił w Polsce, tam masz poważną ligę, poważnych piłkarzy, poważne pieniądze.

Gdy ktoś mnie się pyta, czy warto wyjeżdżać za granicę, to mówię: - Lepiej jedź, zamiast się tu męczyć. Tu zwyczajają cię od sprzedawczyków i jeszcze ci nie zapłacą, a tam jest szansa, że ci zapłacą, a jak cię zwyczajają, to i tak nie zrozumiesz.

W Izraelu zagraliśmy żenująco. Wszyscy, ja też. Rywale właśnie wtedy powoli stawiali się dość poważną drużyną, a my w porę tego nie dostrzegliśmy. Pojechaliśmy na to spotkanie dość dziwnym składem, takim bardziej ligowym - nawet Maciejewski zagrał, choć do wirtuozów piłki nigdy nie należał. Dobry piłkarz na kraj, ale raczej nie taki, żeby go po świecie wozić i pokazywać. Stało się, jak się stało i mecz wyszedł nam tragicznie. Atmosfera w drużynie też nie była specjalnie ciekawa - jak to w zwykłej zbieraninie, w

której każdy każdego znał tylko z widzenia. Jakby tego było mało, w samolocie w drodze powrotnej doszło do kłótni Romka z dziennikarzami, prawie poszły w ruch pięści.

Może to i dobrze, że wtedy sobie odpocząłem od kadry. Mogłem skoncentrować się na początkach w Betisie i poczekać, aż zespół narodowy troszkę spoważnieje. Akurat los tak chciał, że powrót też wypadł na Izrael. Tremy oczywiście nie miałem żadnej. Wracałem jako piłkarz, który nikomu nie musiał się przedstawiać, znałem wszystkich i wszyscy znali mnie. Byłem w formie.

Stara tradycją w reprezentacji są wieczorki powitalne. To chyba nawet dość oczywiste, że jeśli nie widziało się kolegi przez kilka miesięcy, to trzeba z nim porozmawiać trochę dłużej niż podczas posiłku. Szczególnie pierwszej nocy. Nikogo chyba nie muszę przekonywać, iż Buk nie należy do stolicy polskiej rozrywki. Jest tam mordownia, dumnie i modnie nazywana "Night Clubem", żeby chociaż miejscowi zapaleńcy wpadli, kuszeni perspektywą zobaczenia dziewczyny tańczącej przy rurze. Tak naprawdę, ani rur tam nie było, ani dziewczyn, a cały lokal był raczej "dancingiem". Typowa dziura, w której skrzypią drzwi i kleją się stoliki.

Oficjalnie nie można było nawet pić piwa, ale trener dobrze wiedział, że są regulaminy i "regulaminy". Pierwsza noc była nasza, zawsze. Tym razem wytrzymałem i nikt do pokoju nie musiał mnie zaność. Zresztą, nawet trudno byłoby nie wytrzymać tempa, ponieważ na pewnym karierze etapy pije się już inaczej, spokojniej. Przychodzi taki dzień, że wódka idzie w odstawkę, a jej miejsce zajmuje czarna whisky, przy której spokojnie można sobie rozmawiać. Nie chciałem, aby ktoś nas sobie teraz wyobraził jako kilku rupieci siedzących przy markowych cygarach i rozmawiających o kursie ropy naftowej. Potrafiliśmy się też zabawić. Ot, choćby niedawno opowiadana przez Maćka Szczęsnego anegdota o tym, jak jakiś gość, który nas strasznie irytował, zostawił przy stoliku obok białą marynarkę i poszedł tańczyć. Miał pecha, że ktoś grzebiąc we własnej kieszeni stwierdził, iż przypadkiem ma czerwony flamaster. Z marynarki zrobił się śliczny strój narodowy, z numerem dziesiątym na plecach i napisem "Polska". Tak, to właśnie było w Buku. Ekipa była wesoła, każdy każdemu przypadł do gustu. Na tyle polubiłem tę kadrę, że gdy wracałem ze zgrupowania do klubu, to po tygodniu brałem do ręki kalendarz i patrzyłem, kiedy znowu będzie jakiś mecz. Zakreślałem datę... czerwonym flamastrem.

Zazwyczaj na jednej nocy się nie kończyło, bo ciągle dojeżdżali spóźnieni koledzy, z którymi też trzeba było się przywitać. Trener Apostel chyba nic nie wiedział, bo akurat w ośrodku mieliśmy niskie balkony. To była w zasadzie jedyna możliwa droga, bo podłogi strasznie skrzypiały i dyskretne przejście korytarzem sporej bandy nie było możliwe. Nikt nikomu nie chciał wchodzić w paradę, więc skakaliśmy. Tak nawet było bliżej do wspomnianej mordowni. Trenera się nie baliśmy, dziennikarzy też. Wtedy były takie czasy, że gdyby nawet jakemukolwiek dziennikarzowi chciało się dojechać do Buku, to by się do nas co najwyżej dosiadł i sączylibyśmy te whisky razem, choćby całą noc. Dłużej już nie, bo później był trening...

Trener Apostel nigdy nie należał do specjalnie rygorystycznych. Może też wyznawał naszą zasadę, że kto się dobrze nie pobawi, ten dobrze nie zagra? Na początku zgrupowań mówił nam tak: - Jeśli chcecie, to pijcie. Ale jeśli kogoś złapię w łóżku z dupą, to pójdę i powiem jego żonie.

Nawet nie wiem, czy ktoś miał wcześniej taką wpadkę, ale i tak erotomani mieliby w Buku przechłapano, bo tam i tak takich dziewczyn nie było. Nas interesowały bardziej rozmowy, żarty, wspominki. Duszami towarzystwa byli Piotrek Nowak i Romek Kosecki. Słowa Apostela przyjmowaliśmy jako swego rodzaju przyzwolenie, że nie będzie nas ścigał za nocne Polaków rozmowy. Te rozmowy, jeśli mecz był w środę, kończyliśmy koło poniedziałku. I tak przez kilka dni można było wystarczająco się "nagadać". Sam trener co jakiś czas przypominał nam, że mecz coraz bliżej. Nie miał twardej ręki, ale potrafił powiedzieć: "Panowie, koniec. W środę gramy ważny mecz i nie chcę już słyszeć żadnych plotek". Plotek, ponieważ każdy z nas był na posiłkach, na treningach, niby wszystko

normalnie. Jakoś musiało do niego dochodzić, że wymykaliśmy się balkonami.

Piłkarsko też nam Apostel jak najbardziej odpowiadał. Wiadomo, że każdy szkoleniowiec ma swoje wady i zalety. Na przykład Strejlau jest bardzo mocny taktycznie, Apostel trochę słabszy, a Wójcik jeszcze trochę słabszy, ale Wójcik jest świetny do mobilizacji, Apostel trochę słabszy, a Strejlau na końcu. I tak się to wszystko równoważy. Trener Apostel był więc po środku. Jego zaletą było to, że dawał nam na boisku dużo swobody. Mówił: "Drybluj, strzelaj, nie bój się! Daj to, co masz najlepszego! Podejmuj ryzyko!". Na odprawach przedmeczowych raczej umiał czas. Powtarzał, że jesteśmy silni. Podbudowywał.

Dla mnie mecz z Izraelem okazał się najlepszym występem w reprezentacji Polski. Gdy w szatni rozdawano numery, powiedziałem, aby dano mi pierwszy wolny. Akurat na ten mecz nie był powołany Waldek Jaskulski, więc zagrałem z dwójką. Przed spotkaniem publicznie złożyłem deklarację, że strzelę gola. Udało się! Tak naprawdę miałem jednak udział przy czterech trafieniach. Już na początku meczu skręciłem dwóch rywali, wyłożyłem piłkę Piotrkowi Nowakowi, a on huknął do siatki. Później nawet wyszedł mi strzał z 20 metrów, ale trafiłem w poprzeczkę. W ofensywie graliśmy świetnie i mieliśmy naprawdę niezłych grajcarów do strzelania goli. Gorzej, że... do przerwy przegrywaliśmy. Poszły dwie kontry, dwie bramki z niczego. Józek Wandzik zapomniał pobronić.

W szatni panowała grobowa cisza. Każdy był wkurzony. Dobrze graliśmy, tylko bramkarz nie działał. Trener też nic nie mówił. Chwilę po stał w miejscu, chwilę nerwowo pochodził i milczał. W końcu stanął przed nami i powiedział jedno zdanie, które bardzo zapadło mi w pamięci: "Panowie, to może być nasze ostatnie 45 minut". Wstrząsnęło nami. Sądzę, że każdy po cichu myślał, co będzie jeśli zmieni się trener - bo przecież może przyjść ktoś nowy, z nas zrezygnować, wziąć swoich ulubieńców. Teraz, gdy mamy naprawdę fajną paczkę. Dobrze się razem bawimy i dobrze gramy. Tylko bramkarz nie działa...

Na 2:2 strzelił Andrzej Juskowiak. Po mojej akcji bramkarz odbił piłkę przed siebie, a "Józek" nie zmarnował okazji. Następnie przyszła moja kolej - wyszedł mi przepiękny strzał głową w długi róg. Ktoś później napisał, że piłka skręciła na kępcę trawy. Tymczasem w Zabrzu zawsze murawa była równiusiańska, a tak strzelić, żeby piłka zakręcała, to trzeba po prostu umieć. Ja umiałem. Na 4:2 podwyższył "Kosa". Na treningach ćwiczyliśmy takie akcje. Zagrywał piłkę z rzutu wolnego nisko, w długi róg, a ja przebiegałem i uderzałem w krótki. Akurat wtedy nie trafiłem w piłkę, ale całkiem zmyliłem bramkarza i był gol. Na chwilę mecz się uspokoił. Na chwilę, bo Wandzik cały czas stał popsuty. Strasznie się wtedy z nami bawił. Na szczęście potrafiliśmy strzelić więcej goli niż on.

I tak byłem wkurzony, że mimo czterech goli muszę zasuwać do ostatniej minuty. Gdy tylko usłyszałem końcowy gwizdek - przeszło mi. Wandzik to fajny gość, można się pośmiać, jak zaczyna gadać swoją gwarą. A przede wszystkim głupio jest się na kogoś złościć po wygranym meczu i strzelonej bramce. Zdołałem zaprezentować kołyskę dla swojej córki i to było najważniejsze.

Do Warszawy wracałem autokarem z kierownictwem i sprzętem. Kadra rozdzielała się już na stadionie, bo każdy chciał wykorzystać okazję i odwiedzić rodzinę. Kupowałem więc piwo na samotną, długą podróż i można było ruszać. Ile tego piwa? Z Katowic do Warszawy jest 300 kilometrów, więc jeśli nie ma korków, sześć buteleczek powinno wystarczyć.

Dla rodziny nie miałem wiele czasu. Przez cały okres gry w Hiszpanii katował mnie samolot z Warszawy do Madrytu - 6.55 rano. Kończyło się więc na krótkiej rozmowie, zostawieniu pieniędzy rodzicom i trzeba było jechać na lotnisko. Mogłem wracać do Hiszpanii dumny. Spełniłem bramkową obietnicę, strzeliłem gola dla córeczki, pokazałem wszystkim, że jestem kadrze naprawdę potrzebny. Wiedziałem, że tym razem po meczu z Izraelem nikt o mnie nie zapomni.

Wtedy za Apostela mieliśmy świetną pakę. Oj, cóż to była za siła! W przodzie ja, Andrzej

Juskowiak, Piotrek Nowak, Romek Kosecki, Tomek Wieszczycki - było z kim pasy powymieniać! Czy w związku z tym mógł kogoś dziwić wynik meczu ze Słowacją? Pięć do zera? Nikogo! Dla mnie to spotkanie było trochę mniej udane niż dla reszty chłopaków, bo w pierwszej połowie coś mi strzeliło w plecach i ledwo dograłem do przerwy. Po dojściu do szatni powiedziałem tylko: - Panie trenerze, ja dłużej nie dam rady! Pamiętam, że przed meczem porozmawiałem chwilę z Dubovsky'm, największym gwiazdorem Słowaków. Podobnie jak ja grał w lidze hiszpańskiej, wymieniliśmy zwyczajowe pozdrowienia, poklepaliliśmy się po plecach, życzyliśmy sobie zdrowia.

- Trzymaj się stary, powodzenia!

Wkrótce potem zginął... Skoczył tak nieszczęśliwie do wody, że chyba złamał kręgosłup. Wkrótce po meczu ze Słowacją doszło do wyjazdu, który zapamiętam do końca życia. Środek wakacji, zawodnicy rozsiani po Grecjach, Cyprach, Sesselach i innych Dominikanach, aż tu nagle informacja - grasz mecz! Mieliliśmy lecieć do Brazylii. Wiadomo, że Brazylijczycy to nie ogórki, więc sobie zażyczyli, że skoro mają z nami grać, to musimy przylecieć w najmocniejszym składzie. No to dostali, bandę wczasowiczów! Tomka Wałdocha ściągnięto w środku urlopu, chłopak kompletnie bez treningu, bez formy. Co tu owijać w bawełnę - żaden z nas nie nadawał się do profesjonalnego spotkania. Ja byłem w o tyle dobrej sytuacji, że dopiero co zakończyłem sezon w Hiszpanii. Jeszcze jako mogłem biegać. PZPN chciał wtedy przyoszczędzić na biletach lotniczych, więc zorganizowali nam tam chyba dziewięciodniowy pobyt. Sama podróż była zwiastunem najlepszego! Wylot z Warszawy do Brukseli, tam marne dwanaście godzin czekania na kolejny samolot. W końcu jest - podstawili, "Brazylijczyk". Ludzi cała masa, każdy z wielkimi walizami, aż zwątpiliśmy, czy ten samolot w ogóle się podniesie? Ulga, jest, podniósł się! W środku napchane siedzeń tak, że na bank ktoś musiał przy tym wszystkim majstrować i dołożyć kilka dodatkowych rzędów. Trudno panowie, damy radę! Poszliśmy spać... Lądujemy w końcu w Brazylii, wychodzę z samolotu, a tam policja. Patrzą się na mnie, dyskutują - zaraz, zaraz, jestem niewinny! Idę tak lekko speszony, ale o dziwo mnie nie zaczepili. Za mną "Kosa". Oho! Pan pójdzie z nami. Za chwilę Waldek Jaskulski - następny zawinięty! Cholera, co jest grane? Zgarnęli nam dwóch piłkarzy, wsiedli w samochód i pojechali. A ja stoję jak kołek na pasie płycie lotniska. No ładne jaja, ale cóż - nie moja sprawa. Wsiadamy do autokaru, który miał nas zawieźć na terminal, ruszamy...

- Trenerze, a co z "Kosą" i "Jaskułą"?
- A co ma być?
- Aresztowali ich.
- Co?!
- Przyszła policja i ich aresztowała.
- Jak to aresztowała?
- Normalnie aresztowała. Nie ma ich z nami!

Ciekawe, czy gdyby ktoś się wtedy nie odezwał, to czy kierownictwo nie zorientowałoby się na przedmeczowej odprawie, że kogoś do gry brakuje. Fakt, że sztab szkoleniowo-organizacyjny na końcu opuszczał samolot i mógł całego zamieszania nie widzieć. Po dotarciu do odprawy paszportowej spotkaliśmy "pensjonariuszy". Co się okazało - kiedy wszyscy poszli spać, siedzący obok siebie Romek i Waldek dyskutowali. Doczepić się do nich inny pasażer, iż mają iść spać, zamiast rozmawiać. "Kosa" po hiszpańsku wytłumaczył mu, że samolot został wymyślony z myślą o pokonywaniu sporych dystansów i szybkemu przemieszczaniu się, a nie o spaniu - od tego są łóżka. Ta argumentacja jakoś nie trafiła do nadpobudliwego pasażera i rozgorzała kłótnia. Roman usadził typa i wyraźnie dał do zrozumienia, że pójdzie spać w momencie, gdy mu się zachce i ani minuty wcześniej. Tamten obraził się na amen i "zakapował". To wszystko działo się, gdy reszta kadry spała, niektórym pomogły środki nasenne przyjmowane przez dwanaście godzin na brukselskim lotnisku. Włos z głowy naszym dwóm asom nie spadł,

policja przyjęła wyjaśnienia i tyle. My już wtedy wiedzieliśmy, że zgrupowanie, które tak się zaczęło, nie ma prawa być nudne...

Żaden trener na świecie nie zmusi piłkarzy do trenowania w czasie urlopów. Panie, daj pan nam spokój i organizuj czas wolny komuś innemu. My mieliśmy urlopy. Stało się więc na tym, że w Brazylii byliśmy chyba z dziewięć dni, a w tym czasie przeprowadziliśmy dwa treningi, no i rozegraliśmy spotkanie. Jeśli już rozmawialiśmy o meczu, to z naszymi bramkarzami: - Jak tam forma, bramkarzyki? Coś chyba szóstka to będzie lekko licząc! Kto wie, może rekordzik? Jak tu myśleć inaczej, skoro po tamtej stronie konkretne grajki, a u nas jedno wielkie "jesteśmy na wczasach, w tych górskich lasach"? Pogodzeni z faktem, że musimy zainkasować kilka bramek, wykorzystywaliśmy wakacje, na które uczciwie zapracowaliśmy. Policja z góry nas uprzedziła: - Nie wychodźcie z hotelu, bo dla obrączki ktoś wam może rękę uciąć. W związku z tym pozostały hotelowe atrakcje. Całe szczęście, że w hotelu był basen. Ale ile można pływać? Niektórzy chodzili i przeklinali, prosili działaczy: - A nie da się wrócić do Polski wcześniej? Nikomu nie uśmiechały się wczasy z serii "Podróże z PZPN kształcą", bo przecież czekały na nas rodziny. Nic to. Trzeba posiedzieć, to posiedzimy. Wlewaliśmy w siebie alkohol przez kilka dobrych dni! Bezustannie. Jedna, wielka, nieprzerwana impreza. Nawet nie wiedzieliśmy, jak nazywać kolejne dni. Było więc "przygotowanie do przygotowania rozpoczęcia zgrupowania", "przygotowanie do rozpoczęcia zgrupowania", "rozpoczęcie zgrupowania", "przygotowanie do przygotowania do zakończenia zgrupowania" itd. A co dzień, to okazja! Gdy niektórych chwyciła fantazja, to zrobiło się naprawdę wesoło. Jednego dnia Andrzej Juszkowiak z Tomkiem Wałdochem nawet wynajęli sobie jacht, żeby pobawić się w wielkim stylu. Ja powiedziałem, że w to nie wchodzę, bo na bank zwymiotuję. Zostałem z Piotrkim Świerczewskim na plaży. Zaczęliśmy sączyć jakieś ekskluzywne drinki z ananasowych skorup i tak nas trzepnęło, że zanim się zorientowaliśmy... skończyła się plaża. Gdy zaczynaliśmy tę fazę przyjmowania trunków, mieliśmy do morza dobre pięćdziesiąt metrów. Musiało nam się dobrze rozmawiać, bo zabrał nas przyплыw! Widząc, co się dzieje, trener Apostel oświadczył: - Panowie, zdaję sobie ze wszystkiego sprawę. Mam tylko jedną prośbę. Tego i tego dnia wyjeżdżamy z hotelu na lotnisko. Chciałbym, aby wszyscy byli obecni.

Odprowa przedmeczowa w podobnym tonie. Apostel wiedział, że ma do czynienia z zespołem pieśni i tańca, a nie piłkarskim. - Przyjechaliśmy tu, żeby się nie skompromitować - stwierdził. Miał rację. Sam sądziłem, że jak nas złapią, wyczują frajerów, to będę błogosławił dzień, w którym zostałem napastnikiem, a nie obrońcą lub co gorsza bramkarzem. Nikt nie obstawiał niskiego wyniku. W naszych przewidywaniach było tylko "od piątki w górę". I co się okazało? Mogliśmy wygrać! W pierwszej minucie zostałem tak ścięty w polu karnym, że myślałem, iż mi nogi urwie. Takie faule powinni nagrywać dla sędziów i pokazywać - "Oto jest wyznacznik faulu, za który trzeba dyktować jedenastkę". Oczywiście miejscowy sędzia, Brazylijczyk, nie miał o tym pojęcia. Skończyło się wynikiem 2:1 dla Brazylii, co mogło świadczyć o tym, iż oni też mieli podobne zgrupowanie. Niemniej trzeba przyznać, że spotkanie nam wyszło. Brazylijskie gazety zachwyciły się "Wieszczem", pół ligi chciało go brać za każde pieniądze. Cóż on tam z nimi wyprawiał! Na boisku krawaty wiązał, kręcił jak baranami, siatki zakładał. Padali przed nim, nie wiedząc o co chodzi. Istny cyrk! Później Andrzej Juszkowiak, który akurat strzelił kolejnego swojego gola, tłumaczył nam z gazet teksty o genialnym Tomku W. Kto wie, jak to spotkanie by się skończyło, gdyby nie mania Maćka Szczęsnego, aby stawiać obrońcę tylko przy jednym słupku. Jeden do słupka! Gol... Co było później - wiadomo. Jeden do słupka! Gol... Obie bramki takie same! Trener Apostel z powodu wyniku był wniebowzięty. My też, ale szybko przeszliśmy nad tym do porządku dziennego i wróciliśmy do zajęć w podgrupach. Roman Kosecki jako jedyny coś nie mógł zapomnieć o meczu i ciągle przykładł sobie łód do lekko rozbitej nogi.

- Idę, położę się z tym lodem.
 - Siedź, co będziesz chodził?
 - Poleżę i wrócę.

Lekko się przeliczył, bo był już na tyle zmęczony, iż z tym lodem usnął. Obudził się po dobrych dwóch godzinach z odmrożeniem! - Jak ja się w klubie pokażę?! Co im powiem, że się upiłem i usnąłem z lodem przy nodze?! - marudził. I ciągle powtarzał, jak go boli. - Czemu mnie nie obudziliście?! Wiedzieliście, że tak będzie! - narzekał. Jeszcze czego, żebym chodził i sprawdzał, czy Roman sobie nie robi epoki lodowcowej w pokoju.

Przesympatyczne zgrupowanie w Brazylii dobiegało końca. Żegnaj kraino miodem płynąca. No, może nie tylko miodem. Jeszcze przed samym wyruszeniem z hotelu doszło do małego zamieszania - ktoś nie zapłacił za piwo! Jeśli mam być dokładnym, ktoś nie zapłacił za kilkadziesiąt piw. Podejrzani byli młodzi mężczyźni, w wieku od 20 do 35 lat, widywani w biało-czerwonych dresach.

Wszyscy siedzieliśmy już w autokarze, gdy nagle przybiegł kelner.
 - Stop! Zaraz, nieuregulowany rachunek! - krzyknął podenerwowany.
 - Uuuuuuu - rozniosło się po autokarze. My, piłkarze, nie kryliśmy oburzenia.
 - A z jakiego pokoju?
 - 628.
 - Kto miał pokój 628?
 - (cisza)
 - Kto miał pokój 628?!
 - Prezes Kulesza! - krzyknął ktoś.
 - Oooooooooooooo - rozległo się znów w autokarze, a po twarzy pana Ryszarda spłynął rumieniec, ale widać też było w oczach zaskoczenie.
 - A co to za rachunek? - zapytano.
 - Kilkadziesiąt piw!
 - Uuuuuuuuuuuuu - piłkarze kręcili głowami. - No ładnie panie prezesie, no ładnie!

Kto wie, czy właśnie wtedy Kulesza nie wydał ostatnich pieniędzy. Okazało się bowiem, że gdy przylecieliśmy do Belgii i znów wyszło na jaw, że mamy czatować na lotnisku kilkanaście godzin, dostaliśmy... jakieś drobne pieniądze i kazano nam zjeść posiłek w McDonaldzie. I to zjeść dużo, bo nie wiadomo, kiedy będzie następny! Spojrzeliśmy się na siebie, kilku chłopaków mimo wszystko prowadziło zdrowy tryb życia i preferowało trochę inne restauracje, ale cóż - jak trzeba, to trzeba. Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek reprezentacja Polski jadła w posiłki w lotniskowym fast-foodzie? Żeby jednak tak ciągle nie ganić tego PZPN, to trzeba przyznać, że na noc, którą mieliśmy spędzić w oczekiwaniu na samolot z Belgii do Polski (który to już był dzień zgrupowania, osiemdziesiąty?), wykupiono nam miejsca w hotelu. Wchodzę razem z Andrzejem Juskowiakiem do pokoju, a tam - niestety - podłoga się rusza.
 - Dziękujemy bardzo, ale prosilibyśmy pokój bez tych małych przyjaciół. Następnego dnia byliśmy w Polsce. Sami. Kierownictwo kadry znalazło sobie wcześniejszy lot. Ilekroć myślę o Brazylii, przypomina mi się także inny wypadek do Ameryki Południowej, jeszcze za kadencji Andrzeja Strejlaua. To samo! Jakoś nasi specje od organizacji w PZPN nie byli mocni w tym kierunku. Wtedy lecieliśmy do Ameryki krajowym składem, taka bardziej Liga Polskich Rodzin, niż reprezentacja Polski. Pamiętam, że wszyscy byli już w Moskwie, gdzie mieliśmy przesiadkę, a ja i Marcin Jałocha dolecieliśmy później, ze względu na mecz w ekstraklasie. Zawieziono nas do niby-hotelu, w którym reszta kadrowiczów oczekiwała na lot. Drzwi do pokoiów pootwierane, bo po pierwsze śmierdziało, po drugie - strach zamknąć, mogą się nie otworzyć. Wylot mieliśmy o jakiejś skandalicznej porze, czwarta czy piąta rano. Na wstępie stewardessa nas poinformowała:
 - Drodzy państwo, będziemy lecieć około 24 godzin.
 Chwila, zaraz, o co chodzi? Dookoła świata zasuwamy, czy jak? Droga pani, to jakaś

pomyłka, nie pracuje pani w sterowcu! Później się okazało, że mamy trzy międzylądowania. No ładnie, w takim razie trzeba się zaszczepić. Zaczęliśmy pić piwo, ale ile można to robić, skoro kolejka do ubikacji się wydłuża? Przerzuciliśmy się na drinki mocniejsze, ale mniej moczopędne. 24 godziny w samolocie! Pierwsze międzylądowanie - wyspa, a na niej lotnisko, sklep bezcłowy i kibel. Tak, piękne miejsce. Cały samolot ruskich zrobił zakupy, ciekawe czy chociaż piloci lecieli na trzeźwo? Znowu startujemy, znowu ulga, że się udało. Poszedłem spać. Każdy może się zmęczyć w samolocie.

- Kiedy następne międzylądowanie? - spytałem Piotрка Świerczewskiego po przebudzeniu.

- Już było!

- Jak to było? Przecież nie wysiadałem.

- Słuchaj, Kowal, to było tak. Nie mogliśmy cię obudzić i powiedzieliśmy, że zostajesz. Przyszła stewardessa, też nie dała rady, w końcu przyniosła latarkę, podniosła ci powiekę i sprawdziła, czy żyjesz! Wszyscy poza tobą wyszli, wrócili po kilkudziesięciu minutach, a ty tu lizaleś rany. Chyba wbrew przepisom, ale nikt cię nie chciał nosić.

Trener nie miał pretensji, bo każdy zachowywał się spokojnie. Nikt nie tańczył, nie rzucał butelkami, nie wymiotował. Po prostu z czasem kolejne osoby się wyłączały i szły spać. Kto miał dość podróży - skracał ją sobie wszystkimi dostępnymi środkami. Cóż, wybór środków nie był zbyt bogaty, ale to już nie była nasza wina. Liga Polskich Rodzin nawet tak źle tam nie pograła, chociaż z drugiej strony pierwszy raz w życiu poniosłem porażkę w meczu kadry - dopiero w dziewiątym występie. Powiózł nas przede wszystkim młody Redondo, uświadomił niektórym na czym polega różnica między kopaniem piłki a graniem w piłkę. Później nawet wygraliśmy z Urugwajem 1:0.

Ostatnim moim występem za kadencji trenera Apostela był mecz Francja - Polska. Selekcjoner strasznie wziął sobie do serca to spotkanie i postanowił zorganizować nam zgrupowanie w takim miejscu, żeby już za nic w świecie nie dało się rozkręcić choćby krótkiego powitania kolegów. A powinien wiedzieć, że Polacy to tradycjoniści i skoro owe powitania były zawsze, to od reguły nie ma wyjątków. Zakwaterowano nas gdzieś pod Otwockiem. Las, cisza, normalny koniec świata. W związku z tym w nocy musieliśmy zamawiać taksówki. Strasznie droga impreza z tego wyszła, bo Warszawa wcale nie zaczynała się za rogiem. Oczywiście do Apostela jakoś doszło, że piłkarzy znowu nie było w pokojach.

- Co to ma znaczyć? Inaczej będziemy rozmawiać! Mamy mecz z Francją, a w hotelu nikogo. Nikogo! - wkurzył się trener.

- Panie trenerze, to było tylko powitanie kolegów, jednorazowe, więcej nic już się nie zdarzy. Może pan być spokojny - tonował Romek Kosecki.

- Trenerze, to nie tak, jak w Buku. Tu była pełna kultura, spokój. Posiedzieliśmy sobie, pogadaliśmy i tyle. Nie ma się co złościć - dodałem od siebie.

Apostelowi złość szybko przeszła i następnego dnia zachowywał się tak, jak gdyby sprawy nie było. Zresztą - naprawdę jej nie było. My cały czas trenowaliśmy na pełnych obrotach, a tamtej nocy nikt nawet się nie upił. Wszystko było tak, jak powinno być przed ważnym meczem. Dla mnie termin spotkania z Francją był niefortunny, ponieważ jeszcze nie zdążyła wystartować liga hiszpańska. Trener ufał mi jednak na tyle, że delegował mnie do pierwszego składu. Ja i "Józek" w ataku.

W całym meczu stworzyliśmy pół sytuacji podbramkowej. Podałem na pamięć, z obrotu do Andrzeja, a on strzelił gola. Bernard Lama może trochę zawałił w tej sytuacji, ale przecież w tamtych eliminacjach i my nie mieliśmy szczęścia do bramkarzy. Na szczęście w Paryżu Józefa Wandzika zastąpił Andrzej Woźniak. Tak sobie z Juskowiakiem staliśmy i patrzyliśmy, co też ten "Woźny" wyprawia w bramce. Chyba po naszym голу ani razu nie było okazji, aby chociażby odwrócić się w stronę bramki przeciwnika. Jak nas złapali, tak nie mogliśmy zrobić ani sztycha. A Woźniak szalał. Po dwie dobitki, po trzy, siniaki mu na

twarzy wyskakiwały, a on wciąż bronił. Fenomen. Gdy Francuzi egzekwowali rzut karny, wszyscy wrzeszczyliśmy: - "Woźny, dasz radę!!!". I dał! Później wprawdzie zaważył gola, bo piłkę uderzoną z rzutu wolnego przez Djorkaeffa złapał w zęby, gdyby stał tam, gdzie miał stać, ale nikt nie miał pretensji - dzięki niemu było 1:1, a nie 8:1.

Atak Kowalczyk - Juskowiak to było to! We dwóch rozumieliśmy się wspaniale, czego dowodem była właśnie bramka z Francją. Wiele osób mnie pyta, jak to jest z "Józkiem" - czy byliśmy równie zgrani poza boiskiem? Odpowiedź nie należy do łatwych. Nie jesteśmy takimi przyjaciółmi, żebyśmy do siebie dzwonili co tydzień czy co dwa. Zresztą, gdybym miał dzwonić do wszystkich ludzi z reprezentacji to w miesiącu musiałbym wykonać około czterdziestu telefonów. Natomiast na pewno Andrzeja lubię i to bardzo. Kiedy jest ku temu sposobność, chętnie się z nim spotykam. Na przykład kiedyś jako gracz Olimpiakosu Pireus przyjechał do Sewilli na mecz pucharowy, więc odwiedziłem go w hotelu, spędziliśmy miło czas. Na zgrupowaniach reprezentacji też mieszkaliśmy czasami razem. Nigdy nie uderzyła mu sodówka, mimo że zaliczał się do najlepszych środkowych napastników świata. Nie, nie przesadzam. Fakt, że i jemu zdarzały się słabsze okresy, ale kto ich nie miewa? Może Mario Jardel, ale tylko dlatego, że gra w ogórkowej lidze.

Andrzej to spokojny typ, ale na pewno nie mruk. Po prostu wcześniej się ustatkował, założył rodzinę i to było widać. Ale nie mruk... Mrukiem to był Dembiński czy Gęsior, co wynikało chyba z faktu, że nigdy nie wierzyli za bardzo w swoje umiejętności. Skryci, przestraszeni. Bali się, czy jak podpadną, to nie stracą miejsca w składzie. A gdy ktoś jest dobry, to lubi się pobawić, pośmiać i nie trzęsą mu się nogi na myśl, że po piwie wpadnie głową w kraty. "Jusko" jest inny. Pozornie niewinny, ale gdy wskazało mu się kierunek zabawy, to rychło znajdował się w radzie nadzorczej.

Niektórzy też mnie zagadywali, czy akcja, po której strzeliliśmy gola Francuzom, była ćwiczona na treningach. Tak naprawdę nie mieliśmy opracowanych żadnych schematów. Gol z Francją też był wynikiem improwizacji. Schematy można opracowywać z pomocnikami, ale nie z partnerem z ataku, który na gazie wychodzi do kontrataku. Tu już się liczy tylko refleks i precyzja. Moją zaletą było to, iż wiedziałem, jak Andrzejowi należy podawać - najlepiej mocno, na woleja, prosto w niego. Uderzenie z powietrza ma czyściutkie i piorunujące! Wytrenował nawet takiego piłkarskiego pajacyka, przy którym uderza piłkę z obrotu, z woleja. Natomiast zabójstwem dla "Józka" są podania po ziemi na lewą nogę. Wtedy łatwo zakopać w trawę. Akurat we Francji Andrzej strzelił gola lewą nogą, ale ta piłka była bardziej pchana, niż czysto uderzona.

Andrzej w tamtych eliminacjach spisywał się wybornie. Miał jeszcze szansę na wielką karierę. Jednak moim zdaniem ten decydujący, fałszywy ruch zrobił kilka lat wcześniej - gdy przed olimpiadą podpisał kontrakt ze Sportingiem Lizbona. Jako król strzelców trafiłby na pewno do ligi włoskiej czy hiszpańskiej i dziś do nas wszystkich przemawiałby z łamów "La Gazzetta dello Sport".

Podniosłem słuchawkę telefonu, wykręciłem numer Henryka Apostela.

- Trenerze, Kowal mówi. Jest taka sprawa. Czy mogę przyjechać na kadrę po lidze? Będę dwa dni później. Gramy z Meridą.

- Wojtek, to jest decydujący mecz. Nie ma takiej możliwości.

- Bo mi tu w klubie dupę trują, że muszę zostać.

- Nic z tego, przyjeżdżaj.

- Dobra, tylko jakby ktoś z PZPN mógł wysłać faks do Betisu, kiedy muszę być. W porządku?

- Nie ma sprawy, trzymaj się.

Tak też myślałem. Trener nie będzie szczęśliwy... W klubie chodzili za mną od kilku dni - "musisz zagrać z Meridą"! To był pierwszy mecz ligowy sezonu 1995/96. Byłem w strasznym gazie. Czuję, iż nadchodzi ten moment, kiedy na hiszpańskich boiskach mogę zrobić furorę. Drugi sezon, po zaaklimatyzowaniu się, najczęściej jest przełomowy -

wóz albo przewóz. Byłem przekonany, że jednak wóz. - Polaco, na Meridę musisz zostać. Zorganizujemy ci lot do Polski od razu po meczu. Pięć godzin po ostatnim gwizdku będziesz już na zgrupowaniu - mówił mi prezes. Czułem się potrzebny i widziałem, iż wszyscy na mnie liczą. Byłem napastnikiem numer jeden - piłkarzem, od którego rozpoczynano skład. Swoją wartość potwierdziłem w czasie przedsezonowego turnieju, gdy zostałem królem strzelców. Piłki wchodziły jedna za drugą. A prezes zacierał ręce, że wcześniej przedłużyłem kontrakt do 2004 roku. To miłe uczucie.

Nie chciałem robić problemów trenerowi Apostelowi. W tamtych eliminacjach wystarczyło nam wygrać z Rumunią i wyszlibyśmy z grupy. I właśnie teraz kazali mi wybierać - kadra czy klub?

- Trenerze, oni mnie tu męczą - znowu zadzwoniłem do Apostela.
- Wojtek, to nasz najważniejszy mecz. Od niego wszystko zależy.
- Mówią, że zorganizują przelot. Od razu po meczu podstawią mnie do Buku.
- Dasz radę wypocząć do Rumunii?
- Tak.
- Dobrze, czekam na ciebie, ale dopilnuj tego przelotu.
- Nie ma problemu trenerze, dziękuję.

Kilka dni później znów chwyciłem za telefon. Była prawie druga w nocy. Bywają sprawy niecierpiące zwłoki.

- Nie przyjadę - oświadczyłem.
- Dlaczego? - zapytał tyleż zaspany co zaskoczony trener.
- Złamałem nogę...

Pamiętam ten ból, pamiętam ten trzask. Mecz z Meridą rozpocząłem oczywiście w podstawowej jedenastce. Odjechałem obrońcy z piłką, była trzydziesta minuta meczu. Poszedł prosto na moją nogę, nic go innego nie interesowało. Widziałem później tę sytuację wielokrotnie w telewizji. Celował tylko w nogę... Nie wiem, gdzie bym teraz był, gdyby nie ten mecz. Gdybym o czasie pojechał na mecz kadry... Na 45 dni trafiłem w gips, później długa rehabilitacja. Pół roku nie grałem w piłkę.

Zaniesiono mnie do szatni, na jednej nodze jakoś doskakałem pod prysznic. Później do szpitala i w pancierz po same jaja. W domu byłem bardzo późno.

- Co tak długo? - spytała Ewa, która już spała, gdy wróciłem.
- Długo, bo wolno.

Z początku nie zrozumiała o co chodzi, ale po chwili spostrzegła kule. Rzuciła okiem na moją nogę i już miała pewność. Tak to bywa w piłce. Wszystko idzie fantastycznie i wydaje ci się, że już trzymasz pana Boga za nogi - i wtedy słyszysz złowrogie "trach". Myślę, że to był jeden z przełomowych momentów kariery. Nie pozwolił mi kontynuować tego, co trwało od meczów z Sampdorią Genua - ciągłej wspinaczki na szczyt, przez polską ligę, olimpiadę, reprezentację Polski, ligę hiszpańską. Trach - i pęka bańka mydlana.

Mimo tych wszystkich doświadczeń, sukcesów, wciąż byłem osobą bardzo młodą - miałem 24 lata i nie załamywałem się. Wiedziałem, że jeszcze wrócę na boiska i jeszcze nie raz odjadę obrońcy tak, jak wtedy. Ale z drugiej strony pojawił się olbrzymi znak zapytania. Nie wiedziałem, jak będę wyglądał za pół roku, jak będę kopał piłkę. Nigdy nie miałem takiej przerwy. Chciałem wszystko wkoło roznieść. Miałeś być gwiazdą, Kowal, to miał być twój życiowy sezon! To miała być popisówka, twoja piłkarska wizytówka! I byłaby, na pewno... Jakie to wszystko jest ulotne. W jednej minucie meczu w Genui stajesz się gwiazdą i w jednej chwili tą gwiazdą przestajesz być. Zabłąkana noga i jesteś zwykłym pacjentem szpitalu na peryferiach wielkiej piłki.

To normalne, iż pojawiły się myśli, że należało jechać na mecz z Rumunią i nie byłoby problemu, kontuzji. To się jednak łatwo mówi. A kto wie, czy Rumun też by nie złamał mi nogi? Nikt. Nie sprawdzę tego. Szczęście w nieszczęściu, że to wszystko stało się wtedy, gdy już byłem graczem ligi hiszpańskiej. W Polsce zapakowanoby mnie w gips, a na odchodnym w klubie usłyszałbym: "Synku, to za kilka miesięcy, jak będziesz się czuł na siłach, wpadnij do nas, potrenujesz". W Betisie było inaczej - dzień w dzień pod moje mieszkanie podjeżdżał samochód, który zawoził mnie na zabiegi rehabilitacyjne lub siłownię, a później odwoził do domu. Pocięgą było dziecko, którym mogłem się częściej zajmować. Ale już chociażby spacerować z wózkiem wykluczone.

W klubie ciągle pytali: "Polaco, jak zdrowie? Kiedy wracasz?". Trener też mnie zagadywał i mówił, iż prezes cały czas go męczy o mój powrót. Czekali na mnie. Mnie wkurzało przede wszystkim, iż przepadła mi gra w europejskich pucharach, do których awans był także moją zasługą. W ogóle w życiu nie miałem szczęścia do pucharów. Jest wielu słabiaków, którzy natłukli mecze z jakimiś drużynkami z Walii czy Malty, strzelając im po dziesięć bramek. A ja w życiu zagrałem gdzieś w dziesięciu meczach pucharowych! W Legii raptem sześć - Sampdorii strzeliłem dwa gole, Manchesterowi jednego, później nas zdyskwalifikowano, następnie szybko wyleczył nas Hajduk. W Betisie złamana noga, w Anorthosis rozwiązano ze mną kontrakt przed spotkaniami z Boavistą Porto... Tamtego lata, w Sewilli, przepadła mi między innymi możliwość zmierzenia się z Zinedinem Zidanem, grającym jeszcze w Bordeaux. Strzelił nam nawet gola z czterdziestu metrów, chyba zauważył, że nasz bramkarz zasnął. Irytował mnie także fakt, że dopiero co skończyłem okres przygotowawczy, a tu marne 30 minut i wszystko od początku - siłownia, potem bieganie w kółko. A piłka rzucona gdzieś w kąt.

Na pierwszym treningu po tak długiej przerwie byłem zaskoczony, że jednak piłka wciąż mnie się słucha, miałem trochę tej techniki w nodze. Oczywiście, nie wychodziły mi tak jak wcześniej czterdziestometrowe przerzuty, pojawiały się problemy z precyzją przy strzale, ale nie było dramatu. Widać, że przez cztery miesiące bez kopania piłki z Maradony nie zrobi się Drewnopoulos.

Co ciekawe, wkrótce po powrocie do gry strzeliłem przepiękną bramkę - w spotkaniu z Valladolid. Kolega zagrał mi na szesnasty metr, a ja uderzyłem z woleja, z obrotu, w boczną siatkę. Ileż razy później pokazywali to trafienie w telewizji - bramka kolejki i tak dalej. Jednak w Hiszpanii zdobyłem kiedyś ładniejszą, jeszcze w swoim pierwszym sezonie, zaraz na początku. W Pucharze Króla graliśmy z Realem Sociedad. Uciekłem z piłką na szybkości od połowy boiska. Przebiegam ze czterdzieści metrów, odwracam głowę, żeby zacentrować, a tam nikogo - wszyscy zostali na własnej połowie i spisali tę akcję na straty. Ruszyłem jeszcze do chorągiewki w narożniku boiska i poczekałem kilka sekund, ale nikt się nie pofatygował. Co za barany! I co mam teraz zrobić? Wkurzyłem się i kopnąłem piłkę z całej siły w stronę bramki. Patrzę, patrzę, a ona coś tak ładnie zakręca. Moje oczy robiły się coraz większe, a piłka skręcała coraz bliżej okienka. I o dziwo - wpadła! Cały stadion w szoku. Koledzy z drużyny stoją jak wryci, zamiast się cieszyć. Ławka rezerwowych oniemiała. Ja też tak stoję i patrzę... No, nieźle. Oni też musieli sobie pomyśleć, że nie najgorszy ten ich nowy Polaco. Dzień dobry, Wojtek jestem.

Najwięcej zamieszania narobiłem w swoich pierwszych występach po powrocie do gry po złamaniu nogi. Mieliśmy mecze pucharowe z Atletico Madryt. W pierwszym, na wyjeździe, zremisowaliśmy 1:1 i byliśmy o krok od awansu. Jednak w rewanżu sędzia nas "skręcił", ja go oskarżyłem... Oj, było gorąco.

To był piękny druk. Profesjonalny. Na wszystkich frontach. Najpierw nie został wyrzucony bramkarz Atletico za to, że obronił strzał naszego zawodnika już poza polem karnym. Sędzia udał, że to była interwencja głową. Później karny z rękawa, na koniec czerwień dla naszego z powietrza. Odpadliśmy z Pucharu Króla, a Atletico sięgnęło później po dublet. Na boisko leciały pomarańcze, butelki, zapalniczki. Publika wyła.

Byłem nie mniej zagotowany niż kibice. Oszukano nas! Starasz się, walczysz, ale z takim

gościem nie wygrasz. Był zbyt bezczelny. Nie interesowały go kamery wideo, cała ta otoczka. Miał swoją misję do spełnienia. Spełnił. Wbrew piłce.

- Panie Kowalczyk, co pan myśli o poziomie sędziowania? - spytał mnie jeszcze na boisku dziennikarz.

Umiąłem już wtedy swobodnie posługiwać się językiem hiszpańskim, ale znałem przede wszystkim słowa, których używałem na co dzień. W sprawach typowo piłkarskich lub życiowych moglibyśmy rozmawiać. Ale co sądzę o arbitrze?

- Sędzia był załatwiony - powiedziałem. "Załatwiony" było jedynym słowem, jakie przychodziło mi do głowy. Zwłaszcza w momencie, gdy cały czas latały pomarańcze, a z tumultu kibiców dało się usłyszeć tylko przekleństwa. Dziennikarz grzecznie podziękował. No, takiego hitu nie oczekiwał!

Dzień później jak gdyby nigdy nic przychodzę do klubu. Rano umyłem się jak zawsze, ubrałem się jak zawsze, zjadłem jak zawsze i nic nie powinno sprawić, bym rzucił się w oczy. Tymczasem na stadionie od magazyniera, przez odźwiernego, po piłkarzy - wszyscy się na mnie dziwnie patrzą.

- Co jest?

- Polaco, nieźle dałeś do pieca.

O co chodzi? Ani nie dałem do pieca, ani tym bardziej w palnik - bo w Hiszpanii w ogóle nie dawałem. A, niech się gapią. Poczytam gazetkę. Patrzą - a tam moje zdjęcie od pierwszej strony. Polak oskarża działaczy Atletico o skorumpowanie sędziego! Co gazeta, to samo. Afera na pół ligi. U prezesa w gabinecie konsternacja.

- Co ty żeś nagadał?

- Nic nie nagadałem.

Nasz prezes wcale nie był ode mnie gorszy, bo w przeprowadzanym na żywo wywiadzie telewizyjnym nazwał pracę arbitra zwykłym złodziejstwem. Jemu to uszło płazem, ale żeby taki Kowalczyk się wychylał? Jesus Gil, prezes Atletico, podobno wpadł w furję. Pojechał ze mną w telewizji. Tym akurat średnio się przejmowałem, bo dopiero co szydził z Roberto Carlosa. - Piłkarza to on nie przypomina, raczej fajną małpkę z ZOO - śmiał się, trzęsąc tym swoim wielkim brzuchem. Skończyło się na tym, iż jeszcze tego samego dnia musiałem pojechać do stacji radiowej i oficjalnie przeprosić działaczy Atletico za to, że powiedziałem, iż kupiony sędzia był kupiony.

Muszę przyznać, iż wołałem polskim sędziów niż hiszpańskich. Hiszpańscy po prostu psuli mecze. Na przykład za bardzo do serca brali sobie nowinki FIFA i czasami z byle powodu pokazywali czerwone kartki. Normalne spotkanie nie mogło się skończyć bez przynajmniej ośmiu żółtych, a jeśli doszła do tego jedna czerwona - standardzik. Normalne spotkanie! Akurat w Hiszpanii przepisy są takie, iż pauzuje się jeden mecz po każdej piątej żółtej kartce. Czyli w praktyce można dostawać i dostawać, a Bóg jeden wie, kiedy ta kara przyjdzie. Gdybym w skrócie miał ocenić poziom sędziowania w Primera Division - bardzo słaby. Za dużo błazenady i głupiego pozerstwa, zamiast zwykłej pracy.

Z drugiej strony, nawet w Hiszpanii spotkałem się z polskim arbitrem, którego nie mogłem zbyt dobrze wspominać z czasów gry w Legii - Ryszardem Wójcikiem. Wspominałem wcześniej, że z powodu złamanej nogi przepadły mi mecze Pucharu UEFA z Bordeaux. W Sewilli sędziował właśnie Wójcik. Po meczu poszedłem się z rodakami przywitać, niekulturalnie byłoby chociażby do nich nie zajrzeć. No to zajrzałem. Okazało się, że nasi sędziowie - podobnie jak piłkarze - w torbach sportowych nie wożą tylko butów i ręczników.

- O, Wojtuś, chodź na jednego! - zawołał mnie wesoło pan Rysiu.

Wypiliśmy po małym, porozmawialiśmy chwilę i każdy poszedł w swoją stronę. Nie pamiętałem, kiedy wcześniej - poza zgrupowaniami kadry - chociażby spróbowałem inny alkohol niż wino do obiadu czy piwo. W Hiszpanii kompanów nie miałem, do lusterka nie

pijam, dopiero musiała polska delegacja przyjechać.

Wójcik przekreślił nas w półfinale Pucharu Polski w 1994 roku, ale byli i tacy sędziowie, których szczerze... hmm... lubiliśmy. Na przykład Zygmunt Ziober czy Marek Kowalczyk. To byli sędziowie, przy których z założenia Legia... nie przegrywała. Oczywiście zdarzały się wyjątki, ale wtedy mieliśmy pewność, że nie wynikały one ze złej woli kogoś z arbitrow. Widocznie nie dało się inaczej. Ja osobiście lubiłem także Romana Kostrzewskiego, choć on czasami nas całkiem konkretnie tępił. Na boisku więcej gadał niż gwizdał. Ciągłe komentował, tak nas słownie szczypał, docinał, żartował. Czasami można było się zastanawiać, po co w ogóle na tym boisku się zebraliśmy - kopać piłkę, czy słuchać Kostrzewskiego? No i miał te swoje słynne w całej lidze galotki. Biegał tylko w nich przed meczem w budynku klubowym, chodził do masażystów na zabiegi. Najpopularniejsze galotki w całej lidze!

Oczywiście były też takie typy, które krzywdziły mnie na boisku częściej niż powinny wedle statystyki. Ale to zazwyczaj były smutne typy, nawet nie pamiętam ich nazwisk.

czasie, gdy ja składałem nogę do kupy, Henryk Apostel razem ze swoją kadrą przegrywał eliminacje do kolejnej wielkiej imprezy. Jak zawsze - jeśli o W stawkę, to bez Polaków, jeśli dobry trener, to bez wyników. W Polsce trwał sąd nad Romkiem Koseckim. Tak, jakby nie wszyscy mogli zrozumieć, iż nie zawsze świeci słońce i nie zawsze w życiu podejmuje się same dobre decyzje. Roman i tak w swojej karierze był niemal zawsze na szczycie. Gdy inni zawodzili, on grał. Gdy inni nie mieli już ani sił, ani chęci biegać, on krzyczał: "Dalej!". Z drugiej strony, to normalne, iż czym wyżej zawieszisz sobie poprzeczkę, tym bardziej bolesny jest upadek przy nieudanej próbie przeskoczenia. Roman zawsze tę poprzeczkę miał bardzo wysoko. Trochę mi go było żal, ale z drugiej strony - kto by się przejmował. Popiszą, pomarudzą, a co w życiu zrobiłeś na boisku, to twoje.

Czasami pojawiają się głosy, że w kadrze nie powinni grać "źli chłopcy", ludzie zbyt nieprzewidywalni, choćby tacy Koseccy z meczu ze Słowacją. Nieprawda. Kadra nie jest klasztorem. Nie jest miejscem dla ludzi, którzy dzień w dzień będą całować narodową flagę i ze łzami wzruszenia patrzeć na orła w koronie. Nie trzeba chodzić do kościoła i oddawać hołdu sztandarom. Trzeba tylko dobrze grać w piłkę. Mieścić się wśród jedenastu najlepiej kopiących spośród czterdziestu milionów rodaków. Trzeba być gościem z jajami. Roman nim był. Ja też nim byłem.

Z "Kosą" w Hiszpanii spotkaliśmy się kilka razy, ale raczej od święta. Do Madrytu miałem sześćset kilometrów, a przy codziennych treningach i przede wszystkim braku samochodu była to odległość niemożliwa do pokonania. Zdażyłem jednak zrobić sobie z nim zdjęcie jeszcze w moim pierwszym sezonie w Hiszpanii - ja w koszulce Betisu, on w koszulce Atletico. Niestety, gdy kilka lat później przeprowadzałem się z Hiszpanii do Polski, firma przewozowa zgubiła... sześćdziesiąt pudeł z prywatnymi rzeczami. Dotarły meble i inne duperele, ale zginęły rodzinne fotografie, pamiątkowe koszulki z różnych klubów i kadry, puchary i odznaczenia. Jeśli ktoś będzie jechał z Polski do Hiszpanii, mam prośbę - niech rozgląda się w czasie drogi. Kto wie, może gdzieś tam, na poboczu, zwróci jego uwagę jakiś szary, pewnie już zabrudzony kontener. Tak, niby profesjonalne firmy przewozowe potrafią zgubić kontener prywatnych rzeczy. I jak im teraz wytłumaczyć, że koszulka z ważnego meczu w kadrze ma dla ciebie inną wartość niż koszulka tej samej firmy w sklepie? A dla mnie ten zgubiony kontener miał wartość słynnej zaginionej Bursztynowej Komnaty. Nawet rozmiar podobny.

Pamiętam, jak z Romkiem spotkaliśmy się przed meczem Polska - Słowacja. Zgrupowanie zaczynało się w niedzielę, a my byliśmy w Warszawie już w sobotę rano. Uznaliśmy, że zjemy sobie obiadek na starówce. Zamówiliśmy prosiaka, winko. No to co robimy? Przejedziemy się rykszą!

Ludzie szybko nas poznali, więc na ulicach Warszawy, jadąc takim niecodziennym pojazdem, wzbudzaliśmy spore zainteresowanie. - Wiesz co, Kowal, podoba mi się to.

- Mistrzu, zatrzymaj się na chwilę - zagadał pedałużącego "Kosa". - Ty, a za ile do Buku?

Miał chłopak fantazję, zawsze trudno go było przebić. W dodatku miał tę zaletę, że potrafił żartować do czasu, a gdy przyszedł właściwy moment - wyłożyć kawę na ławę. W rozmowach z prezesami czy trenerami nie było twardszego! Jako piłkarz Galatasaray wykazał się nie lada charakterem, rzucając pieniędzmi w trybuny - w proteście, iż klub wypłaca mu inną kasę, niż obiecał. W takim razie nie chciał żadnej. Myślę, że nawet ja - ze swoim dość sporym temperamentem - miałbym obawy przed takim ruchem. A on stał przy linii bocznej i rzucał banknoty kibicom.

Podoba mi się też to, co Roman robi teraz, ucząc dzieci gry w piłkę. Może kiedyś też do niego dołączę? Może zapiszę się do tej jego szkółki jako trener? Gdy teraz o tym myślę, to chyba najrozsądniejsze. A już na pewno rozsądniejsze niż papranie się w tym "wielkim" futbolu do końca życia.

Żałowałem, że trener Apostel został zwolniony, bo moim zdaniem mógł jeszcze coś dobrego z tą kadrą zrobić. Z drugiej strony, cieszyłem się, iż jego następcą został Władysław Stachurski. Tak, ten wybór mi odpowiadał. Znałem go z Legii, wiedziałem, że to ciekawy, dobry szkoleniowiec, który w dodatku zna mnie ze wspólnej pracy w Legii. Ja w zasadzie prawie nigdy nie miałem konfliktów z trenerami i nie przewidywałem żadnych problemów z kimkolwiek, kto miałby zastąpić Apostela. Ale cieszyłem się, że będzie to właśnie Stachurski. Właściwy człowiek.

Już wtedy dziwnie swoją aktywność zwiększył Antoni Piechniczek. Gdy przyjechałem na mecz z Białorusią, to niby coś tam podpowiadał. Ale to chyba Białorusinom. W kochanym PZPN trwały aktywne próby ulokowania pana Antosia gdziekolwiek. Nie wiem z jakiego powodu, może kasa mu się już kończyła. W efekcie u Stachurskiego zagrałem tylko raz, zupełny mecz bez historii. Przywieźli mnie, ubrali, wystawili, zapakowali z powrotem i odesłali. Strzeliłem gola, zremisowaliśmy 1:1. Jak na Białoruś, nie był to wynik dobry, ale bez przesady - żeby po towarzyskim meczu, jednym z pierwszych, zmieniać trenera? Byłem strasznie wkurzony, nawet miałem lekkie wyrzuty sumienia, że przecież mogłem strzelić jeszcze jedną bramkę i kto wie, może Stachurski by został. A miałem sytuacje, nawet oprócz tej, kiedy trafiłem w poprzeczkę. Oczywiście nie przeczuwałem jeszcze wtedy, że moja współpraca z Piechniczkiem będzie taka nieudana. Chociaż już wtedy zastanawiało mnie, ile miał do powiedza w tej dymisji swojego poprzednika. Oho, gość z układami. Dopasowany nie tylko wiekiem do misiów z centrali. Na pewno nie przemawiała za nim znajomość polskiej piłki, bo dopiero co wrócił z laby w ciepłych krajach.

Gdyby patrzono na niego tak samo jak na Stachurskiego, to też momentalnie powinien polecieć. Bo wszystkie mecze towarzyskie - w ryj! Zanim ja u niego zagrałem, zdążył dostać w czapę kilka razy. I opowiadał tylko, że to ciężkie boje były. A co mnie obchodzą ciężkie boje? W ryj, w ryj, w ryj i do widzenia! W ogóle był to pierwszy w moim życiu trener, który na okrągło chwalił się porażkami. Siedzieliśmy na jakimś zgrupowaniu, a on zaczął nam dostojnie opowiadać o meczu na Wembley. Że oto on, oto jego kadra, po wielu, wielu latach strzeliła bramkę na Wemblet. No, kurwa, duża klasa! W ryj dwa jeden. A on dumny jak paw. Później, jak przegraliśmy z Brazylią 2:4 - tylko dlatego, że Paweł Skrzypek, którego pewnie Piechniczek nawet z twarzy nie znał, oszałał i zrobił dwa gole - rozmyślał, jakiemu to wielkiemu trenerskiemu magowi udało się wcześniej strzelić dwa gole Brazylii? Patrzyliśmy się po sobie i widzieliśmy, że trafił nam się niecodzienny szkoleniowy okaz - panowie, z daleka!

Właśnie za Piechniczka odbyło się - bo nie można użyć słowa "zorganizowano" - najbardziej skandaliczne zgrupowanie w historii reprezentacji Polski. Wyjazd do Moskwy. Kto był, niech żałuje! Popełniłem wtedy jeden z największych błędów w swojej karierze - nie zrezygnowałem, podobnie jak Andrzej Juskowiak i Tomek Iwan, z występów w kadrze Piechniczka. Oszczędziłem sobie nerwów, późniejszych kłótni, wyzwisk. W reprezentacji pana Antoniego nic nie było takie, jak być powinno. Nawet treningi średniowieczne. Żeby oddać strzał na treningu, musiałem przebiec sto metrów na gacie. Miałem siłę, mogłem

biegać, ale jaki w tym sens? Nigdy w karierze nie zdarzyło mi się przebiec sprintem stu metrów, aby oddać strzał. W meczach uderza się sytuacyjnie i to trzeba ćwiczyć. Jak się robi gierkę, to na skróconym, zawężonym boisku, aby był ciągły pressing, walka i podania z klepki. A nie na wielkim placu, gdzie do najbliższego rywala ma się dwadzieścia metrów i każdy trzyma piłkę tak długo, że w meczu zdążyliby mu nogi urwać. A tu taki Citko - patrzyłem, ten słynny Citko!!! - bierze piłkę i jeździ z nią w kółko. Jak chce, to niech jeździ. Nikt mu nie będzie przeszkadzał. I tak stoi dwudziestu ludzi i patrzy, jak się Citko kiwa sam ze sobą. Duża klasa, Piechniczek wniebowzięty zaciera ręce - cóż za technika! A tak na serio podszedłby "Świerszczu", puknął barkiem i by był koniec jazdy. Wsiadka!

Piechniczek żył w swoim świecie i jego wiedza na temat nowoczesnej piłki ograniczała się do tego, co mu powiedział wice-selekcjoner Andrzej Zydorowicz. Co dwie głowy to nie jedna? Nie tym razem. Przekonaliśmy się o tym w Moskwie.

I oczom naszym ukazał się hotel. Wielki, potężny. Kierowca objechał go trzy razy, robiąc przy tym ze trzydzieści kilometrów. Bądź mądry i znajdź naszą klatkę! Klatek setki, dwadzieścia pięter, na każdym piętrze recepcja i babina od wydawania kluczy. Ma kobiecina robotę. Szansa na to, że ktokolwiek trafi akurat do jej klatki, na jej piętro, była mniej więcej taka, jak to, że trener Piechniczek trafi ze składem na mecz. Rozpoczyna się zgrupowanie w Moskwie.

- Kowalczyk, Juskowiak! Wasz klucz! - zawołano.

Cóż. Chcąc nie chcąc, musiała nadejść ta chwila - wchodzimy! Nie było co się wahać, bo i tak każdy pokój taki sam. Taki sam, czyli typowa ogórszczyzna. Otwierać okno, otwierać drzwi, będzie wietrzenie. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio te pokoje były używane - może jako ostatni spał w nich sam Lew Jaszyn z kolegami? Każdy z ekipy robił to samo - wietrzenie! Pierwsza fala smrodu przestała nam dokuczać, gdy już byliśmy zdesperowani, aby iść spać. Druga w nocy.

- Dobra, Jusko, kończymy ten wiaterek, zamykamy stajnię.

Położyliśmy się na łóżkach. Teraz wystarczy zasnąć. Obudzimy się rano i już będziemy o kilka godzin bliżej wyjazdu. Spać... Trach, trach, trach! Nagle ktoś puka do drzwi. Otworzył Andrzej, a stanęła przed nim pani, której grzeczną bym nie nazwał - zresztą, co tu owijać w bawełnę, typowa lampucera, oferująca seksualne usługi.

- Chłopaki wpuścici mnie?

- Won! - krzyknął "Józek", któremu już zaczęły puszczać nerwy.

A w korytarzu słychać "trach, trach, trach" i "chłopaki, wpuścicie mnie?". Pokój po pokoju, piłkarz za piłkarzem. Chodzi łążęga i pyta, kto z niej skorzysta. Chyba nie znalazł się odważniak. - No, niezłe atrakcje na tym zgrupowaniu nam zapewniają - śmiało się. Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze zamknąć oczu, a tu... Bum, bum!

- Co to do jasnej cholery było?!

Za oknem kogoś zabili. Dwa czy trzy krótkie strzały z pistoletu.

- Rany, Jusko, gdzie my jesteśmy?

Bądź mądry i śpij. Tam się strzelają, tu puszczają, w dodatku wszędzie śmierdzi. A jak zaraz nas wystrzelają?

Rano śniadanie. Patrzymy co nam przynoszą. Kawalek psa, kawalek szczura, trochę kota - normalka. Z okien widać siedem Pałaców Kultury, aż mi się w oczach mnożyły. Miło. Siedzimy sobie i czekamy na cały posiłek. Aż tu nagle kelner - chlast na ziemię! Wywrócił tackę z jedzeniem na zasyfioną podłogę, ale nic to - pozbierał wszystko brudnymi łapami i niesie na stół. Uuuu.

- Dziękuję, powodzenia, szczęścia życzę - powiedziałem i odszedłem od stołu. Na tym niedoszłym posiłku zakończyłem stołowanie się w tej jadłodajni. Po drugiej stronie rzeki był hotel Kempinsky, już z normalną kuchnią. Kogo było stać, ten jadał już tylko tam.

Mecz jak mecz - czyli do tyłu, ledwie 0:2. Ja grałem tylko chwilę, bo naciągnąłem mięsień - dziękuję, widzimy się następnym razem. Oczywiście nikt mi nie uwierzył, że naprawdę naciągnąłem, ale jakoś w następnym spotkaniu ligowym w Betisie z tego powodu też nie zagrałem. Z kadry nie zrezygnowałem, zrobili to Andrzej Juskowiak i Tomek Iwan. Jakże byłem głupi, że nie poszedłem w ich ślady! To byli ludzie z poważnych drużyn, z poważnych lig, w których zarabiali poważne pieniądze. Profesjonaliści, którym kazano udać się na jakiś biwak harcerski. Mieli oczy, widzieli co się dzieje wkoło, jak trenuje Piechniczek i jak organizuje całą resztę wraz ze swoim sztabem. A przecież to miał być mecz reprezentacji Polski, nie żadna spartakiada młodzieży! Jak Mieli się nie zdenerwować, skoro wice-trener Zydorowicz był traktowany lepiej niż oni? Może by jakoś przełknęli tę pigułkę, gdyby jeszcze Zydorowicz znał się na tym, co robił. Ale się nie znał. Całe jego komentowanie polegało na wymienianiu, jak się nazywa czyjaś żona i córka, a kto kiedy ma chrzciny.

Nie wiem, czemu nie zrezygnowałem. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Po meczu kolacja taka, jakby jej nie było. Poza tym jak tu zjeść kolację, skoro nikt nie da sobie głowy uciąć, czy kelner wędlinką sobie wcześniej butów nie wyczyścił? Chociaż podobno kilku chłopaków go obserwowało i tym razem nic mu nie spadło. Cóż, jeśli ktoś zjadł, to trzeba to było zapisać. Zdezynfekować, żeby się jakiejś salmonelli nie nabawić. Skoro Podbrożny mógł się bananem zatruć, to my możemy wędliną z posadzki. No to przez noc dezynfekowaliśmy, aż w końcu zdezynfekowaliśmy.

A rano wyjazd. Przygotowano nam śniadanie. Nie, zagalopowałem się. Nikt nie będzie piłkarzykom robił śniadania o siódmej rano - był suchy prowiant zapakowany w sreberko. Odwijam to sreberko, patrzę - jakaś dziwna ta bułka. Twardawa. Zaglądam do środka - zielono mi. Sałata to czy wędlina? No chyba sałata, ale żeby tak sałata z sałatą? No nie, jednak wędlina. Postanowiłem przeprowadzić najlepszy z możliwych testów - sprawdziłem, czy bułka ta przy rzuceniu o chodnik zachowuje się jak bułka, którą można zjeść. No to trzepnąłem o ziemię. Akurat Zydorowicz wyszedł zadowolony, uśmiechnięty, jakie piękne zgrupowanie - i patrzy, co ten "Kowal" wyprawia. Zdziwił się. Ja też bym się zdziwił, gdyby ktoś na moich oczach ciskał bułką o chodnik, a ta by się nawet nie rozwaliała. Wkurzyłem się na poważnie. Walnąłem całą tą paczką żywnościową o ziemię. Niestety, nic poza torbą nie ucierpiało.

- Dobra, zostawcie to jedzenie, bo się znowu całą drogę trzeba będzie odkażać - powiedziałem do chłopaków. Całemu temu zamieszaniu przyglądała się grupa biwakowiczów, którzy bezustannie rezydowali pod hotelem. Wszyscy pijani! Ci, którzy akurat nie spali, trzymali się drzew. Co, koledzy, czyżbyście jedli nasze kanapeczki?

Humor mi wrócił, jak przyjechaliśmy na lotnisko. Sam leciałem bezpośrednio do Hiszpanii, a reszta do Warszawy. Gdy zobaczyłem ich samolot z serii tych, co częściej startują niż lądują...

- Adios amigos, powodzenia.

Z Madrytu szybko zadzwoniłem do domu.

- Tato, żaden samolot nie spadł?

Opowiem wam, jak się podróżuje z biurem lotniczym o wdzięcznej nazwie PZPN. Jako piłkarz Betisu, rozgrywałem wyjazdowy mecz z Deportivo La Coruna. Wśród rywali występował wtedy między innymi Rivaldo, który kilka dni później miał zmierzyć się ze mną jeszcze raz - w spotkaniu reprezentacji Brazylii i Polski. Deportivo pojechało nas 3:0, Rivaldo wsiadł w samolot i poleciał do Goianni. Ja miałem troszeczkę inny bilet, na troszeczkę inne połączenia lotnicze.

Po pierwsze - podróż do Sewilli, bo przecież skoro jestem piłkarzem Betisu, to logiczne, że moja wędrowka nie może się rozpoczynać w La Coruni, skąd był bezpośredni lot, prawda? Z Sewilli oczywiście do Madrytu, na poważniejsze lotnisko. Wciąż jestem w Hiszpanii. Z Madrytu do Rio de Janeiro. Z Rio de Janeiro do Sao Paulo. To tak była już mniej więcej trzydziesta godzina podniebnej przygody. Wychodzę na lotnisku w Sao

Paulo, a tam stoi gość z tabliczką "Kowalczyk". - Chodź ze mną do samochodu - powiedział. Przebijaliśmy się przez korki Sao Paulo, godzina szczytu, przez następne trzy czy cztery godziny. Gdzie on mnie wiezie? Jestem już brudny, głodny i mam wszystkiego dosyć. Czy ten stadion to jest za rogiem?

W końcu dojeżdżamy, a tam - kolejne lotnisko. Krajowe. No ładnie. La Coruna - Sewilla - Madryt - Rio de Janeiro - Sao Paulo - coś. Już mi się nawet nie chciało myśleć. Niech mnie rzucają po świecie, kiedyś mi się w końcu skończy bilet - wtedy będę na miejscu. Po kolejnych trzech godzinach czekania wsiadam do samolotu, lekko przepełnionego. Podobno tym samolotem mam dolecieć do Goianii. Można się przespać, bo lot będzie trwał półtorej godziny. Mija dwadzieścia minut, jeszcze dobrze nie wzbiliśmy się w powietrze, a ten złom ląduje. Co jest grane? Patrzę - trzy osoby wysiadają, trzy wsiadają. Oho, przystanek!

Znowu startujemy, znowu lądujemy, znowu trzy wysiadają i trzy wsiadają. Kolejny przystanek! Zaraz, zaraz - na którym ja wysiadam?! Poszedłem się spytać, ale kazali mi siedzieć. W końcu znowu lądujemy, wszyscy wstają i zbierają toboły. Oho, pętla! No to szybciotko, zanim ruszy w drogę powrotną!

W hotelu byłem już po trzydziestu minutach. Ani szczęśliwy, ani wściekły, już zobojeźniały. Starty, lądowania, przejażdżki, odprawy. Już chyba nie wiedziałem, jaki jest dzień tygodnia. Trzeba się przywitać. Pierwsze kroki skierowałem do trenera Piechniczka.

- Dzień dobry, w końcu dotarłem.
- I jak podróż?
- Ciężka. Z szesnaście przesiadek przez dwa dni. Padam na twarz.
- Aha. Wiesz Wojtek, skoro miałeś taką trudną podróż, to chyba nie zagrasz.

Od razu wróciły mi siły, żołądek podszedł do gardła.

- Jak to nie zagrasz?
- No jesteś zmęczony, więc nie ma sensu.
- Panie, ja zrezygnowałem z następnego meczu w klubie, mogę tam stracić miejsce. Tłukłem się jakimiś podmiejskimi samolocikami, stałem w korkach w slumsach Sao Paolo, a pan mi mówi, że nie zagrasz?!
- Zrozum mnie. Poza tym muszę dać nagrodę chłopakom za Wembley.
- Jaką nagrodę?
- No dla tych, co tak dobrze zagrali na Wembley.
- Ale tam było w ryj!
- Ale tylko 2:1!
- Ale w ryj!!!

Chciałem go udusić, ale już nie miałem siły. To ja zapieprzam przez pół świata, żeby komuś wręczyć nagrodę, bo akurat ładnie został wkręcony w glebę?! Jakby nie wiem co na tym Wembley zrobili. Kaszanę odwalili i tyle, bo przegrali wygrany mecz. Nie było sensu się kłócić. Upór to jedna z cech wieku starczego. A raczej chorób. Nieuleczalnych. Zostawcie ich, nie wiedzą, co czynią.

To nie będzie współpraca na najwyższym poziomie. Tego byłem pewny. Najpierw zielone kanapki w Moskwie, teraz to. Wkurzony poszedłem do pokoju. Piechniczek też już widział, że nie znajdziemy wspólnego języka.

Później na treningu nie spodobało mu się, że postanowiłem zostać trochę dłużej i ćwiczyć indywidualnie. Pomyślałem sobie tak - najpierw długa podróż, później mecz z ławką, podróż w drugą stronę. Jak mocniej sobie nie dołożę, to wrócę do klubu bez formy. Zostałem chwilę po zajęciach, zrobiłem z piętnaście stumetrowych przebieżek. Postrzelałem Grześkowi Szamotulskiemu na bramkę, a reszta chłopaków patrzyła z autokaru, kiedy skończył. Trudno, czekajcie.

Mecz oczywiście przegraliśmy, tylko 2:4, choć było już 0:4. Większość chłopaków nabawiła się kontuzji karku, jak Romario zaczął wszystkimi kręcić. A potem dali nam wiadomość: - Strzelcie sobie ogórki ze dwie bramki, bo nam się już nie chce. Najśmieszniejsza z całego spotkania była odprawa przedmeczowa. Stanęło dwóch znawców - Piechniczek i Kulesza - i zaczęło robić obrońcom wodę z mózgu.

- Uważajcie na rzuty różne, bo Brazylijczycy grają tak, że jeden stanie, popatrzy, pocelebruje, a jak już wszyscy stracą czujność, to inny podbiegnie i uderzy!

No to w meczu rzut wolny. Nasi obrońcy stanęli i czekają, aż Brazylijczycy zaczną celebrować. A tamci szast-prast, jeszcze się mur nie ustawił dobrze, a gość ustawił, zagrał, dziękuję, piłka w siatce. Ronaldo czy inny Romario już się cieszy, a Polacy wytrwale stoją i oczekują celebracji. To nie tak miało być! Potem czekałem w szatni na jakieś sprostowanie ze strony naszego sztabu szkoleniowego, ale nie złożono żadnego oświadczenia, czemu Brazylijczycy tak szybko zagraли.

Po meczu - wiadomo. Każdy z piłkarzy musiał rozładować napięcie po tak zaskakującym rozegraniu rzutu wolnego. Znaleziliśmy basen na dachu. Kto by pomyślał, że w takim obdarciuchu będzie basen? Sądziliśmy, że napis swimming pool to jakiś żart. No ale basen był. Urzędowaliśmy do rana, musieliśmy tylko kelnerowi sto dolarów odpalić, bo inni goście narzekali na hałas. W tym czasie stary niedźwiedź mocno spał.

Marek ma rzecznika prasowego - szok. Człowieku, co ci dziennikarze tobie zrobili? Z dziennikarzami to się zawsze imprezowało, a nie rozmawiało przez pośredników. Rzecznikiem tym jest mój ulubieniec z roku 1993, Tomasz Zimoch - o cholera, jeszcze lepiej! Nie mogłeś sobie już chociaż znaleźć kogoś mądrzejszego? Jak wcześniej wspominałem, właśnie przed dwumeczem z Włochami poznałem Marka Citkę. Cała Polska huczała wtedy od plotek na jego temat. Spodziewałem się jednak normalnego gościa - a tu na dzień dobry pierwszy strzał, ma rzecznika...

Z czasem w kadrze zaczęto mówić, że Marek na zgrupowaniach nie rozstaje się z biblią, choć opowiadał komuś tam o swoich grzechach młodości, problemach w Białymstoku. Może chciał się oczyścić? Był przy tym raczej zamknięty w sobie i stronił od szerszego grona. Jakoś mi to wszystko nie pasowało do wizerunku piłkarza. To piłkarz chce być księdzem, czy ksiądz piłkarzem? Kilka lat już się w tym światku piłkarskim kręciłem i kogoś takiego nie spotkałem. Mało tego - o takich przypadkach nawet nie słyszałem. Co tu dużo mówić - dziwiliśmy się.

Umiejętności piłkarskie Marka były dla mnie zagadką. Wiedziałem, że wygrał wszystkie możliwe plebiscyty i podobno nawet redakcja magazynu dla dzieci do lat trzech, "Misia", przyznała mu jakąś nagrodę. Z drugiej strony, nikt w całej kadrze nie wiedział tak do końca, za co. Że wyróżniał się w polskiej lidze? Co roku wyróżnia się pięciu piłkarzy. No a może dlatego, że strzelił dwie bramki w przegranych meczach? Duża klasa! Pierwsza - na Wembley z pięciu metrów do pustaka. Druga - fakt, że ładna, z Atletico prawie z połowy boiska, ale Molinie takich bramek nastrzelało mniej więcej stu grajków. No tak, w Polsce wystarczyło uderzyć z czterdziestu metrów w światło bramki, przegrać 1:4 i zostawało się wielkim bohaterem. Co więc ten Citko prezentuje naprawdę? Byłem ciekaw.

Powiem szczerze - może kiedyś, na podwórku, jego gra zrobiłaby na mnie wrażenie. To był dobry piłkarz, dobry kiwak. Jednak ja wtedy od kilku sezonów występowałem w Hiszpanii, a tam się już tak nie grało. Cały świat dążył do tego, by piłka była jak najszybsza. A Citko na odwrót - jeździł całymi godzinami z piłką po murawie. Mógł, był na topie - ulubieniec Piechniczka. To w ogóle były śmieszne treningi, bo gdy taki napastnik jak ja - nauczony szybkiej, hiszpańskiej gry na dwa czy trzy kontakty - przyjeżdżał na kadrę, to piłkę dostawał raz na pół godziny. Obrońca podał do pomocnika - ten jechał sam. Stracił. Spadło pod nogi następnemu - jechał. Stracił. Zabierał się z piłką następny i jechał. Stracił. I tak w kółko. A napastnicy stali i patrzyli. Żadnych efektów. W zasadzie to można powiedzieć, iż to były zajęcia w ogóle bez piłek. Takie bardziej teoretyczne, wizualne - oto patrzcie, jak Marek czy Piotrek Nowak kiwają się. A że sami ze sobą? To nic. Ważne jak!

Gdyby ktoś patrzył na to z boku, nigdy by nie zgadł, że obserwuje reprezentację narodową. To wszystko wyglądało raczej na zbiórkę hobbystów, którzy postanowili pokopać sobie po pracy. Taka reprezentacja artystów polskich. Ze szczególnym uwzględnieniem jazdy figurowej na lodzie. Lub na murawie, wszystko jedno - piruet za piruetem, sport indywidualny.

Frustrowałem się - ja zagrywam, wychodzę na pozycje, a on jedzie sam. Z takim stylem gry Marek nie miałby szans zrobienia kariery w poważnej lidze. W Europie po prostu już tak nie grano. No dobrze, podobno jeszcze jeden tak gra, ale właśnie leży w szpitalu. Citko poniekąd sam padł ofiarą swojej gry. Przy takim wożeniu się, nie było szans uniknąć kontuzji choćby na treningu. Nawet Zidane jak kiwa, a robi to bardzo dobrze, to po dwóch czy trzech zwodach ucieka z nogami, podaje do kolegi, bo mógłby jakiś drwal go pocelować. Inaczej się nie da. Późniejszy uraz, jakże poważny, był właśnie wynikiem tego, że Marek nie spotkał na swojej drodze trenera, który nauczyłby go poważnego futbolu. Z drugiej strony, szkoda, że jednak nie wyjechał za granicę. Usiadłby na ławce, może też złapał kontuzję, ale chociaż by mu płacili. A w Polsce to prezes kontuzjowanemu piłkarzowi nie da wypłaty, tylko co najwyżej w łeb!

Żał mi Marka - ta bajeczna oferta z Blackburn mogła sprawić, że inaczej potoczyłaby się jego kariera. A tak, równie pochyła. W Legii trafił na Okukę, który zawsze preferował szybką grę i tacy zawodnicy jak Citko czy Piekarski niekoniecznie mieli czego szukać. Podobnie grał kiedyś Leszek Pisz - on też lubił się bawić piłką. Miał jednak tę zaletę, że robił to wtedy, kiedy było można, a potrafił też dokonać błyskawicznego przerzutu z centrymentrową dokładnością. Taką, że dostawiało się nogę i był gol. Niby robił kółeczka, a wiadomo było, że kwestia przeniesienia akcji w pole karne rywala jest kwestią sekundy. Citko tego nie miał. Przesadzał.

Oczywiście Antoniemu Piechniczкови to się podobało - jak cały futbol z 1982 roku. Nie zauważył, że czasy się zmieniły. Owszem, mecz Brazylia - Włochy w mistrzostwach świata był wtedy ładny, ale tam jeden obrońca wziął piłkę na szesnastym metrze, przegięł całe boisko, stracił i z kontrą ruszył inny defensor - kontrą polegającą na osiemdziesięciometrowym biegu z piłką przy nodze. Kto sobie to wyobraża? Piechniczek myślał, że z Citką w składzie te czasy mogą jeszcze wrócić. A nie mogły.

Piechniczek w całych eliminacjach wygrał jeden mecz - z Mołdawią, po ciężkich bojach oczywiście. Kluczowe były spotkania z Włochami, które następowały jedno po drugim. Nie czułem się dobrze w tej kadrze, bo wiedziałem, iż jestem niechciany. Piechniczek powoływał mnie tylko dlatego, że upominali się o mnie dziennikarze i chciał mieć święty spokój. Pamiętam, że przed pierwszym spotkaniem z Włochami rozgrywaliśmy mecz sparingowy na Stadionie Śląskim. Wygraliśmy chyba 5:1, ja strzeliłem trzy gole. Widocznie o trzy za dużo lub trzy za mało, bo przeciwko Włochom usiadłem na ławce rezerwowych. Byłem z Warszawy. Piechniczek nigdy nie lubił ludzi z Warszawy...

Spotkanie zakończyło się wynikiem 0:0, mieliśmy nawet sporą szansę na zwycięstwo, ale Paweł Wojtala z bliska nie trafił w bramkę. Jak miał trafić, skoro na treningach głównie biegał? Przed rewanżem znowu wyglądałem dobrze, naprawdę dobrze. Znow strzeliłem chyba trzy bramki w sparingu i czułem, że to może być mój mecz. Kilka takich "swoich" meczów w życiu rozegrałem, wiedziałem, co to znaczy. I to mógł być mój mecz. Nadchodził konflikt z trenerem - to też czułem. Było tylko kwestią czasu, kiedy któryś z nas wybuchnie. Zła organizacja, beznadziejne treningi, latanie po kilka tysięcy kilometrów tylko po to, żeby kibicować kolegom, brak atmosfery - to wszystko się nakładało. Konflikt nadchodził. Wielkimi krokami.

Kwestia organizacji ujawniła się zaraz po przylocie do Neapolu. Wchodzimy do hotelu, część chłopaków głodnych, więc padło hasło: "Od razu na obiad!". Kilku zdążyło już pobiec, a w tym momencie jeden z lekarzy dostał... ataku padaczki! Wszyscy w szoku, drugi doktor też w szoku, nie wie, co robić, tylko się patrzy. Większość jak to zobaczyła, to... "O Jezus Maria!" i w nogi. W całym tym towarzystwie był jeden przytomny człowiek, Piotrek Świerczewski. Wsadził palce w usta chorego, przytrzymał wszystko tak, aby

pacjent się nie udusił. Nie wiem, czy uratował mu życie. Okiem laika wyglądało, że tak - uratował. A drugi lekarz stał i się patrzył. Ładna kadra - wszystko do góry nogami. Lekarz zamiast leczyć, to jest leczony, drugi nie ma pojęcia o zawodzie... A "Świerszcz" jak gdyby nigdy nic, gdy już było po wszystkim, poszedł i zjadł obiad, na który tak się wszystkim spieszyło. Zachowywał się, jakby codziennie kogoś ratował.

W przypadku doktora o mały włos, a sprawdziliby się powiedzenie "Zobaczyć Neapol i umrzeć". Zapewniam, że nie warto. Jeden wielki brud, syf i malaria. Tak paskudnego miasta w życiu nie widziałem.

Jak się potem okazało, "Świerszcz" uratował lekarza, a lekarz nie uratował "Świerszcza". Sytuacja była dziwna i wydaje mi się, że wszystko zaczęło się na treningu dzień przed meczem. Już wtedy widać było, kto zagra. Ci, którzy mieli wystąpić, trenowali strzały na bramkę. A reszta miała się patrzeć. Ponieważ wydawało mi się, że także rezerwowym trening mógłby się przydać, bo przecież kto powiedział, iż nie wejdą na boisko, wraz z kilkoma innymi osobami poszedłem na drugą bramkę i "ćwiczyłem" Grześka Szamotulskiego. Piechniczek przybiegł z krzykiem: "Kto wam pozwolił strzelać?!". Zaraz, zaraz. Skoro oni mogą, to i my możemy. "Szamo" też stwierdził, że jemu to pasuje. I nie zważając na wiele, trenowaliśmy dalej. W końcu to chyba obowiązek piłkarzy, tak?

Następnego dnia okazało się, że obejrzę mecz z trybun. Informację taką przekazał mi kierownik drużyny. Po chwili do pokoju przyszedł "Świerszcz".

- Nie gram, wysłał mnie na trybuny.

- Czemu?

- Powiedzieli, że jestem chory.

- Jak to "powiedzieli"?

- No, powiedzieli. Nawet kataru nie mam! Ale lekarz powiedział, że jestem chory i nie mogę grać. Kurwa, kabaret!

Pięknie - teraz jeszcze piłkarzom choroby wymyślają. Moim zdaniem Piotrek podpadł głównie tym, że mieszkał ze mną w pokoju. To była jego największa wada - w pokoju z tym wstrętnym "Kowalem"! Nie czekając na nic, spakowaliśmy wszystkie rzeczy i opuściliśmy zgrupowanie! Po prostu przenieśliśmy się do innego hotelu, za który sami zapłaciliśmy, sami potem wykupiliśmy sobie takie bilety lotnicze, jakie nam pasowały i sami dzień później pojechaliśmy na lotnisko. W całej kadrze nikt z kierownictwa się tym nie przejmował. Ze dwóch piłkarzy wyszło i nie wiadomo, gdzie są? Trudno. To tylko "Kowal" i "Świerszcz".

Mecz oczywiście obejrzelśmy. Kupiliśmy bilety w kasie i usiedliśmy pomiędzy kibicami. Wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać - wyglądało to mało poważnie. Włosi na luzie zwyciężyli 3:0.

Wyprowadzając się z hotelu, wiedziałem jedno - to koniec przygody z kadrą Piechniczka. Może nawet odczułem ulgę? Dziennikarzom przestawiłem całą sytuację - co sądzę o treningach, dlaczego byłem na trybunach, jak wygląda kadra od środka. Powiedziałem też, że z kadrą żegnam się tylko na chwilę, bo wkrótce się z nią pożegna Piechniczek. To była prawda - trzy miesiące później pana Antoniego już nie było, byłem ja. Myślę, że jak na piłkarza, to były ostre słowa. Nie przekroczyłem jednak granicy, która odróżnia problemową rozmowę od chamskiej pyskówki. Przekroczył ją trener, zaczął mnie wyzywać. - Kowalczyk to szczur, który przyparty do muru kąsa - stwierdził. W Betisie prezes był w szoku.

- Polaco, czemu ty latasz ciągle na tę kadrę, nie grasz w klubie, choć jesteś w formie, tam też nie grasz, tylko siedzisz na trybunach, a trener nazywa cię szczurem? O co tu chodzi? Tak być nie może!

Już myślałem, że i w Sewilli dostanę po uszach.

- Co pan chce zrobić?

- Jak to co? Pozwiemy tego twojego trenera do sądu! Nie będzie mi tu nikt moich "betiko" od szcurów wyzywał!

W końcu sprawa do sądu nie trafiła, choć w pewnym momencie naprawdę myślałem, że prezes zdecyduje się na ten ruch. Nie mógł zrozumieć, jak może dojść do takiej sytuacji, iż trener obraża powoływanego przez siebie zawodnika. Koledzy z drużyny też nie mogli. To rzecz w zawodowym futbolu niespotykana. Ale przecież nie bez powodu za Piechniczka najwięcej piłkarzy zrezygnowało z gry w kadrze. Gdyby popracował jeszcze kilka miesięcy, kolejni też daliby sobie spokój lub zostali zwyzywani. Poważnych zawodników irytował fakt, iż grali układowcy. Milusińscy zamiast gości z jajami. Przeciwno Anglii na boisko wszedł Waldemar Adamczyk. Kto to jest Waldemar Adamczyk? Gdzie ten człowiek wcześniej zabłysnął? Gdzie zabłysnął później? KTO TO JEST?

Nie grali najlepsi, czego trudno było wymagać, skoro najlepsi zrezygnowali lub nie byli powoływani. Ale grali tacy, którzy nawet do średniaków się nie zaliczali. Co taki Adamczyk mógł zrobić w walce z Paulem Incem? Nic. Mogł patrzeć i się uczyć.

Powszechna była też opinia, że Piechniczek tępił ludzi związanych z Januszem Wójcikiem. Podobno gdzieś tam się ścięli, kiedy równocześnie pracowali w Emiratach Arabskich. To się nawet trzymało kupy. Przecież nikt mi nie powie, że ja, "Świerszczu" czy "Jusko" nie nadawaliśmy się wtedy do gry.

Po kilku latach Piechniczek powiedział, że mi przebaczył. Dziękuję bardzo, choć nie bardzo wiem, za co. To nie ja pana obraziłem, nazywając szczurem, tylko pan mnie. Dorosłych ludzi obowiązują takie same reguły, niezależnie, czy jest się trenerem, czy piłkarzem. To nie ja zacząłem wyzywać. To też nie ja kłamałem, gdy pożegnałem się z kadrą. Przypomnę panu na przykład, iż powiedział pan dziennikarzom, iż kiedyś w pokoju hotelowym zrobiłem sobie pijacką dyskotekę. A akurat wtedy Piotrek Swierczewski dolatywał później i mieszkalem sam. Do lustra nigdy nie piłem. Pan zresztą zna prawdę. Prawda jest taka, że dyskotekę zrobił pan, wraz z resztą sztabu. Obok w pokoju mieszkał Andrzej Woźniak. Mówił mi potem, że nie mógł spać w nocy, bo do czwartej słyszał ryki trenerów. Tak właśnie przygotowywał się do meczu - słuchając Piechniczka. A pan później własne ryki przypisał mnie.

Te wszystkie wspomniane przeze mnie wcześniej historie, obelgi - za co pan mi wybacza? Za swoją słabą pracę, słabą selekcję, słabe wyniki? Czy pan na przykład wie, że za pana czasów piłkarze zaczynali rozgrzewkę w hotelu? W dzisiejszej piłce jedną z naistotniejszych części rozgrzewki jest rozciąganie mięśni, co znacznie zmniejsza ryzyko kontuzji. U pana rozgrzewki były czterdziestominutowe, szokujące dla piłkarzy, a przez ten czas nie znajdował pan czasu na rozciąganie. Robiło się to w pokoju, w hotelowym korytarzu - gdziekolwiek. Byle zdążyć. Potem było dziesięć minut biegania, piłka, laga, przerzut. Nogi jeszcze nie wiedziały, o co chodzi. I nie szło nic zmienić, bo trener miał tak zwany autorytet. Czy pana zdaniem, panie Antoni, na atmosferę w kadrze dobrze wpływał fakt, że mieliśmy zgrupowania w Wiśle tylko po to, aby pan mógł spać w domu? I to, iż widywał pan nas wtedy jedynie na treningach? Czy aby na pewno o to w tym wszystkim chodzi?

Szanuję ludzi, którzy zrobili coś dobrego dla polskiej piłki. Szanuję Piechniczka za sukcesy z 1982 roku. Zdobyć medal mistrzostw świata - to wielka sprawa, w której nie może być przypadku. Byle trenerek tego nie osiągnie. To jednak, iż pana szanuję za rzeczy sprzed dwudziestu lat, nie oznacza, iż zapominam, co działo się w roku 1997. Działo się źle, bardzo źle - i z tym okresem nie kojarzy mi się pan pozytywnie. Tak jak Kazimierza Górskiego szanuję za rok 1974, a gdy wspominam rok 1992 - nie czuję sympatii.

Odpoczynek od kadry raz na jakiś czas może każdemu dobrze zrobić. Oczywiście, o ile ma się dokąd wrócić. Ja miałem. Czasami śmiać mi się chce, jak czytam gdzieś czy słyszę, że w zasadzie to ja w tym całym Betisie w ogóle nie grałem. Tymczasem fakty są takie, że w pierwszym sezonie wystąpiłem w dwudziestu meczach, w drugim - w pierwszej kolejce złamałem nogę i leczyłem się sześć miesięcy - zdążyłem mimo

wszystko zagrać szesnaście razy, a w trzecim dwadzieścia sześć. Mało? Życzę powodzenia.

Właśnie w trzecim roku, kiedy strzeliłem kilka bramek i każdy to doceniał poza Piechniczkiem, pojawiła się ciekawa oferta z PSV Eindhoven. Dawali dokładnie dwukrotne przebicie! Betis kupił mnie za 1,75 miliona dolarów, a Holendrzy oferowali 3,5 miliona! Wszystko wydawało się załatwione. Sam chciałem zmienić klub, bo uznałem, że nagła zmiana środowiska mogłaby dać mi ten dodatkowy impuls, który sprawiłby, iż zacząłbym grać jeszcze lepiej. Ponad dwa lata w Sewilli wydawało mi się wystarczającym okresem. No i nie byłem do końca usatysfakcjonowany tym, czego dokonałem. Wiedziałem, że stać mnie na jeszcze więcej.

- Polaco, za trzy dni lecimy do Holandii. Dokumenty czekają do podpisu. Trzy i pół bańki, niezła suma. Od razu będziesz trenował - poinformował mnie menedżer.

Nawet nie interesowałem się, ile mam zarabiać. Zawsze w tym względzie nie należałem do normalnych. Uznałem, że pójdę, jak mi dadzą kontrakt to zerknę do środka, ile zerek tam wpisali. Jak wyjdzie mi, że za mało, to wstanę i wyjdę. A co, nie wolno? Kilku dziennikarzy przyszło to znaczyć, że od razu trzeba wszystko podpisywać? Taki miałem plan, może nie za mądry.

Już w zasadzie byłem spakowany, buty do gry w torbie, paszport na wierzchu, gdy zadzwonił menedżer.

- On cię nie chce puścić... - oświadczył.

- Jak to nie chce? Kto nie chce?

- Prezes.

- Przecież już się zgodził.

- Ale zmienił zdanie. On mówi, że u niego będziesz grał i odnosił sukcesy. Nie wiem, za co on cię tak lubi, ale mówi, że nigdzie, pod żadnym pozorem cię nie puści.

Jakoś mnie to specjalnie nie zdziwiło, a wręcz podskórnie przeczuwałem taki rozwój wypadków. Bo z tym prezesem to było tak, że on mnie... uwielbiał. Byłem jego dzieckiem - gdy mnie kupił, byłem najdroższym piłkarzem w historii klubu. Jak strzelałem bramkę, to cieszył się podwójnie. Jak złamałem nogę, to ciągle pytał, kiedy dojdę do siebie. A najciekawsze, że w jego gabinecie wisiało zdjęcie upamiętniające mój transfer. Zaraz przy wejściu, w gablocie. Zaraz przy... skórze ukochanego psa. Ten gość, gdy zdechł mu pies, obdarł go ze skóry i wytapetował ścianę! Ja i jego piesek. Zły duet?

Jedno jest pewne - nawet dla najbardziej zwariowanego prezesa ulubieńcem będzie dobry piłkarz. Później droższy ode mnie był na przykład ściągnięty z Juventusu Turyn Robert Jarni, ale moje zdjęcie w gabinecie zostało. Co ciekawe, im mocniejszą mieliśmy w Betisie pakę, tym gorzej nam szło - najlepszy wynik zrobiliśmy w pierwszym moim sezonie. Później rosły ambicje, a malały - nie wiadomo czemu - możliwości. A przecież gwiazd naprawdę nie brakowało. Oprócz Jarniego z Juventusu, w drugim moim sezonie dołączył do nas Finidi George z Ajaksu Amsterdam, który właśnie zdobył Puchar Europy. Do Barcelony odszedł Cuellar, ale przyszedł za to Alfonso. Dla mnie to było kolejne z nim spotkanie - pierwsze miało miejsce w finale olimpijskim.

- To niemożliwe. Ty nie mogłeś grać na olimpiadzie - stwierdził Alfonso, gdy z nim o tym rozmawiałem. Patrzył to na mnie, to na moje wąsy, na mnie, na wąsy. - Przecież ty masz ze 28 lat albo i więcej! - wypalił w końcu.

- Nie, kolego. Ja mam tyle co ty, tylko się rzadziej gole.

Akurat Alfonso na olimpiadzie za dużo sobie nie pograł, ale przyznał, że gdy Hiszpania strzeliła na 3:2, to tak jakby wygrali los na loterii - bo wiedzieli, że w dogrywce nie mieli większych szans. Polacy wciąż biegali, a Hiszpanie marzyli o końcu spotkania. Nie te treningi, nie te płuca. Po kilku latach spotkałem jeszcze jednego hiszpańskiego olimpijczyka, Paquiego w Las Palmas. Ten już kojarzył mnie bardzo dobrze, ale pewnie dlatego, że był przede wszystkim lepiej zapoznany z prasą.

Z Alfonso była jedna śmieszna historia. Gdy miał akurat sezon życia i strzelił ponad dwadzieścia goli w sezonie, udzielił wywiadu - co robić, by grać jak Alfonso. I tam przedstawił swój plan dnia. Tak czytaliśmy to wszyscy i... oczom nie wierzyliśmy. Albo dziennikarz zwariował, albo Alfonso. Ale bez wątpienia ktoś tu stracił kontakt z podłożem. A wiec z rana równo godzina rozciągania w domu. Spanie - równo osiem godzin. I tak dalej. Wszystko wyliczone do minuty. - A ty w ogóle z żoną się kochasz? - śmialiśmy się. - Alfonso, mam dla ciebie kanapki, bo w twoim planie dnia nie uwzględniłeś posiłków!

Na naszej tablicy w szatni przez kilka dobrych dni wisiał ten wywiad - co trzeba robić, by pójść śladem Alfonso. W końcu sam Alfonso nie wytrzymał i zerwał.

- Wystarczy!

Hiszpanie nie kładą się spać. Nie wiem, jak oni to robią, ale się nie kładą. Po meczu idą na piwo, po piwie na wino i tak mijają całe godziny, aż przychodzi śniadanie. To już nie było dla mnie. Odkąd wyjechałem z Polski, a przecież na świat przyszła córka, zdecydowanie preferowałem towarzystwo rodziny. Niech na imprezach bawią się ci młodzi, niekonwencjonalni. Niech oni dzień w dzień zamykają lokale, ja już nie miałem na to ani sił, ani chęci.

Oczywiście raz na jakiś czas wyskakiwaliśmy gdzieś wszyscy. Zawsze duszą towarzystwa był Finidi. Wiadomo - Murzyn, a więc taniec, kocie ruchy, śmiech, śmiałość. Wszystko. On nawet na boisku nie przestawał tańczyć. Gdy strzelał gola, to podbiegał zawsze pod sektor naszych kibiców, ci rzucali mu kapelusz, a Finidi z tym kapeluszem tańczył - no i odrzucał. To był rytuał, który powtarzał się za każdym razem, gdy Finidi trafiał do siatki. Wszyscy się przy tym świetnie bawiliśmy, wszyscy go szczerze lubiliśmy. Był zresztą potwierdzeniem starej, piłkarskiej zasady - dobry piłkarz umie się dobrze bawić.

W całej drużynie problem był tylko z "Jugolami", bo jak się zamknęli we własnym gronie, to tyle ich widzieliśmy. Zero kontaktu. Razem jedli, razem chodzili do kina, razem na dyskoteki, razem na zakupy i Bóg jeden wie, co jeszcze razem robili. Oczywiście poza Robertem Jarnim, bo to już był ograny w świecie zawodnik, który wie, na jakich zasadach powinna funkcjonować drużyna. Jak ktoś szalał w Juventusie (a kilka lat później i w Realu), to nie po to, żeby nagle odstawić teatrzyk w Betisie. Wszystkich jednak łączyło jedno - zamięrowanie do biżuterii, skóry i żelu. Zawsze mi się śmiać chciało, gdy inny Jugosłowianin w lidze hiszpańskiej, Predrag Mijatović, wychodził na boisko. Deszcz, wiatr, zamieć, upał - cokolwiek. Mogło lać jak z cebra, ale ani jeden włos na jego głowie nie miał prawa się poruszyć. Nawet przy najmocniejszym strzale głową, nawet przy zanurkowaniu w murawie - nic nie mogło drgnąć. I co godne uznania - nie drgało!

W zespole lubiliśmy się na tyle, że organizowaliśmy nawet... Mikołajki. Do szkoły w życiu się za dużo nie nachodziłem, ale zdążyłem zapamiętać, że to dokładnie ten sam motyw. Losowaliśmy, kto komu będzie kupował prezenty. Pamiętam, że kiedyś stanęło przede mną wielkie pudło. Co to jest, do cholery? Otwieram, a tam... samochód-zabawka z tekstem, że teraz będę miał czym jeździć na treningi. Sam raz wylosowałem takiego chłopca, że dostałem polecenie odgórne - kupić dmuchaną lalkę z sex-shopu. Polecenie wykonałem, ale coś się prezent nie spodobał. Chodziło o to, że kolega miał dziewczynę z drugiego końca Hiszpanii, w dodatku studiowała w... Londynie. Widzieli się raz na pół roku. Może żart mało subtelny, ale co tam - lalka została w szatni. Wybrał samotność.

Na atmosferę w zespole wpływ mógł mieć sposób... organizacji zgrupowań przedmeczowych. Myślę, że wielu polskich trenerów mogłoby to zainteresować. Otóż skład meczowy znaleźliśmy w czwartek, a w piątek była już jasność. Przy... ogłaszaniu, kto z kim śpi. Było tak, że zawsze napastnik spał w pokoju z napastnikiem, lewy obrońca z lewym pomocnikiem, dwóch środkowych obrońców razem, dwóch środkowych pomocników razem, prawy obrońca z prawym pomocnikiem. I rezerwowi wedle tego samego klucza. Nie było miejsca na przypadek czy też jakiegokolwiek sympatie. Nie lubisz gościa? To zmień pozycję, to jedyne wyjście! A co ciekawe, wyobraźmy sobie zgrupowania w Polsce, na których zawsze razem śpi dwóch bramkarzy. W większości naszych klubów po takiej nocy tylko jeden wyszedłby żywy i zakrzyknął umorusany: - To

była samoobrona!

W zespole czułem się świetnie, ale... bez przesady. Kiedyś jeden dziennikarz zapytał mnie, czy już jestem prawdziwym "betiko". - Betiko? Ja jestem z Legii Warszawa, a nie żaden betiko i tak zostanie - oświadczyłem, co może przesowi nie do końca się spodobało, ale nikt nie zgłaszał pretensji.

Przy tych wszystkich wcześniej wymienionych nazwiskach, przy tym fajnym klimacie w zespole, nigdy nie zrozumiałem, czemu graliśmy słabiej i słabiej, aż w końcu musiał zmienić się trener...

Wojtek?

- Tak.

- Słuchaj, jest konferencja prasowa. Wójta wybiorą na selekcjonera. Wpadnij, będzie miło.

To był znajomy dziennikarz, Jacek Kmiecik. Akurat spędzałem wakacje w Warszawie. Pojadę. Nie codziennie Wójcik zostaje trenerem kadry. Stałem więc sobie z tyłu i patrzyłem, jak przemawia. Oczywiście jego wybór nie był dla mnie żadnym zaskoczeniem, bo przecież akcja "Wójcik trenerem" była wtedy mistrzowsko rozreklamowana, nawet zorganizowano audio-tele, które miało wszystkim pokazać, jaka jest wola narodu - a wola narodu była jedna, dajcie nam Wójcika! I mnie w głowie kołotała myśl: "No, panie Piechniczek, wracam do kadry".

- Gratuluję, trenerze.

- No, misiu, szykuj się. Niedługo pierwsze mecze!

Jeszcze będąc na wakacjach, już mogłem przygotowywać się do meczów kadry. Cieszyłem się, bo miałem pewność, że nawet jeśli nie będę w formie, nawet jeśli nie będę grał w podstawowej jedenastce, to zawsze będę szanowany jako piłkarz i jako człowiek. Wójcik to gwarantował swoją osobą. Ale znając trenera, wiedziałem też, że nie będzie miejsca na fuszerkę, bo dorosła kadra to rzecz trochę poważniejsza niż ligowe gołenie kogokolwiek. Z drugiej strony była we mnie świadomość, że jestem za dobrym piłkarzem, aby w tej reprezentacji nie grać. Jakoś nowe Kowalczyki nie dobijały się ze wszystkich stron.

Wójcik późno dostał swoją szansę, ale wydawało mi się, że jednak na tyle wcześnie, iż jeszcze można będzie ten stracony czas nadrobić. Utwierdzać w tym przekonaniu mogło jego zachowanie - to był wciąż dokładnie ten sam człowiek. I teksty też te same pozostały. Wciąż pewny siebie, potrafiący dbać o interesy swoje i swoich ludzi. Umiejący stworzyć atmosferę. Niezaprzeczalną zaletą Wójcika był fakt, że to właśnie za jego kadencji stadiony na meczach kadry znów się zapełniły. Ludzie wreszcie chcieli nas oglądać. Do tego nastąpił niesamowity skok jakościowy w kwestii organizacyjnej - spaliśmy w najlepszych hotelach, jedliśmy najlepsze jedzenie, kasa, wszędzie była kasa.

Hotel "Sobieski" pasował nam szczególnie, bo centrum miasta, bo łatwy dojazd z lotniska, bo wszystko na miejscu i standard odpowiedni. Bliskość lotniska była największym ułatwieniem, bo zgrupowania typu kilka godzin w samolocie, a potem 400 kilometrów do jakiejś wsi, do której trener ma blisko nikomu specjalnie się nie uśmiechały. Jak zawsze pojawiały się też głosy malkontentów - a jak to jest, że kadra mieszka w centrum miasta, gdzie jest hałas, smród i w ogóle, a nie w specjalnym ośrodku? A było to tak, że specjalnego ośrodka PZPN nie ma, a w "Sobieskim" okna są szczelne i nikomu tramwaje po pokoju nie jeżdżą.

Pojawiły się też głosy, że zły wpływ będzie miała na nas "Zbrojownia", czyli hotelowy pub czy też może night club. Nie, raczej pub. Otóż ja w "Zbrojowni" byłem tylko raz, bo niespecjalnie mi to miejsce pasowało, i do tego po meczu. Zejść tam to było jak wydać światu oświadczenie: "Oficjalnie pijemy!". A tak się nie robi. U żadnego selekcjonera. Żeby nie było teraz, że "Kowal" oczernił wszystkich trenerów, bo niby nie potrafili porządku utrzymać, a Wójcik będzie święty. Pamiętam takie wydarzenie z początku

naszej przygody z "Sobieskim".

- Recepcja? - spytał jeden z nas cichym głosem. - Mamy prośbę. Poprosilibyśmy, ale tak bardzo dyskretnie, o dziesięć piw, dwie butelki whisky, dwie butelki coli i jakieś szklaneczki do pokoju. Ale tak dyskretnie, naprawdę dyskretnie, dobrze?

Oczekiwanie na kelnera przerwało nam trzęsienie ziemi. Podłoga zaczęła drgać, a zbliżała się chyba jakaś trąba powietrzna albo nie wiem co - lawina jakaś może. Hałas narastał i narastał. Nagle koniec burzy i ktoś zapukował do pokoju. Oho, to nasz kochany kelner dyskretnie wózek prowadził. Całą fabryka alkoholi na wierzchu, tak, że na odległość dało się z etykiety zawartość procentów wyczytać.

- Człowieku, to jest dyskretnie?! Czyś ty zgłupiał?

Trzeba jednak przyznać, że facet bardziej nas rozbawił niż zezłościł i niektórzy przez dłuższy czas nie mogli opanować śmiechu. Dostał nawet napiwek, pewnie ze sto złotych, bo obsługa hotelowa miała z nami dobrze. Nie zarabialiśmy jak normalni ludzie, to i wydawaliśmy inaczej.

Tradycyjne, reprezentacyjne przywitania w "Sobieskim" robiliśmy w pokojach. Na dole nie można było, bo wszędzie szwędali się dziennikarze - wypijesz jedno piwo, a oni napiszą, że właśnie stałeś się udziałowcem Browarów Warszawskich. Później, gdy padła plotka, że kadrowicze się bawią, każdy miał przykazane przywozić coś w torbie obok butów piłkarskich - żeby nie wzbudzać podejrzeń i nic nie kupować na miejscu. Ja sam zawsze wstępowałem na strefie bezcłowej i brałem jedną buteleczkę czarnego Jasia. Podobnie robili inni - "druga para butów". Jednak zawsze było spokojnie. Mówiło się tylko: - Spotykamy się wieczorem. Kto miał łeb na karku, to wiedział, do których drzwi trzeba zapukać. Nikogo nikt specjalnie nie zapraszał. A w pokoju to już raczej normalka. Jest towar, rozmawia się, żartuje, wypija towar i idzie spać. Nic nadzwyczajnego, nic szczególnie godnego uwagi. I na pewno nic nagannego. Ja się tylko cieszyłem, że rzadko spotykaliśmy się w moim pokoju, dzięki czemu nie miałem specjalnie napalone. Chociaż sam wtedy jarałem. Z tym akurat nie miałem zamiaru się ukrywać, jak normalny Polak rano szedłem do kiosku i prosiłem gazetkę oraz paczkę fajek. Wielu chłopaków paliło. Przypomniał mi się artykuł, który napisał jeden z dziennikarzy, gdy odwiedził "starą" Legię na zgrupowaniu w Zakopanym. To było mniej więcej tak: "Przyjechałem, aby napisać, jak pewna drużyna ligowa przygotowuje się do sezonu. Wchodzę do pokoju, a tam kilku męzczyzn gra w karty. Niestety, nie widzę ich twarzy, bo wszystko zasłania dym". Trafne!

Czy Wójcik był przeciwnikiem powitań kadry, które odbywały się "od zawsze"? Obstawiam, że gdyby wszedł akurat do odpowiedniego pokoju, to byłby zły. Ale skoro nas nie nakrył, to nawet jeśli wiedział, co mógł zrobić? Opieprzyć wszystkich? To zaraz by ktoś powiedział: - Hola, panie trenerze. A ja nie piłem. Przepraszam, chciałem się dowiedzieć, gdzie była impreza i czemu do jasnej cholery nikt mnie o niej nie poinformował?!

Debiut Wójcika i mój w jego kadrze wypadł na mecz Polska - Węgry. Zgrupowanie było o tyle koszmarnie, że na wszystko brakowało czasu. Ciągłe jakieś spotkania, odprawy, ustalenia. A jak już była chwila wolna to... poszliśmy do więzienia! Nie, wcale nie żartuje...

Najpierw spotkaliśmy się z prezesem Marianem Dziurówiczem, który posiadał wiedzę tajemną, ale na szczęście zgodził się z nami nią podzielić. - To jest Janusz Wójcik - oświadczył poważnym tonem. - To nowy selekcjoner reprezentacji Polski.

W tym momencie nie pozostawało nic innego jak spojrzeć na zegarek. - To jest pan Dmoszyński - uroczystość wyraźnie posuwała się do przodu. - To nowy dyrektor reprezentacji Polski.

Znów najwięcej mojej uwagi przyciągnęły wskazówki zegarka. A prezes Dziurówicz przedstawiał dalej tych wszystkich misiów. Sensu w tym żadnego, bo i tak jeśli się kogoś nie znało, to nikt nie zapamięta danego imienia i nazwiska z jakiegoś odczytu prezesa.

Jak się nie ma pojęcia, kim jest nowy masażysta to się idzie i mówi: "Cześć, jestem taki i taki, będziesz mnie zaraz masował". I już. Ale nie - wszystko musiało odbyć się zgodnie z protokołem, więc nudziliśmy się tak niemożliwie, patrząc to w podłogę, to w sufit. Dyskutować i tak nie było o czym, bo przecież Wójcik wszystkie sprawy załatwia sam. Czy to kwestię pieniędzy (tak zwanego startowego), czy cokolwiek innego. Akurat wtedy mieliśmy dostawać tysiąc dolarów za przyjazd na mecz towarzyski i półtora tysiąca za mecz eliminacyjny. Mogę się mylić, bo nigdy nie miałem pamięci do drobnych sum.

Powoływać Rady Drużyny w związku z tym nie było sensu, chociaż oczywiście ją powołaliśmy. Był w niej na pewno Jurek Brzęczek, jako kapitan zespołu. Dodajmy, że kapitan wybrany drogą demokratyczną. Wybrali go przez głosowanie aktualnie pracujący selekcjonerzy. Pracował jeden - Wójcik - więc akurat tak się złożyło, iż jego głos okazał się decydujący. Poza Brzęczkiem w radzie znaleźli się bodajże Tomek Wałdoch i Adam Matysek. Bramkarz musi być, bo bramkarze to zawsze największe świry, do tego wygadane. Tak to już jest, jak ktoś nie zablokuje wszystkich strzałów i czasami dostanie w łeb.

Wyborów do rady nie było. Po prostu rozmowa przy posiłku, kto by chciał się w niej znaleźć. Ja z góry powiedziałem, że mnie to w ogóle nie interesuje, bo z zasady jestem przeciwnikiem wszelkich rad. Raz w życiu zdarzyło mi się, iż rada piłkarzy cokolwiek wywalczyła - premie przed meczami z Sampdorią, ale akurat wtedy działacze wyszli z założenia: "Macie ogórki, i tak nie wygracie". A poza tym to działalność w radzie jest niekończącym się pasmem dyplomatycznych porażek. Zawodnicy myślą, że są ważni, że z ich gadania może coś wyniknąć, a w praktyce jest tak, że żadna grupa piłkarzy nigdy niczego na tym polu nie wygrała. Zawsze się szło do działaczy z jakimś pismem, w pełnym skupieniu przekazuje się: - Panie prezesie, oto nasza wersja, chcielibyśmy, żeby się pan zapoznał.

Na to pan prezes: - O, chłopaki! Dobrze, że jesteście. Mam dla was pismo do podpisania. Co, napisaliście swoje? Nieważne! Ja mam lepsze!

Ewentualnie jest też druga opcja: - Co wy mi tu za innowacje wprowadzacie? Dwa miesiące papier leży i czeka, a wy teraz chcecie coś zmieniać? Nic z tego, podpisywać!

Pamiętam taką sytuację po moim powrocie do Legii. Wszyscy się strasznie przejęli jakimś dokumentem. Na papierze to pięknie wyglądało. Rada drużyny już przygotowała do negocjacji, na co prezes Leszek Miklas mówi: - Nie, nie, nie! Mamy przygotowany wcześniej wariant. Tu jest nasza propozycja. No chłopaki, przejrzyjcie sobie, przeczytajcie i zostawcie podpisane.

No i proszę mi powiedzieć, po co być w takiej radzie? Żeby rozmawiać o wycieczkach do ZOO. Żeby pytać, czy się można napić piwa? Dla mnie to takim radom powinno dać się nazwę - Rada, Która Nic Nie Może.

Jak już wspomniałem, pierwszy dzień zgrupowania był tak szalony, że nawet... udaliśmy się do więzienia. Pojechaliśmy na Rakowiecką spotkać się z kibicami mniej uprzywilejowanymi, takimi, którzy nie mogą przyjść na mecz. Większość pytań oczywiście do trenera, kilka do mnie. Wszystkie odpowiedzi w stylu obiecanki-cacanki, będzie dobrze, trzymaj kciuki. Ale tak siedzę i patrzę - o, jedna znajoma twarz, druga.

- Cześć Kowal! Co słychać?

- Wojtek, co tam u ciebie i siostry słychać?

- Pozdrów tego, pozdrów tamtego! Przekaż, że jest git!

I tak kolejni znajomi z Bródna mi się jawią przed oczami. Wreszcie się dowiedziałem, czemu tak długo niektórych nie widziałem. Nawet byłem niektórymi zdziwiony, że trafili do paki. Cóż, to nie byli moi bliscy koledzy, ale znaleźliśmy się z podwórka. Znajomi. Oczywiście nie odsiadawali długich wyroków, nie byli żadnymi mordercami. Wiadomo, co się dzieje, gdy brakuje pracy i pieniędzy - czasem rozboje, czasem kradzieże. Tak po części mogłem się spodziewać, że kilku tak skończy. Nie spodziewałem się tylko, że... spotkam ich w czasie zgrupowania kadry w takim miejscu. Było dość miło.

- Na Bródnie wszystko w porządku. Pozdrowię ziomków.

Z Węgrami graliśmy dla powodzian. To nie jest puste hasło. My naprawdę dla nich graliśmy. Nawet na odprawie Wójcik powtarzał: - Pamiętajcie, że najważniejsze dziś, aby ci ludzie byli zadowoleni. To dla nich gracie. To ich dzień. A ich dzień to będzie kiedy? Kiedy będą szczęśliwi?! Gdy wygracie!!!

Czułem dreszczyk emocji. Bynajmniej nie dlatego, że znów zagram w kadrze, nie dlatego, że zagram przeciwko jakimś Węgrom. Łazienkowska. Znów miałem okazję zagrać na swoim stadionie. Prawie w całej Polsce kibice mnie nienawidzili ze względu na to, że byłem legionistą, więc coś mi się od życia należało - właśnie przyjęcie na stadionie Wojska Polskiego. Wiedziałem, że znów ci kibice, którzy zawsze mnie lubili, znów zaskandują moje nazwisko. Wiedziałem, że na trybunach będzie i moja rodzina, i moi koledzy. Nawet przed meczem inni piłkarze ze mnie żartowali, bo wiecznie brakowało mi biletów - kto ma niepotrzebne bilety?! Kto ma bilety na zbyciu? Brakuje mi ośmiu. Kończyło się tak, że po dodatkową pulę musiałem chodzić do Krzysztofa Dmoszyńskiego. Skoro mecz w Warszawie, to tak około piętnastu wejściówek musiałem zorganizować. - I co? Pół Bródna znowu przyjdzie tylko na "Kowala" i tylko ciebie będą dopingować? Ech, jak zawsze! - dogryzano mi. - Sam sobie publikę ściąga, a potem się cieszy, że ktoś go lubi!

Przed meczem z Węgrami miałem jeszcze krótką rozmowę na temat numeru.

- Wojtek, z którym numerem chcesz grać? - spytał dyrektor Dmoszyński.

- Ja zawsze z "dychą".

- A ty Jurek? - spytał się Brzęczka.

- Ja z dziesiątką.

- Kowal, Brzękol ma dychę.

- To niech sobie ma, ale z dychą ja gram.

- Ale ja zawsze grałem z dychą - przyznał Brzęczek i akurat miał rację, bo na olimpiadzie ja grałem z jedenastką, a on z dziesiątką. Jednak od olimpiady minęło kilka lat.

- Brzękol, to wszystko fajnie, ale ja też gram zawsze z dychą.

W końcu stanęło na moim, bo chyba nikt nie miał wątpliwości, że się nie ugnę. Konflikty z tego nie było żadnego, a przed meczem - jak za dawnych dobrych lat - wszyscy krzyknęliśmy "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego". Sam mecz dla mnie - no cóż - nawet nie wiem, czy był udany, czy nie. Bo z jednej strony grałem bardzo dobrze. Z drugiej - nie wykorzystywałem sytuacji. W drugiej połowie już nawet przerzuciłem piłkę nad bramkarzem i chciałem się cieszyć, ale stwierdziłem, że poczekam, aż wpadnie do siatki. A ona się tak odbiła raz, drugi i o centrymetr minęła słupek. Wtedy już wiedziałem - tego dnia bramki nie strzelę! Może za bardzo chciałem? Mimo wszystko byłem zadowolony, bo jeszcze nie ruszyła liga hiszpańska, a ja już byłem w gazie. I nawet mnie dziwiło, z jakiej racji mam tyle sytuacji? Cztery albo pięć!

Całe szczęście, że honor Legii i honor pokoju hotelowego numer ileśtam obronił Krzysiek Ratajczyk - mieszkaliśmy razem. Huknął przepięknie z rzutu wolnego, piłka wpadła w same ramy i mecz wygraliśmy 1:0. Oczywiście, nie czarujmy się, "Rataj" nie celował, chyba że w rywala nogę. - A ty Kowal, to nawet dobrze zagrałeś, ale celownik mógłbyś trochę nastawić - usłyszałem po meczu. Całe szczęście, że nie skończyło się tak, jak ze Stachurskim - że nie zwolnili trenera, bo za mało strzeliłem. No, w przypadku Wójcika było to niemożliwe. Za mocno siedział w siodle.

Wraz z ostatnim gwizdkiem dla mnie kończył się nie tylko mecz, ale także zgrupowanie. Nie jechałem już do hotelu, od razu do domu na Bródno. Oczywiście o siódmej rano mój "ulubiony" samolot do Madrytu, a więc wcześniej było trochę czasu na rozmowę. Zwłaszcza, że w czasie zgrupowania nigdy nie wyskakiwałem do domu, bo tłuczenie się czterdzieści minut przez Warszawę w jedną stronę nie miało większego sensu. W hotelu

też nikt mnie nie odwiedzał.

W drugim meczu już bramkę strzeliłem, wygraliśmy w Olsztynie z Litwą 2:0. Wcześniej zamknęli nas w jakimś gierkowskim ośrodku, tych typu "dla partyjnych". Pokoje niby wieloosobowe, ale nie jeden chciałby mieć dom taki, jaki my tam mieliśmy pokój. Olbrzymi! A do tego regały, telewizory, kanapy, obok las i jezioro. Warunki kapitalne. Jeszcze przed meczem dzwonił do mnie Wójcik.

- Jak misiu, jesteś w formie, zagrasz mi dobrze?

- Trenerze, wszystko dobrze. Będziemy pruli ogóreczków.

No i ich tak się stało.

W spadku po Piechniczku trener Wójcik dostał przede wszystkim niedokończone i przegrane eliminacje. Czyli wycieczkę, na którą pewnie panu Antoniemu nie chciałoby się lecieć - do Mołdawii i Gruzji. A precyzując - nikomu by się nie chciało lecieć. Trzeba, to trzeba. Ojczyzna wzywa, zapnij pasy, ucałuj orzełka, przygotuj się do startu i zmów modlitwę. Samolot mołdawskich linii już grzeje silniki! Albo silnik, nie wiem, ile ich tam działało. Kapitan i załoga na pokładzie.

- Proszę państwa. Lot potrwa godzinę i piętnaście minut. Prosimy wszystkich o zapięcie pasów. Dziękuję - wyklepała regułkę stewardessa, ale... Zaraz, zaraz. Coś ta regułka była za krótka. Marne cztery sekundy? Powiedziała pani wszystko w cztery sekundy? A to całe gadanie o wyjściach awaryjnych, maskach tlenowych, kamizelkach? Zapomniała pani? Niech pani tu wraca!!! Przecież chyba nie po to macie w tym dziwnym samolocie dwa razy więcej wyjść awaryjnych niż okien, żeby o nich nie wspomnieć. A może... Zaglądamy pod siedzenia - kamizelek żadnych nie ma. Patrzymy, co jest nad nami - wiele rzeczy może spaść na głowę, ale na pewno nie maska tlenowa. No ładnie, raz w życiu kwestia bezpieczeństwa mnie zainteresowała i akurat wtedy musiałem się nadziać. My, czy w tym samolocie w ogóle coś istnieje, a ona, że miłego lotu. Dzięki. Lot potrwa godzinę i piętnaście minut. Tyle jeszcze zdążyła powiedzieć. Nie pozostało nic innego jak odliczać. Godzina i czternaście minut. Godzina i trzynaście minut... Nagle lądujemy. Dwadzieścia pięć minut za wcześnie. Ja nie wiem czy oni tę trasę przelecieli szybciej niż się da? W każdym razie byliśmy. Jeszcze żaden z nas nie zdążył odpiąć pasów, a tu nagle trzask, trzask, ktoś sobie wyszedł. Patrzymy, a w całym samolocie nie ma poza nami nikogo. Stewardessy poszły, piloci to nie wiem czy wogóle byli, a jak byli, to się zmyli. Równie dobrze mogłem usiąść za sterami i dać gazu. I pewnie nikt na wieży kontrolnej by nie zauważył. Mołdawia wita was. W związku z czekającą nas później wycieczką do Gruzji, pojawiła się propozycja drużyny, czy może udałoby się jakoś załatwić polski, czarterowy samolot, bo te tutejsze nie są na nasze nerwy. Że polecimy to wiedzieliśmy, ale czy dolecimy? Niestety, skończyło się na prośbach.

Mołdawia ogólnie okazała się miłym krajem, z miłymi ludźmi. A już na pewno miłszym niż Gruzja. Oczywiście, dziura jest dziurą, bez względu na to, czy się mieszkańcy uśmiechają czy nie. Przeprowadzono tam wyjątkową odnowę biologiczną. Otóż pojechaliśmy na basen, który był chyba zamknięty od iluś lat, skradaliśmy się przez jakieś krzaki i wogóle zrobił się z tego bieg na przelaj, ewentualnie na orientację. A sam basen niby miał - nie wiadomo skąd - czystą wodę, lecz wszyscy kompaliśmy się w butach. Hotel mieliśmy bardzo przyzwoity - to trzeba przyznać. Nawet kasyno było, choć raczej nikt się nie zainteresował, bo jak się wejdzie do kasyna u Ruskich, to można niechcący nie wyjść, a już na pewno nie z wygraną. Staraliśmy się trzymać pokoi, których standard zdecydowanie bardziej przyciągał niż odrzucał - odwrotnie niż w Moskwie. Sam mecz bez szczególnej historii poza tym, że wygraliśmy w dobrym stylu 3:0. Ładnie szło. 1:0 z Węgrami, 2:0 z Litwą, 3:0 z Mołdawią. To ile to wypadnie na anglików? Wniebowzięty był Andrzej Juskowiak. Strzelić trzy bramki w reprezentacji to wielka sprawa. Satysfakcję miał podwójną, bo przecież za kadencji Piechniczka z kadry zrezygnował. A tu proszę - jednak nie jest taki ostatni i nawet czasami coś strzeli! Chyba wszystkim ten mecz będzie dobrze się kojarzył, tylko nie Edwardowi Lorensowi.

Lorens jak wiadomo był protegowanym Dziurowicza w ekipie Wójcika i wiadomo było, że nie nadaje na tych samych falach co selekcjoner, a jeśli nadaje, to raczej na niego. No i tak świętowano sukces kadry, gdy - przy tym mnie akurat nie było - Marek Józwiak uznał, iż niekoniecznie Lorens pasowałby do grona piłkarzy.

- Kelner!
- Słucham pana?
- Masz tu sto dolarów, a tego sabaki Lorensa tu nie wpuszczaj! - ostro powiedział, kelner w mig chwycił, bo sabaka to po rosyjsku pies, a zielonego banknotu nie trzeba było tłumaczyć na żaden język.
I się Lorens nie bawił.

Trochę minąłem się z prawdą pisząc, że wszyscy poza Lorensiem mogli wspominać mecz w Mołdawii tylko dobrze. Zapomniałem o sobie. Stało się w późniejszym czasie tak, że właśnie w znacznej mierze przez to spotkanie musiałem odejść z Betisu - po blisko czterech latach. Otóż w meczu z Mołdawią po raz drugi w karierze złamałem nogę. Może nie złamałem, ale kość piszczelowa pękła mi wzdłuż, zrobił się odprysk. Uraz był dziwny, bo nie przez cały czas go czułem i momentami wydawało się, że jestem w pełni zdrowy. A w dodatku nie widać go było na prześwietleniach. Doktor Lorens mówił, że to uraz psychiczny, a z nogą jest wszystko w porządku. Pewnie odczytał to na podstawie mojego pola magnetycznego.

Już spotkania z Mołdawią, po tym jak mnie kopnięto, nie dograłem do końca, a w meczu z Gruzją nie zagrałem w ogóle. W czasie rozruchu zacząłem biegać normalnie, ale po chwili nie byłem w stanie chodzić. Zawieziono mnie na badania w jakiejś przedpotopowej maszynie. Skoro Gruzja, to pewnie Józef Stalin składał sobie w tym miejscu połamane kości. Podobno maszyna miała tylko wyglądać źle, bo zdjęcia, które produkowały - pierwsza klasa! Nie wiem jedynie, czy wszyscy zrozumieli, że nie chcę fotki do paszportu, tylko że mnie noga boli. Cóż - poboli, gdzie jak gdzie, ale w Gruzji mnie nie wyleczą. A zdjęcia fakt, że ładne. Szkoda, że nic nie pokazało.

Szczerze mówiąc, to wolałbym już iść do lekarza w Mołdawii niż w Gruzji. Tu jak wylądowaliśmy i wsiedliśmy do autokaru, to myśleliśmy, że po nas. Szofer tylko zapalił, to poszedł taki nawiew do środka, że wszystkie spaliny buchnęły nam prosto w twarz. I tak pompowano nas miejscowymi biopaliwami przez całą podróż. Nic dziwnego, że połowie chciało się wymiotować, a połowę jedynie bolała głowa. Jakoś jednak doturlaliśmy się do chyba jedynego hotelu w tym pieprzonym mieście. To był nieprawdopodobny widok. Tam nie było nic. Nic. Stolica kraju i nic. Pustka. Same ruiny. Same zgliszcza. Wyjąłbyś dziesięć dolarów i kupił pół dzielnicy. Tylko po co? Nawet zaorać ten bajzel byłoby trudno. Byliśmy na jakiejś cholernej, cywilizacyjnej pustyni.

I oto hotel, o którym można byłoby pomyśleć, że jest tylko fatamorganą, złudzeniem optycznym, które z nas kpi. Jakiś mafiozo w środku tego zadupia wybudował piękny hotel. To znaczy my w Polsce mamy takich kilkadziesiąt, ale tamten stał pośród złomu. A w środku złoconone poręcze, fontanny, oczywiście ozdobne windy, bo budynek był chyba wysoki na kilkanaście pięter - wszystko pięciogwiazdkowe. Co ciekawe, w tym samym hotelu mieszkała nasza sympatyczna, znana obsługa z samolotu - stewardessy i piloci (chyba jednak istnieli) zostali przewiezieni prosto z pasa startowego do hotelu i dostali zakaz opuszczania swoich pokoi. Taki areszt, bo chyba kraje się specjalnie nie kochały. I w tych pokojach podniebny personel rodem z Mołdawii czekał aż rozegramy mecz, aby z nami polecieć do Polski.

Mecz nie warty wspomnienia. Aż się trochę cieszyłem, że w nim nie gram. Gruzini powieźli nas jak baranów. Sławek Majak też już chyba nie mógł na to patrzeć, bo zamiast tego wolał pooglądać czerwoną kartkę. A tamci - cóż, po prostu byli lepsi. Na takim obciachowym stadionie typu Warta Poznań porażka smakowała jeszcze gorzej.

Wiadomo, że Wójcika ta porażka zabolowała, bo on przecież miał podbijać świat, a tu taki dzwon na ogórkowie. Ale co tam, zdarzają się większe problemy niż przegranie meczu w

przeigranych wcześniej eliminacjach. A najważniejsze było to, że wreszcie - wreszcie! - wrócimy z tej wyprawy do domu. Uwolnimy załogę samolotu i polecimy tym samolotem bez czegokolwiek poza wyjściami awaryjnymi byle dalej.

Czkawka. Mecz z Mołdawią długo odbijał mi się czkawką. Już wcześniej miałem problemy w Betisie, dokładnie od momentu, w którym do szatni wszedł Luis Aragones i okazało się, iż to właśnie on będzie naszym nowym trenerem. Nie mieliśmy żadnego konfliktu, żadnej nawet sprzeczki, szanowaliśmy się wzajemnie. Zaistniał zwyczajny... konflikt interesów. Graliśmy zupełnie nowym systemem, w którym miejsce było tylko dla jednego napastnika - graliśmy nietypowo, 1-3-3-3-1. Napastnikiem, tym jedynym, został znajdujący się wtedy w fenomenalnej formie Alfonso. Żaden z nas, pozostałych ofensywnych graczy, nie miał szans z nim rywalizować. Nawet zaraz na początku sezonu trener oświadczył: - W klubie jest pięciu dobrych napastników, ale ja aż tylu nie potrzebuję. Grać będzie Alfonso, a każdy z pozostałych może poszukać sobie nowego pracodawcy. Jednego z was puszcze. Nie będę nikogo blokował.

Zadzwońm do swojego menedżera i mówię: - Już czas, szukaj mi klubu.

Teraz przynajmniej wiedziałem, że nie skończy się tak jak w wypadku transferu do PSV, gdy mnie w ostatniej chwili nie puszczone. W lidze hiszpańskiej trenerzy wiedzieli, na co mnie stać. Oczywiście nie mogłem liczyć na transfer do Barcelony, ale już do średniego zespołu jak najbardziej. Prowadziłem zaawansowane rozmowy z Realem Saragossa oraz Racingiem Santander. Wydawało mi się, że w porę zdązę wszystko sfinalizować. Tymczasem jednego dnia przychodzę do klubu, a w szatni puste miejsce - Piera nie ma, Pier odszedł.

- Jak pewnie już wiecie, Pier zmienił klub. W związku z tym pozostali napastnicy będą mi potrzebni i nikogo więcej nie puszcze - oświadczył Aragones. Szczęśliwy z tego powodu nie byłem, bo pozostawało nas czterech, a miejsce wciąż jedno i do tego zajęte. Alfonso niczym się nie przejmował. I nic dziwnego. Nie schodził nawet na końcówki meczów, nie mówiąc już o wychodzeniu w podstawowym składzie. Niemniej trzeba mu przyznać, iż na to zasłużył - był w tamtym czasie z nas najlepszy, także w sparingach, w których wszyscy dostawaliśmy szansę. My mogliśmy tylko czekać, aż ewentualnie coś mu się stanie. A że to zdrowy chłop, to szansa na doczekanie się była mizerna. Bawiło nas, iż w kolejce czekał także... brat Alfonso. Kompletnie nieporozumienie, piłkarskie zero. Ale że braciszek słynny piłkarz, a ojciec rzutki menedżer, to tak go rzucali z klubu do klubu i liczyli, iż nikt się nie orientuje, że chłopaczek kopie się w czoło. W końcu go z Betisu pogoniono, na chwilę trafił do Bordeaux, ale też go pogoniono. I tak po epizodzie w Deportivo i Numancii słuch po nim zaginął. Może próbuje zostać koszykarzem albo zajmuje się jeszcze innym sportem, o którym nie ma pojęcia.

Ze mną był jeszcze dodatkowy problem. Może i Aragones przekonałby się do mnie, gdyby nie to... że w ogóle nie było mnie w klubie. Więcej czasu spędzałem na zgrupowaniach reprezentacji Polski. Jak nie mecz z Węgrami dla powodzian, to mecz z Litwą bez powodu. A jak nie Litwa, to długa wycieczka po Gruzji i Mołdawii. Za każdym razem traciłem co najmniej jeden mecz ligowy w klubie. Gdy trener miał już tych wiecznych wojaży po dziurki w nosie, bo widział mnie na treningu od święta, to czasami mnie nie zabierał chociażby na ławkę rezerwowych. Nawet to wykorzystywałem i gdy zaistniała taka sytuacja, to pytałem, czy mogę na reprezentację polecieć dzień wcześniej. - No nie, a ten swoje - myślał sobie Aragones. A co mi tam. Miałem za wszelką cenę oglądać w telewizji, jak koledzy grają mecz, zawsze dokładnie (dokładnie!) ta sama jedenastka? Kadra to kadra, lepsza i od ławki Betisu, i od trybun. Wstydzic nie miałem się czego - wszakże w reprezentacji grałem dobrze, strzelałem gole.

Dla trenera jakby tego było mało, to w dodatku gdy już wróciłem z Mołdawii, to okazało się, że coś mi niby dolega. Lekarz przebadał, powiedział, że jestem zdrow jak ryba, trzasnął w plecy na pożegnanie i kazał biec na boisko. A na boisku dzień w dzień było tak samo - wychodziłem na trening, zaczynałem z całą drużyną, mijało dwadzieścia minut i wyłem z bólu. Znowu oglądał mnie lekarz, znowu nic nie widział, a ja znowu po

dwudziestu minutach następnym zajęć schodziłem do szatni. I tak bezustannie. Jak kaleka może podjąć walkę z Alfonso? A wracając do moich reprezentacyjnych wojaży, Kontuzję odniosłem na początku listopada, do gry wróciłem w marcu. Znowu trafiłem w gips, znowu nie mogłem nawet trenować. I tak całe szczęście, że mnie w ten gips wsadzono, bo wszystko było zasługą lekarza z Las Palmas. Oferta pojawiła się wczesną wiosną 1998 roku. W Betisie same głupki nie pracują, więc kombinowali całkiem rozsądnie - Polak u nas nie gra, tylko symuluje, że go boli, tylko by na kadrę latał, wypożyczymy go na pół roku, przemyśli i wróci.

W tym samym czasie zgłosiła się też Compostela. Ta drużyna broniła się przed spadkiem z Primera Division. Równoległa oferta z Las Palmas wydała mi się ciekawsza. Akurat Las Palmas walczyło o awans i w tej walce było faworytem, a ja zawsze wolałem iść w górę niż w dół. Lepiej awansować z Las Palmas, niż zlecieć na twarz z Compostelą. Przedstawicielom obu klubów powiedziałem: - Panowie, jestem kontuzjowany, nikt nie wie co mi jest i nie wiem, kiedy będę zdolny do gry.

Moja kontuzja nie zniechęciła ani mającej nóż na gardle Composteli, ani mającego ambicje Las Palmas. Wybór Las Palmas okazał się trafny, bo tamtejszy lekarz od razu powiedział: - Hmm, podejrzewam pęknięcie tej kości w dość nietypowy sposób. Przeprowadzimy serię badań.

No i proszę, przeprowadzili - wyszło na ich. Raz, dwa i zaczynałem dostrzegać postępy w leczeniu, czego nie uświadczyłem przez poprzednie miesiące w Betisie. Podobało mi się w tym klubie, iż nikt specjalnie nie wkurzył się faktem, że nie pomogę szybko drużynie, bo muszę przez jakiś czas pochodzić w gipsie. To był profesjonalizm. Na wstępie też działacze powiedzieli mi, iż będą zabiegali o to, by po wyleczeniu kontuzji przedłużyć moje wypożyczenie z Betisu na kolejny sezon. Z początku nie dałem jednoznacznej odpowiedzi, ale z czasem pomyślałem sobie: - Wracać do Aragonesa nie ma specjalnego sensu. Tu trener mnie chce, klub mi się podoba, w dodatku Wyspy Kanaryjskie to i rodzina się cieszy.

Ze mną rodzina zawsze miała dobrze - Sewilla, teraz Wyspy Kanaryjskie, potem Cypr. A poszedłbym do takiej Composteli, to by ciągle padało - jak to w Galicji. Osobiście nie jestem specjalnym amatorem plażowych kąpiel, a wręcz nienawidzę wylegiwać się na słońcu, ale rodzina ma do tego trochę inne podejście. Ja zresztą też wolę jak jest ciepło niż zimno, nie ma się co czarować. Na Wyspach Kanaryjskich zawsze jest ciepło. To też był jeden z argumentów przemawiających za tym klubem, choć argument na pewno nie pierwszoplanowy. Nie najistotniejsze były też pieniądze, bo zarabiałem dobrze - Betis płacił mi kontrakt, a Las Palmas jeszcze dokładało swoją kasę, więc problem zarobków nie istniał.

Przede wszystkim liczyłem na to, iż w ofensywnie usposobionej drużynie będę strzelał bramki. I tu się nie zawiodłem. W debiucie, jak to ja w debiucie, zdobyłem gola. Trochę jednak byłem tego dnia w cieniu innego napastnika, bo facet walnął hat-trick, a ja przyładowałem dopiero w ostatniej minucie. Dostałem długie podanie od obrońcy, za plecy rywali, przyjąłem na klatkę, wziąłem obrońcę na ten swój słynny zamach i strzeliłem w długi róg. Oho, zamachy i tu działają! Było się z czego cieszyć, bo na trybunach siedziało dwadzieścia tysięcy widzów, tworzących super atmosferę. Las Palmas ma świetnych naprawdę świetnych kibiców. Rewelacja. Stadion mieści właśnie dwadzieścia tysięcy fanów, a przed sezonem rozchodzi się szesnaście tysięcy karnetów. Komplet jest zawsze. A że to wyspa, to każdy każdego zna i piłkarze są poza klubem wielce szanowani, co dodatkowo łechce.

Niestety, w tamtym sezonie nie awansowaliśmy do pierwszej ligi. Mój wkład w grę zespołu był prawie żaden, bo wróciłem do gry w marcu, a liga kończyła się na początku maja ze względu na mistrzostwa świata we Francji. W dodatku, jak to po długiej przerwie w grze, łapałem jakieś drobne urazy, nadciągnięcia. Ale coś tam zagrałem, coś tam strzeliłem, zdążyłem na tyle błysnąć, że koniecznie chcieli mnie na następny sezon. Wtedy już miałem jasność, że powrót do Betisu - wobec kryzysu w Sewilli - nie ma

większego sensu.

Awans przegraliśmy w barażach z Oviedo. W pierwszym meczu, w którym nie grałem z powodu drobnej kontuzji, przegraliśmy 0:3 i było po jabłkach. W dodatku rewanż, w którym już grałem, rozpoczęliśmy tragicznie, bo od straty gola. U siebie byliśmy szalenie mocni, ale nie na tyle, by zdobyć brakujące nam pięć goli. Skończyło się na mało satysfakcjonującym nas zwycięstwie 3:1. Miało to wielki wpływ na przyszłość klubu, bo niestety od razu po tym spotkaniu z pracy zrezygnował trener. To był dobry fachowiec. Namawiano go, aby został, spróbował raz jeszcze wprowadzić zespół do ekstraklasy, ale uparł się, że celu nie zrealizował i musi ponieść konsekwencje. Miał honor, to trzeba mu przyznać.

Jakoś tak się dziwnie złożyło, że gdy grałem w Betisie, to zespołowi szło całkiem nieźle. W moim pierwszym sezonie zajęliśmy trzecie miejsce w Hiszpanii, w drugim - gdy miałem złamaną nogę - niestety dopiero ósme, ale rok później już czwarte. W tym trzecim sezonie zdobyłem sześć bramek, więc jakiś wkład w sukces miałem. Po moim odejściu do Las Palmas - choć oczywiście nie łączyłbym tych dwóch faktów - Betis z roku na rok grał słabiej. Kolejno - ósme miejsce, jedenaste, w końcu osiemnaste i spadek z ligi. Już ta ósma lokata musiała być odebrana źle, jeśli weźmiemy pod uwagę wydatki. Betis za 35 milionów dolarów kupił wtedy Denilsona.

Przez kilka miesięcy miałem okazję z nim trenować, ale jakoś nie utkwiał mi specjalnie w pamięci. Przyszedł w miejsce Roberta Jarniego, którego oddano do Realu Madryt. I jeśli miałbym wybierać, to o niebo bardziej wolałbym grać w jednej drużynie z Jarnim niż z Denilsonem. Niby techniczny, ale jeśli Brazylijczyk nie potrafi w sezonie strzelić dwóch bramek, to znaczy, iż takich są miliony. Miał jeden, bardzo szybki zwód, potrafił wkręcić w glebę, ale jakoś nigdy nic z tego nie wynikało. Bo pojedzie taki Denilson na mecz z Recreativo Huelva, stanie naprzeciwko drewnianego obrońcy i co? Tępe to, głupie, na zamachy nie reaguje, na zwody nie działa i koniec taki, że Denilson po tych swoich "rowerkach" wpadał na barana i tracił piłkę. Natomiast Jarni nie bawił się w zagrania pod siebie, tylko słał w pole karne mocne, celne dośrodkowania - z serii tych, do których dostawia się głowę lub nogę.

Widziałem wielu lepszych piłkarzy niż Denilson. Taki Djalminha potrafił sam ograć Real Madryt czy Barcelonę. Denilson nigdy nie wygrał w pojedynkę żadnego spotkania. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że nikt nim się nigdy nie zachwycał i jakoś nie słysząc, by z Betisu chciał go wykupić Real Madryt czy Barcelona. A przecież Real od dawna ma kłopoty z lewą pomocą - szuka, szuka i trafić nie może. A to Savio nie wypalił, a to Solari, a to McManaman. I choć cały czas penetrują rynek, to o Denilsonie nawet się nie zająknęli. To też o czymś świadczy.

W rezerwach Betisu był w tym samym czasie pewien młody chłopak, może w zasadzie chłopiec. Gdy mieliśmy nieparzystą liczbę graczy na treningu, a obok ćwiczyła druga drużyna, wołaliśmy: - Diego, chodź, pokopiesz z nami.

I Diego przybiegał szczęśliwy, że ktoś na niego zwrócił uwagę. Raczej się nie odzywał - skromny, przestraszony. To nikomu nie przeszkadzało, bo widać było, iż ma pojęcie o piłce - miał instynkt, miał strzał, w trzeciej lidze po prostu się marnował. Wszyscy zawodnicy widzieli, że to będzie - jeśli już wtedy nie był - kawał zawodnika. Jednak wielcy specje zatrudnieni przez Betis postawili na nim krzyżyk i oddali do Mallorki B. Tam szybko Mallorca B zaczęła grać lepiej niż Mallorca A, więc chłopak poszedł w górę. Strzelał sporo goli. Biły się o niego różne kluby. W końcu trafił do Deportivo La Coruna. Ten chłopiec nazywał się Diego Tristan. Nie łapał się wśród niby 25 najlepszych piłkarzy Betisu...

To nie ja grałem z Diego Tristanem, to on grał wtedy ze mną. Niemniej dziś znaczy w piłce

bardzo wiele. O Denilsona nigdy żadne kluby się nie bily. W klubie wyróżniał się głównie tym, że częściej trafiał na okładki pism kobiecych niż sportowych. Szczególnie upodobał sobie ruszone gwiazdeczki - a to była żoną jakiegoś aktora, a to ex-sympatię matadora. Ciągłe widać było go z jakąś kobietą, którą dobrze znała połowa wyższych sfer. A czy był sympatyczny? Nie pamiętam, raczej daleko mu było do Darka Czykiera. Może dlatego, że na początku był mocno krytykowany i chodził raczej przygaszony. Trudno jednak, aby nie był krytykowany, skoro nic nie grał, a kosztował 35 milionów dolarów. Drugie 35 milionów miał zarobić przez jedenaście lat gry w Betisie. Całkiem niezły kontrakt. Zwłaszcza jak na kogoś, kto od pięciu lat nie zanotował jeszcze "swojego" sezonu.

Jako piłkarz Las Palmas wciąż grałem w kadrze. Zaraz po wyleczeniu kontuzji zdażyłem strzelić gola Słowenii, a potem zaliczyć nieudany występ z Chorwacją. Następnie przez kilka miesięcy nie byłem powoływany, choćby na mecz z Bułgarią wygrany 3:0, bo wtedy jeszcze nie wystartowała liga hiszpańska. W końcu zadzwonił telefon.

- Misiu, odbudowałeś się, mogę cię spokojnie powołać? - usłyszałem znajomy głos w słuchawce i od razu się uśmiechnąłem.

- Trenerze, jestem teraz w gazie, moim zdaniem mogę się przydać - oznajmiłem. Wójcika nigdy nie oszukiwałem i jeśli wiedziałem, że nie prezentuję się odpowiednio, mówiłem to wprost. Za dużo zawsze było szumu, że powołuje nieprzygotowanego "Kowala", że bym rzeczywiście nieprzygotowany mógł przyjechać na kadrę. Te teksty o mnie, że prosto z baru jestem lepszy od innych były wesołe, ale też nikt mnie nie chciał widzieć prosto z baru. Wójcik też nie, bo prasa by go zjadła. Dlatego zawsze mówiłem mu - "tak, mogę przyjechać" bądź "nie, jeszcze nie teraz". On mi ufał. Pamiętam, że raz nawet zapytał mnie o zdanie na temat innego zawodnika, Tomka Iwana.

- Słuchaj Kowal, nie znam tego Iwana. Dobry jest, warto go brać do kadry? Ty z nim chwilę grałeś...

- Trenerze, jak na mój gust, to Iwan się nadaje. Na prawej na pewno się przyda. Ma dobry dorzut, szybki jest. Można brać.

No i Iwan dostał powołanie. To był jedyny raz, gdy sprawy personalne Wójcik konsultował ze mną. Może mu źle podpowiedziałem? Nie, chyba jednak Tomek się sprawdził. W swojej sprawie też podpowiedziałem właściwie. Kiedy stwierdziłem, że mogę wrócić do gry w reprezentacji i wstydu nie przyniosę, akurat Polska miała grać towarzysko ze Słowacją. Wsiadłem w samolot, zameldowałem się w Warszawie - dajcie mi piłkę. Zgrupowanie było króciuteńkie. Przyleciałem w niedzielę wieczorem, w poniedziałek ruszyliśmy na Słowację, a we wtorek był mecz. W ekipie sporo nowych twarzy, bo w znacznie mierze kadra tym razem składała się z ligowców. Nikomu się przedstawiać nie miałem zamiaru, bo zresztą nie bardzo jestem w stanie uwierzyć, by do zespołu mógł trafić taki tuman, który nigdy w życiu nie czytał gazety sportowej i nie kojarzył mnie czy innych chłopaków. W środowisku piłkarskim jednak wszyscy się znają. Jeszcze przed meczem zadzwoniłem do Krzyśka Ratajczyka, czy może przyjechać do Bratysławy i odebrać mnie po meczu - z Wiednia miałem znacznie lepsze połączenie samolotowe na Wyspy Kanaryjskie i bezsensiem byłby powrót do Warszawy. "Rataj", leczący wtedy kontuzję ścięgna Achillesa, oczywiście zgodził się bez wahania.

- Kowal, jak forma? Strzelisz coś? - spytał przed meczem Wójcik.

- Forma jest, bo była - odpowiedziałem żartobliwie, ale i z dozą pewności siebie. Tak, to trener lubił. Oczka mu się zaświeciły. Opierdolimy frajerów.

W meczu pokazałem, że w piłkę można dobrze grać, nawet będąc piłkarzem drugiej ligi hiszpańskiej - na tle ludzi z ligi polskiej wyglądałem zdecydowanie najlepiej. Zagraliśmy

typowo polski futbol - to znaczy po strzeleniu gola w ciągu minuty znów był remis. Ja jednak wiedziałem, że coś walnę, bo od początku grało mi się dobrze. Widać mnie było, walczyłem, byłem w rewelacyjnej formie fizycznej. Nie po to przeleciałem kawał świata na mało znaczący mecz towarzyski i przy okazji mocno podpadłem w klubie, żeby wrócić z pustymi rękoma. No to uklękłem najpierw raz, potem drugi i wygramyśmy 3:1. Nawet ładne bramki strzeliłem. Przy jednej położyłem bramkarza dwa razy, tamte ogórki latały koło mnie i taplały się w tym błocie, ale z "technicznym Hiszpanem" nie mieli szans. Haha. Z zerowego kąta wkręciłem piłkę do siatki. A drugi gol to już uderzenie z szesnastu metrów w samo okienko.

- No to Kowal szykuj sobie termin na wiosenne zgrupowanie na Malcie - oznajmił po meczu zadowolony Wójcik. A o tym, że byłem wtedy w naprawdę wysokiej dyspozycji fizycznej, niech najlepiej zaświadczy fakt, że nie dość, iż wytrzymałem kondycyjnie mecz, to jeszcze później całą noc z "Ratajem". Wpadł do szatni, potem do hotelu i pojechaliśmy z jego żoną na zwiedzanie Wiednia. Do rana.

Zgrupowanie na Malcie. Luty. Główna próba sił przed marcowymi meczami z Anglią i Szwecją. Dziesięć dni razem na wyspie, dwa mecze oficjalne i jeden sparingowy z jakimś miejscowym zespołikiem. Treningi ciężkie, wszyscy lekko podjechani i te spotkania nie bardzo były komukolwiek na rękę.

Na początek dostaliśmy kadrę Malty, czyli pełne ogórki, a tymczasem męczyliśmy się straszliwie. W nogach spora praca, piłka się nie słucha - beznadzieja. Nikomu nic nie wychodziło. Co tu dużo kryć, mnie też. Gdzieś tak piętnaście minut przed końcem zmiana w naszym zespole. Patrzą - schodzę. Ależ się wkurzyłem! Zero do zera, chcę wygrać mecz - bo naprawdę chciałem! - a ten mnie zdejmuję. Ręki Wójcikowi nie podałem, przeszedłem obok niego obojętnie i nawet nie usiadłem na ławce, tylko od razu ruszyłem do tunelu. O Jezu, ale byłem zły. Gdybym mógł, to bym tę osobę, która za mnie wchodziła, udusił własnymi rękoma, choć przecież wiedziałem, że to nie jej wina. O cholera, zdjął mnie! W takim momencie! Jak on w ogóle mógł - tak sobie myślałem. Byłem zły na siebie, że nie strzeliłem gola, na trenera, że mnie zdjął, na cały świat, że istnieje. To raczej dobrze, że wtedy nie usiadłem na ławce, bo mogłyby paść niepotrzebne słowa. Wkurzonego człowieka nic nie interesuje, żadne argumenty, więc w takim momencie najlepiej zejść wszystkim z oczu. Poszedłem pod prysznic, przebrałem się w dres. Akurat wróciła reszta chłopaków - wygrali, Tomek Kłós strzelił na 1:0 w ostatniej minucie. Gratulacje.

Po kolacji usłyszałem to, czego mogłem się spodziewać. - Kowal, przyjdź do mnie do pokoju - powiedział trener Wójcik.

- Dlaczego nie podałeś mi ręki jak schodziłeś? Co to były za sceny?

- Wkurwiłem się, że mnie pan zdjął. Chciałem strzelić gola i wygrać mecz. Nie grałem źle, byli słabsi. Nie lubię być zdejmowany.

- Nie o to chodzi, że grałeś źle, ale wynik tego meczu mam w dupie. To był sparing, każdy miał zagrać, pokazać się.

- Dobra, rozumiem.

- Więcej nie chcę takich szopek, rozumiesz?

- Pewnie, sorry trenerze. Przepraszam.

Przybiliśmy piątki i po sprawie. Dziwne, gdybym nagle zaczął się z trenerem Wójcikiem kłócić. Musiałbym być chorym facetem, a za takiego mimo wszystko nigdy się nie uważałem.

Drugi mecz graliśmy z Finlandią i znów wyszedłem w podstawowej jedenastce. Wiadomo było, że ten, kto strzeli pierwszą bramkę w meczu, strzeli jednocześnie bramkę numer tysiąc w historii reprezentacji Polski. Ja już miałem na swoim koncie bramkę numer dziewięćset - zdobyłem ją w meczu z Austrią kilka lat wcześniej - więc takiej okazji odpuścić nie mogłem! No i poszło łatwiej niż myślałem, bo już w pierwszej minucie meczu Tomek Iwan świetnie dorzucił, a ja z głowy uderzyłem na 1:0. I tym razem zdjęty nie zostałem.

Za tysięczną bramkę, jak się okazało, przewidziano nawet nagrodę. Siedzę sobie spokojnie na odnowie biologicznej, razem z kilkoma chłopakami popijam browarka, aż tu nagle przychodzi ktoś i mówi: - Słuchaj, Kowal! Jest akcja. Dziurowicz czeka przy recepcji z jakimiś innymi działaczami. Wołają cię. I bardzo im się spieszy.

Skoro im się tak bardzo spieszy, no to poszedłem tak, jak stałem, czyli w szlafroku. Potem zrobiono z tego wielką sprawę, że Kowalczyk nie szanuje prezesa PZPN, bo nagrodę odbierał w szlafroku, a prezes był w garniturze. Wszystko się zgadza, ale prezes był w garniturze, stał ze swoją świtą przy recepcji, bo wychodzili na jakąś uroczystą kolację - i stąd pośpiech, samochód czekał. Mnie z zaskoczenia wywołano z odnowy i gdybym miał teraz biec do pokoju, przebrać się w normalne ciuchy i dopiero zejść, to by znowu powiedzieli, że Wojtkowi kompletnie odbiło i przez niego prezes musiał czekać pół godziny. A ja ludzi szanuję i wiem, że jak ktoś nie ma czasu i nagrody wręcza przy recepcji, to przecież nie będę go zatrzymywał! No tak czy nie tak?

Wyszedłem uśmiechnięty, bo wiedziałem, że po coś idę. Dostałem kamerę wideo i plaketkę z wygrawerowanym napisem "Dla strzelca tysięcznej bramki w reprezentacji Polski". Grzecznie podziękowałem. A cały szum wokół tego rzekomego skandalu z moim ubiorem był bzdurą, bo ja zawsze z prezesem Dziurowiczem miałem dobre kontakty. Do każdego w takiej sytuacji bym wyszedł w szlafroku. Bez wyjątków. Po chwili zadowolony wróciłem na odnowę biologiczną.

Malta Malta, ale takie wyjazdy to nie piknik. Akurat wtedy nastała moda na oglądanie filmów DVD, ale zgrupowania za Wójcika były zawsze tak przepelnione jakimiś spotkaniami, odprawami i tym podobnymi sprawami, że w zasadzie nie dało się filmu obejrzeć za jednym zamachem. Wolny wieczór? Można zapomnieć. W najlepszym wypadku oglądanie meczu Anglia - Francja, akurat tego, w którym narodziła się gwiazda Nicolasa Anelki.

Pewnego dnia w końcu mieliśmy czas dla siebie. O tak, można wreszcie nic nie robić! - Kowal, jest pomysł, żeby zrobić spotkanie z dziennikarzami. Wiesz, tymi, co nas tak oczerniają - wypalił jeden z kolegów. No nie, panowie, tak się nie będziemy bawić. Raz w życiu dostaliśmy wolne i mamy spotykać się z dziennikarzami? Idźcie sami, ja do nich nic nie mam. Oczywiście tyle moje, co sobie pogadałem. Musieliśmy iść wszyscy. Apelowaliśmy: - Mamy wolny wieczór. Kto chce, niech idzie na piwo, kto chce - na film, a kto woli się spotkać z dziennikarzami, droga wolna.

Nic z tego.

Chodziło o to, że kilku piłkarzy - z tego co pamiętam, głównie Tomek Hajto, Tomek Iwan, Piotrek Świerczewski i Kazek Węgrzyn - miało wielkie pretensje do dziennikarzy, co też oni wypisują o nich w prasie. Zgłosili się do trenera Wójcika z propozycją zorganizowania spotkania. Sprawę wziął na siebie trener - będziemy tworzyć pozytywny klimat wokół reprezentacji! - Tylko czemu ze mną? - pomyślałem. Cały czas marudziłem, żeby nie robić żadnego spotkania, bo to nic nie da. Zawsze uważałem, że każdy będzie pisał to, co będzie

chciał. I tak naprawdę piłkarzowi nic do tego. Nie ingeruj w ich pracę, jak mówią ci, że zagrałeś ich zdaniem słabo, to przyjmij to do wiadomości. Ale nie, "Hajtowy" tak dobrze gra, a oni - chamy jedne - piszą, że jest drewniany. Taki boski technik i drewniany. To się w głowie nie mieści!

Siedzieliśmy tak wszyscy i zaczęła się dyskusja, a z czasem kłótnia. Ze strony dziennikarzy w rolach głównych Paweł Zarzeczny i Janusz Atlas. Kolejno usadzają nowych to piłkarzy, wskazują im miejsca w szeregu. To przynajmniej było choć trochę zabawne, bo od tych wszystkich gadek szmatek można było usnąć. Ja przez półtorej godziny nie odezwałem się ani razu, co kompletnie nie leży w mojej naturze. A po wszystkim powiedziałem: - Nie kłóćcie się, bo jeszcze gorzej z wami pojedzą. Nieobiektywnie o was piszą? To zobaczycie jutro.

Następnego dnia śmiać mi się chciało do rozpuku. Po treningu chłopaki poleciali czytać polską prasę, a tam przywalono dokładnie tym samym, a już najwięcej tym, którzy się odzywali. Ooo, wtedy już wkurzenie totalne. Hajto wkurzony, "Świerszcz" wkurzony, Iwan wkurzony. - I po cholere się odzywacie, jak to oni mają atut w ręku? - pytałem. Krytyka jest w całą tę zabawę wliczona, nawet pomaga. Na stadionie też połowa kibiców lubi, jak grasz, a połowa nie. Co nie znaczy, że co drugiemu kibicowi pokażesz wała.

Nie mogłem odżalować straty czasu na takie bzdurne spotkania. Z dziennikarzami można się umówić na wywiad, ale nie na wzajemne pouczenie. Nie ma takiej możliwości, aby wyszło z tego cokolwiek dobrego. Może stąd moje podejście, że ja kompletnie nie przejmowałem się tym, co na mój temat pojawiało się w gazetach, nic nie prostowałem. Źle piszą? Trudno, ważne, że piszą. Nawet czasami koledzy mi mówili: - O, Kowal, ale z tobą w tej i tej gazecie pojechali! A ja brałem te gazety, patrzyłem - w tej słabo, bez błysku, nawet pojechać nie potrafią, o tu bardzo fajnie mi dowalili, ma gość talent. Na tej zasadzie. Zresztą, ja nawet wywiady ze sobą rzadko czytam. I tak nigdy nie ma tego, co powiesz, tylko to, co dziennikarz chce usłyszeć. Świata nie zmienię, ma być pikantnie, to niech będzie. Gdy zaczynałem grać w Legii, to Paweł Zarzeczny wpadał czasami do "Garażu", za jednym zamachem przepytawał wszystkich, którzy byli przy stole - a była cała drużyna - i miał pół roku pracy z głowy. Mnie zadał trzy pytania, wychodził z tego wielki wywiad, ale zawsze byłem z tych wywiadów zadowolony i w duchu mówiłem sobie - o, tak właśnie bym powiedział.

Cała moja przygoda z prasą zaczęła się od dziennikarza, który wymyślił, iż przesiaduję w barze "Semafor", w którym akurat nie przesiadywałem. I to tak się za mną ciągnęło, ciągnęło... Im częściej będziesz prostował, tym częściej będą o tym pisali. Bezsens. I kilka lat później ten sam dziennikarz przyjechał do Las Palmas z rodziną, posiedzieliśmy dwa dni. Jak usiedliśmy do obiadu jednego dnia, to skończyliśmy przy kolacji, ale następnego.

Z dziennikarzami da się żyć, a już na pewno lepiej, że są niż miałyby ich nie być - przynajmniej często jest wesoło. Weźmy chociażby to wspomniane zgrupowanie na Malcie. Też było na co popatrzeć. Przyleciało najpierw trzech dziennikarzy, zajęli spory apartament w hotelu. Następnie dołączyło do nich kolejnych pięciu, już na gapę. I podział ról był taki - ci, którzy mieli wykupiony nocleg i posiłki, schodzili na śniadanie, gdzie był szwedzki stół i brali jedzenie dla pozostałych pięciu. Jedna porcja to było tyle, ile ja zjadam przez tydzień! A tych pięciu gagatków szło na miasto i za swoje diety zaopatrywali całą ósemkę w napoje wyskokowe. Wilk syty i owca cała. Organizacyjnie byli po prostu perfekcyjni. Ponieważ nawet przy odpowiedniej organizacji każda praca zbiorowa wymaga wysiłku, na treningach pojawiał się jeden emisariusz, który potem wszystko pozostałym opowiadał. Robili sobie takie wewnętrzne konferencje prasowe w celu przepytania emisariusza.

I tak zgrupowanie po zgrupowaniu, nigdy z nimi nie było nudno.

Pamiętam taką scenę. Wracam z treningu w Chorwacji, obok mnie Robert Jarni, którego

świetnie znałem z Betisu.

- Kowal, a co tam się dzieje?

Patrzę, a tam stół, na którym znajduje się tylko, ale to tylko alkohol, a wokół niego kwiat dziennikarstwa polskiego.

- A nic, Robert. To tylko nasi dziennikarze.

Potem nawet wystąpiłem w roli tłumacza, bo panowie zapragnęli zrobić wywiad z Jarnim. On pamiętając poprzednią naszą rozmowę, uśmiechał się pod nosem, ja też, ale wywiad chyba jakoś się udał. Przynajmniej dziennikarze nie zgłaszali zastrzeżeń i udali się do zajęć w podgrupach. Podgrupy nie były duże, bo na jedną natknąłem się z "Ratajem" w hotelu. Akurat dwóch mistrzów pióra miało drzwi do pokoju w tym samym korytarzu. Niestety, wredne drzwi były tak mocno zamknięte, iż panowie nie mieli siły ich otworzyć. Poszli spać nie wchodząc do środka. I jak tu nie mówić, że z dziennikarzami na wyjazdach jest wesoło? Tym bardziej, jeśli przypomni się powrót z tego samego wyjazdu. Jeden autokar nasz, jeden ich. Ich podjeżdża pierwszy, drzwi się otwierają i człowiek po prostu... wypada na chodnik. Wypada, jak lalka, kukła, manekin, kawał mięsa, cokolwiek. Nawet mu zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia. Jak się okazało, to był dziennikarz, który niby na co dzień nie pił, a raz mu się zachciało i nie wytrzymał tempa. Rozgrzeszony, droga na lotnisko to było dobre trzysta kilometrów.

Każdemu dziennikarzowi można przypisać jakąś anegdotę. W Izraelu sam zgłupiałem, gdy jeden wysiadł z samolotu i ucałował ziemię. Włós przyprószony, z Papieżem leciałem, czy jak? A nie, to tylko pan, panie redaktorze. Jak minęła podróż?

Dziennikarze lubią opisywać, jak to się bawią piłkarze. Tymczasem środowisko dziennikarskie jest moim zdaniem bardzo, ale to bardzo podobne do futbolowego. Jedni kopią piłkę, drudzy to opisują, ale poza tym - to samo. Też się lubią bawić, śmiać, też się kłóć i godzą. Ja z reguły dziennikarzy lubię. Byli tacy, którzy jechali ze mną, chwalili, jechali, chwalili, a potem było "Cześć Wojtusiu kochany!". I ja odpowiadałem z uśmiechem na ustach. Taką ma pracę, to niech pisze. I z niektórymi lubiliśmy usiąść dłużej przy piwie, pogadać, pośmiać się. Są tacy, z którymi usiądę zawsze, choć pewnie skrytykowali mnie częściej niż kogokolwiek innego. Jeśli jednak byli fajnymi gośćmi - nie ma sprawy. Najgorsze są smutasy.

Najwięksi kozacy to dla mnie nie są ci, którzy z tobą pójdą na imprezę, a potem napiszą, że piłeś. Najwięksi kozacy to ci, którzy pójdą na imprezę, a potem napiszą, że pili z tobą! To częsty motyw. Ktoś opisuje, że piłkarze bawili się na dyskotecę. A ty co tam robiłeś? Stałeś i nagrywałeś? Dlatego zawsze miałem największy szacunek do tych, którzy przynajmniej mieli odwagę się przyznać - Kowalczyk się ubzdryngolił, a ja razem z nim.

Przypominam sobie tylko dwa artykuły na mój temat, które mnie ruszyły. Pierwszy, za który chciałem dać w mordę Tomaszowi Jagodzińskiemu, był o tym, że po powrocie z olimpiady niby piłem wódkę z całą rodziną. Nie dość, że pomieszał wszystkie możliwe fakty, to jeszcze obraził moich najbliższych. Towarzystwo do imprez miałem zawsze inne. A za drugim razem to prawie zapłakałem nad głupotą jednego dziennikarza, który napisał, że niby przez to, iż nie chciało mi się przejść do Lecha, Poznań nie dostał z Hanoweru osiemdziesięciu autobusów miejskich. - No ładnie, kilku kierowców straci pracę, kilku jej nie dostanie, ludzie będą zamierzali na przystankach i wszystko to dlatego, że mam gdzieś grę w Lechu - sam się nie mogłem nadziwić. Ciekawe, czy ten dziennikarz sam uwierzył w to, co napisał. Jakiś psychicznie chory musiał być. A do Lecha niby nie przeszedłem dlatego, że nie chciałem przeprosić kibiców za gesty w ich kierunku sprzed kilku lat. Przeprosić? Mogłem im co najwyżej drugiego wała pokazać.

Obecnie czytuję "Przegląd Sportowy", "Wprost" i "Nie". Reszty nie ma sensu, bo nudziarstwo. Jak widzę wielką reklamę gościa, który załatwił transfer jakiegoś anonima z Marymontu Warszawa do Poloneza - i on się z tym afiszuje - to stwierdzam, że czas sięgnąć po poważniejszą lekturę. Zresztą coś mi się wydaje, że dziennikarzom dziś brakuje Kowalczyków i większość też mnie raczej lubi. No bo przecież już niedługo zostanie im tylko pisanie, jaki ten Maciuś Żurawski cacy, grzeczne dziecko poszło spać o

jedenastej, a wcześniej kanapeczkę popiło herbatą. Na nim dziennikarze pieniędzy nie zarobią i dobrze o tym wiedzą. Więc szukają niesfornych, takich jak ja.

Zawsze wychodziłem z założenia, że lepiej aby coś się działo niż miałyby być nuda. Niestety, naszą piłkę dotknęła zakaźna choroba. Zakaźna i zabójcza! Teraz niektórzy nie dość, że nie potrafią grać w piłkę, to nawet wywiadu nie potrafią udzielić. "Czeka nas trudny mecz, ale pojedziemy powalczyć". Pasjonujące. Walczcie chłopaki, walczcie.

Niektórzy znajomi mnie pytają, czy chciałbym być dziennikarzem. Opisać mecz, pójść, popatrzeć - to bym jeszcze mógł. Ale żeby jakiś wywiad zrobić, to nic z tego. Nie wiedziałbym, o co pytać - o kolor pitej herbaty? Nic ciekawego bym nie usłyszał, a nie lubię się nudzić. A już jak bym wskutek nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności czegoś interesującego się dowiedział, to i tak zaraz by się rozmówca przestraszył i powiedział, że wszystko sobie wymyśliłem. Tak to już u nas jest. Piłkarze boją się własnego cienia. Powiesz, że prezes wisi ci kasę za trzy miesiące, choć wisi ci za sześć, to jeszcze dostaniesz karę za szkalowanie dobrego imienia klubu - i już ci nic nie wisi. No to jaki sens mają te wszystkie wywiady? Niedługo i z Małyszem nikt nie będzie chciał czytać, bo ile się da? Nie da się w ogóle. Greczny chłopiec, to już wiemy i się więcej nie dowiemy. I że on chce, nie wychodzi, ale wyjdzie - dobra, już mówiłeś. Ilu było takich sportowców, co całe życie gadali i nic ciekawego nie powiedzieli?

Przez zgrupowanie na Malcie straciłem dwa mecze ligowe w Las Palmas. Trudno, przeproszać nie będę, tak to bywa, jeśli decydujesz się na luksus zatrudniania reprezentanta kraju. Szczęście jednak mi nie sprzyjało. Tylko wróciłem na Wyspy Kanaryjskie, wyszedłem na mecz z Malagą, a w 30 minucie jakiś drwal spadł mi na kostkę. Leczyłem się na siłę, brałem całą masę zabiegów, żeby tylko zdążyć na mecze z Anglią i Szwecją. Bo co to za frajda strzelić gole Litwie czy Finlandii, jeśli koło nosa mają przejść decydujące mecze? - Trenerze, przyjadę - powiedziałem Wójcikowi.

Oczywiście w klubie nie rozumieli, o co chodzi.

- Polaco, nigdzie nie jedź, przecież nie możesz grać w kolejnych meczach ligowych, a w reprezentacji możesz? Poważny jesteś?

- Do meczu z Anglią mam jeszcze tydzień, może zdążę dojść.

Oczywiście nie zdążyłem i byłem taki lekko kulawy, o grze na Wembley od pierwszej minuty nie było mowy. Przyznam szczerze, że nie pamiętam dobrze zgrupowania przed tym spotkaniem. Z prostej przyczyny - nic się nie działo. Owszem, wszyscy pisali, że oto mecz na słynnym stadionie, że szansa na historyczną wygraną, że można powalczyć, bo Anglicy słabi. I my potakiwaliśmy - tak, jedziemy tam powalczyć, bo Anglicy słabi. Niemniej tak między sobą wiedzieliśmy dobrze, że ich trzeba szanować zawsze, tym bardziej, jeśli przez kolejne lata dostawało się od nich po tyłku. Wiedzieliśmy, że są od nas lepsi, a jeśli wygramy, to się po prostu nam uda. Nic więcej. Nam się uda, a oni pozostaną lepsi.

Dużo rozmawialiśmy. Zajmowaliśmy pierwsze miejsce w grupie, po dwóch zwycięstwach, a tymczasem Anglicy mieli tylko jeden punkt - wcześniej przegrali ze Szwecją i zremisowali z Bułgarią. Jeśli jakimś cudem zwyciężymy, to awansujemy. Awansujemy już na początku eliminacji. Przecież później mieliśmy jeszcze Luksemburg, Bułgarię u siebie. Punkty same się do nas pchały. No, trzeba tylko zwyciężyć na Wembley. Jasne, tylko... Mieszkaliśmy na obrzeżach Londynu, w takim niby pałacyku, który gwarantował nam pełny spokój. Wójcik przez pewien moment żył nie tylko meczem. Może nawet nie żył nim przede wszystkim. Na pierwszym planie pojawiła się książka, która akurat miała trafić do księgarń. Widać było, że trener wyraźnie przejął się tym faktem. - Ciekawe, co on tam napisał? I czemu wydał na początku eliminacji, zamiast na końcu? - zastanawialiśmy się. Jednak w Anglii były chyba tylko dwie sztuki. Jedną miał sam Wójcik, a drugą Krzysztof Dmoszyński. Z lekturą trzeba było się wstrzymać do powrotu. Oczywiście nie można od razu stwierdzić, że nagle selekcjoner zaczął żyć w innym świecie i zapomniał o meczu. Nie, wciąż mieliśmy całą masę odpraw, rozmów. I wbijano nam do łbów - ten mecz da

nam jasność. Tym meczem zamienimy wszystkie dotychczasowe porażki z Anglikami w sukces. Nie będzie żadnych Linekerów, żadnych Shearerów. Koniec. Słowa o frajerach i goleniu tym razem nie padały, bo byłyby co najmniej nie na miejscu. Frajerami to można nazwać kopaczy z konkurencyjnego klubu w Polsce, frajerami można nazwać Węgrów czy nawet Słoweńców. Ale, na Boga, nie Anglików! Zwłaszcza jeśli dzień przed meczem ich młodzieżówka ogrywa naszą 5:0. Miałem nawet małą satysfakcję z tego powodu, bo trafiłem wynik. Od dawna prognozowałem, że pociągną naszych piąteczką.

- No to ile my jutro? - pytał "Rataj", z którym byłem w pokoju.

- A tego to ja już nie wiem.

Wiedziałem, że czeka nas to samo - że Anglicy na nas siądą i będą chcieli wbić dokładnie tyle samo goli. Będzie nawałnica, będzie szturm, będzie obrona Częstochowy. Myślę, że trener Wójcik też się trochę podłamał, trochę przestraszył. Odniosłem wrażenie, że gdyby nie te baty młodzieżówki, wyszlibyśmy przeciwko Anglikom w trochę innym składzie. Tymczasem zagraliśmy tak defensywnie, jak się tylko dało. W podstawowej jedenastce sześciu nominalnych obrońców. Wszędzie obrońcy. W prywatnych rozmowach mówiliśmy: - Przesadził, sami się nadstawiamy. "Franek" Trzeciak szczęśliwy nie był, bo co mógł zdziałać w pojedynkę w ataku? Czym mógł się przeciwstawić czterem renomowanym obrońcom? To nawet pasowało do hasła "Jeden za wszystkich...". Ale przecież nie taki był sens tych krzyczanych przed każdym meczem słów...

To miało być to straszne, paraliżujące Wembley. Ten słynny stadion, na którym najlepszym piłkarzom świata trzęsą się nogi. Świątynia futbolu. Bzdura! Na kilometr pachniało wielkim piknikiem, z dzieciarnią na trybunach w roli głównej. Nie wiem, jakim trzeba byłoby być gamoniem, aby przestraszyć się atmosfery takiego meczu. Jakieś balony, muzyczka z głośników, fakt, że osiemdziesiąt tysięcy ludzi, ale jednak pełna szopka, koncert rockowy. Architekturą też nie było sensu się zachwycać, bo grywałem wcześniej na ładniejszych obiektach. Bać się więc nie było czego, co najwyżej własnej niemocy. Czyli - do pracy, rodacy!

Niestety, ta niemoc w nas była. Mieliśmy świadomość, że balon został napompowany przesadnie i pęknie, sam z siebie. Że tak się nie da ciągle podkręcać tempa i nie wypaść z karuzeli. Patrząc na skład - tak naprawdę nie wyszliśmy wygrać. Wyszliśmy się nie skompromitować. Nie mogło być dla nas nic gorszego niż dotkliwa, bardzo dotkliwa porażka przed nadchodzącym, arcyważnym meczem ze Szwecją u siebie. Tak więc, panowie i panie, brońmy się, żeby za bardzo z nami nie pojechali. Bo że w ogóle pojedają, to wszyscy wiemy. Oczywiście iskierka nadziei gdzieś tam się tliła, ale bardzo szybko zgasła. Miało nie być Linekerów, Shearerów, a tymczasem jakiś mały, rudy gówniarz strzelił nam trzy gole. Jak ten Scholes mógł się przebić przez tak rosną obronę, jak mógł wygrywać pojedynki główkowe? Tego nie jestem w stanie zrozumieć. Biegał gdzie chciał i nikt nawet nie potrafił go dobrze w nogi kopnąć. Całe szczęście, że Mirek Trzeciak zrobił więcej niż teoretycznie mógł i wypracował Jurkowi Brzęczkowi gola. W przerwie można było mieć jeszcze nadzieję na dobry wynik. Niestety, nie wiem, co trener Wójcik mówił w szatni, gdyż w tym czasie rozgrzewałem się na boisku. Kontuzja może już nie dawała się we znaki, ale wciąż nie byłem przygotowany do gry na pełnych obrotach i wiedziałem, że jeśli wejdę, to na ostatnie minuty. Kwadrans przed końcem dostałem sygnał: - Kowal, jedziesz!

Co ciekawe, nawet miałem sytuację do zdobycia gola. Uciekłem obrońcom, wbiegłem prawą stroną pola karnego, Ściąłem do linii końcowej z zamiarem zagrania do środka. Ktoś miałby strzelać do pustaka. Odwracam głowę, a tu szok - jestem sam. Nikt nie pobiegł za akcją. Nie wiem, czy chłopaki nie mieli już siły, czy też pogodzili się z porażką, ale wyszło na to, iż muszę sobie radzić w pojedynkę. Kąt już miałem bardzo ostry, prawie zerowy, czasu mało, więc uderzyłem prawą nogą po ziemi w długi róg - piłka przeszła centymetry obok słupka. Cóż, gdybym wiedział wcześniej, że nie mam co liczyć na kogokolwiek, prawdopodobnie inaczej bym to wszystko rozegrał, inaczej bym się ustawił. Ale to tylko dywagacje. Przegraliśmy 1:3.

To moim zdaniem był błąd, że jeszcze tego samego dnia, w nocy, poleciliśmy do Polski. Z perspektywy czasu uważam, że trzeba było tam, w Anglii, pójść całą drużyną na piwo, pogadać trochę, pośmiać się, odreagować. Tymczasem w samolocie grobowa cisza, muchę byłoby słyszeć, gdyby jakaś się zaplątała. Dolecieliśmy do Polski koło czwartej w nocy, potem dojazd do kolejnego zameczku, do Świerklańca. Na miejscu byliśmy, gdy już świtało. Wszyscy padnięci i wkurzeni. Wszyscy jeszcze w myślach rozgrywali ten mecz. Jeszcze inni chodzili naburmuszeni, że na Wembley nie zegrali ani minuty.

Nadchodziły dni oparte na spekulacjach. Wiedzieliśmy, że Szwedzi przyjadą na remis. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób ich rozmontować, kiedy już się zamurują. I co się stanie, jeśli nie damy rady. Myśli o porażce nikt starał się nie dopuszczać. Co mieliśmy przegrać, to już przegraliśmy w Londynie. Przecież nie takie z nas fajtlapy, żeby dostać w ryj dwa razy w cztery dni. Jednak coś się nie kręciło w tę stronę, w którą powinno. Nikogo nie ogarniała panika, ale ciągle przewijała się myśl - z Anglią można było zagrać lepiej. Zabrakło właśnie jednego, wspólnego spotkania, chwili zabawy, żeby wrócić na właściwe tory i przestać rozdrapywać rany. Gdyby jeszcze to zgrupowanie było w "Sobieskim". Można byłoby zejść, wypić kawę, kupić film wideo, przejść się do kiosku. A co robić w Świerklańcu? Nic, tylko walnąć się na łóżku i myśleć. Myśleć o schodzącym powietrzu.

W cztery dni z wesela zrobił się pogrzeb. Ze Szwecją też przegraliśmy, tym razem 0:1. Przyjechali, spokojnie się zamurowali, ustawili na kontre, strzelili gola i do widzenia. Niby takie proste, a my byśmy w życiu czegoś takiego nie potrafili. Pokazali nam, na czym polega profesura i jak daleko jest polski futbol. Nasza kadra nie była i nie jest w stanie narzucić swojego stylu gry poważnemu rywalowi i jeszcze w pełni zrealizować wszystkich założeń, nie popełnić błędu. A oni - proszę bardzo, zobaczcie, gdzie wasze miejsce.

Po meczu mieliśmy przygotowaną imprezę w Świerklańcu, ale zamiast tego była stypa. Kilka szybkich drinków, cześć, siema i do następnego razu. Każdy pojechał w swoją stronę. Na mnie czekał Darek Czykier z kolegą, mieli mnie podwieźć do Warszawy. Przez całą drogę prawie nie rozmawialiśmy, szybko poszedłem spać. Wszyscy byliśmy w podłym nastroju. Cała nasza praca na nic. Dwie porażki, które zniweczają eliminacje...

W prasie najbardziej oberwało się Jurkowi Brzęczkowi, który zamiast do Juskowiaka, podał do Ljungberga. Nikt go już nie dobijał. Jest wśród piłkarzy solidarność, a także świadomość, iż każdy w każdym spotkaniu popełnia mnóstwo błędów. Oczywiście Jurkowi to nie wystarczyło i czuł się podle. Dał pasa w złym kierunku i zamiast 1:0, było 0:1. Miał prawo być tym bardziej załamany, że przecież kilka dni wcześniej strzelił gola Anglikom. Jak dla mnie, to całkiem nieźle - dwa mecze, bramka i asysta!

Rozgorzała wtedy narodowa dyskusja, kto powinien być liderem kadry. Właśnie największą wadą Brzęczka było to, że całe życie robiono z niego lidera, a on nigdy nim nie został. Był jakimś tam rozgrywającym, ale jedynie "jakimś tam". Nic wielkiego nie zdołał, szczególnie nigdy nie pomógł. To nie jest tak, że jestem wrogiem Jurka. Nie, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale też nie patrzyliśmy na siebie krzywo. Po prostu mieliśmy inne charaktery. On był spokojny, po jednym piwie wracał do pokoju, rzadziej się odzywał. Wcześniej założył rodzinę, spowaźniał. A może zawsze był poważny? Co tam. To jest normalne, że w drużynie nie znajdziesz dwudziestu Kowalczyków i nie znajdziesz dwudziestu Brzęczków.

Nadawaliśmy na innych falach i nic w tym dziwnego. Ja przez Wójcika byłem uważany za duszę towarzystwa, a Jurek był tym, który miał życie drużyny organizować. Trzeba przyznać, że to rola dla niego stworzona. Brzęczek nie był i nie jest złym piłkarzem, ale też nie wybitnym. Po prostu dobrym i nic więcej. Grał prostą piłkę, pasy głównie do najbliższego zawodnika, raczej nie miał dryblingu. Taki walczak, ale niewiele poza tym. Może charakteryzowało go dobre uderzenie z obu nóg, ale też bez przesady. Bramek nigdy nie

strzelał. Jedno trzeba mu oddać - profesjonalista. Nawet profesjonalista do bólu. Przed meczami czynił straszne przygotowania. Ciągłe brał jakieś kroplówki, witaminy, masaże. Ja zawsze wychodziłem z założenia, że żadna kroplówka nie sprawi, że zagrasz lepiej niż mogłeś. Ten, kto potrafi grać, nie musi się godzinami szprycować. Wchodzisz na boisko i musisz mieć jaja, a nie czekać aż poziom glukozy będzie odpowiedni. I z Brzęczka nie będzie Zinedine Zidane, choćby miał od niego sto razy lepsze badania krwi. Przez cztery lata grałem w pierwszoligowym, czołowym klubie hiszpańskim. I przez ten czas nie dostałem ani jednej tabletki. Ani jednej! I jakoś tam potrafią grać nie wiadomo ile meczów w sezonie.

"Brzękol" tak brał te kroplówki i brał. I chyba sądził, że dzięki temu wreszcie wyjdzie mu ten wymarzony, życiowy pas. Trochę szkoda, że ludzie zapamiętają go jako tego, któremu raz w życiu udało się podanie - do Ljungberga. Chociaż należy mu oddać, że przerwał sen Piechniczka i został ostatnim Polakiem, który strzelił gola na Wembley. To też jest coś.

Może te wszystkie opisane przeze mnie zabiegi "Brzękola" to tylko znak czasów. W kadrze Wójcika spotkało się wielu olimpijczyków. Każdy był już innym człowiekiem. Kiedyś grał w Polsce za ogórkowe pieniądze, teraz już w zawodowej lidze, zapewniając sobie godziwą przyszłość. Czterech szło na piwo, a jeden na masaż, a kiedyś ten jeden powiedziałby: - A, chuj z masażem!

Nie miałem wątpliwości, kto powinien być rozgrywającym kadry - Piotrek Nowak. Niestety, w tym temacie widocznie zupełnie różniłem się z trenerem Wójcikiem. Nie mogę zrozumieć, jak to jest, że u nas selekcyjnerzy wymyślają sobie, że może być tylko jeden lider na zespole. Wszystkie poważne drużyny mają po trzech, a my uważamy to za przestępstwo. Wszystkie poważne drużyny mają jednego, pewnego bramkarza, a my mieliśmy oczywiście trzech niepewnych - czwarty był w drodze, leciał, ale nie doleciał. Wszystko na opak. Dla mnie rozgrywającymi z prawdziwego zdarzenia to byli właśnie Nowak czy Leszek Pisz. Tak, to byli reżyserowie gry pełną gębą, niekonwencjonalni. Na jednym metrze potrafi skrócić gościa, szybko i celnie zagrać do przodu Piotrek Nowak miał po prostu wszystko. Prawą nogą na jego miejscu nawet bym się bał wstawać z łóżka, ale już lewą mógł wiązać krawaty. Miał rozegranie, miał pasa, miał przerzut, miał strzał. Potrafił złapać piłkę w słabszym momencie gry, przytrzymać, powozić. Nie zawsze szukał akcji do przodu. Gdyby to ode mnie zależało, ściągałbym go wtedy z USA na każdy mecz. Argument, że miał daleko, uważam za bezsensowny. Ja z Las Palmas, doliczając przesiadki, leciałem na kadrę osiem godzin. Piotrek z Chicago leciałby dziesięć. Co to za różnica? Żadna. A na pewno więcej by pomógł niż zaszkodził.

Z Nowakiem zagrałem tylko kilka razy w życiu, a mimo to zdążył zrobić na mnie kolosalne wrażenie. Spośród piłkarzy, z którymi zetknął mnie los, mógłbym go porównać tylko z Leszkiem Piszem. Z tym, że "Piszczyk" miał lepszy strzał. Lepszy? Miał mistrzowski strzał! Bramkarze w ogóle nie wiedzieli, o co chodzi. Taki mały chłop, a taka siła w mięśniu czworogłowym. Myślę, że wielkie znaczenie w jego wypadku miała mała stopa, która pozwalała trafić dokładnie w ten punkt piłki, w który należało. To jest zresztą reguła. Trudno znaleźć piłkarza z wielką stopą, który naprawdę dobrze wykonywałby rzutu wolne. Wyjątkiem jest Van Hooijdonk, dziwny zawodnik.

Pisz miał czyściutki strzał i z prawej, i z lewej nogi. Dla mnie w dziedzinie rzutów wolnych nie miał sobie równych nie tylko w Polsce, ale i w Europie. I niech nikt mi w tym momencie nie pokazuje Roberto Carlosa. Pisz podejdzie dziesięć razy do piłki i strzeli sześć bramek, na treningu osiem. A Roberto Carlos na czterdzieści prób trafi raz, a po drodze zabije czterech kibiców na trybunach, trzech rywali w murze i przelatującą kaczkę. A jak w końcu coś mu

wpadnie ludzie krzyczą - oto specjalista! Specjalistą to był Leszek. Warto też sobie przypomnieć, ile Legia za jego czasów zdobywała bramek po rzutach różnych. On mówił nam tylko tak: - Dobra, już ja kogoś z was trafię w ten pusty łeb.

Nowak i Pisz, podobne typy. Jeden miał lewą nogę, drugi prawą, ale obaj szybcy, niscy, technicznie wyjątkowo zaawansowani. Ich obu cały czas wtedy można było powoływać do kadry. Źle napisałem - trzeba było. Zawsze mieliśmy kłopoty ze względu na przeświadczenie, że kadra może mieć jednego lidera. Wypada Brzęczek i zaczyna się szukanie, panika. Piotrek Świerczewski to super kumpel, super pomocnik, ale defensywny. Do czyszczenia, do biegania, do bicia łokciami. Rozegrać też potrafi, ale z tyłu, na uspokojenie, do najbliższego. Predyspozycji do rozgrywania jako główny nigdy nie miał. Moim zdaniem bardzo dużo stracił, chcąc być w pewnym momencie liderem kadry za wszelką cenę. Nigdy. Nigdy w życiu. Nie nadaje się do tego. Gdyby policzył, ile miał w całej karierze tak zwanych ostatnich podań, może by zrozumiał. Im szybciej przypomni sobie o pozycji defensywnego pomocnika, tym lepiej dla niego.

Jedno trzeba Wójcikowi oddać - poza Nowakiem nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń w kwestiach powołań. Przyjeżdżali ci, którzy wydawali się najlepsi. Oczywiście, nie wszyscy się sprawdzili, czego najlepszym przykładem jest Radek Gilewicz. Tacy zawodnicy byli, są i będą. Teraz syndrom Gilewicza ma Żurawski. A to wszystko dlatego, że na kadrze nie liczą się już duety, tercety, kwartety. Liczą się tylko twoje umiejętności, jesteś sam. To jest inna piłka. W dodatku przy trenerze Wójciku nie było miejsca na obniżki formy. Coś z tobą nie tak? To sobie misiu odpocznij. Nawet był moment, że gdy Brzęczek słabiej się spisywał, to zastępował go Krzysiek Nowak. Gdy sam byłem bez formy, siadałem na ławce.

Jedna sprawa w drużynie nie dawała wszystkim spokoju - obsada bramki. Tyle wokół tego zrobiono szumu, jakbyśmy co najmniej mieli mecze z Anglią i Szwecją na karne kończyć. Matysek czy Sidorczuk, Sidorczuk czy Matysek? I tak w kółko. To naprawdę moim zdaniem był problem, zupełnie niepotrzebny problem. Ciągłe pytania - jak sądzisz, kto wystąpi? Sam nie miałem pojęcia. A co dopiero musieli przeżywać bramkarze? Nikt się nie kłócił, bo pod względem charakterów Wójcik potrafił dobrać ekipę, ale ta niepewność moim zdaniem trochę wyniszczała chłopaków psychicznie.

Matysek zagrał z Anglią, a Sidorczuk ze Szwecją. Po tylu spekulacjach skończyło się na niby sprawiedliwym rozwiązaniu. Patrząc z perspektywy czasu, kto wie, czy nie lepiej byłoby, gdyby bronili na odwrót - Sidorczuk z Anglią, a Matysek ze Szwecją.

Osobiście nie widziałem między nimi wielkiej różnicy, ale większe przekonanie miałem do "Matysa". Jemu najtrudniej było strzelić gola na treningu ze względu na jego warunki fizyczne. Jak rozciągnął te swoje długie łapy, to brakowało wolnego miejsca. Moim zdaniem miał więcej atutów niż "Księgowy". A dlaczego "Księgowy"? Na Kazka mówiliśmy tak ze względu na jego nieprawdopodobną skrupulatność w liczeniu kasy. Wszystko przeliczał. Marki na dolary, dolary na jeny, a jeny na złotówki. Jak kierownik przychodził z neserkiem pieniędzy, żeby wszystkim wypłacać za przyjazd na kadrę, a także zwrócić koszty podróży, czy też przekazać premię za mecz, to Kazek już miał wszystko wyliczone, wypisane na karteczce. I musiało się zgadzać nie co do złotkówki, ale co do grosika. Kto inny mówił: - Dobra, kierowniku, pan sobie tę resztę na jakąś imprezę zostawi. A Kazek zbierał te wszystkie grosze ze stołu, zgarniał na dłoń i wrzucał do kieszonki. Po prostu wykapany księgowy.

Trener Wójcik zawsze miał przyjemne treningi. Przyjemne dla napastników. Można było zemścić się na bramkarzach za wszystko. Dostawali w trakcie zajęć chyba z tysiąc strzałów. Padali jak muchy. I zawsze okrzyk: - Laga!!! Armata!!! Lufa!!! Więc wszyscy walili, ile sił w nogach. Jeszcze się bramkarz nie zdążył dobrze podnieść, a już mu świstała piłka koło ucha.

Czasami mówiło się na nich "ręczniki". Żartowaliśmy, że wystarczy powiesić ręcznik na poprzeczce i on więcej obroni. - Co, bramkarzyku, łapiesz coś? - śmiało się. A jak znalazł się piłkarz z poważną parą w nogach, jak Pisz czy Siadaczka, i nasze kochane bramkarzyki nie zdążyły nawet piłki zobaczyć, to się pytało: - A może chcesz piłkę z dzwoneczkiem?

Sam zawsze starałem się uderzać na siłę tylko do pewnego miejsca. Szanowałem bramkarzy, więc nie waliłem jak opętany z siedmiu metrów. Ile można? Z szesnastu metrów - owszem. Ale im bliżej, tym mniejszy w tym sens. Wychodziłem z założenia, że trening ma być pewnym wycinkiem meczu. I jeśli znajdę się w meczu na siódmym metrze z piłką, to nie będę dawał łagi, bo jeszcze trafię w bramkarza i powiem, że taki geniusz z niego. A przecież nie zwalę na Wójcika, że przez jego trening waliłem na siłę i poszło nie tam, gdzie trzeba. Zresztą kto wie, gdzie byłbym dzisiaj, gdybym w Genui w meczu z Sampdorią nie zmylił bramkarza. Przecież przy drugim gołu też mogłem huknąć, ale kto wie, czy wtedy nie poszłaby nad poprzeczką?

Dlatego w czasie treningów lufy lufami, ale wolałem uderzyć pasem, obok słupka. Musi być radość z treningu, a co to za radość, gdy bramkarz nawet nie zareaguje. Najpiękniej jest wtedy, gdy biegnie do piłki, rzuca się, już ją prawie ma, już ją prawie czuje - a ona wpada.

Teraz znowu kadra ma problem z bramkarzem. Przyznam szczerze - gdybym grał w reprezentacji tak jak Dudek, to dzień w dzień dziennikarze by o mnie pisali, że jestem pijany. Wtedy, kilka lat temu, też Dudek czasami przyjeżdżał, głównie jako trzeci bramkarz, na kadrę. Raczej nie pamiętam, żeby czymś specjalnym się wyróżniał, chociaż po bramkarzu raczej trudno poznać, czy będzie dobry. A już wywrócenie, czy ktoś robi karierę, jest niemożliwe. Wówczas taki Maciek Szczęsny czy też Zbyszek Robakiewicz byli lepsi niż Dudek obecnie, a nigdy nie wyjechali do poważnego klubu. Zabrakło im szczęścia, kontaktów, nie wiem czego. Ale nie umiejętności. Gdy obserwuję Dudka to nie mam wątpliwości, że sporo mógłby się od nich nauczyć.

Za czasów Wójcika mieliśmy problem, kogo wstawić do bramki, bo było zbyt wielu kandydatów. Teraz nie ma ich wcale. Miał być niby Dudek, ale oszalał i co tylko zagra w kadrze, to ładuje swojaka. Dlatego nie wiem, kto powinien grać. Może "Szamo", bo jest młody i głupi.

Myslałem też o Tkoczku, ale jak się zorientowałem, że ma trzydzieści lat to uznałem, że w takim razie niech się już lepiej połóży.

Nie spodziewałem się, że mecz ze Szwecją będzie moim ostatnim w kadrze. Wciąż jeszcze grałem w piłkę i nikt nie mógł sądzić, że za chwilę wypadki potoczą się tak niespodziewanie. Spotkanie ze Szwecją było moim trzydziestym dziewiątym w narodowych barwach. To dobra liczba, chociaż na pewno tych występów mogło być dużo, dużo więcej. Za kadencji Strelaua sam nie chciałem grać, bo PZPN odebrał Legii mistrzostwo. Za Apostela - zgoda, miałem obniżkę formy i nie musiałem być powoływany, ale później poprawiłem się i wróciłem w dobrym stylu. Plany pokrzyżowała złamana noga. Za Piechniczka - konflikt. Za Wójcika - odechciało mi się grać w piłkę.

Sądzę, że gdybym był potulnym, grzecznym, ułożonym piłkarzem, tych meczów w reprezentacji mógłbym mieć i sto. Zaczęłem grać w kadrze w wieku dziewiętnastu lat. Występowałem od tamtej pory u wszystkich kolejnych - no, poza "jednorazowym" Krzysztofem Pawlakiem - selekcjonerów. Jednak z drugiej strony, czy gdybym nie był sobą, gdybym nie miał takiego charakteru, jaki mam, zrobiłbym jakąkolwiek karierę? Nie dam głowy.

Mam tę satysfakcję, że coś dla reprezentacji zrobiłem. Strzeliłem te jedenaście bramek, co

ciekawe i ważne - istotnych bramek. Niemal wszystkie moje gole coś drużynie dawały. Tylko jedno z moich trafień - z Turcją na wyjeździe za czasów trenera Ćmikiewicza - zanotowałem w przegranym meczu. Osiem goli przyczyniło się do zwycięstw, dwa do remisów. Ktoś inny powie - no dobrze, ale dlaczego tylko jednaście? Dla mnie to jest aż jednaście. Nigdy nie byłem typem Andrzeja Juskowiaka czy "Gucia" Warzychy, czyli egzekutorem. Byłem skrzydłowym, który siał, a inni zbierali żniwa. Jestem ciekaw, czy ktoś kiedyś postara się policzyć moje asysty w meczach reprezentacji - wyszłaby całkiem niezła liczba, dwucyfrowa. I jestem dziwnie spokojny, że wszyscy napastnicy, z którymi grałem przyznają: - Tak, z Kowalem białe życiowe rekordy choćby dlatego, że potrafił dograć.

Trzydzieści dziewięć meczów, ale tu nie chodzi o matematykę. Nie czuję się gorszy od Piotrka Świerczewskiego z tego powodu, że on ma tych występów ponad sześćdziesiąt i strzelił jednego gola, gdzieś tam z szóstym garniturem Brazylii, w meczu, na który nie polecałem, bo Legia miała ważniejsze spotkanie w lidze. Wiem, że w reprezentacji rozegrałem znacznie więcej meczów dobrych niż złych - to na sto procent. Nikt mi nigdy nie powie, że nie sprawdziłem się w kadrze, że tylko zawadzałem, że tylko kradłem powietrze. Byłem kimś, grałem dobrze, a przy okazji przeżyłem wiele ciekawych przygód, poznałem wielu wspaniałych piłkarzy i kolegów. Były przykre sprawy, były świetne. Różnie. Niemniej wiadomo, iż była to moja życiowa przygoda. Przygoda, jakiej życzę każdemu.

Może żałowałbym, że ileś meczów w kadrze przeszło mi koło nosa, gdyby w tym czasie nasza reprezentacja cokolwiek osiągnęła. Jeśli jednak nie bywa się na wielkich imprezach, a jeśli już, to nie gra się na nich z dobrym skutkiem - to nie ma nad czym płakać. Być i dostać, skompromitować się - to żadna przyjemność. Być to i Arabia Saudyjska była. Pięknie jest być i coś ugrać - jak Turcja ostatnio. Pojechała i przywiozła medal za trzecie miejsce. Gdyby coś takiego mnie minęło, plułbym sobie w brodę, nigdy nie wybaczył. Ale nie minęło... Raz w życiu byłem na wielkiej, sportowej imprezie - na olimpiadzie - i wróciłem z niej bardzo zadowolony. Później zakwalifikowaliśmy się tylko do mistrzostw świata w Korei i Japonii. Z perspektywy czasu, cieszę się, że mnie tam nie było. Szczerze. Cieszę się, bo oszczędzono mi wstydu. To taka przyjemność dostać czwórkę od kulawego Figo i jego przemęczonych koleżków, dwójkę od kilku Koreańczyków, co szybciej biegają? Nie, dziękuję. Przynajmniej nikt o mnie dowcipów nie opowiadał.

Oczywiście nie zrealizowałem swoich marzeń na niwie reprezentacyjnej. Największym było zagranie w finałach mistrzostw Europy. Właśnie Europy, nie świata. Zawsze myślałem sobie, że tyłu już Polaków grało na Mundialach, a na mistrzostwach Europy ani jeden. I ty Kowal możesz być pierwszy. Nie udało się. Obstawiam, że nikomu się nie uda. Nigdy w nich nie zagramy, o ile ich nie zorganizujemy. A nie zorganizujemy, bo nie mamy jednej normalnej kasy biletowej, nie mówiąc o stadionie. Nie znaczy to, że dręczą mnie jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, iż nie wyszło. Nie, Kazimierzowi Górskiemu i jego drużynie też się nie udało, a przecież tacy wspaniali byli.

Trzydzieści dziewięć meczów w kadrze to za mało, aby znaleźć się w Klubie Wybitnego Reprezentanta Polski. Niezbyt mnie to martwi. Jeśli jedynym kryterium "wybitności" ma być sucha statystyka występów, to trudno taki twór traktować poważnie. Strzeliłem tysięczną bramkę w historii reprezentacji - jestem wybitny. Nikt już nigdy tysięcznej nie strzeli. Po mnie zostanie ślad - byłem, jestem, zameldowałem się. I naprawdę nie odczuwam choćby najmniejszego dyskomfortu, że zagrałem w narodowych barwach mniej razy niż mogłem. Tak musiało być.

Nic nie wygrałem jako piłkarz dorosłej reprezentacji - to jest fakt. Faktem jest też, że od czasów Bońka nikt nie wygrał. Mieliliśmy słabą kadrę i tyle. Słabe zaplecze, słabych piłkarzy.

Żaden z nas nie grał w największych klubach świata. Nie mam zamiaru rozczulać się, że nie zdobyłem żadnego trofeum, skoro nie miałem na to najmniejszych szans. Tak naprawdę my nigdy nawet nie wygraliśmy jednego, jednego prestiżowego spotkania. Nie zanotowaliśmy żadnego spektakularnego wyniku. Bo co to znaczy dopokopać Ukrainie? To się powinno zdarzać raz na dwa mecze - raz my, raz oni.

Polska piłka od czasów Bońka wygrała tylko medal olimpijski. I ja tam byłem. Dlatego liczba meczów w kadrze mnie nie podnieca - dziesięć w tą, dziesięć w tą, bez znaczenia. Jeśli mamy się bawić w magię liczb - wolę tę tysięczną bramkę. Mam takie wewnętrzne odczucie, że tysięczny gol jest czymś tak niezwykłym, że nie mógł go strzelić byle frajerzyna.

Czasami spotykam się z pytaniami, czy chciałbym zagrać w kadrze pożegnalny, czterdziesty mecz. Nie, nie chciałbym. Ten ostatni mecz miał wypaść na spotkanie ze Szwecją i niech tak zostanie. A gdybym miał wracać do kadry, to nie na żaden pożegnalny mecz, ale żeby walczyć w niej o miejsce. Ja z nikim nie muszę się żegnać. Takie uroczystości mógłby sobie zorganizować Grzegorz Lato, żeby zamiast meczu numer 99 mieć mecz numer 100, albo zamiast meczu numer 149 mieć mecz numer 150. Tak, to byłoby coś. Król strzelców mistrzostw świata odchodzi w wielkim stylu.

Tak naprawdę nie wiem, czy chciałbym jeszcze kiedykolwiek zagrać w reprezentacji. Nie mówię, że nie, choć wiem, że na dziś jest to niemożliwe. Nie liczę też na to ani trochę. Wiem, że miałbym dziś trudności, aby z kadrą się utożsamiać. Wiem, że to już by nie było to. Co miałem przeżyć, to już przeżyłem, mimo że mam dopiero 31 lat. Poza tym ta nasza kadra - niestety - z roku na rok jest coraz słabsza. Piłkarsko coraz słabsza. To już nie jest to, co dawniej. Kadra przestała być czymś wyjątkowym. Pół ligi ma w niej debiut za sobą. Komedia. Są miesiące, gdy łatwiej jest zagrać w kadrze niż w klubie. Jeszcze chyba tylko Ciesielski i Paszulewicz - jako jedyni w Polsce - czekają na pierwsze powołanie. Jeszcze ich tylko brakuje.

Czasami oglądam mecze i oczom nie wierzę. I wiem, że nie chcę grać w takim towarzystwie. Powołują mi Zdebela, a ja myślę sobie: "Zdebel, Zdebel, Zdebel... Gdzie on gra?". Nie mam pojęcia, kto to jest. Wynaleźli gościa i robią z niego lidera. Tymczasem spytamy się czterdziestu milionów Polaków, kim jest Zdebel, to pewnie 35 milionów powie, że piosenkarzem, pięć, że politykiem, a nikt nie domyśli się, że to nasz czołowy futbolista. W każdym meczu sześć podań i wszystkie do tyłu. Następny - widzę w kadrze Arkadiusza Bąka i zastanawiam się, czy to taka przyjemność ożywiać publikę przez wyróżnienie się na piłce?

Trzeba stawiać na poważnych piłkarzy - na Hajtów, na Ratajczyków, na Baków, ale Jacków. Tymczasem my ostatnia zamiast oglądać Opole, wolimy "Od przedszkola do Opola". I efekty za lat dziesięć do piętnastu.

Oczywiście, gdybym przepracował porządnie rok i utrzymywał wysoką formę, strzelał dużo bramek - a że jestem w stanie, to nie mam wątpliwości - i przyszedłby do mnie selekcjoner, powiedział: "Słuchaj Kowal, jesteś w strasznym gazie, chcę cię do gry" - to bym pewnie nie odmówił. Ale chyba pisanie o tym nie ma sensu, bo wszyscy raczej wiedzą, że nic takiego się nie zdarzy. Nie dlatego, że za rok będę miał 32 lata i nie będę w stanie walczyć o miejsce w podstawowym składzie. Nie, często ten, kto ma 32 lata może grać dwa razy lepiej od tego, który ma 25 - bo się przynajmniej nie spala psychicznie. Po prostu w takie powroty po latach może się bawić Michael Jordan, a nie ja. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent już nigdy nie wystąpię w kadrze. Zostawiam sobie ten jeden, naprawdę malusieńki procent - tak na wszelki wypadek. Niepotrzebnie, wiem. Karierę już zrobiłem i za nową nie tęsknię.

Opowiem wam jedną z najlepszych historii mojego życia. Opowiem wam o tym, jak idzie się na wojnę z trenerem i jak się taką wojnę wygrywa. Najpierw jednak muszę się trochę cofnąć

w czasie. Po moim pierwszym, dla mnie króciutkim sezonie w Las Palmas, odszedł dobry szkoleniowiec - o tym już zdążyłem napisać. Najzabawniejsze dopiero nadchodziło. Wróciłem spokojnie z wakacji - ciekawie to brzmi w kontekście wyjazdu zarobkowego na Wyspy Kanaryjskie - i nowego trenera wciąż nie było. Biegaliśmy gdzieś po polach golfowych, bo na tej wyspie dobra trawa to rzadkość. Wokół boiska zasuwać raczej nie było sensu, bo przez cały okres przygotowawczy zakręciłoby się nam w głowach. Nikt się specjalnie nie przykładał - pewnie lada dzień zatrudnią trenera, to wtedy się dopiero zaczną treningi. Towarzyszył nam starszy pan, kierownik drużyny.

Pewnego dnia w szatni konsternacja - kierownik drużyny został trenerem. Byłem śmiertelnie zaskoczony, bo wydawało mi się, że jednak w Hiszpanii troszkę poważniej traktuje się futbol. Mają całą furę trenerów, nie podoba im się Hiszpan, to biorą innego - a oni tu nam kierownika drużyn wsadzają! Facet prezencją nawet miał, dość wysoki, z małym brzuszkiem, ale przez poprzednie sezony kupował bilety lotnicze, rezerwował pokoje w hotelach i pompował piłki. Nawet na przedmeczowe odprawy nie miał prawa wstępu, może szkoda, bo kto wie - a nuż by się czegoś nauczył?

To był dla mnie naprawdę szok, bo mieliśmy bardzo dobrą drużynę. W obronie grali doświadczeni, chłodni i pewni zawodnicy - pełna rutyna. Herrera, który wcześniej grał w Espanyolu, Merino z Osasuny, Oscar z Realu Saragossa. Natomiast z przodu stawiano na ludzi z fantazją, z techniką. Sprowadzono Brazylijczyka Renaldo, który grał wcześniej w Deportivo La Coruna, aby zastąpił oddanego do Mallorki, obecnie jakże cenionego Valerona. Był też złoty medalista olimpijski, Paqui. Podział naprawdę fajny. Solidni w obronie, kreatywni w pomocy i skuteczni w ataku. Idealna drużyna! Jedna z lepiej zbudowanych, w jakich byłem. Nawet na ławce siedziało pięciu dobrych, pierwszoligowych zawodników. Wszędzie tylko pierwszoligowcy! Cel jasny - awans z pierwszego miejsca. Tymczasem taki młyn - kierownik drużyny trenerem. Aha, dodajmy, że wcześniejszy trener bramkarzy został kierownikiem drużyny... Pomieszanie z poplątaniem. Jak poważny prezes klubu może kupić dziesięciu renomowanych piłkarzy i oddać ich w ręce amatora?

To jednak dopiero połowa bajki. Kiedy tylko nasz trenerek poczuł się mocny, z rezerwy ściągnął swojego syna, Pachiego. Żeby jeszcze umiał grać w piłkę... Ale on nic! Jeszcze gorszy niż brat Alfonso, co się rzadko zdarza. Na szczęście był pomocnikiem, więc nikogo nie musiałem bić za ten przekręt. Gorzej, gdy ten ogórek zaczął grać w podstawowej jedenastce, ku uciesze tatusia. A jeszcze gorzej, gdy grał kosztem Marco Habera, sprowadzonego z VfB Stuttgart, z którym dopiero co awansował do finału Pucharu Zdobywców Pucharów. Finału! A tymczasem w Las Palmas na jego pozycji, prawej pomocy, biegł pasterz Pachi. To już mnie bezpośrednio dotyczyło, bo Haber potrafił dograć piłkę. No a Pachi to tylko Pachi... Jak trenerek ściągnął sobie synalka, co nie umie grać w piłkę, to kto wie, czy zaraz nie będzie tu wujka, siostry i psa? Co ciekawe, Habera po latach spotkałem na Cyprze. Wychodzę sobie na meczyk, patrzę - idzie.

- O, co ty tu robisz? - spytał.

- Co ja tu robię? Co ty tu robisz?!

Za chwilę już przyszło nam kopać się po kostkach.

W Las Palmas treningi mieliśmy niczym za Antoniego Piechniczka. Nawet chodziła czasami Rada Drużyny z wnioskiem, żeby coś zmienić - żeby nie biegać kilometrów przed oddaniem jednego strzału. Chcieliśmy grać w piłkę. Gdyby jeszcze wyniki naprawdę dopisywały, to by nikt nie narzekał. Ale nie dopisywały. U siebie zawsze wygrywaliśmy, często dużą liczbą bramek. Natomiast na wyjeździe - zawsze w dupę! Zawsze. To specyfika tego klubu. Rok w rok ma najmniej wyjazdowych zwycięstw w sezonie z całej ligi. I przez to nie może awansować. Oczywiście, jak to z Radami Drużyny bywa - nic nie wskóraliśmy i musieliśmy

się męczyć na piechniczkowych treningach.

Mieliśmy super skład, ale bez trenera. O taktyce nie miał zielonego pojęcia. Doszło do tego, że po jego śmiesznych odprawach spotykaliśmy się gdzieś w zacisznym miejscu i sami ustalaliśmy podstawowe rzeczy - kto kogo kryje, kto się cofa przy stałych fragmentach gry. W szatni niczego nie szło się dowiedzieć. Trenerek nic nie rysował, bo chyba nie umiał - nawet schematów defensywnych. Pojęcia o przeciwnikach nie miał żadnego. Krycie go nie interesowało.

W zasadzie to trenerek tylko wypisywał, kto gra. I potem przechodził do bezsensownych wskazówek, co trwało z dziesięć minut. A później przez pięć minut pytał, co trzeba zrobić, aby wygrać mecz. Każdego z osobna!

- Co trzeba zrobić, aby wygrać mecz?

- Powinniśmy od początku zaatakować.

- Co trzeba zrobić, aby wygrać mecz?

- Moim zdaniem trzeba dużo walczyć.

Aż w końcu dochodziło do jakiegoś jajcarza.

- Żeby wygrać, musimy strzelić o jedną bramkę więcej - oznajmiał poważnym tonem. Trenerek nawet się nie domyślał, że zespół robi sobie z niego zbyty. Ja tam po prostu nie wytrzymałem ze śmiechu. Sam zawsze wykupywałem się tym samym tekstem: - Trzeba uważać na kontrataki. Każdy z nas miał takie jedno stwierdzenie, które powtarzał zawsze, choć nasz wielkiego rozumu szkoleniowiec tej prawidłowości nie wychwytał.

O ludziach z Wysp Kanaryjskich mówi się, że są... głupi. Tam dzieci do szkół raczej nie chodzą, panuje taki bardziej afrykański system nauczania. Trenerek był tego przykładem. Oczy mieliśmy i widzieliśmy, co się święci. Jak już wspomniałem, sami staraliśmy się ustalać podstawowe zagadnienia taktyczne. Takie wewnętrzne, drużynowe odprawy robiliśmy w pokoju hotelowym. Zaczęliśmy, gdy zorientowaliśmy się, że co mecz tracimy gola po rzucie różnym, bo nikt nikogo nie kryje. I zamiast wyrobić sobie przewagę na początku sezonu, to musieliśmy gonić. - Dobra, panowie. W tej drużynie gra taki i taki napastnik, ty go bierzesz na siebie.

Śmiesznie to wyglądało. Siedziała starszyzna zespołu, przy papierosku omawiała taktykę. Chyba zbyt wszystkim zależało, aby to sobie odpuścić i zdać się na trenera-barana. Ponieważ mieliśmy doświadczony zespół, to zawsze znajdował się ktoś, kto miał rozeznanie w umiejętnościach piłkarzy przeciwnej drużyny. A trzeba dodać, że druga liga hiszpańska wcale nie jest taka słaba. Wystarczy, że podam nazwiska piłkarzy, którzy w niej wtedy grali - Puyol, Baraja, Rufete, Gabri, Goikoetxea, Ilie, Diego Tristan, Catanha, Javi Moreno, Tsartas, Luque, Babangida, Fortune, Munitis, Eto'o, Roteta, Nayim, Mornar, Klimowicz, Cuellar, Josemi, Dani. Mało? Naprawdę było kogo kryć przy rzutach różnych.

Analiza spotkań przez naszego trenera była równie fachowa jak odprawy.

- Co zrobiliśmy źle? - pytał każdego z osobna. Mija godzina, a on ciągle pyta. I ciągle słyszy to samo, tydzień w tydzień - i nic z tego nie wynika. Tak jakby pasjonował się swego rodzaju samobiczowaniem i wciąż pytał o błędy, tak dla sportu - byle zapytać. W szatni wszyscy siedzieli wściekli - nie dość, że kolejny mecz do tyłu, to jeszcze filozof dobija. Z drugiej ligi hiszpańskiej bezpośrednio awansują dwie drużyny, a dwie po barażach. Byliśmy cały czas w pierwszej szóstce, ale dwa zespoły zaczęły nam wyraźnie odjeżdżać, a przecież nie o to chodziło - rok wcześniej straciliśmy awans w barażach, powtórki nie chcieliśmy. Trener miał zresztą przykazane, że mamy nie grać w barażach, ale chyba zrozumiał, iż mamy w ogóle nie

awansować. Zaczynaliśmy się obawiać, że znów może nic nie wyjść...

Większość drużyn takiego trenera już dawno by wywaliła - piłkarze by się umówili, że przegrają konkretne spotkanie. Była duża presja, gazety krytykowały gościa, ale zawsze potem trafiał się mecz u siebie - a u siebie zwyciężaliśmy. A trzeba było przegrać z premedytacją. Te punkty by się jeszcze nadrobiło. Przyszedłby ktoś normalny i z tym zespołem byliśmy w stanie wygrać wszystkie mecze do końca ligi. Ale nie - męczyliśmy się dalej. Kilka lat później Cypryjczycy od razu zwolnili Wójcika, jak im tylko podpadł. Bach, bach, dwa mecze w ryj i po "Wójcie". Żałuję, że wtedy w Las Palmas do tego nie doszło.

Postanowiłem wyjść naprzeciw oczekiwaniom drużyny... Po powrocie ze zgrupowania reprezentacji na Malcie, przez które straciłem dwa czy trzy mecze ligowe w Las Palmas, odniosłem kontuzję - w 30 minucie spotkania z Malagą. Drużyna się męczyła. W tym momencie szans na bezpośredni awans już nie mieliśmy żadnych.

Trenerek zaczyna swoje.

- Co się stało? Dlaczego przegraliśmy? - pyta.

Myślę sobie: - To się kurwa stało, że jesteś słabym trenerem.

Jednak jeszcze wytrzymałem.

- Jak mamy wygrywać, skoro gramy taki piach?! Jesteśmy tłem tego, co powinniśmy prezentować. Tłem! Na treningach robimy jakieś piłkarskie jaja, to i w meczach nic nie wychodzi. Gra pana syn zamiast poważnych piłkarzy, to się tak kończy - wypaliłem.

On mi na to, że nie powinienem tak się unosić, tak mówić. I że w ogóle to dlatego tak mówię, bo jestem wkurzony, że nie gram. No i nie powinienem mówić o kolegach, że grają słabo, bo im się wtedy przykro robi i nie ma solidarności w drużynie. A w tym czasie koledzy siedzą w szatni i wiedzą dobrze, iż grają piach taki, że lepiej nie mówić. Powoli siadało nam już przygotowanie do sezonu. Brakowało sił na dziewięćdziesiąt minut walki.

Już i tak bym u niego nie zagrał. Przy tym byłem jedynym, który nie ryzykując niczego, mógł pójść dalej i pomóc zespołowi. Poszedłem dalej. Zdecydowałem się na frontalny atak...

Raz, dwa, trzy - mikrofon działa, można mówić. Przedemną kilkadziesiąt dni dziennikarzy, którzy akurat uznali, że warto zaprosić Kowalczyka na pomeczową konferencję prasową, bo może powie coś ciekawego.

- Dzień dobry, witam wszystkich.

- Dlaczego gracie tak słabo? Czy pana zdaniem są szanse na awans do pierwszej ligi? - padło pytanie z sali.

- Dobrze, że pan pyta. Otóż chciałem powiedzieć, że tak słabego trenera nie spotkałem w całej swojej karierze - oświadczyłem w pierwszym zdaniu. Dziennikarze w szoku, ale notują, aby nie stracić żadnego słowa. - To przez niego straciliśmy szansę na bezpośredni awans - kontynuowałem. - Tylko i wyłącznie przez jego niedokszałcenie i głupotę. On zniweczył cały nasz wysiłek. Cały czas nie mogę zrozumieć, jak prezes mógł dać komuś takiemu pracę. Nie można kazać profesjonalnym piłkarzom pracować z takim amatorem.

- Co pan mówi? Przecież będzie miał pan problemy po takich słowach!

- Wiem, że będę miał, ale nie mogę ciągle milczeć. Do końca pozostało pięć czy sześć kolejek, jest szansa, że chociaż zagramy w barażach. Jeśli do tego czasu zmieni się szkoleniowiec, przy tych piłkarzach wciąż istniałaby szansa, że uda się coś wygrać, awansować. Gdybym nic nie powiedział, to już moglibyśmy kończyć rozgrywki.

Trener nie mógł zebrać myśli. Nikt nigdy go tak publicznie nie przeczłgał. Moje słowa trafiły na pierwsze strony gazet sportowych. Miejscowe radio trąbiło o tym, jak Polak skrytykował szkoleniowca. Wiedziałem, że nie uniknę kary, ale co z tego? Wezwano mnie do klubu, do prezesa.

- Trener nie może zrozumieć, dlaczego tak powiedziałeś.

- A co? Nie widzicie? Co mecz macie dwadzieścia tysięcy białych chusteczek na trybunach. Wszyscy chcą, żeby go wywalić, bo się nie zna. Nie zna i już. Piłkarze tynk gryzą, tak go nienawidzą.

- Niestety, musimy cię za te wypowiedzi zawiesić na cztery dni. Nie będziesz przez ten czas trenował z zespołem.

Trudno, bywają gorsze kary niż czterodniowy urlop. Później dorzucono jeszcze kilka dni, skończyło się na siedmiu czy dziesięciu. Po tym czasie trenera wyrzucono! Szedłem ulicą, a ludzie po prostu mi dziękowali, gratulowali! Prasa mnie chwaliła - zwolnienie trenera to dobry ruch, Kowalczyk był jedynym, który odważył się wyznać prawdę. Koledzy z zespołu też byli mi wdzięczni, tylko pracownicy klubu patrzyli krzywo, bo przecież tamten pracował w Las Palmas od wielu lat. Natomiast prezes... zrobił takie wzmocnienie, że duża rzecz! Wziął trenera z drugiej drużyny. Trudno, nieważne. Do końca pięć kolejek, nie będę się już wygłupiał.

Gdy kilka dni po tej aferze wchodziłem na boisko w meczu ligowym, kibice zgodowali mi owację na stojąco. Dwadzieścia tysięcy ludzi biło brawo i skandowało moje nazwisko. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że podjąłem słuszną decyzję - wykorzystałem ostatni moment, aby uderzyć pięścią w stół.

Już znacznie wcześniej wiedziałem, że nie chcę zostać w Las Palmas na kolejny rok. Ładnie tam jest, ciepło, ale na wakacje, co innego codzienne życie. Nie miałem zamiaru już tam siedzieć. Działaczom oznajmiłem, że nie mają co rozmawiać z Betisem na temat kolejnego wypożyczenia - ja się zmywam. Mam dość tej wyspy. Mam dość miasta, które mogę przejść piechotą w dziesięć minut i znam każdy jego zakamarek. Mam już dość mieszkania przy samej promenadzie, tłumy turystów pod oknem. Nie ma też co ukrywać, że w Las Palmas nie szło mi jakoś rewelacyjnie pod względem sportowym. To znaczy statystycznie wygląda to dobrze - rozegrałem trzysta spotkań i zdobyłem aż dziewięć bramek. Gdy tylko dopisywało mi zdrowie (a niestety miałem kilka drobnych urazów), stawiano na mnie, bo byłem jedną z największych gwiazd drużyny. Wszystko szło świetnie do czasu zgrupowania kadry na Malcie i późniejszej kontuzji. A potem wyjazd na reprezentację na mecze z Anglią i Szwecją, ciągłe nieobecności, z których wynikało, że nie zależy mi na grze w Las Palmas, konflikt z trenerem. Po Malcie, czyli od lutego, tak naprawdę już nie grałem - z przyczyn zdrowotnych i reprezentacyjnych. Jednak ten bilans - trzysta meczów i dziewięć goli - budził respekt. O tym, że w piłkę grać potrafię, wiedzieli tam bardzo dobrze.

Spośród tych dziewięciu goli, że dwa strzeliłem na swój ambitny zamach, ale najlepszą bramkę zdobyłem w meczu z Rayo Vallecano. Na samym początku wcisnęliśmy na 1:0, ale potem zupełna zmiana sytuacji - jechali nas jak baranów. Nie mogliśmy wyjść z własnej połowy. Pełny dramat. Obrońcy tylko wykopywali piłki byle dalej. Trochę byłem tym faktem zły, bo można było pograć spokojniej, rozegrać, zamiast z piłki robić wykopki. Po jednym z takich zabłąkanych wykopów piłka trafiła do mnie. - Chcecie tak grać? Chcecie walić po trybunach? Jak wybijamy, to wybijamy! - pomyślałem. No to wybiłem. Byłem mniej więcej trzydzieści metrów od bramki Rayo. No i co? Pewnie już się każdy domyśla. Tak, jakimś cudem ta piłka przeleciała trzydzieści metrów i wpadła pod poprzeczkę. Po chwili kolega z ataku podwyższył i mecz już przegrany wygraliśmy 3:0. I z Las Palmas mam wiele miłych wspomnień.

Już znacznie wcześniej wiedziałem, że nie chcę zostać w Las Palmas na kolejny rok. Ładnie tam jest, ciepło, ale na wakacje - co innego codzienne życie. Nie miałem zamiaru już tam siedzieć. Działaczom oznajmiłem, że nie mają co rozmawiać z Betisem na temat kolejnego wypożyczenia - ja się zmywam, wracam do Sewilli. Mam dość tej wyspy. Mam dość miasta, które mogę przejść piechotą w dziesięć minut i znam każdy jego zakamarek. Mam już dość mieszkania przy samej promenadzie, tłumy turystów pod oknem. Nie ma też co ukrywać, że w Las Palmas nie szło mi jakoś rewelacyjnie pod względem sportowym. To znaczy statystycznie wygląda to dobrze - rozegrałem trzynaście spotkań i zdobyłem aż dziewięć bramek. Gdy tylko dopisywało mi zdrowie (a niestety miałem kilka drobnych urazów), stawiano na mnie, bo byłem jedną z największych gwiazd drużyny. Wszystko szło świetnie do czasu zgrupowania kadry na Malcie i późniejszej kontuzji. A potem wyjazd na reprezentację na mecze z Anglią i Szwecją, ciągle nieobecności, z których wynikało, że nie zależy mi na grze w Las Palmas, konflikt z trenerem. Po Malcie, czyli od lutego, tak naprawdę już nie grałem - z przyczyn zdrowotnych i reprezentacyjnych. Jednak ten bilans - trzynaście meczów i dziewięć goli - budził respekt. O tym, że w piłkę grać potrafię, wiedzieli tam bardzo dobrze.

Spośród tych dziewięciu goli, ze dwa strzeliłem na swój ambitny zamach, ale najlepszą bramkę zdobyłem w meczu z Rayo Vallecano. Na samym początku wcisnęliśmy na 1:0, ale potem zupełna zmiana sytuacji - jechali nas jak baranów. Nie mogliśmy wyjść z własnej połowy. Pełny dramat. Obrońcy tylko wykopywali piłki byle dalej. Trochę byłem tym faktem zły, bo można było pograć spokojniej, rozegrać, zamiast z piłki robić wykopki. Po jednym z takich zabłąkanych wykopów piłka trafiła do mnie. - Chcecie tak grać? Chcecie walić po trybunach? Jak wybijamy, to wybijamy! - pomyślałem. No to wybiłem. Byłem mniej więcej trzydzieści metrów od bramki Rayo. No i co? Pewnie już się każdy domyśla. Tak, jakimś cudem ta piłka przeleciała trzydzieści metrów i wpadła pod poprzeczkę. Po chwili kolega z ataku podwyższył i mecz już przegrany wygraliśmy 3:0. Jak widać, i z Las Palmas mam wiele miłych wspomnień.

Przyjechałem do Polski. Wreszcie urlop, koniec tego całego zamieszania. Koniec z Las Palmas. Mija tak spokojnie tydzień, drugi... W końcu w domu na Bródnie dzwoni telefon. Mój menedżer na linii.

- Treningi zaczynają się za dwa tygodnie, w poniedziałek.

- No dobra, a pieniądze już Betis wypłacił?

- Jeszcze nie, ale oni wszystkim zalegają.

Mijają kolejne dwa tygodnie. Znowu telefon od menedżera.

- Mówiłem ci, że każdemu zalegają. Nie gorączkuj się tak.

- Słuchaj, ja nie wiem, czy zalegają każdemu. A jak zalegają, to niech sobie zalegają. Mnie nie płacą już prawie półtora roku.

- Rozmawiałem o tym. Powiedzieli, że na pewno ci zapłacą.

- No to jak zapłacą, to mnie zobaczą.

- Że co?

- Mówię, że jak już będzie kasa, to będzie Kowal w Sewilli. Proste.

Postanowiłem sobie odpocząć od piłki. To była szybka, podjęta w jeden dzień decyzja. Po co mam się męczyć? Po powrocie z Las Palmas pewnie trudno będzie mi wywalczyć miejsce w podstawowej jedenastce. Poprzedni szkoleniowy mag, ten od system 1-3-3-3-1, nie sprawdził się i zatrudniono Argentyńczyka, który zaczął sprowadzać rodaków. Dochodziły mnie głosy, że w związku z tym zostanę wypożyczony do Albacete. Teraz tamci robili zespół na awans do ligi. Wzięli jeszcze dwóch moich znajomych z Las Palmas, chcieli też mnie. Z czasem się wprawdzie dowiedziałem, że ten Argentyńczyk żałował, iż nie stawiałem się na treningach, bo chciał mi się przyjrzeć, ale trudno. Nie będę dokładał do interesu. W Albacete znów wypłacą mi dodatkową kasę do betisowego kontraktu, a podstawy i tak nie dostanę - tak jak przez rok w Las Palmas. Nie, dziękuję. Jak mam żyć z oszczędności, to wolę na Bródnie. Uznałem, że wpadnę za pół roku i sprawdzę co słychać. Dłuższej przerwy wtedy nie planowałem.

Nie chciało mi się bić o kasę w federacji hiszpańskiej, bo każdy się bił i nic z tego nie wychodziło. Betis płacił mi regularnie przez ponad trzy lata, ale za późniejszy okres był mi dłużny mniej więcej sześćset tysięcy dolarów. Byli tacy, którym rachunek nie zgadzał się na ponad bańkę i też - mimo że nazywali się Alfonso czy Finidi - nie potrafili nic zdziałać. To ja mam walczyć o sześćset tysięcy? Nie ma sensu, i tak nie zapłacą. Może to i moja wada, że zawsze lekką ręką odpuszczałem pieniądze.

Trafił się jeden duży twardziel, Solozabal, podstawowy zawodnik Hiszpanii na olimpiadzie w Barcelonie, mający za sobą także występy w pierwszej reprezentacji kraju. Powiedział sobie tak - pójdę do wszystkich możliwych sądów, może w piłkę już nigdy nie zagram, ale pieniądze wygram i wszystkie przekażę na cele charytatywne. Zrobię wszystko, poświęcę własną karierę, ale tego przesunienia Betisu udupię!

Nie wiem, jak ta sprawa się skończyła, jeśli ktoś zna jej finał - jestem szczerze ciekaw. Solozabal miał dopiero 30 lat, a już chciał rzucać futbol. Ja miałem wtedy lat 27 i jak się później okazało, też skończyłem poważną grę w piłkę - jeszcze wcześniej niż on. Co tak naprawdę mnie do tego skusiło?

To był dziwny ruch z mojej strony, bo nikt na świecie nie przerywa całkiem niezłej kariery w wieku 27 lat. 27 lat to najlepszy wiek dla piłkarza. Kontuzje miałem wreszcie wyleczone, wciąż mogłem grać w reprezentacji Polski, bo trenerem był Janusz Wójcik. Jeśli miałem dość pobytu w Hiszpanii, mogłem przecież wrócić do polskiej ligi, do Legii. Jednak byłem zmęczony psychicznie, trochę zrezygnowany. Nie traktowałem tego na zasadzie, że coś mi się tam nie udało, odejście od piłki nie było efektem żadnej frustracji. Po prostu uznałem, że muszę odpocząć. Nie chciałem nic robić na siłę. Nie będę grał gdzieś tylko dlatego, że ktoś mi każe. Mam swoje życie. Nie chcecie płacić? W porządku - ja nie chcę grać. Są większe przyjemności na świecie. Milej mi się pogra z kolegami pod blokiem. Milej mi się pobawi z córką, pospotyka z przyjaciółmi.

Nigdy nie żałowałem swoich życiowych decyzji, choć nie wykluczam, że kiedyś taki moment nadejdzie i zacznę analizować wszystkie momenty, w których mogłem postąpić inaczej, może

lepiej. Jednak nie, nie żałuję, że wtedy przestałem grać. Tak naprawdę, co to za różnica? Czy bym grał w Betisie cztery lata, czy dziesięć - co by to zmieniło? Jedynie stan mojego konta, które jest moją prywatną sprawą. Gdybym wtedy nie przestał trenować, pewnie gdzieś bym dziś grał - we Francji czy w Niemczech, w średnich drużynach. I tyle tylko, że bym grał. Nic poza tym. Kopałbym się z innymi w celach zarobkowych. Biegać gdzieś w Norymbergi czy Bremie, w Rennes czy Bordeaux - to żadna kariera. To jedynie ugania się za kasą. Ja widocznie tej kasy już nie chciałem. Tak jak taksówkarz jeździ sześć dni w tygodniu, a nie siedem, choć siódmego też by coś zarobił.

Gdyby tego półtora roku, tej mojej przerwy, zabrakło mi do gry w Realu Madryt czy Barcelonie, wtedy bym żałował. Jednak jeżeli się widzi, że co najlepsze, to już za tobą... Myślałem sobie tak - Bońkiem już nie będę, nie zrobię światowej kariery, a grać dla gościa, który ci nie płaci, który cię jawnie oszukuje, zwyczajnie się nie chce. Jednocześnie doskonale zdawałem sobie sprawę, na co się decyduję - wiedziałem, że gdy się zostawia piłkę w wieku 27 lat, to się kończy kariera, a zaczyna jedynie przygoda z futbolem. Zaczyna się co najwyżej gra dla przyjemności, a jeżeli uda się coś zdobyć, to się zdobywa - i to jest piękne. Bo czy tak naprawdę nie o to w tym wszystkim chodzi? Kończyłem pewien etap życia. Zaczynałem nowy.

Plany jednak miałem trochę inne. Ta moja przerwa miała trwać pół roku... Z początku prawie nikt nie wiedział o mojej decyzji - ani koledzy, ani dalsza rodzina. Tylko najbliżsi. Potem się wszyscy zorientowali, że coś jest nie tak z tymi urlopami w Betisie, skoro Wojtuś już drugi miesiąc sobie siedzi w domu. Coś za długa ta przerwa. - Na razie odpoczywam - powiedziałem. Nie rzucałem słów na wiatr i naprawdę odpoczywałem. Bez treningów, czasami tylko przeszedłem się na siłownię, ale sam nie widziałem żadnego efektu.

Do Sewilli nie ciągnęło mnie także z jeszcze jednego powodu - wiedziałem, że w klubie nie będzie brakowało najprzeróżniejszych problemów. Przeczuwałem najgorsze - degradację. Sprawdziło się. Każdy rozumny człowiek wie, czemu Betis spadł wtedy z ligi. Spadł, bo piłkarze chcieli spaść. Wszyscy mieli zapisane w kontraktach, że w przypadku degradacji (która wydawała się nierealna mając w pamięci niedawne trzecie i czwarte miejsce w lidze) umowy będą nieważne. I to im pasowało. Popatrzmy na skład - Denilson, Alfonso, Finidi, Otero, Pratz, Fernando. To nie był zespół na drugą ligę, ale zespół zrobiony pod europejskie puchary. Tymczasem z tego co wiem, po kolejnych porażkach nikt się w szatni specjalnie nie martwił. Zawodnicy swoich pieniędzy nie odebrali, ale przynajmniej nie musieli jak niewolnicy pracować za darmo - droga wolna, o to chodziło. Gdyby nie spadli, mogliby tak grać w Betisie za darmo przez cztery czy pięć lat, bo na tyle mieli kontrakty, a to się nikomu nie uśmiechało. I tylko prezes przez to nie mógł spać po nocach. Nawet stadion zostawił niedokończony. Podobno oszukał firmę budowlaną, więc ta zwinęła manatki. Tak to jest, gdy za piłkę zabierają się ludzie, którzy dorobili się majątku na sprzedawaniu obrazków oraz pożyczaniu pieniędzy na wysoki kredyt.

Menedżer do mnie dzwonił cały czas, namawiał, abym zmienił zdanie i wrócił do Betisu.

- A co, już zapłacili? Na konto nic nie wpłynęło.

- Ale zapłacą!

- Słuchaj, odpoczywam.

Po pół roku zgłosiłem się do Betisu, czy już poszli po rozum i mają mi zamiar wypłacić kasę, czy też muszę dalej leniuchować. Mieli wtedy na głowie masę problemów z innymi wierzycielami, jakieś sprawy w sądzie i nie bardzo znaleźli dla mnie czas. No to nie. Odezwe się za kolejne pół roku. W tym czasie zgłosił się do mnie Spartak Moskwa. Menedżer

namawiał mnie na ten ruch - zacznij wreszcie coś robić. Ja mogłem powiedzieć mu to samo - zacznij wreszcie coś robić, załatw mi moją kasę zamiast klubu w Rosji. Kierunek wschodni niezbyt mnie rajcował. Odmówiłem. Tylko koledzy byli niepokieszeni. Mówili mi: - Młody jesteś, jedź, pograsz jeszcze w poważną piłkę. Spartak to Liga Mistrzów.

- Nie, dziękuję.

Po następnych sześciu miesiącach znów zgłosiłem się do Sewilli. Betis akurat spadł z ligi. Cudowali, czy bym nie wrócił i nie pomógł w walce o awans. - Nie ma takiej możliwości, dopóki nie zapłacicie zaległości - powiedziałem. No to pomagał im ktoś inny. Ja nie zamierzałem z siebie pośmiewiska robić. Nie po to rok odpoczywałem, żeby nagle z radością na ustach biec ratować prezesa. Nie było mi też śpieszno do Lecha Poznań, na którego namawiał mnie Andrzej Grajewski. Jeszcze niby tam kibiców jakichś miałem przepraszać, że żyję. Bądźcie poważni, w żadnym Lechu grać nie będę, odpoczywam na Bródnie.

Co działo się ze mną przez to półtora roku, wiem tylko ja. Bardzo dużo czasu spędziłem na różnego rodzaju wycieczkach. A to pojechałem z rodziną nad morze, a to na Mazury, a to do lasu. Jesteśmy w komplecie, nic nas nie trzyma, pieniędzy nie brakuje, więc co? Wakacje. Oczywiście nie samemu, ale jeszcze z przyjaciółmi, bo samemu byłem pięć lat w Hiszpanii. Szukałem miejsc, gdzie można miło spędzić czas, połowić ryby, pozbierać grzyby, pogrillować. Nie napiszę nic nowego, że w takim okresie pije się też więcej alkoholu niż wynosi przewidziana norma. Jednak nie róbcie ze mnie alkoholika. W Hiszpanii przez kilka lat nie piłem w ogóle, a tu piwko dziennie to żadna choroba. Wódka jeśli już, to urodzino wo - to nie jest mój ulubiony trunek. Wolę whisky.

Gdy było lato, to nawet w dzienniku powtarzali - trzeba uzupełniać płyny, trzy litry dziennie, bo idą gorące dni. Skoro w dzienniku mówią, to jakże nie posłuchać? I czy ktoś kiedyś był na ognisku, grillu, aby obok nie pojawiło się piwo?

Kiedy byłem w Warszawie, często odwiedzałem różne rodzaje targi - na przykład związane z urządzaniem domu. Z dzieckiem chodziłem na koncerty-pikniki i inne tego typu imprezy. Kiedyś nawet poszedłem z córką na wyścigi konne. Nie żeby przepuścić kasę, bo nawet nie wiedziałem, jak w to się gra. Poszedłem popatrzeć. Szybko zrozumiałem, że to nie najlepsze miejsce na wizyty z dzieckiem. Byłem w szoku - wkoło masa ludzi, którzy poprzegrywali całe swoje życie. Karolina mnie zapytała, dlaczego oni tak wyglądają, tak krzyczą, są tacy nietrzeźwi. Co miałem powiedzieć? Tylko tyle, że jest weekend, to wszyscy są nietrzeźwi.

A sport? Oglądałem wszystkie możliwe transmisje sportowe w telewizji, słuchałem nawet Studia S-13. Lubię sport. Obejrzałem całą olimpiadę, co mi się nie zdarza. Nawet wszystkie etapy wszystkich największych etapów kolarskich obejrzałem. Troszeczkę mi piłki brakowało. Mówiło się z chłopakami - chodźcie, pogramy. Jednak nie odczuwałem jeszcze wtedy potrzeby, że muszę wracać do futbolu. Na mecze, na Legię nie chodziłem, bo jeszcze komuś musiałbym niechcący dać w mordę. W ogóle się raczej nie pokazywałem. Taki już jestem. Kiedy na dobre skończę grać, ludzie będą mnie mogli oglądać chyba tylko na zdjęciach. Żyje się tylko raz i niekoniecznie dla piłki, nawet nie przede wszystkim dla niej. Ja na pewno nie ustawię sobie w domu kamery z widokiem na kominek.

Z żadnymi piłkarzami z kadry nie utrzymywałem kontaktu, mam swoją grupę przyjaciół. Kiedy na Łazienkowskiej Polska grała z Anglią, akurat był wysyp grzybów... Do nikogo nie dzwoniłem i nikt do mnie nie dzwonił. Nikt mnie nie musiał pocieszać. Kował wie, co robi. Kował wie, że wróci, tylko nie wie, kiedy. Poza tym do mnie nie jest łatwo się dodzwonić. To dlatego, że za dużo ludzi ma mój numer. Jeden bierze od drugiego, drugi od trzeciego i kończy się tak, że w ogóle nie odbieram. W domu, gdy coś dzwoni, z założenia - mnie nie ma! Nie ma i nie będzie przez najbliższe dziesięć lat. Ale są takie uparciuchy, co nawet zadzwonią na telefon Ewy, a tam, o dziwo - nie ma! Kiedy grałem na Cyprze, wstałem rano i

włączyłem telefon. Poszedłem do łazienki, wychodzę, a tam - 22 nieodebrane połączenia. Dwa nowe numery. I jak tu kochać to urządzenie?

Kiedyś to chyba w ogóle nie będę miał telefonu.

W czasie olimpiady w Barcelonie ważyłem 77 kilogramów. Kiedy odpoczywałem na Bródnie jakieś 91. Dokładnie nie wiem, bo nawet nie mam w domu wagi. Dla jednych byłem zwyczajnie gruby, dla innych nie. Bez jaj, miałem nadwagę, jak na piłkarza dużą nadwagę, ale gruby to jest Ryszard Kalisz. Trudno było nie przytyć, skoro nic nie robiłem. Przez półtora roku trenowałem może dwa miesiące, gdy przyszła zima i już trudno było sobie zorganizować czas. Wtedy też brałem poważnie pod uwagę powrót do piłki, więc chodziłem na siłownię, godzinę dziennie jeździłem na rowerku, dwa razy w tygodniu grałem z kolegami na hali, raz w tygodniu na dworze. To były nawet niezłe treningi. Graliśmy tak po dwie, dwie i pół godziny i sam się zastanawiałem - ile można? Dla zwycięzców zawsze przygotowana była skrzynka piwa. A żeby było fair, dla przegranych też się coś znajdowało. Wtedy miałem świetną wagę - około 85 kilogramów. Dopiero potem, gdy znowu odpoczywałem, ruszyło...

Przez półtora roku mogłem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chce mi się jeszcze grać w piłkę, czy nie. Szczerze mówiąc, to jak się już posiedzi na tyłku dwa miesiące, to nic się nie chce. Jednak kończyła się kolejna jesień, moja ukochana pora roku, kończył się czas wycieczek i znów posypał śnieg. Tak, może jeszcze fajnie byłoby gdzieś pokopać? W telewizji widzę, że kadra wywija niezłe fikoły - nie może strzelić gola już dziewiętnasty rok. Może to ten czas? Chcę wrócić do piłki.

Jak już napisałem, nie żałuję, że zdecydowałem się w 1999 roku przerwać grę. Żałuję, że trochę się rozleniwilem i nie skończyło się - a przecież takie były plany - na jedynie półrocznym zniknięciu. Pół roku byłoby akurat. Jednak ja trochę wtedy przedobrzyłem. Bujalem się o rok za długo. Momentami już naprawdę miałem dosyć, ale też nie mogłem się tak do końca zmobilizować, aby rozpocząć konkretne działania mające pomóc w powrocie. Tym, co mogło mnie napędzać, była chęć udowodnienia paru osobom, że Kowalczyk jeszcze dużo może. Że Kowalczyk potrafi postawić na swoim i pokazać, że nie jest tam, gdzie niektórzy chcieliby, aby był - choćby na trybunie przegranych ludzi na warszawskim Służewcu. Że ma się dobrze.

Poleciałem do Hiszpanii, spotkałem się z menedżerem. Troszkę się zdziwił na mój widok. - Przecież ty mnie zaraz dogonisz - stwierdził ze śmiechem, a trzeba przyznać, że on też należy do takich co się raczej nie ważą, bo i tak brzuch wszystko zasłania. - Słuchaj, dowiedz się w Betisie, czy wydadzą mi moją kartę. Chcę wrócić do sportu - stwierdziłem, a on popatrzył na mnie raz jeszcze. Polaco, sporo pracy przed tobą. On to wiedział i ja też. Jednak już nie było kroku w tył. Jeśli coś sobie założę, zrealizuję cel.

Z pomocą znajomego dziennikarza udało mi się rozpuścić wici, iż mam swoją kartę zawodniczą i mogę grać. Z pomocą jeszcze innego stało się to, o czym w głębi duszy marzyłem - Legia. Chciałem przede wszystkim grać gdzieś w Polsce, nawet z kimś po prostu trenować dwa miesiące, choćby za swoje pieniądze. Skoro jednak zgłosiła się Legia, to czego chcieć więcej? Najpierw zadzwonił do mnie kierownik Ireneusz Zawadzki i powiedział, żebym przyjechał na Łazienkowską. Spotkałem się w cztery oczy z prezesem Miklasem. Dogadaliśmy się błyskawicznie. W zasadzie nie byłem zainteresowany żadnymi pieniędzmi i wychodziłem z założenia, że co tam w piszą, to mnie będzie pasować. No i coś tam wpisali, a mnie pasowało. Ustaliliśmy, że dwa tygodnie potrenuję z zespołem, a potem trenerzy ocenią, czy są ze mnie zadowoleni, czy w ogóle jestem i do czegokolwiek potrzebny. Zgłosił się w tym czasie też Janusz Wójcik, który objął Śląsk Wrocław, ale Legia to Legia. Byłem w domu. Rozmowa z prezesem Miklasem, normalnym facetem tak w ogóle, miała miejsce między

Świątami a Nowym Rokiem. Uznałem, że skoro za trzy czy cztery dni zaczynam treningi z drużyną, a odpoczywałem poprzednie półtora roku, to jeszcze sobie chwilę odpocznę. Wystartuję razem ze wszystkimi.

Tego dnia obudziłem się wcześniej niż zwykle, czyli na pewno przed trzynastą. Może o ósmej? Na treningu chciałem być pierwszy. Znow taksówka i znow dawno nie wypowiedane słowa: - Na stadion Legii, poproszę!

Nie miałem tremy. Tremę mogło mieć kilku piłkarzy, którzy wtedy przychodzili do Legii, jak na przykład Tomek Kielbowicz. To on wkraczał do nowego świata, to przed nim otwierała swoje drzwi Łazienkowska. Ja szedłem do domu. Cześć chłopaki, trochę mnie nie było, ale już jestem. Taksówkarz zatrzymał się pod adresem Łazienkowska 3.

Wszedłem jak do siebie. Jako pierwszy. Przywitano mnie wspaniale. Jak kolegę, którego długo nie było, ale w końcu musiał wrócić. Pani, która na Łazienkowskiej spędziła pół życia, od razu spytała: - Panie Wojtku, może kawkę?

Chyba tylko ona jedna mówiła do mnie "Panie Wojtku", dla magazynierów byłem "Kowalem". - Kowal, chodź, jest miejsce dla ciebie - powiedział jeden z nich, Waldek. I pokazał miejsce tuż obok tego, na którym siedziałem kilka lat wcześniej. - Tu jest wolne, bo ten piłkarz sobie poszedł.

Aha, skoro poszedł, to pewnie szybko nie wróci. Siedziałem w szatni najpierw sam. Chciałem, żeby tak było. Chciałem witać innych, a nie być witanym. Jak się wkrótce okazało, miejsce obok mnie przypadło teraz Adamowi Majewskiemu. Każdy na mnie patrzył - o, Kowal, będziesz miał co zrzucić! Ale nowy, okrągły kolega nie czuł się obco. Był Jacek Zieliński, był Rafał Siadaczka, był znany mi z kadry Czarek Kucharski czy też Marcin Mięciel albo Mariusz Piekarski. Także przed szatniami tłum. Tylu dziennikarzy i fotoreporterów to nie przychodzi na Łazienkowską chyba przez cały sezon - ale kto by nie chciał mieć zdjęcia grubego Kowala? Pstrykajcie panowie, wracam do gały.

Byłem ciekaw, jak to wszystko będzie wyglądało. Blisko siedem lat nie było mnie w polskiej lidze. Jak się teraz trenuje, jak przygotowuje? Spodziewałem się, że "Garaz" nie funkcjonuje już tak jak dawniej, że to inna ekipa. Trochę się rzeczywiście pozmieniało. Pamiętam, że gdy przyjechałem do Hiszpanii, w Betisie się ze mnie śmiali, bo nie wiedziałem, jak się korzysta z siłowni, co do czego służy. Oho, wieśniak przyjechał. A skąd miałem wiedzieć, skoro w Polsce, kiedy byłem pierwszy raz w Legii, jedynym przyrządem do ćwiczeń była piłka lekarska? Ja też bym się z nich pośmiał. Postawił przed nimi wielką, ciężką kulę i mówił: - No, panowie, trenujcie. Co, nie wiecie jak? Nie wiecie, po co wam ta piłka? Nie, tego się nie kopie. Spytajcie polskich trenerów. Oni są specjalistami od piłki lekarskiej. Oto nasza myśl szkoleniowa.

A teraz w Legii proszę - siłownia dzień po dniu.

Chłopaki przyjęli mnie bardzo życzliwie. Nic w tym dziwnego, bo miejsca nikomu nie zabierałem. Miałem tylko trenować i przez dwa miesiące dać sobie samemu odpowiedź, czy jestem w stanie wrócić do piłki. Później walczyłem o miejsce w składzie z Kucharzem, ale po pierwsze to jeszcze nie był ten Kowal, po drugie Kucharz to normalny gość. Miętowy miał pewny plac.

Trener Smuda też miał do mnie super podejście. W zasadzie od razu uznał, że chce mnie w drużynie, Legia zapłaciła Betisowi 25 tysięcy dolarów, a Smuda powiedział dziennikarzom, że będę odkryciem ligi. Miło, że jeszcze ktoś we mnie wierzył. Miałem wtedy rozmowę w pokoiku trenerskim. Był tam pan Smuda i pan Lucjan Brychczy. Smuda wypunktował, czego ode mnie oczekuje, jakiej pracy, jakiego zaangażowania. Nie było dyskusji.

- Panie trenerze, po to tu jestem, z własnej woli.

Natomiast trener Brychczy stwierdził jakby od niechcenia: - Kował, chciałbym, żebyś wrócił do takiej formy, w jakiej byłeś na meczu Słowacja - Polska.

No to ładnie! Półtora roku nie kopałem, a pan Lucek wyjeżdża mi z meczem, w którym strzeliłem dwa gole i byłem w strasznym gazie! Ten to dopiero we mnie wierzy!

Jakoś też w tym samym czasie było kilka pogawędek ze Smudą przy całej drużynie. Jednego razu mówi: - Kiedy ja z trenerem Brychczym graliśmy w Legii...

- Co robiliśmy?! - pan Lucjan zrobił wielkie oczy.

- Graliśmy.

- Ja to grałem, ty byłeś.

Śmiechu było co nie miara, bo rzeczywiście trudno tu znaleźć wspólny mianownik. Z kolei jeszcze kiedy indziej, tuż przed wyjazdem na zgrupowanie do Dębicy, trener Smuda w skrócie przedstawił nam plany treningowe na najbliższe tygodnie.

Po pierwsze - coś tam. Po drugie - coś tam. Po trzecie - coś tam. Po czwarte - temu tu okrągłemu koledze musimy troszkę z szyi spuścić. Nie zdradziłem mu wtedy, że jest jeden bardzo skuteczny sposób na odchudzanie. Po prostu zaczynasz palić papierosy, wtedy waga idzie szybko ze dwa kilo w dół, i rzucasz fajki. Zdecydowałem, że tym razem nie wykorzystam tego patentu. I szczerze mówiąc, po dwóch tygodniach ostrych treningów, waga wcale nie spadała - ciągle osiem kilo za dużo. Zmieniały się natomiast proporcje między tkanką tłuszczową a nabitymi mięśniami. Nawet patrzyłem w lustro, jak mi ubywa.

Jednak wciąż to nie było to. Człowiek by tak chciał potrenować dwa tygodnie i mieć kaloryfer na brzuchu. A to się nie da. Powoli, mozolnie, godzina po godzinie, dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

Robiłem swoje. Gruby i tak jeszcze zdążę być. Wszyscy mi mówią, że kiedy skończę na dobre ze sportem, to setka pęknie bardzo szybko. Jeżeli mi się nie chce iść na siłownię w czasie niby czynnej kariery, to co mi się będzie chciało po czterdziestce? Wróżą mi, że będę gruby. Wcale się nie dziwię, nie?

Są tacy, dla których powrót do sportu po dłuższej przerwie jest prawdziwą katorgą. Nie wytrzymują im stawy, kolana, zrywają się mięśnie. Ja miałem wielkie szczęście - przez cały okres przygotowawczy przeszedłem bez choćby najmniejszego urazu. Trochę mnie to zastanawiało i... może nawet trochę martwiło. Wiedziałem, że coś z tymi przygotowaniem nie jest tak. Tak naprawdę nie miałem nawet zakwasów, podczas gdy przez całe lata kariery w czasie ładowania akumulatorów schodziłem tyłem po schodach, bo przodem zbyt bolało. Nie miałem ochoty na nic, poza spaniem. A tu jakoś tak dziwnie, jakoś tak bezboleśnie. Za łatwo.

Oczywiście pierwsze dni nie były taką sielanką. Tylko, że ja wiedziałem, czego chcę. Wszyscy mi mówili: - Kował, nie ciągnij na siłę. Jeśli nie będziesz dawał rady, stań i odpocznij... A ja i tak uparłem się w duchu, że będę biegał tyle, co wszyscy. Gdy zasuwaliśmy przez pierwsze dni wokół kanałku przy stadionie, zawsze byłem na końcu stawki, ale jednak w ekipie. Jednak.

Najgorszy był sam start, samo przewietrzenie płuc. Potem zaczynało iść łatwiej. Byli i tacy, którzy studiowali mój optymizm. Na przykład trener Wilczyński, odpowiedzialny za przygotowanie fizyczne. - Wojtek, nie myśl, że tak zaraz będziesz grał i biegał jak dawniej. Moim zdaniem te półtora roku laby wybiegasz dopiero w osiem miesięcy. Tak koło września-października będziesz prezentował odpowiednią formę - wypalił. Jakże proroctwa były to

słowa! Rzeczywiście, naprawdę zacząłem grać właśnie pod koniec września. Inna sprawa, że do tego czasu przeszedłem trzy etapy przygotowawcze - zimowy i letni z Okuką oraz letni z Wójcikiem. To była końska dawka, jakiej potrzebowałem.

Na zgrupowaniu w Dębicy mieszkałem z Giuliano. To była moja inicjatywa. Chłopak chyba czuł się trochę obco, a ja znałem hiszpański, mogłem jakoś się z nim dogadać. Przynajmniej się nie gubił, nie spóźniał. Moim powrotem do Legii najbardziej przejął się chyba Tomek Jarzębowski. Mówił, że zawsze chciał ze mną grać, że miejsce dla warszawiaków jest w Legii, a teraz będzie nas dwóch. Że we dwóch lepiej, różniej. I że musimy sobie pomagać i że chciałby mieć kiedyś taką pozycję w klubie, jak ja. Taką pozycję w historii klubu. Widać, że był przejęty. Sympatycznie przejęty. Tacy ludzie, ambitni, powinni grać.

Dzień zaczynał się dla mnie trochę wcześniej niż dla reszty. Kiedy inni przewracali się z boku na bok, ja - jeszcze przed śniadaniem - wychodziłem na trening z trenerem Wilczyńskim. Zasuwaliśmy wokół boiska kolejne kółka, mniej więcej przez pół godziny. A potem, wiadomo, to samo co cały zespół. W wolnym czasie grało się w karty, rozmawiało, dowcipkowało. Oczywiście tylko o piłce. Co tu kryć, piłkarze to nie są zbyt inteligentne bestie. Jak się o piłce nie gada, to się milczy. Taka prawda. Jak pamiętam, wszystkie zgrupowania to było wspomnianie piłkarskich anegdotek, meczów. Kiedy futbol schodził z tapety i wskakiwał film, to po minucie znowu trzeba było wracać do poprzedniego tematu. I znowu wielkie halo, że ktoś tam coś tam na jakimś zgrupowaniu. Ta sama opowieść po raz dziesiąty, ale każdemu się podoba. Mnie też.

Na treningi nikt nie narzekał. Nie widziałem jeszcze piłkarza, który by płakał, że ma za lekko. Każdy robi to, co mu się każe. Każe się mniej? W to mi graj! Pretensje zaczęły się później, gdy wszyscy skumali, że te dwa miesiące poza domem, te godziny biegania, kopania, skakania - wszystko o kant dupy potłuc, bo reszta drużyn biega dwa razy szybciej, kopie dwa razy mocniej i skacze dwa razy wyżej. Jednak na samych zgrupowaniach - raj. Jaki ten Smuda dobry, że już nam nie daje wycisku. Chociaż niektórzy się dziwili. Zielek wspominał okres przygotowawczy, jaki Smuda zaaplikował im rok wcześniej, w Tunezji. W jednym sparingu musiał podobno wystąpić trener Kazimierski, bo na 22 chłopów nie znalazło się 11 zdolnych do gry. Tak z nimi Franz jechał!

Sam troszeczkę byłem rozczarowany tempem, w jakim dochodziłem do formy, ale z drugiej strony może Smuda okazał się moim zbawieniem? Może przy kimś innym nie wytrzymałbym miesiąca, tylko trafił na stół? Może właśnie by mnie kroili? Ale o Franku następnym razem...

Krótko byłem u Smudy. Nie wiem do końca, co on tak naprawdę potrafi. Nie widziałem go, jak prowadzi zespół z ławki rezerwowych, nie widziałem, jak wygląda jego przedmeczowa odprawa. Jedno jest natomiast pewne - ma pojęcie. Treningi u niego zawsze były bardzo ciekawe, chociaż niesympatyczne dla zawodników. Kochał interwały, a to może każdego nieźle zmęczyć. Dziwiło mnie coś innego - wcześniej podobno uwielbiał małe gierki, a w Legii ciągle graliśmy jedenastu na jedenastu, przy czym składy nigdy się nie zmieniały.

Druga strona medalu jest taka - nie przygotował dobrze zespołu. To fakt. Rywale robili z nami, co chcieli. Nie przegrywaliśmy jednak z nimi, ale z własnymi słabościami. Owszem, jak przyjechał Ruch Radzionków, to się wiozło Ruch Radzionków. Tyle że jak przyjechał ktoś solidny, to się już nie wiozło... A może wszystko tak miało wyglądać? Może zwolniono go tak szybko, że nie zrealizował swojego planu i później zamierzał tak nami pokierować, że nagle złapałibyśmy gaz. Możliwe, choć moim zdaniem nierealne. Przygotowania były zawałone.

Atakując Smudę, piłkarze bronili się przed krytyką. Owszem, bezsensom było zwalanie na niego winy za własne kiksy, bo jak ktoś nie umie grać w piłkę, to go żaden trener w dwa miesiące nie nauczy - do tego, kto nie umie, jeszcze dojdziemy. Natomiast faktem jest, że będąc źle przygotowanym, nie da się grać. Brak wtedy pewności siebie, niezbędnej do wszystkiego na boisku. Odwalaliśmy kaszanę.

Samo zwolnienie Smudy po meczu z Zagłębiem było dziwne. Czekano na pretekst, aby go wywalić. W szatni plotkowało się, że trener poleci przy pierwszej obsuwie - że go prezes nie cierpi, że są klótnie, że już pismo czeka. Przesadzono. Meczem meczem, ale rozsądek rozsądkiem. Po jednej porażce? Głupota. Ja zresztą mam swoje zdanie na temat tej całej myśli szkoleniowej. Dla mnie - pic na wodę. Jak masz dobrą drużynę, to wygrywasz, a jak słabą, to przegrywasz. I możesz stawać na głowie, a nie zrobisz niczego więcej niż ci pozwala potencjał ludzki. Jak trenerowi nie wychodzi, to znaczy, że ma kiepskich ludzi. I tyle. Główne założenie przy zatrudnianiu trenera powinno być takie, żeby niczego nie spieprzył i pojawiał się na czas na pomeczowych konferencjach. A najgorsze, że nawet się nie da przewidzieć, który akurat coś spieprzy, a który nie będzie przeszkadzał. Gdybym z ostatnich dziesięciu selekcjonerów miał wybrać jednego, który okaże się kompletnym psują, to bym z miejsca wskazał na Engela. A on, proszę - nie popsuł!

Smuda też miał w swoim czasie ofertę prowadzenia reprezentacji. To jest jak z piłkarzem. Grasz świetnie kilka sezonów, jest propozycja z Milanu. Nie pójdziesz, do końca życia będziesz się kopał w Empoli albo Piacenzie. Sprawdziło się ze Smudą. Nie poszedł do Milanu, do reprezentacji, i od tamtej pory nic nie wygrał, a dużo przegrał. Miał zrobić z Legią mistrza Polski, nie wszedł do europejskich pucharów.

Skoro zwolniono Smudę, to powinni polecieć i inni trenerzy. Tymczasem pierwszym został Krzysztof Gawara, dotychczasowy asystent. Moim zdaniem też odpowiadał za przygotowania. Dla mnie - odjazd, wszyscy. Tylko pan Lucek zostaje, bo pan Lucek to szycha numer jeden. W Legii czasami w szatni śmiało się z Gawary. Przychodził co najmniej raz w tygodniu masować bark. - Oho, było kopane! - padało hasło. Tak go ten bark bolał od kopania dołków pod innymi trenerami. Czy naprawdę kopał to nie wiem, ale faktycznie bark go bolał, więc coś na rzeczy mogło być. A i ambicje swoje gość miał - chciał być pierwszym trenerem Legii. Najlepiej na lata!

Z grubsza jednak, zostawiając żarty, Gawara jest w porządku. Wymagający, ale przy tym konkretny, a i porozmawiać z nim można. Nie poznałem go dobrze, ale nie zdążył mi zaleźć za skórę. Natomiast Darek, ops, przepraszam, Dariusz Kubicki...

Kubicki jest inny. Tak go najłatwiej scharakteryzować. Inny. Nie będzie miał przyjaciół wśród piłkarzy, to na sto procent. Nie chciałbym współpracować z takimi ludźmi. Do zawodnika trzeba mieć odpowiednie podejście. Kuba umie pożartować, lubi to, ale za poważnie podchodzi do zawodu trenera. Gdyby zadał sobie pytanie, czy przez ostatnie dwa lata jakkolwiek piłkarz zgłosił się do niego z jakimś problemem, łatwo znalazłby pewnie odpowiedź - ani jeden. To nie przypadek. To styl bycia Darka. Znaczy się - Dariusza.

Nie mówię, że mnie to zaskoczyło, bo opowieści po klubie krążyły - z Kubickim to lepiej na dystans. A przecież pamiętałem go jako zupełnie innego chłopca - normalnego, z poczuciem humoru, ani trochę wyniosłego. Może to Anglia tak zmienia ludzi? Może tam tak trzeba? Nie mam wątpliwości, że tacy ludzie jak on czy Dziekan coś z tych Wysp Brytyjskich wynieśli, ale niekoniecznie to co trzeba. Tak jakby był kierowcą i jedyną nauką, jaką wyniosłby z Anglii, byłaby jazda lewą stroną ulicy. Zawodowe samobójstwo.

Ja mam to szczęście, że mnie zmieniała Hiszpania. A Hiszpania daje luz, uśmiech.

Wiem dobrze, że wielu piłkarzy na myśl, że kiedyś Kubicki zastąpi Okukę, ogarnia przerażenie. Już się zastanawiają, gdzie zwiewać. A to, że Kuba będzie pierwszym, to chyba pewne. Ma układy u Zarajczyka, co wie każde dziecko. Nawet ta zmiana Gawary na niego dawała do myślenia. Obaj mówią po angielsku, obaj lepiej niż Okuka, a jednak rozsadka. Szybka, krótka zmiana - nikt nic nie wiedział, nikt nic nie wie.

Nie chcę, żeby wyszło na to, iż Kubicki się nie nadaje. Nadaje się. Ma pojęcie o trenerce, nawet narzuca swój styl pracy Okuce. Przez całe życie najlepsze rozgrzewki miałem właśnie u Kuby - piłka zamiast śmiesznych przebieganek. Tylko, żeby on nie był tak z piłkarzami na nie. Żeby stał się normalny. Żeby sobie przypominał, jak jeździliśmy razem na mecze kadry, jak w Legii odprawialiśmy ogórków... Niech skończy z błazeństwami.

Jednego dnia na zgrupowaniu w Austrii wracaliśmy z treningu, a Kuba podszedł do mnie i tak po cichu zagaił: - Wiesz, Kowal. Jest taka sprawa, żebyś mówił do mnie "panie trenerze". No bo wiesz... Lepiej to będzie wyglądało.

Byłem w szoku. Niedawno piliśmy piwo na wspólnych zgrupowaniach, dało się mu możliwość zarobienia dobrej kasy bramkami strzelonymi Sampdorii Genua. Zawsze był Kuba. Kuba albo Darek. A teraz "pan trener".

- Dobra, mogę tak mówić - skłamałem, bo wiedziałem dobrze, że mi przez gardło coś takiego nie przejdzie. Do trenera Brychczego mówiło się "panie Lucku", do masażystów, dużo starszych od Kuby, pana trenera Kuby, po imieniu. A jaka znowu była różnica wieku między mną a Darkiem? Sześć czy siedem lat? Zwracałem się do niego bezosobowo. Zamiast "Kuba, co robimy?", pytałem zwyczajnie "co robimy?". Bez dodawania "trenerze". Wydaje mi się, że Zielek też tak robi. Też nie mu przez gardło "pan trener" nie przechodzi. I Robakowi też chyba nie przechodziło.

A gdyby teraz Darek Czykier został trenerem Legii? Panie trenerze, panie Darku? Raczej nie bardzo. Przecież to gość, z którym w piłkę grałem, jak z niejakim Kubickim Dariuszem! Kuba chyba myślał, że występuje w obronie własnego autorytetu, ale ktoś mu musi wytłumaczyć, że nie na tym polega autorytet. Ja w Hiszpanii pięć lat mówiłem do trenerów po imieniu. Do starych repów. Jestem Jose i wal mi Jose.

Że też ludzie mogą się tak zmienić. Swoją drogą, też mu mogłem wtedy powiedzieć - to ty mi nie mów Kowal, tylko panie zawodniku. Wszystko będzie miało ręce i nogi. Panie trenerze, panie zawodniku. I możemy się bawić.

Kubicki na pewno może imponować swoją pracowitością. Kiedyś strasznie przytył, chyba z bekę piwą musiał naraz łyknąć. No i założył się z Mariuszem Piekarskim, że zrzuci całą nadwagę, a miał tego chyba z dziesięć kilo albo więcej, w dwa tygodnie. Zakład na kasę. W Austrii żar lał się z nieba, a Darek przystępował do ubierania się - najpierw spodenki i koszulka, potem dres, a na koniec ortalion. Na sam widok połowie robiło się słabo. Plus trzydzieści pięć, nie idzie wytrzymać na golasa, a gościu zasuwa z nami na treningu. Tacy masażyści w Legii czy doktor Machowski, to całe życie się odchudzają. Zgrupowanie po zgrupowaniu, non-stop biegają i coś dobiec nie mogą. A Kuba się ubrał jak na księżyc i w dwa tygodnie załatwił sprawę. Zakład wygrał.

Osobiście nie miałem z nim konfliktów. Gdy prowadził jeszcze rezerwy, często się widywaliśmy. Cześć, cześć, co słyhać. Darek nie spodziewał się, że będę wytrzymywał treningi, był zdziwiony, iż jeszcze nie odpuściłem. Pamiętam, że nawet była taka sytuacja, że Okuka zdjął mnie w przerwie meczu z Amiką, a Kuba, jak kolega, powiedział mi: - Popelnił błąd, nie powinien cię zmieniać. W drugiej połowie byłeś potrzebny na boisku.

Ma ambicję, ma samozaparcie, ma też zmysł trenerski. Tylko o relacjach międzyludzkich nie ma pojęcia. Zastanawia mnie pan Dariusz Kubicki. Zastanawia mnie ta osoba. Nie wiem, o co

chodzi.

Praca jako drugi trener Legii to najłatwiejsza fucha pod słońcem. Wystarczy podglądać Lucjana Brychczego i robić dokładnie to, co on. Niech Kubicki, Gawara i inni patrzą, notują, uczą się. Jak dla mnie to pana Lucka powinni w klubie zrobić honorowym prezesem, choć wiem, że jemu by ta funkcja nie odpowiadała. On woli przyjść rano, ubrać się w dres, wziąć piłkę, pokopać, poobcować z chłopakami. To jego życie, jego świat. Ale honorowym prezesem i tak bym go zrobił, choćby na siłę. Choćby miał nigdy w praktyce tej funkcji nie pełnić.

Patrząc na trenera Brychczego, można dojść do wniosku, że to jedna z bardzo niewielu osób, która w Legii nie widzi pieniędzy, ale dom. Widać, że nie interesują go zaszczyty, stanowiska, kasa. On kocha piłkę taką szczerą, bezinteresowną, może trochę młodzieńczą miłością.

Treningi z tym człowiekiem to sama przyjemność. To tak, jakby uczyć się jeździć samochodem od kierowcy rajdowego. Ma się do czynienia z mistrzem w swoim fachu, co straszliwie mobilizuje. To nieprawda, że w naszej piłce nie ma autorytetów. Są, tylko że czasem schowane w cieniu. Pan Lucek zawsze miał słabość do technicznych piłkarzy. Wolał oglądać piękne zagrania niż rąbankę. Kiedy Adaś Fedoruk robił zwód, trener kręcił głową z niedowierzaniem, że na takie bzdury się ludzie nabierają, ale przy tym cieszył się - bo jednak miało to w sobie coś z techniki. Cieszył się widząc w akcji Darka Czykiera, który miał klej w nodze, cieszył się na widok Leszka Piszka.

Zawsze był dobry do "dziadka", takiej gierki popularnej wśród piłkarzy. Nigdy nie wchodził do środka! Nie dlatego, że miał swoje lata, ale po prostu zawsze podawał celnie. Z kolei gdy uderzał na bramkę, to najlepiej ze wszystkich. Mimo swojego wieku, nawet lepiej niż Piszczyk. Nie tak mocno, ale za to jakże precyzyjnie. Na te jego uderzenia można było tylko patrzeć, bo nikt z nas nie miał szans nauczyć się od pana Lucka czegokolwiek. To inny poziom, inny wymiar piłki. I żywy dowód na to, że pewnych umiejętności się nie zapomina. Czasami na treningach, jeszcze w tej starszej Legii, nie było parzystej liczby piłkarzy. Wtedy marzeniem było trafienie do pary właśnie z trenerem Brychczym, bo kiedy wymieniało się podania, piłka trafiała pod samą nogę. Natomiast gdy przyszło do ćwiczenia z Ratajem, to się można było zmęczyć - jak Krzysiu kopnie z lewusa to czasami trzeba nieźle się nabiegać.

Po moim powrocie do Legii, kiedy jeszcze nie jeździłem na mecze, trenowałem w wąskim gronie właśnie z panem Luckiem. To najlepszy trening, jaki piłkarz może sobie wymarzyć. - No to co panowie? Piłeczki wieźmiemy, rozgrzeweczka i gramy - zarządzał. Cieszyłem się, widząc go chętnego do pracy. Wcześniej dochodziły do mnie wieści, że ktoś na niego napadł, że w szpitalu leżał. Ale gdzie tam, trenera Brychczego nic nie złamie. On przeżyje nas wszystkich.

Aha. I jak kiedyś gdzieś przeczytam znowu wypowiedź jakiegoś działacza, że w klubie nie ma trenera od bramkarzy, to niech on się lepiej puknie w ten pusty łeb i na przyszłość nie zapomina o najlepszym gościu w tym fachu. Bo jak ktoś się nauczy bronić strzały pana Lucka, to go nikt nie zaskoczy. Za jego czasów problem bramkarzy nie istniał.

Zbliżał się czas prawdziwego powrotu. Nie tego do Legii, ale tego do gry w Legii. Najpierw musiałem spełnić wymóg formalny - rozegrać chociaż jeden mecz w rezerwach, żeby obejść jakiś martwy przepis misiów z PZPN. Poczulem się trochę tak, jak gdybym cofnął się w czasie i na chwilę wrócił do Poloneza Warszawa. Znow autokarowa wycieczka, tym razem do

Łowicza, a kiedyś jeździło się do Bartoszyc, Wyszkowa czy Olsztyńska. Troszkę kibiców na miejscowy stadion ściągnąłem. Chyba całe miasteczko mobilizowało się - chodźcie, przyjeżdża Kowalczyk, można mu nabluzgać!

To było dopiero przyjęcie! Jedno z lepszych w mojej karierze, przekleństwo za przekleństwem. I co ciekawe, w czwartej minucie dostałem bardzo dobrą wrzutkę od takiego młodego chłopaka, Cieślińskiego. Uderzyłem z głowy z szesnastu metrów, a piłka weszła w same widły. Publika w szoku, piłkarze w szoku i ja w szoku, że z linii pola karnego tak można pierdzielać. Szkoda, że kamery tego nie uwieczniły. Kibice na moment ucichli, ale po chwili znów wyskoczył miejscowy solista - ty pijaku!!! A za nim cały chórek - chuju!!! Nie reagowałem, bo pokazałbym jeden gest, a już nie miałby kto tej książki napisać. Raczej się uśmiechałem, że tyle lat się w piłkę nie grało, a kibice wciąż pamiętają.

Jeszcze przed meczem Darek Kubicki, ówczesny trener rezerw, powiedział reszcie: - Słuchajcie, to jest jak wiadomo Wojtek Kowalczyk, dzisiaj zagra z nami. Raczej nie zaszkodzi, a pewnie pomoże... Mnie na osobności powiedział: - Pamiętaj Kowal, nic na siłę. Wiesz, że nie będzie lekko. Jak nie będziesz mógł wytrzymać, podnieś rękę, zrobimy zmianę.

Miałem grać bezkontaktowo, żeby nie narazić się na jakieś spotkanie pierwszego stopnia z trzecioligowym drwalem. I w samej końcówce zachowałem się jak junior! Wszystko było w porządku do 89 minuty. Wtedy zachciało mi się strzelić drugiego gola. Tyle czasu się czailem, żeby mi nogi nie urwali i w końcu poszedłem na przebój, aż mi prawie rzeczywiście urwali! Ledwie doszedłem do domu.

W sumie powrót udany. Strzeliłem gola, wygramyśmy 1:0.

Teraz nie było odwrotu - czas na pierwszą ligę. Nigdy nie należałem do takich, którzy pchali się przed kamery, raczej nie zależało mi na rozgłosie, ale wtedy ten cały szumek mnie cieszył. Byłem zadowolony, gdy prezes Leszek Miklas powiedział mi, że dzięki temu, iż wróciłem na Łazienkowską na mecz z Widzewem sprzedano dwa tysiące biletów więcej. To dodawało otuchy, chęci do pracy. A presja? Ja jej nie odczuwałem.

Przed samym spotkaniem z Widzewem prasa zrobiła wokół mnie spektakl. Tu konferencja prasowa, tam pierwsza strona. Pamiętam ostatni dzień przed meczem. Byliśmy na zgrupowaniu na Agrykoli, miałem jednoosobowy pokój. Słuchałem radia, gdzie co chwilę zapowiadano powrót Kowala. Nie stresowałem się, ale zastanawiałem, jak to wszystko będzie wyglądało. Układałem sobie w głowie scenariusze i marzyłem, aby wejść przy stanie 0:0 i strzelić decydującego gola. Przypominałem sobie poprzednie spotkania z Widzewem. Pamiętam takie z sezonu 1992/93. Dopiero co wróciłem po kontuzji, zero treningu, a Janusz Wójcik z miejsca wypchnął mnie na boisko. W 60 minucie miałem ciemno przed oczami, prosiłem o zmianę. Odpowiedź? - Zapierdalaj!!! I tak rozgrywał się ten mecz gdzieś koło mnie. I było to jedyne spotkanie, kiedy... ze zmęczenia urwał mi się film. W ostatniej minucie decydującą bramkę strzelił Maciek Śliwowski. Szaleńczy bieg, aby go uściskać kosztował mnie zwrócenie całego obiadu zaraz po zejściu z murawy, w tunelu. Padałem na twarz.

Miałem też w głowie mecz z Widzewem w Pucharze Polski. Zimno jak cholera, aż nie chciało się wychodzić z szatni. Na 1:1 strzelił Fedor i od razu złapał kontuzję. Zapowiadała się dogrywka. Dogrywka w tym beznadziejnym mrozie. Dziewięćdziesiąta na zegarze i rzut wolny na ich połowie. Mówię do Leszka Pizsa: - Grajcie na mnie, albo strzele, albo Bogusz czerwona dostanie.

Leszek ze Zbyszkim Mandziejewiczem chcieli pograć piłką, poczekać do końca. W końcu Leszek się przekonał. - Daj wariatowi, jak chce.

No i mi zagrali. Patrzę w jedną stronę - oho, blokada. Bogusz! W drugą - oho, blokada. Łapiński! No to pojechałem prosto, w pole karne. Na długim słupku stał Grzesiak, więc

zacentrowałem. Tylko, że tak zawiąło, iż mi centra nie wyszła. Piłka wpadła w same ramy! Drogi Widzewie, w tym roku Pucharu Polski nie zdobędziesz!

- Skąd wiedziałeś? - pytał potem Leszek.

- A nie wiem, przecucie jakieś - odpowiadałem. To jeden z moich ulubionych goli.

Miałem te obrazy przed oczami i czekałem. Dla zabicia czasu... rozwiązywałem krzyżówki. Jeśli ktoś myśli, że Kowalczyk to w ogóle głupek, a na zgrupowania to z alkoholem - błąd. Przede wszystkim z krzyżówkami. I to nie jakimiś tam panoramicznymi, tylko takimi jak najtrudniejszymi. Mocna koncentracja na krzyżówce sprawia, że nie ma miejsca na myśli o piłce.

Nigdy nie zapomnę meczu z Widzewem. Tak jak sobie wymarzyłem, wchodziłem przy stanie 0:0, ale niestety - gola nie zdobyłem. Nie to jednak z perspektywy czasu jest dla mnie najważniejsze. Powitanie! To, co zrobili kibice Legii, piętnaście tysięcy kibiców Legii, było zdumiewające. Chciałoby się śmiać i płakać ze wzruszenia zarazem. Ponownie, po wielu latach wbiegając na boisku Legii dostałem największą owację w życiu. Nie byłem tym Kowalem z roku 1994. Nie byłem jeszcze przygotowany do gry. Brakowało mi szybkości, siły, pewności siebie. Sam nie czułem satysfakcji na myśl o własnej formie. Nie mogłem pójść na przebój, kiwnąć, jeszcze nie wtedy. Jednak publika była za mną - wróciłem. Za to dziękuję. Czułem się dumny.

Tak naprawdę wtedy zrozumiałem w stu procentach, że wróciłem do siebie. Nawet się później zastanawiałem, co by się działo, gdybym zahaczył o jakiś inny polski klub. Co ja bym czuł i co czuliby wobec mnie kibice. I zdałem sobie sprawę, słysząc tych wszystkich ludzi skandujących moje nazwisko, że w innym poważnym polskim klubie już zagrać nie mogę. Że jeśli bym miał nie grać w Legii, to muszę wyjechać z kraju. Że nie mogę stracić tego wszystkiego dla Łodzi, Poznania, Krakowa. Nie mogę zrobić z siebie tego, co zrobił Maciek Szczęsny, przechodząc do Widzewa. Co z tego, że gdzie nie poszedł, to zdobywał mistrzostwo Polski (a raczej koledzy zdobywali, a on tylko stał i czasami coś strzelał nie w tę stronę)? Urodziłem się w Warszawie, jestem legionistą. To tak jak z tym Betisem, gdzie mnie zapytali, czy po tych trzech latach w klubie jestem już Betiko. Nie, ja tu przyjechałem tylko kasę zarabiać, a jestem z Legii. Nie zmieniajcie mi religii.

Wkrótce później graliśmy w Zabrzu. Zaraz na początku meczu Wróbelek miał taką sytuację, że gdybym tam był, gdybym wałnął ze łba, to by siatkę rozerwało. A on się tylko wywrócił. Siedziałem na ławce rezerwowych i oswajałem się z polską ligą. I to nie była liga piłkarska. Z przerażeniem patrzyłem, jak rzeźnik Wiśniewski kroi Miętowego. Tak, on go nie kopał, on go nie faulował, on go kroił. Kolego, co ty wyprawiasz? Niszczysz mi Marcina. Co piłka, to buch, po kościach - a sędziował Stevie Wonder...

Po tym meczu Okuka chciał zmienić coś w zespole. Wcześniej mówił mi: - Wiem kim jesteś, wiem, że grałeś w Hiszpanii, tam słabych nie biorą. Dojdiesz do siebie... Na mecz z Pogonią do pierwszego składu trafiłem ja, Paweł Wojtala i Mariusz Piekarski. Zgrałem nie tylko dlatego, że kibice chcieli, ale też dlatego, że na treningach zaczynałem dobrze wyglądać. Miałem cynk, że wejdę od początku.

- Będziesz grał Kowal, potrzebujemy bramek.

Strasznie się zmobilizowałem. Potrzebują bramek, trzeba coś zrobić. Odczuwawałem satysfakcję, że ktoś już na mnie stawia. I byłem pewny siebie. Wiedziałem, że będzie na tak.

Pogoń miała wtedy wyjątkowo ciekawy skład. Co pozycja, to znajomy. Mosórek, Kazio Węgrzyn, Bednarz, Skrzypek, Guma Podbrożny na ławce, Majdan. I Mielcar przecinak, co

jeszcze nie wyszedł z szatni, a kibice już na niego gwizdali. A na ławce Edek z fabryki kredek.

Mecz był super. Jeszcze nie kopnęliśmy piłki, a już przegrywaliśmy 0:1. Jednak po chwili poszła kontra. Piekarz zagrał do Adasia Majewskiego, ten podciągnął i podał do mnie. Byłem na linii pola karnego. Przyjąłem piłkę, kątem oka widziałem, że nadbiega Mosórek. Zrobiłem zamach i kolega przeleciał mi przed oczami. Ale ten zamach jakoś mi nie wyszedł, za krótki, nie miałem z czego uderzyć. Widziałem, że Mosórek właśnie się otrzepał i znowu nadbiega, więc poprawiłem zamachem na lewą nogę - kolega znowu przeleciał - i uderzyłem ile sił. 1:1! Piękniejszego początku nie mogłem sobie wymarzyć. Jak za dawnych czasów pobiegłem pod Żyletę. A żeby być uczciwym wobec Piotrka Mosóra, to muszę dodać, że tam fruwał jeszcze jeden obrońca, ale nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Nie był to w każdym razie Krzysiek Ratajczyk. On by wrzeszczał: - Wiedziałeeeeem.

Z tymi zakosami to jest tak, że na nie nie ma lekarstwa. Jedzie napastnik z piłką i zaraz strzeli gola. Obrońca musi się szybko zdecydować, co robić, a wyboru nie ma żadnego - musi pójść na blok. Do piłki nie zdąży, tylko blok. W zasadzie w takiej sytuacji nie ma prawa myśleć, od razu trzeba robić wślizg. A jeśli napastnik ma pojęcie o piłce, to piłeczkę weźmie w tym momencie pod siebie. Natomiast drewniak huknie, zblokuje mu i będzie rzut różny.

Jak już jesteś w polu karnym i widzisz, że rywal nadbiega, to ty masz wszystkie karty w ręku. Na treningach co innego. Czasami robiło się zamach, a koleżka stał uśmiechnięty: - Ale cię przeczytałem! Jednak nie rzuci się w meczu, a ja oddam strzał, to co zrobi trener? Zada obrońcy krótkie, zwięzłe pytanie: - Co ty kurwa zrobiłeś?!

Jakże ja kochałem, kiedy mi tak jeździli przed oczami. Zresztą nie tylko ja. Przyjechał do nas Lee Sharpe z Manchesteru, zrobił dwie akcje, to nam Arek Gmur wpadł w reklamy i się skończył marketing na Legii.

Zawsze po zamachu strzela się w krótki róg. To jest morderstwo dla rywala. Kiedy tak przekładałem sobie piłkę w meczu z Pogonią, niektórzy się zastanawiali - co on wyprawia? Adam Majewski i Mariusz Piekarski mówili mi potem, że powinienem im podawać, bo zdążyli dobiec. Nie dziwne, że zdążyli, bo trwało to tyle czasu, że i Robak z bramki by zdążył. Jednak miałem przed oczami bramkę, wiedziałem, że oddam strzał. Tylko nie wiedziałem, kiedy. Macie Kowala - jestem.

Wygraliśmy 3:2. Dwa gole dołożył Tomek Jarzębowski. To wielka sprawa dla obrońcy! Przybiliśmy sobie piątki.

- Widzisz, mówiłeś, że chciałeś ze mną grać. To od razu dwie bramki strzeliłeś! No nieźle, jesteś lepszy niż ja. Nie dość, że punkty zostają w Warszawie, to jeszcze gole.

Jaka to ogórkowa liga. Można co pół roku robić sobie przerwę na pół roku i ciągle strzelać gole. Tak sobie mogłem pomyśleć. Z Pogonią gol, w następnej kolejce z Odrą - znowu gol. Co jest grane? Ta bramka w Wodzisławiu była dość imponująca. Dośrodkował Tomek Kielbowicz, a ja uprzedziłem bramkarza i uderzyłem pod poprzeczkę. Dzień później było w gazecie zdjęcie, na którym widać, jak strzelam, a skaczący obok mnie obrońca sięga mi... co najwyżej do brody. Koledzy żartowali, że chyba po drabinie wszedłem. Wtedy po prostu zrobiłem bardzo dobry nabieg i poszedłem w górę niczym z trampoliny. Z Odrą wygraliśmy 5:1. Mimo drugiej bramki byłem lekko wkurzony. Marcin Mięciel ustrzelił wtedy hat-tricka, ja mogłem to samo. Raz świetnie mi dograł Paweł Wojtala. Taka piła, że nic, tylko trafić do pustej. Minęła wszystkich, a ja na wślizgu nie wcelowałem do siatki. Innym razem trochę umarłem w biegu na bramkę i też nie weszło. Stary Kowal puknąłby trzy razy. Ale co tam, chociaż kolega z Bródna, Piotrek Rocki,

znowu zobaczył, kto rządzi w dzielnicy. W miarę zdołałem znaleźć wspólny, boiskowy język z innymi. Na przykład Adam Majewski mówił, że lubi ze mną grać, bo wie, że jak mi poda to mu w porę odegram. Świadomość tego jest bardzo ważna dla pomocnika. Są tacy napastnicy, którym się zagra, a oni pojedą z piłką, po chwili oczywiście stracą. Wtedy reszta drużyny niepotrzebnie się męczy wychodząc na pozycje. Ja zawsze wolałem grać prostą piłkę, bo boisko to nie uniwersytet, tylko proste klepanie. Zagrać, wyjść, zagrać, wyjść. Wozić się to może Luis Figo, ale polski wyrobnik - zagrać, wyjść. Zamiast się kiwać z trzema, można zagrać klepkę. Zanim obrońca zdąży się odwrócić, ja już jestem sam. W następnym meczu z Polonią Warszawa, trochę tak właśnie poklepaliliśmy. I znów bramkowa akcja zaczęła się ode mnie. Odebrałem piłkę przeciwnikowi, a potem było jak po sznurku. Ja do Majewskiego, Majewski do Piekarskiego, Piekarski do Giuliano i 1:0. W prasie znowu pisano, że Kowal bardziej pomaga niż przeszkadza. Znowu się cieszyłem, że z kolejnego meczu udało się wyciągnąć coś pozytywnego. Z drugiej strony coś powoli czułem, że coś nie jest tak. Byłem jakby coraz cięższy, nogi powoli zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Niby fajne treningi, dużo strzeleckich, ale przychodził kryzys. Trener Dragomir Okuka to widział. Miał w zwyczaju oceniania każdego po meczu w szatni. Po Pogoni - Kowal dobrze. Po Odrze - Kowal dobrze. Po Polonii - Kowal dobrze, ale już gorzej. Powiedział, że teraz może ze mnie trochę uchodzić powietrze i tak rzeczywiście było. W następnym meczu w Olsztynie, już w przerwie zastąpił mnie Czarek Kucharski. Kolejną później, z Gieksą, dokładnie to samo. Nie tylko ja złapałem doła. To co graliśmy było skandalem. Ze Stomilem w czapę, z GKS w czapę. Ledwie co byliśmy niedotrenowani, a po chwili - przetrenowani. Popelniono błąd, bo nie może być tak, że drużyna gra w dobrym stylu kilka meczów, a potem dno. Pojechaliśmy do Wrocławia, czyli na teren, z którego każda niezbyt kulawa drużyna musiała przywieźć komplet punktów. Chociaż było tak dwóch znanych mi zawodników - Leszek Pisz i Grzesiek Szamotulski. Z Piszczykiem chwilę pogadałem. Nie był zbyt szczęśliwy w tym klubie. Nic dziwnego - trudno się gra mając wokół siebie jakiś Naskrętów. No bo do czego może być dobry Naskręt? Chyba tylko do tego, że się go kręci na placu. Następny - Wasilewski. On teraz gra w kadrze, a to przecież nie jest piłkarz. I jak tam miał Leszek grać? Sam? W dodatku słyszałem, że niektórym nie pasowało, że Piszczyk czy Szamo nagle przyjechali do Wrocławia i już mają miejsce w składzie. Jeśli taki Szamo ma problemy z trenerem czy miejscowymi piłkarzami, to coś jest nie tak. Bo jak jesteś zwykłym ligowym ogórkiem, a przyjeżdża pan Pisz lub pan Szamo z Grecji, to robisz im miejsce i idziesz do domu. Bo ty jesteś ogórkiem, a oni gwiazdami. Gwiazda - ogórek, niebo - ziemia, Pisz - Jeziński. Zamiast narzekać, siadź sobie chłopie przy linii bocznej, popatrz jak kopie Leszek. Może się czegoś nauczysz. Bo jak się nie nauczysz, to zawsze będziesz ogórkiem. A jak się nazywasz Pyskaty, to sprawdź czy pan Szamo ma równo ułożony ręcznik, bo on przyszedł tu bronić, a nie odwalać ogórszczyne. Przed meczem jeszcze jedno spotkanie.

- Cześć misiu, ławeczka? Widzisz, u mnie byś grał - przywitał mnie Janusz Wójcik.

Widząc ten uśmieszek, błyszczące oczka, już wiedziałem - to będzie cud, jeśli nie zostaniemy tu skręceni. Cuda jak powszechnie wiadomo nie zdarzają się. Sędzia kręcił takie lody, że żal było patrzeć. Jeden nie widział spalonych, drugi je sobie wymyślał. Gdy mnie dziennikarze spytali co o tym sądzę, to im powiedziałem - można pomagać za kobiety, za pieniądze, ale to już była przesada. Dostałem wezwanie do PZPN. Najpierw nie poszedłem, bo wymyśliłem sobie gorączkę. Później już ich zaszczyciłem. Na stołach sterta gazet.

- Powiedział pan to?
 - Tak.
 - A to?
 - Tak.
 - To też?
 - Oczywiście.

- No to pan poczeka na zewnątrz.

Wyszedłem na zewnątrz, tam tłok, bo jakaś wycieczka z osiemnastej ligi przyszła. Kierownik Zawadzki zapytał się mnie jak mi poszło. - Dobrze, do wszystkiego się przyznałem - wypaliłem, a on wybałuszył oczy. W końcu znów mnie wezwano.

- Zapłaci pan trzy tysiące złotych kary.
- A sędzia ile ?
- Sędzia to nie nasza sprawa.
- Aha, nie wasza... To się pierdolcie.

Nie mówiąc nic więcej odwróciłem się i trzasnąłem drzwiami tak, że prawie wyleciały z zawiasów. Kiero już wiedział co jest grane, lekko się uśmiechnął. Do dziś mam debet w PZPN - tych trzech tysięcy nie zapłaciłem i nie zapłacę. Wystarczy, że mnie sędzia okradł z meczowej premii.

Może trudno niektórym w to uwierzyć, ale jest polski piłkarz, który się nie myli. Podaje celnie, strzela mocno, biega szybko, skacze wysoko, drybluje bajecznie. Mało tego - nawet gada mądrze. I najwięcej filmów widział, każdą książkę przeczytał, chyba nawet ugotować wszystko potrafi. Ideał. Przedstawiam państwu Macieja Murawskiego, zwanego Murasiem. Mówisz "Muraś", myślisz "mistrz" - mówisz "mistrz", myślisz "Muraś".

Wspomniałem wcześniej o meczu z GKS, przegranym haniebnie 0:2, a także o pomeczowym ocenach trenera Okuki. Jak zapewne wiele osób pamięta, Murawski Maciej w owym spotkaniu odstawił taką żenadę, że żał było patrzeć. W szatni Okuka kolejno mówił, z kogo jest zadowolony, a z kogo nie. Muraś się nigdy nie zgadzał. Nigdy! Z Gieksą straciliśmy śmiesznego gola. Maciek zderzył się bodajże z Jackiem Magierą, gdzieś tam jeszcze zaplątany był Tomek Jarzębowski - na ławce rezerwowych ryk śmiechu połączony z jękiem zawodu. Gdy Muraś zaczął opisywać tę sytuację, to wyszło na to, iż najbardziej zawalił Moussa Yahaya, wówczas napastnik GKS, że tam stał i śmiał strzelić gola. - Po co on tam stał? - pytał MM.

On już tak miał, że niby występował w Legii, a grał w innych meczach niż my. Przynajmniej mówił coś zupełnie odmiennego niż reszta ogółu. Była taka sytuacja po meczu z Zagłębiem Lubin, gdy prowadził nas Krzysztof Gawara. Muraś się z trenerem pokłócił! Że zrobił dobrze, tylko wszyscy się na niego uwzięli i chcą mu wmówić błędy, których nigdy nie popełnia. - Maciek, jest kasetka, obejrzymy to na wideo - padło hasło. Sprawdzimy cię, cwaniaczkę. Muraś popatrzył chwilę w ekran, gdzie właśnie leciał film pod tytułem "Jak zawalić bramkę w meczu Legii, na przykładzie Macieja Murawskiego" i stwierdził: - Bo ja zapieprzałem za innym, którego ktoś tam nie pokrył. Nie mogłem go zostawić samego.

- Ale przecież miałeś kryć tego co strzelił gola - odpowiedział Gawara.
- Nie mogłem, bo musiałem pobiec za tym. Bo gdyby tamten zamiast strzelić podał do tamtego, to by było na mnie.
- Przecież ja ci kazałem kryć numer osiem, to kryj numer osiem!

Blisko pół godziny Muraś udowadniał wszystkim, że czarne jest białe. Na innym meczu był. Nawet Zielek mu tłumaczył: - Maciuś, zawaliłeś.

Nic z tego! On się nie myli! Do Okuki też mówił, że nie zgadza się z oceną. Panie, ja i błąd! Ja błędów nie robię. Mam w meczu 70 odbiorów i 69 strat, więc jestem na plusie. To był naprawdę jedyny bezbłędny piłkarz jakiego znałem. Gdy dostawał żółtą kartkę, to sędzia się pomylił. Gdy zmarnował dobrą sytuację, to bramkarz rzucił się tam gdzie nie potrzeba. Gdy komuś urwał nogę, to ta paskudna noga sama się urwała. Mało tego. Jakkolwiek irracjonalnie to zabrzmiało. Muraś uważał, że umie rozgrywać. On w to

szczerze

wierzył!

Na treningach umieraliśmy ze śmiechu, gdy demonstrował swoje zagranie w stylu Laudrupa. Patrzył w prawo, a kopał w lewo. Skutek zawsze był taki sam - zanim Muraś zorientował się gdzie jest piłka, już był przechwyt i jazda z kontrą. - Muraś, ty weź zagraj na dwa metry, a nie kombinuj - powtarzaliśmy. A on swoje. Kiedy w czasie meczu wyprowadzał akcję ofensywną, każdy podchodził do tego sceptycznie. Oho. Muraś będzie rozgrywał! Niby robiło się wtedy krok w przód aby się pokazać, ale w myślach dwa kroki w tył. Już każdy tylko czekał na sygnał do powrotu, już prawie krył rywali. Bo skoro Muraś zaraz poda, to znaczy, że zaraz będzie strata i pojedą z kontrą. Założenie było proste - z takiej akcji nic poza kontratakiem wyjść nie może. Po chwili występował oczywiście pas do przeciwnika, przechwyt, krzyk i dawno planowany powrót.

Tak, Muraś miał w meczu więcej strat niż wszyscy pozostali zawodnicy razem wzięci. To był w zasadzie najlepszy rozgrywający naszych przeciwników. Słał piłki-marzenie.

Wydawało mi się, że zawodnicy ligowi tak drewniani nie bywają. Murawski jest bardziej drewniany niż mój parkiet w domu. Gdyby urodził się w Grecji, pewnie nazywałby się Drewnopoulos, a w Turcji Drewnologlu. Za moich czasów w Legii w życiu by nie zagrał. Mało tego, nie załapał by się do dwudziestki piątki. Taka postać za Wójcika czy Janasa po prostu nie miała prawa bytu. Oczywiście sam Muraś uważał się za lepszego od Zbyszka Mandziejewicza, i od Radka Michalskiego, ale bądźmy poważni - wtedy nawet Mirek Trzeciak się nie załapał, a co dopiero Murawski?

No bo dla przykładu rozbierzmy go na czynniki pierwsze. Strzał? Podobno ma dwójkę dzieci i to by było na tyle. Wprawdzie ktoś mi mówił, że kiedyś strzelił gola w Wodzisławiu, ale to musi być pomyłka. Gra głową? Wyskok dobry, ale głowa tragiczna. przy takim wyskoku powinien pakować bramę za bramą, a on zazwyczaj uderzał wyżej niż dalej. O dryblingu wolę nie pisać. Nie wiem, może się na tym nie znam.

Ta opowieść zaczęła się od bramki z GKS Katowice, którą Maciek zawałił, a do której się nie przyznawał. Moja opinia jest taka - gdyby tam w polu karnym nie było Murasia, ten gol by nie padł. A przez to, że Muraś tam był, każdy się przestraszył, że zaraz przyjedzie piła i urznie nogę. Na widok długowłosego kolegi wkradła się nerwowość, a może i panika. Gdy zobaczyłem tę akcję, pomyślałem: - No ładnie, to moi koledzy na Bródnie jak grają po pijaku, lepiej na nogach się trzymają...

W tamtym sezonie Okuka bił jakiś rekord porażek. Nieprzyjemny, ale zawsze rekord. Całe szczęście, że drużyna na jesieni zdobyła kilka punktów, bo jeszcze byśmy z tej ligi spadli. Mieliśmy walczyć o mistrzostwo Polski, a tu proszę jaka seria - 2:1 w czapę w Olsztynie, 0:2 u siebie z GKS, 1:1 ze Śląskiem, wymęczone 1:0 dla nas z Ruchem, gdy najlepszy piłkarz ligi, Marcin Mięciel, został okrzykami zrównany z ziemią, wreszcie 1:0 dla Orłenu w Płocku.

W efekcie to bardziej my przegraliśmy mistrzostwo Polski niż Wisła je zdobyła. Przed meczem z nią mieliśmy sześć punktów straty, a przecież natraciliśmy wcześniej ich jak głupki. Tylko w tych wymienionych przeze mnie spotkaniach zgubiliśmy jedenaście! Nawet w jednym wywiadzie powiedziałem: - Przez poprzednie kilka lat w tym klubie nie przegrałem tyle razy, co teraz w kilka tygodni.

Największym szokiem były baty w Płocku. To po tym meczu powiedziałem kilka ostrych słów, po tym meczu cytowano mnie chyba we wszystkich gazetach i zapraszano do programu "Pod napięciem". Zasugerowałem, że Legia ten mecz mogła... sprzedać. Dziś żałuję, że to wszystko palnąłem przed kamerą, bo nie powinno się nikogo oskarżać bez dowodów. Faktem jednak jest, że nie wyglądało mi to na normalne spotkanie. I nie widziałem w szatni, aby ktoś się specjalnie smucił tą porażką. A już największy wpływ na

moje słowa miała pewna przedmeczowa sytuacja...

Pierwsza jedenastka była w szatni. Rezerwowi, w tym ja, poszli na kawkę do klubowej kawiarenki. Siedzimy, rozmawiamy, aż w końcu przyszedł pan Krzysio Dmoszyński. Zamienił ze dwa, trzy słowa i stwierdził: - Kowal, wzywają cie do szatni.

W Płocku to jest kawał drogi. Szedłem kilka minut i zastanawiałem się, czy ktoś doznał kontuzji i mam grać, czy też jeszcze coś innego. Gdy już byłem na miejscu, usłyszałem pełne zaskoczenia: "A co ty tu robisz?".

- Przecież mnie wzywaliście.
- Wcale nie. Możesz iść.

Poczułem się nieswojo, tak, jakby chciano mnie odsunąć od czegoś. Jakby moja obecność w kawiarence nie była wskazana. Owszem, Dmo mógł sobie pozwolić na dowcip, ale po co? Tyle czasu się nie widzieliśmy, nie lepiej było porozmawiać? Oczywiście ta spiskowa teoria, pełna nieścisłości, bo co takiego można było załatwić z rezerwowymi, dopiero kiełkowała w mojej głowie. Nabierała kształtów, kiedy już usiadłem na ławce rezerwowych i obserwowałem, jak najlepszy na placu jest gruby Maciuś Terlecki. A u nas? Wszedł Bojar i od razu się okazało, że najwięcej z tego towarzystwa potrafi, a on jedynie się starał. I to wystarczyło.

Dziś obstawiam, że Dmo mnie zwyczajnie wypuścił. Z drugiej strony - nie jestem tego pewny. Dobrze wypuszczenie czy dobre odsunięcie Kowala od tematu? Czegoś mi w tym meczu zwyczajnie brakowało. My nie zagraliśmy tam źle. Zagraliśmy katastrofalnie i to przeciwko drużynie, która spadła z ligi. Powiedziałem wprost - nie każdy przykładał się do gry. Dlaczego tak było, nie wiem. W każdym razie, gdy dziś się zastanawiam, czy ten mecz był ustawiony... Nie twierdzą, że nie był, ale nie chciałbym myśleć, że był. Po prostu nie wiem. Ten przedmeczowy żart nie dawał mi spokoju. Poza tym... Przegrałem w życiu kilka meczów, widziałem jak wygląda szatnia po porażce. To, co było w Płocku, nie było szatnią Legii po przegranym meczu. Takie pomieszczenie powinno charakteryzować się jednym - ciszą. Grobową ciszą. Po Orleniu tej ciszy nie było. Odczuwało się podejście w stylu: - O, dobra, przegraliśmy, zdarza się. Jeszcze nie raz przegramy!

Nie podobał mi się ten widok. Nie wykluczam, a nawet jest to prawdopodobne, że zachowanie w szatni, traktowanie kompromitacji jako czegoś normalnego, było po prostu częścią mentalności niektórych. Ta drużyna zachowywała się w końcówce ligi trochę jak Harlem Globetrotters. Pojechali w Polskę na piknik pokazać, jak się gra w piłkę, zaprezentować kilka sztuczek, zamiast zapieprzać. Banda showmanów. A że nie wyszło? Że mieli pokazać śmieszne rzeczy, a tylko się ośmieszili? Nic to. Tylko, że Harlem nie gra w żadnej lidze i nie jeżdżą za nim kibice. Za nami jeździli. Nie lubię o sobie słuchać, że jestem sprzedawczykiem. Nie akceptuję tego. Żałowałem wtedy, że z powodu kontuzji z dala od zespołu jest Jacek Zieliński. On by to poukładał. A tak zespół rozłaził się w rękach. Nie było lidera. Nikt nikogo nie szanował. Trener z zagranicy w ogóle nie łąpał, o co chodzi, drugi kopał pod nim dołki, a Muraś tylko gadał. Pełny burdel, rozpierducha pierwszej klasy!

Trzeba było tym wstrząsnąć. Dlatego powiedziałem dziennikarzom, że niektórzy myślą tylko o swoich kontraktach, mają w dupie wyniki i cały ten klub. Zawsze chciałem być częścią Legii, ale częściej takiej Legii - nie, dziękuję. Wiedziałem, że następnego dnia będę miał w klubie przesrane. Przyszedłem jednak punktualnie. Witam panowie, chcecie o czymś porozmawiać?

Na pierwszym treningu po feralnym meczu z Orlenem w szatni doszło do burzliwej dyskusji. Było naprawdę gorąco. Najpierw naskoczyli na mnie Miętowy z Piekarczykiem. Na stacji CPN chcieli ich bić kibole, bo usłyszeli piąte przez dziesiąte, że Kowal powiedział, iż Legia

sprzedaje mecz za meczem. Jednak najbardziej gardłował Muraś. Jak zawsze pierwszy do gadania. Szybko został sprowadzony na ziemię, przeze mnie i przez Czarka Kucharskiego - usłyszał, że ma się zamknąć, bo już za długo tu gada, nic nie gra i w dodatku pieprzy głupoty.

Kucharz rozumiał, że nadszedł czas na poważną dyskusję. Wiedział, że my nie tylko przegraliśmy jakiś tam ligowy mecz. Przegraliśmy sezon w sposób obrzydliwy, bo na własne życzenie. Powiedziałem wszystkim, że żałuję niektórych swoich słów, tego, że zasugerowałem, iż sprzedali mecz, nie mając dowodów, jednak ogólnie nie wyparłem się tego, co przeczytali o sobie w gazetach - że zespół jest wypalony, że jednym brakuje ambicji, drugim umiejętności. Czarek mnie poparł i stwierdził, że Kowal ma trochę racji, bo tak dalej być nie może. Trzeba spojrzeć nie na co, co ja powiedziałem, ale na siebie. Skandalem było, że nie każdy przykładał się do gry. Skandalem było, że zamiast o bajecznej grze, pisano tylko o bajecznych kontraktach. Nie każdy rozumiał prostą zasadę - jesteś tyle lat w Legii, niczego nie wygrałeś, to zmień klub. Tu nikt cię nie potrzebuje. Jednak patrzę po szatni - znów rozgadany kolega zaczyna swoje. Bezbłędny. Ci, którzy wiedzieli, o co chodzi, woleli w ogóle się nie odzywać. Na przykład Robak zdawał sobie sprawę, że to nie było to, co kiedyś. Wiedział, że jeśli się czegoś szybko nie zmieni, to będzie dramat. W całym zespole niby nie było żadnych grup, a tak naprawdę było ich chyba z jedenaście - po dwóch piłkarzy w każdej. Żadnej atmosfery, żadnej drużyny. Trzeba było jak najszybciej skończyć tę parodię sezonu.

Jedni - większość - byli na mnie obrażeni, inni nie. Najlepiej powiedział wtedy Paweł Wojtala: - Gdybym grał w tym meczu, to bym ci dał w mordę. A że nie gram, to się nie przejmuję.

Miałem telefon z TVN. Nagrali ze mną trzydzieści minut, a nie wyemitowali nawet sekundy, bo podobno niczego ciekawego nie powiedziałem. Gość poprosił, żebym mu powiedział, kto i kiedy sprzedał mecz. Chłopie, z choinki się urwałeś? Za takie słowa idzie się siedzieć. Mam pójść do kicia tylko po to, żebyś ty dostał premię od szefa?

Na Łazienkowskiej wrzało. Piłkarze bali się wychodzić na miasto, żeby tylko nie spotkać kibica. Wydawało się, że jedynym wyjściem będzie zorganizowanie spotkania z kibolami. Trwało krótko, bo musiałem je przerwać. Było kilka niemiłych scen, kilka cierpkich tekstów, choć wyzywano wszystkich poza mną i Robakiem. Miarka się jednak przebrała, gdy dostałem kamieniem. Wiem, że nie we mnie celowano i wiem, że ów kamyczek nie mógł mi zrobić żadnej krzywdy. Jednak teraz kamyczek, a za chwilę cegłówka. Gdyby trafiono kogoś innego, też bym wyszedł. Trzeba mieć dla siebie elementarny szacunek. Szacunek dla życia.

Wiadomo, że kibic stoi w hierarchii wyżej niż piłkarz. A kibic Legii - najwyżej. Bo tu, w Warszawie, jest ekipa. W Szczecinie przegra się trzy mecze i z dwudziestu tysięcy zostają trzy osoby. Gdzie indziej - to samo. A na Łazienkowskiej zawsze dyszka przyjdzie. Choćby po to, aby zaśpiewać "Legia to my!" i obrzucić piłkarzy monetami. Przyjdzie i już. To dla kibica się gra, to on jest szefem. Dlatego możesz powiedzieć - ty jesteś kulawy, ty zezowaty, ty gruby, a ty z Łodzi. Życie nie ty mi jednak dałeś i nie ty będziesz odbierał. Taki z ciebie cwaniak, że rzuciłeś zza pleców w stylu "gdzie spadnie, to będzie"? Podziękowałem, inni piłkarze poszli za mną.

Najbardziej oberwało się chyba Marcinowi Mięcielowi. Jego było mi naprawdę żal. Doprowadził się do znakomitej dyspozycji - kiedy już wygrywaliśmy, to z reguły dzięki niemu. W lidze nie było lepszego. A jedyną nagrodę stanowiło "Manuela za Mięciela". Myślę, że to spotkanie z kibicami pomogło mu w decyzji o wyjeździe. Sam mu wtedy powiedziałem: - Pamiętaj, że nawet jeśli kochasz te barwy, to w pewnym momencie ludzie mają cię dosyć. Kibice, działacze, trenerzy. Nudzisz im się. Tak jak nie można patrzeć ciągle na tego samego aktora w telewizji.

Mówiłem mu, żeby wyjeżdżał z kraju, bo to jedyna szansa, żeby normalnie grał w piłkę,

odpoczął psychicznie. Miętowemu poorlenowa aféra pomogła - wiedział, że czas na zmianę. W jego przypadku kibice nie mieli racji, ale w kilku innych jak najbardziej. Nie rozumiałem, jak w Legii mogli grać piłkarze pokroju Tomka Łapińskiego. To fajny chłopak, niezły zawodnik, ale widzewiak. Zielona koszulka nigdy nie będzie mu pasowała. Tego typu sprawy nawarstwiały się w klubie i panował niezdrowy układ.

Między innymi nasz mecz w Płocku doprowadził do tego, że zmieniono system rozgrywek ligowych. Mnie zastanawiała jedna sprawa - czemu piłkarze mają założony przez PZPN knebel na usta i nie mogą nawet powiedzieć, że sędzia ich skrzył, bo zaraz płacą karę, a w tym samym czasie prezes Listkiewicz udziela wywiadu o tym, jak sprzedaje się mecze w Polsce. Dlaczego niektórzy są na innych prawach? Mają swój regulamin, który im na wszystko zezwala, a nam, piłkarzom, wszystkiego zabrania. Znam odpowiedź - bo oni urodzili się w PZPN i w PZPN umrą.

Na koniec rundy jeszcze tylko daliśmy ciała w meczu z Wisłą i zawałony sezon można było śmiało dopisać do tych z rodzaju "niechlubne lata Legii". Krakusom nawet strzeliłem gola, ale i tak go nikt nie widział, bo wszyscy patrzyli na płonące krzeselka Żyły.

Kiedy zobaczyłem, jak ta drużyna funkcjonuje od wewnątrz, nie dziwiłem się, że nie może zdobyć mistrzostwa Polski. Nie chodzi mi o umiejętności, one by jeszcze wystarczyły. Chodziło mi o atmosferę. To był taki pseudoprofesjonalizm - niektórzy myśleli, że jeśli zamiast spotkać się w większym gronie, pójdą spać, to będzie to świadczyło o zawodowstwie. Nic z tego. Nie może być tak, że w zespole każdy chodzi swoimi ścieżkami. Kiedyś nawet, po którymś z fatalnych meczów, kierownik Zawadzki powiedział: - Idźcie się gdzieś upić razem, może to pomoże. No i oczywiście zero odzewu. Nie o to chodzi, że marzyłem, aby pobalować, ale po prostu na Łazienkowskiej nie było drużyny. Raz tylko urządziliśmy większe spotkanie. Jeszcze przed meczem z Pogonią ustaliliśmy, że dzień po nim razem zjemy obiad. Bodajże tylko Marek Citko nie przyszedł, bo był zbyt zmęczony.

Siedzieliśmy długo. Zaczęliśmy gdzieś koło godziny czternastej przy piwie, skończyliśmy w okolicach dziesiątej wieczorem przy mocnym alkoholu, choćby whisky. Można było się przekonać, że nie tylko Muraś ma język w gębie. Dla mnie jedną z najweselszych osób w Legii był i pewnie jest do dzisiaj Radek Wróblewski, jak głosi fama - najbardziej napakowany człowiek w Polsce. Mięśniak cały czas opowiadał jakieś wesołe historie i cały czas sam się z nich śmiał. On się zawsze śmieje, nawet jak coś nie jest śmieszne. Można mu powiedzieć: "Wróbelek, ale grasz padlinę!". Też się będzie śmiał. Może i dobrze, bo to w końcu młody chłopak.

Sam byłem zaskoczony, że taki młodzian (choć fakt, że nie od wczoraj w Legii), a strasznie wyluzowany. Ewidentnie z predyspozycjami do bycia jednym z liderów. Jeszcze żeby mu tylko trenerzy znaleźli pozycję na boisku, to może być z Wróbelka duży pożytek. Z młodych piłkarzy - jedyny, który nie bał się odezwać. W ogóle się niczego nie bał, tylko się śmiał. Wróblewski był zupełnym przeciwieństwem Bartka Karwana. Ten z kolei - niemowa. Byłem kilka dobrych miesięcy razem z nim w drużynie i nie pamiętam, żeby się odezwał, poza kilkoma zdawkowymi zdaniami. Przychodził, siadał, wychodził. Zupełnie wyciszony chłopak. Nie chodzi mi o to, że miał od razu organizować imprezy, ale zawsze w szatni trwały jakieś dyskusje, choćby po weekendzie. O, widziałeś, jaką ten bramkę walnął? A ten jak się obciął? Bartek nic, nigdy w tych dyskusjach nie uczestniczył. Uczesał się, wstał i wyszedł. Nie dziwię się, że ma problemy z aklimatyzacją w Hercie Berlin, skoro nawet w Legii mu nie szło...

Jedynie co łączyło Karwana z Wróbelkiem to chyba żel do włosów. Cóż to w Legii była za

ekipa żelowców. Nawet przed meczem stali tak przed lustkiem i układali te włosy do znużenia. Czasami tak układali, żeby wszyscy myśleli, że w ogóle ich nie układali - taka moda. Tłok przy lusterku był taki, że się można było zderzyć głowami. Ciekawa postać - Jacek Magiera. Ja bym mu płacił podwójnie, bo nikt nie spędza w klubie tyle czasu, co on. Przychodzi rano i do wieczora ogląda wszystkie możliwe mecze w telewizji. Jeśli ktoś z czytelników pójdzie teraz na Łazienkowską, to Jacek tam będzie, z pilotem w ręku. Z kolei Czarek Kucharski to chyba najbardziej załatany piłkarz w polskiej lidze. Cały czas urywają mu się telefony. Jedno spotkanie, drugie, czwarte. "Już jestem, zaraz będę, wychodzę, oddzwonię". Marek Citko też ciągle coś załatwiał, głównie to, jak nie oddać kasy ZUS-owi. Czasami miałem wrażenie, że trening to jest bo jest, ale zaraz czekają wszystkich inne, ważniejsze sprawy. Każdy interesować się głównie tym, co poza klubem. Wyglądało jakby gra w Legii nie była zajęciem dochodowym. Trzeba przyjść, odbębnić, a później zająć się tym, co tak naprawdę zagwarantuje przyszłość. Nie wliczam Magica, bo on oglądał telewizję. Względem tej starej Legii różnica była kolosalna. Nie chciałbym, aby zabrzmiało to tak, iż kiedyś to był mniej poważny klub, a teraz jest tak, jak być powinno - zero zabawy. Po prostu wtedy mieliśmy świetnych piłkarzy, ale też ludzi skorych do wszystkiego. A teraz piłkarze są tacy przestraszeni, że gdy przegrali, a padało hasło, żeby napić się piwa - o Boże, co to będzie, zobaczą nas! Jak gdyby przegranie meczu było przestępstwem. O atmosferze tylko się mówiło. Zasłona dymna dla prasy, a w rzeczywistości trening, prysznic i do domu. W szatni jedyny temat - Big Brother. No, może Big Brother i beznadziejni dziennikarze. Bo wiedzieć trzeba, że w mniemaniu na przykład Macieja Murawskiego każdy dziennikarz to baran. Dał Murasiowi notę 7, Muraś grał na 8, dał notę 8, Muraś grał na 9. "Jakie osiem? Faulu nie miałem, strat nie miałem!". Wtedy mówiło się: - Muraś, ja bym tobie nawet piątki nie dał! Kiedyś Gmur opowiadał ciągle o wypadkach samochodowych, teraz ten o dziennikarzach, całym złu tego świata.

Napisałem o spotkaniu drużyny po meczu z Pogonią. Citko naprawdę bywał w weekendy zmęczony. Kto nie zagrał w spotkaniu ligowym, ten musiał iść na trening wyrównawczy z Okuką. To jest makabra. Pamiętam, że Marek wpadł kiedyś czerwony do szatni i kurwił na prawo i lewo, ile się dało. Święty Citko i na dwadzieścia słów, dwadzieścia przekleństw - głównie na Okukę. Za nim doczołgał się Piekarczyk: - Ja to kurwa nawet mówić nie mam siły. Markowi nie pomagało nawet to, że miał w szatni więcej witamin niż klubowy lekarz. Chyba połowa przydziału wody mineralnej szła dla Citkowego, żeby miał czym tabletki popijać.

Jedynym młodym piłkarzem Legii, który zwracał uwagę, jak najbardziej pozytywnie - był Wróbelek. Teraz mówi się sporo o innym gościu, Zganiaczu. Jego nie znam, ale jak przeczytałem, że po powrocie z wakacji miał pięć kilo nadwagi, od razu uznałem, że z niego też będzie pożytek. Nie wiem, czy w Legii, ale będzie. Bo nie przyjechać z nadwagą z urlopu, to tak jakby w ogóle nie odpoczywać. Jak dostajesz wolne, to nie po to, żeby pruć. Nie jesteś na testach wytrzymałościowych, tylko na wakacjach.

Kiedyś było łatwiej, bo nie dostawało się żadnych rozpisek treningowych. Pierwszą dostałem w Hiszpanii. Odebrałem w klubie i wyrzuciłem w najbliższym koszu na śmieci, bo i tak nie będę nic robił. Tyle tylko, że po powrocie do treningów męczyłem się bardziej niż inni, ale czyż nie od tego jest okres przygotowawczy?

W Polsce wtedy nie stosowano rozpisek. Po prostu zabierali cię na dwa tygodnie w góry i tak katowali, że żadna rozpiska by tego nie wytrzymała. Te wyjazdy w Legii to był koszmar. Trzeba było oszukiwać trenerów, bo chyba postawili sobie za cel nas doprowadzić do śmierci przez zabieganie. A my się nie dawaliśmy.

Po górach biegaliśmy zawsze z jakimś górale, bo trener nie wytrzymał, a ktoś nas musiał pilnować. Raz wynajęto do tego Józka Łuszczka - dla niewtajemniczonych, narciarz-biegacz, dwukrotny olimpijczyk, złoty i brązowy medalista mistrzostw świata. Tylko taki koń mógł znieść 2,5 godziny marszobiegu. Tak, Łuszczek to był kozak. Dziesiąta rano, mamy wyruszać, jego nie ma. Mija dziesięć minut, patrzymy - idzie, wraca z imprezy. Dzisiaj będzie piękny dzień! - pomyślałem sobie. Da nam luz. A on na to: - Cześć chłopaki, wracam właśnie z imprezy, więc muszę wszystko solidnie wypocić! Oczywiście w praktyce taki góral nie miał żadnych możliwości dopilnowania nas. Przez 2,5 godziny grupa rozciągała się na kilkaset metrów, nawet papieroski się ze sobą zabierało, bo jak tu wytrzymać dwie i pół godziny bez palenia? Mecz ligowy trwa tylko półtorej godziny, a tu prawie dwa razy dłużej! Jako młody piłkarz musiałem dbać o starszych kolegów, Piszczyka, Mandzieja i kilku innych, więc zawsze paczkę miałem przy sobie. Staraliśmy się też odpowiednio dawkować wysiłek w czasie takich marszobiegów i wpadać na przerwę do knajpy w schronisku. Wszakże na wysokościach można z łatwością odwodnić organizm!

Po prostu na szczycie zatrzymywało się Józka Łuszczka i pytało: - No dobra, a teraz jak?

- A teraz to pobiegniemy tam, jak te drzewa są. Potem skręcimy w prawo, na tamten szczyt i stamtąd już tą ścieżką, którą widać, w dół.

- Aha, no to biegnijmy.

I ruszał. Część piłkarzy w prawo za nim, a część w lewo na piwko. Później była gonitwa za czołówką, oczywiście skrótami, oczywiście tylko w dół. I tak byliśmy przed górale, bo górale nie zbiegają z gór. Mogą wbiegać, ale zawsze schodzą już spacerkiem. Największym utrudnieniem były zegarki z możliwością mierzenia tętna. Lekarz brał odczyt tego zegarka i patrzył, jak to z naszą formą jest. Z tego powodu zawsze szukało się psa, żeby jemu to świństwo przyczepić i niech zasuwaj. Biegaj, burku, panowie muszą chwilkę odpocząć. Darek Czykier miał kiedyś inny patent - pił piwo i cały czas podskakiwał albo robił przysiady, żeby tylko tętno się nie zmieniło. Inni kłamali w żywe oczy.

- O, tu tętno miałeś słabsze - niepokoił się trener.

- Trenerze, bo tu przeszliśmy z biegu w marsz!

A najprościej było to całe badziewie wyłączyć po minucie biegu i po przybiegnięciu na miejsce oświadczyć głosem pełnym zaskoczenia: - O kurwa, wyłączył się!

Podobno też od potrzymania w śniegu zegarek sam stawał. I jakoś do sezonu byliśmy przygotowani idealnie. Stara to zasada - nie ma trenera, którego nie da się oszukać i nie ma piłkarza, który by oszukać nie chciał. Słyszałem, że kilku legionistów kilka lat po moim odejściu tak się zasiedziało w jakimś schronisku, że ich noc zastała i musieli wracać taksówkami. Z drugiej strony, w tej Legii za czasów Smudy i Okuki kręcić nie było już tak łatwo, bo biegaliśmy głównie wokół boiska. Kto jednak się starał, ten oszukał. A i trenerzy nas oszukiwali. Czasami mówili - dobra, nabiegaliście się, odpuszczam wam jedną serię. I był zachwyt. Jednak już w Hiszpanii, w Betisie twierdziliśmy, że to tylko perfidia szkoleniowca. Tak naprawdę chciał od początku zrobić powiedzmy pięć serii, zarządził sześć, a potem jedną niby odwołał. I piłkarze zachwyceni - raz odwołał, drugi, trzeci, Jezu! Anioł, a nie trener! Jakoś tak mi się skojarzyły te wszystkie historie z przypadkiem Mariusza Zganiacza. Chłopaku, obyś zawsze pamiętał, że urlop jest od tego, żeby odpoczywać! Co będziesz miał do nadrobienia, to i tak nadrobisz. Albo i nie.

Cześć misiu - po raz kolejny w życiu, nie wiem już który, usłyszałem w słuchawce znajomy

głos. Czego ten Wójt znowu chce? Po cichu wiedziałem, czego - chce mnie. Nie ściągnął mnie do Śląska, to chciałby chociaż do Anorthosisu, na Cypr. Po chwili moje przypuszczenia tylko się potwierdziły.

- Słuchaj, misiu. Przyjeżdżaj na Cypr, potrzebujemy napastnika. Sprawdzali tu jakieś odpady, jakiegoś Sobczaka, jakiegoś Niemca. To im powiedziałem, że przywiozę prawdziwego grajcara. Pakuj się, bo powiedziałem, że na bank przylatujesz.

Hola, hola, chwila, moment. Musiałem się zastanowić. Nie byłem przecież bezrobotny, miałem klub i to klub nie byle jaki - Legię. Zacząłem wszystko układać sobie w głowie. Może podświadomie czekałem na podobny telefon, bo dość szybko uznałem, że tak naprawdę na Łazienkowskiej nie za bardzo jestem potrzebny i nie za bardzo ktokolwiek, poza kibicami, mnie chce. Wcześniej w ogóle nie myślałem o odejściu z Legii i raczej kompletnie nie wchodziło to w grę. Tylko, że nie zadzwonił pierwszy lepszy menago czy trener. Zadzwonił Janusz Wójcik. On ma do mnie słabość, a ja do niego. Po pierwsze wiedziałem, że u niego będę grał, po drugie - że on mnie odpowiednio przygotowuje do gry.

Z Okuką miałem problem. Odszedł Miętowy, to sprowadzili Yahayę. Pierwszy sygnał, że na mnie nie liczą. Już to mogło dać do myślenia, a potem się tylko wkurzałem. Tuż przed startem ligi rozgrywaliśmy sparing w Radomiu. Moussa był jeszcze niezatwierdzony do gry, Legia boksowała się z Gieksą w PZPN, i w ogóle nie było wiadomo, kiedy gość będzie mógł grać. Pewne było jedynie, że nie w najbliższym czasie. Wydawałoby się oczywiste, że skoro zaraz startuje liga, bez niego, to w sparingu zagram ja. Nic z tego - zagrał Yahaya. Siedziałem wkurzony na ławce i zastanawiałem się, o co w tym wszystkim chodzi. I znów prosty wniosek - tu na mnie nie liczą. W Radomiu ledwie wszedłem na boisko, a lunął deszcz, mecz przerwano i tyle się nagrałem...

Okuka nie stawiał na mnie w sparingach, więc wiadomo było, że nie będzie na mnie stawiał też w lidze, chyba że z konieczności. W pierwszej kolejce, z Amiką, miałem sytuację z głowy z serii takich, jakich nie marnuję. Zmarnowałem, strzeliłem obok. Spudłowałem, ale byłem niebezpieczny, a przecież przegrywaliśmy - Okuka zdjął mnie w przerwie. Nawet Darek Kubicki przyznał, że jego zdaniem to była bezsensowna zmiana. Że byłem tam jeszcze potrzebny. Nie dało się pokonać Szamotulskiego, nie dało się też Robakiewicza w trzeciej kolejce - z Groclinem z głowy trafiłem w poprzeczkę. Może gdybym zdobył te dwa gole, wszystko potoczyłoby się inaczej. Jednak nie zdobyłem. I zadzwonił Wójcik.

Nie chodziło mi o pieniądze. Chciałem znów grać w piłkę, bo przecież nie po to wracałem po takiej przerwie do futbolu, żeby siedzieć na ławce. Lepiej siedzieć w domu niż na ławce. Chciałem grać. Jeśli chodzi o kasę, dostałem prawie dwa razy więcej niż chciałem. Powiedziałem tylko, że muszą mi dać minimum 250 tysięcy marek netto, a Wujko odpowiedział, iż to chyba da się załatwić. Od razu przyleciał do Warszawy jakiś miś, dyrektor klubu z gotowym kontraktem i stwierdził: - Pieniądze będziesz miał takie same, jak dwóch innych Polaków, Michalski i Majak. Nie będziemy robić dla ciebie wyjątków.

Cóż, jak nie chcą robić wyjątków, to niech nie robią. Ja tam mogę, zamiast 250 tysięcy, zarabiać 375 tysięcy marek netto. W ogóle to były dokładnie te same umowy, co w przypadku Radka i Sławka, tylko zmieniono imię i nazwisko. Dzień później, z samego rana, już siedziałem w samolocie do Austrii, gdzie Anorthosis miał zgrupowanie. Z Legią nawet nie zdążyłem się pożegnać...

Niektórzy kibice mieli do mnie pretensje. Moim zdaniem niesłuszne. Owszem, to fajnie, gdy trybuny skandowały moje nazwisko, gdy na każdym kroku okazywano mi życzliwość i sympatię. Traktowano mnie trochę jak taką statuetkę klubu. Taką, którą posadzi się gdzieś na stadionie, albo nawet wypuści na plac, jeśli ktoś umrze, i będzie się biło brawo. Tylko, że ja wciąż miałem ambicję grać i to grać dobrze. Tu nie miałem na to szansy. Musiałem jej szukać

gdzie indziej. Nie chciałem być na Legii wspomniany jako gość, który doczekał w klubie czterdziestki i w sezonie grał po dwie minuty. Skoro nie dało się inaczej, to już wolałem być wspomniany jako ten zwawy, szybki młodzian, który pakował bramki Sampdorii, zdobywał mistrzostwa Polski i wyjechał do Hiszpanii.

Nie odszedłem z Legii dla kasy. Stwierdziłem, że pokażę, na co mnie stać i może wrócę jeszcze na Łazienkowską, w odpowiedniej formie i przy odpowiednim trenerze. A na razie zacznie się nowy, choć po raz kolejny wójcikowy etap życia...

Celnik wziął mój paszport, obejrzał kilka razy i pozwolił przejść. Rozsunęły się drzwi, a za nimi... kibice. Jeszcze nie zdążyłem na dobre pooddychać cypryjskim powietrzem, a już poklepywano mnie po plecach i mówiono - podobno - że będę królem strzelców, że Anorthosis ze mną na pewno zdobędzie mistrzostwo. Ładną mi ktoś reklamę zrobił, nie przeczę. Cała ta nadzieja fanów wynikała z mojej skuteczności w sparingach. Ledwie dołączyłem do zespołu, a w trzech sparingach strzeliłem sześć goli - po dwa w każdym. I to nawet nie z jakimiś całkowitymi ogórkami, że wygrywało się po 10:0, ale na przykład w meczu z czołową słoweńską drużyną, którą pokonaliśmy 2:1. Co tu kryć - sam byłem w szoku. W Legii nic nie wpadało, a tu wszystko, jak nie kopnąłem, zawsze dobrze.

Wiadomo było, że z Radkiem Michalskim i Sławkiem Majakiem lekko w tej lidze zamieszcimy. Nawet jeden z dziennikarzy napisał: "Polacy będą decydować o obliczu zespołu. Kowalczyk strzeli 22 gole, Majak 12, a Michalski 5". Jak się okazało, niewiele się pomylił - ja zdobyłem 24 bramki, Majakis bodajże 9, a Radek 6. Już na początku cieszyłem się, że dobrze trafiłem i wreszcie będę naprawdę grał w piłkę. Pierwszy zimny prysznic przyszedł z... pierwszym meczem. Była tam taka jedna drużyna, którą każdy lał bezlitośnie. My popchnęliśmy ich ósemką, a tymczasem ja... nie strzeliłem gola. Na pomeczowym grillu Majakis i Radek widzieli, że jestem wkurzony. Bo byłem! Zaliczyłem chyba z pięć asyst, a nic nie wpadło. Jak już miałem pustą bramkę i mówię sobie "Jest, wreszcie was napocznę". Dostawiam nogę, a tu trach - jakiś ogórek mnie skosił i był z tego rzut karny.

Panowie, mam taką kasetę z Holandii. Zobaczcie, jaki ciekawy system gry. Tak właśnie będziemy grać - stwierdził po pierwszym sezonie, w trakcie przygotowań do następnego, bułgarski trener Anorthosisu, który zastąpił Wójcika. Zrobiłem wielkie oczy. Bułgar wydawał się człowiekiem, który wie, o co w piłce chodzi. I wie, że system gry dobiera się do piłkarzy, jakimi dysponuje klub, a nie odwrotnie. A tu łebski facet zwariował - miał w klubie prawie samych amatorów, w obronie istne ogórkowo i chce wprowadzać jakieś dziwne innowacje.

To nie miało prawa wypalić. W Anorthosisie tylko Polacy mieli zawodowe kontrakty. Reszta rano pracowała, a wieczorem przychodziła na trening, żeby trochę rozprostować kości. Gdzie nie poszedłem - kolega. Jeden w banku, drugi w sklepie, trzeci w straży pożarnej. W piłce nożnej najbardziej rajcowały ich przedmeczowe zgrupowania, bo mogli sobie odespać cały tydzień harówki. My jeszcze nie zdjęliśmy butów, oni już spali. Najchętniej mecze też by przespali, ale tak się nie dało. Owszem, kilku z nich potrafiło grać w piłkę. Niezły był na przykład Marios Neophytou, tylko że straszny leń. Wołaliśmy na niego "pedał", bo ciągle się depiłował. I to nie tylko pod pachami, ale nawet na palcach u nóg. Na całym ciele nie miał jednego włoska! No a potem wyskakiwały mu setki krost, że niedobrze robiło się na sam widok. Ogólnie rzecz biorąc pedałem chyba nie był, bo miał żonę, ale ksywka w naszym mniemaniu idealnie oddawała jego charakter.

I na takim gruncie właśnie bułgarski trener chciał wprowadzić taktykę rodem z czołowych klubów holenderskich. Cypryjczycy go zwolnili, podłożyli się w meczu o Superpuchar. Tuż

przed końcem dostałem czerwoną kartkę, zszedłem przy stanie 3:1 dla nas, a jak wyszedłem spod prysznic, to już przegrywaliśmy 3:6. I to by było na tyle holenderskiej myśli szkoleniowej...

Wcześniej poproszono nas: - Dobrze gracie, znajdźcie nam czwartego Polaka, żebyśmy odsadzili konkurencję. Razem ze Sławkiem Majakiem i Radkiem Michalskim przedyskutowaliśmy wszystkie kandydatury i wskazaliśmy na Mariusza Piekarskiego. Dobry grajcar, a do tego wesołek, to się łatwo przyjmie. Gdy zwolnili Bułgara, znów padło hasło - polscy piłkarze, to niech znajdą nam polskiego trenera. I znów zaczęliśmy analizować. Na pierwszy ogień poszedł Smuda, ale nie chciał. Później Lorens. Ku naszemu zdziwieniu, z Polski zaczęli dzwonić do nas znajomi piłkarze: - Co wy robicie? Edek to już inny człowiek. Jeszcze będziecie żałować!

Edek to, Edek tamto, Edek się zmienił. Mówiono też, że ma ksywę "działkowiec". Działkę uprawia, czy co? Warzywa sadzi? Niech sobie sadzi. W końcu przyjechał.

- Hello - przywitał nas.

Hmm, Edek się zmienił, fakt. Wcześniej mówił raczej po polsku. Odprawa zespołu w szatni, a ten znowu swoje.

- Kowal, heda, ajra.

Chyba chodziło mu o to, że mam walczyć w powietrzu i strzelać głową. Taki to już jest ten jego angielski, a może australijski i to z kręgów zbliżonych do Aborygenów.

- Mario, du ju anderstend? - spytał Mariusza, czy rozumie co do niego mówi.

- Jes, of kors! - potwierdził Mario, uśmiechając się pod nosem, gdy wypowiadał ten jedyny zwrot po angielsku jaki znał. Prawda jest taka, że Piekarz zna portugalski, ja hiszpański, Majakis niemiecki, jedyny Radek jako tako się w tym angielskim orientuje.

- Gut - podsumował Edward.

Wkrótce okazało się, że Lorens wcale nie robił sobie z nas żartów. Rozdał wszystkim regulamin drużyny. Cypryjczycy dostali po grecku, a polacy po ... angielsku. Tam pięć punktów. Co punkt - tysiąc funtów cypryjskich kary, czyli około dziewięć tysięcy złotych. Na przykład, trzeba było na posiłki przychodzić w klubowej koszulce, choć na cały sezon dostaliśmy po dwie. Inaczej się ubrałeś - tysiąc funtów. Spóźniłeś się - tysiąc funtów. Cypryjczycy w szoku. Zarabiali po 200-300 funtów miesięcznie, to jak mieli płacić? W ratach?. Temur Kecbaja, który na profesjonalną piłkę zdążył się już napatrzeć, przeczytał trzy razy po grecku i myślał, że to pomyłka, to poprosił o egzemplarz po angielsku. A tam stało jak byk - Temurek płacisz!!!

Oczywiście wprowadzenie rzekomego profesjonalizmu skończyło się po miesiącu. Już nawet na śniadania nie trzeba było schodzić. Wcześniej cypryjskie śpiochy schodziły, pokazywali "jestem trenerze" i wracali spać. Edek zadowolony mówił: - Gut.

Najgorzej miał Piekarz, bo Lorens zamieszkał tuż obok niego, na tej samej ulicy. I oto objawiła się druga natura naszego szkoleniowca. - Ja mam przewalone! - mówił Mario. - Moja kobieta nawet po domu w majtkach nie może pochodzić bo ten stoi i patrzy!

Edek chodził na spacer, przystawał przy oknach sąsiadów i tak patrzył, co tam u Piekarskich słychać. Ja rozumiem, że żona Mariusza ma co pokazywać ale bez przesady, żeby sobie kino urządzać. A już całkiem współczuliśmy Piekarzowi, gdy grała polska liga. Mariusz miał w domu Cyfrę+, więc trener ciągle przesiadywał u niego i oglądał.

- I co, jak było? - pytaliśmy dzień później.
- Daj mi święty spokój, chociaż Ty!

Wspomniane sąsiedztwo dało o sobie znać, gdy graliśmy z Iraklisem. W regulaminie drużyny napisano, że każdy z nas ma być w łózkach o godzinie 23.00. Mecz skończył się o 22.45, więc wiadomo, że nikt nie gnał pod kołderkę, żeby zdążyć przed godziną policyjną, A dzień później - opierdol! Piekarz, nie było cie w łóżku, a ja patrzyłem!

Jakby tego było mało, gdy udzieliłem wesołego wywiadu Przeglądowi, to Edek kazał go przetłumaczyć na angielski i zaniósł do klubu prezesom - o, Kowalczyk sobie z nas szydzi! Obraża dobre imię klubu! A ja tylko powiedziałem, że mamy strażaka w składzie, ale gra bez hełmu. Szczera prawda, bo naprawdę - jak Boga kocham - w hełmie nigdy nie grał.

Wkrótce się okazało, że Edek wcale nie jest - wbrew powszechnym pogłoskom - z fabryki kredek, bo świetny z niego lekarz. Polecieliśmy na mecz pucharowy z Iraklisem Saloniki, czyli była okazja spotkać się z Miętowym. W składzie ekipy - Mario Piekario. W składzie ekipy, co nie znaczy, że w składzie meczowym. Piekarz - na trybuny! Nalatał się chłopaczyna, na wycieczkę wybrał, bo nie zagra.

- Jesteś chory - poinformował go Lorens.

Kiedyś, przed meczem z Włochami, Piechniczek wymyślił chorobę Piotrkowi Świerczewskiemu. Teraz ten sam szkoleniowy trik zastosował Edek. Żeby Mariusz chociaż katar ma to można byłoby uznać, że się pieści jak niemowlak. Ale on nawet kataru nie miał!

- Jesteś chory - brzmiała diagnoza doktora z Żar.

Za to na ławce usiadł Kecbaja z połamaną nogą. Chyba musiał dość obcisłą getrę założyć, żeby mu się tam wszystko nie posypało. Cóż, to Piekarz chyba w takim razie umierał, skoro Gruzin był od niego zdrowszy.

Zaczął się mecz. Wcisnęli nam trzy gole. Wtedy zrobiłem ładną akcję, minąłem gościa, posłałem długie podanie za głowy obrońców i kolega wyszedł sam na sam - go!, już tylko 3:1 dla Iraklisu. Czyli zaczyna dobrze iść. Strzelić gola na wyjeździe to połowa sukcesu. Edek robi zmianę - no ładnie, połamaniec szykuje się do wejście. Ciekawe kogo zmienią. Patrzę - mój numer. Bez jaj, jakaś pomyłka. Poczekam aż się zorientują. Tymczasem... oni czekali aż się zorientują, że mam zejść. Tu już nie było przebaczyć. Kurwiłem na prawo i lewo, cisnąłem butelką o ziemię. - Jak kurwa można zrobić taką zmianę?! Jakiś kulawy wchodzi!!! - krzyczałem. Edek głuchoniemy - ani be, ani me. Udaje, że nie słyszy. A ja swoje - nie obrażałem go, tylko mówiłem, co sądzę o takich zmianach. Kował z boiska, zdrowy Piekarz na trybunach, a inwalida na boisku. Ktoś tu z czymś tu na łby się pozamieniał.

Mecz z Iraklisem przegraliśmy 2:4, w rewanżu wygraliśmy 3:1 i przeszliśmy do następnej rundy. Najlepszy na boisku Sławek Majak. Później była przerwa w lidze na reprezentację, to Edek do Polski na cztery dni poleciał, bo co będzie z ogórkami na Cyprze siedział? Przecież jest tylko trenerem.

Wrócił w czwartek, jeszcze tego samego dnia była jakaś narada w klubie. W piątek rano odbieram telefon. Andrzej Czyżniewski, drugi trener, na linii.

- Wojtek, powiedzieli w radio, że zostałeś wyrzucony.

Hmm, Czyżyk by sobie jaj nie robił. Po chwili drugi telefon, Radek Michalski na linii.

- Wojtek, powiedziano mi, że zostałeś wyrzucony.

Czyli to prawda. Lorens wiedział dzień wcześniej, ale nie przyszedł, nawet nie zadzwonił.

Następnego dnia - też nic. Zupełnie jakbym nie istniał, jak gdybym nie był jego piłkarzem. Przyszedłem do klubu, zabrałem rzeczy z szafki, kierownik drużyny wręczył mi pismo informujące o zerwaniu kontraktu. Edek nawet nie powiedział "do widzenia" albo "pocałuj mnie w dupę". Wyrzucili Polaka, to nie jego sprawa.

Napisano, że podobno chlałem tak na potęgę, że aż mnie policja kilka razy aresztowała. To piramidalna bzdura, bo ani nie chlałem, ani mnie policja nie zatrzymywała. Owszem, chodziliśmy wszyscy razem na piwo, piliśmy whisky w normalnych ilościach, gdy była ku temu pora, ale nie było mowy o czymś więcej. Nie te lata, żeby nie chodzić spać po nocach. Po co miałbym ukrywać? Opisałem, jak się piło tu czy tam. Na Cyprze raczej się nie piło.

Sprawę w FIFA wygrałem, klub musi mi zapłacić pieniądze za cały sezon, czyli około 200 tysięcy euro netto. Nie mieli szans ze mną wygrać, bo miałem tę przewagę, iż wiedziałem, że policja mnie nie zatrzymywała, a oni twierdzili, że mają raporty. Jednak nie macie? To płacie! Próbowali nawet później kręcić, że z tymi raportami, to się nie zrozumieliśmy, że to nie tak...

Majak wyleciał za to samo - identyczne pismo, tylko zmieniona data. I też mu Lorens nie powiedział "do widzenia". Piekarz dostał jakiś absurdalny zarzut, że nie zależy mu na klubie czy coś takiego. Prawdziwy powód był oczywisty - kasa. Anorthosis był po prostu goły. Tylko Edek myślał, że jak już wszyscy wylecą, to może coś dla niego zostanie. Nie wziął pod uwagę, że sam wyleci. Wywalono go zresztą po konflikcie z połamanym Keczają. Gruzin wyszedł z odprawy przed meczem, trzasnął drzwiami i powiedział, że z takim trenerem to współpracować nie będzie. I już nie musiał.

Długo bym i tak w Anorthosisie się nie nagrał, bo skoro przestali płacić trzy miesiące wcześniej, to nie wiem, ile jeszcze bym wytrzymał. Pewnie skończyłoby się jak z Betisem - wsiadłbym w samolot i poleciał do Polski. Niech najpierw poszukają kasy, a potem mnie. Cóż, nie zdążyłem!

Byliśmy wszyscy wkurzeni na Lorensa. Gdyby to był jakiś Niemiec czy inny Francuz. Jednak nie - to był Polak, którego my ściągnęliśmy. A on nam podkładał świnię. Człowiek bez honoru, Edek z fabryki kredek - zapamiętajcie to.

Anorthosis był ostatnim klubem, w jakim grałem.

Siedzę w Warszawie, oglądam telewizję i czytam gazety. Trenuję, biegam po osiedlu, robię interwały. Gdy przyjdzie czas, wrócę do piłki. Mam 31 lat. Może dużo, może mało. Nie wiem gdzie, nie wiem kiedy, ale wrócę. Nie podbiję świata, ale chcę jeszcze strzelić kilka bramek.

Spisałem w tej książce, na wesoło, większość swojej kariery. Sami możecie ocenić, zmarnowałem swój talent, czy też nie. Ja sam wątpliwości nie mam - nie zmarnowałem, z dwóch powodów.

Po pierwsze - w piłce nie ma czegoś takiego, jak talent. Nie istnieje takie pojęcie. Po prostu jeden jest lepszym piłkarzem, bo nauczył się pewnych rzeczy, inny gorszym, bo się nie nauczył. To zwykłe rzemiosło i nie ma sensu mieszać w to sił nadprzyrodzonych. Talent piłkarski nie istnieje. Gdy inni siedzieli na lekcjach chemii, ja zdzierałem i tak zdarte już kolana, ćwicząc strzały, dryblingi, podania. I doszedłem do takiej wprawy, że potrafiłem dobrze wykonywać swoją pracę. Gdy ktoś mówi, że umiejętności dał mi Bóg, a ja je zmarnowałem, to śmiać mi się chce.

Po drugie - mniejszą czy większą, ale zrobiłem jakąś tam karierę. Od czasów Bońka nikt nie zrobił większej. A raczej od czasów Bońka nikt nie zrobił prawdziwej kariery. Darek Dziekanowski był lepszym piłkarzem niż ja i co osiągnął? Nic. Tyle tylko, że był, nawet

niczego nie wygrał. Andrzej Juskowiak? Miał grać w najlepszych klubach świata, a nie zagrał w klubie lepszym niż ja. Gdzie tam Wolfsburgowi czy Sportingowi Lizbona do Betisu, który ze mną w składzie zajmował trzecie i czwarte miejsce w lidze hiszpańskiej? Jusko też po prostu był. Olisadebe robi karierę? W Panathinaikosie jej nie robi, a wygląda coraz gorzej...

Zbigniew Boniek był w czołówce piłkarzy na świecie, z powodzeniem grał na mistrzostwach świata, występował w wielkich klubach, na najpiękniejszych stadionach. Tego nikt nie powtórzy, a przynajmniej nie w najbliższym czasie. Czasami słyszę - no tak, ale to mogłeś być ty! Nie mogłem. Byłem za słaby. Skoro nie zrobiłem furory w Betisie, to oznacza, że nie byłem takim grajcarem, jak mogłoby się wydawać. Nie zostałem jakąś tam wielką gwiazdą Betisu, a gdzie Betisowi do Realu, Barcelony, Milanu czy Juventusu? A to właśnie te kluby oznaczają prawdziwą karierę.

Moim zdaniem moja kariera potoczyła się bardzo dobrze. Pozwoliła mi na zapewnienie sobie bytu w późniejszym życiu. Dziś jestem szczęśliwy, a przecież mogło być gorzej. Mogła być nieskończona szkoła, niezrobiona kariera, niezarobione pieniądze. Mogłem stać teraz gdzieś pod sklepem monopolowym. Tak nie jest i z tego mogę być dumny. Wielu chciałoby widzieć mnie w roli kłozarda albo beja przegrywającego swoje życie na Służewcu. Wielu jest wkurzonych, że śmiem być zadowolony z siebie i z tego, co osiągnąłem. Najchętniej zabraliby mi jeszcze te wszystkie medale i puchary. Niech tak uważają, niech tak piszą. Dla mnie najszcześniejsza ma być rodzina, a to, czy ktoś mnie lubi, czy też nie - jego sprawa. Mam to gdzieś.

Wielu uporczywie twierdzi - mogłeś więcej! Może na stare lata tak właśnie sobie powiem - mogłeś więcej. Ale może też po chwili dojdę do wniosku: - Przecież wtedy byś się tak dobrze nie bawił. I to się wyrównuje, bo piłka nie jest jedynym celem życia. Ja do futbolu zawsze podchodziłem na zasadzie jakiejś tam fajnej przygody, która kiedyś się skończy, a zacznie się nowa. Jeden zbiera znaczki, inny gra w reprezentacji Polski. Inna sprawa, że traktowałem tę przygodę bardzo poważnie. Naprawdę są większe przyjemności niż siedzenie przez kilka lat samemu w Hiszpanii albo leczenie dwa razy złamanej nogi. Znam lepsze zabawy.

No więc czemu? - zapytacie. Czemu nie podbiłeś świata? Alkohol? Nie. Alkohol był tylko wtedy, gdy grałem w polskiej lidze, bo taka to była liga. I byłem wtedy najlepszy w kraju. W Hiszpanii w ogóle nie piłem, zajmowałem się tylko piłką i nic wielkiego z tego nie wyniknęło. Na pewno argument "bo piłeś!" nie ma sensu. Charakter? Kto wie, czy gdybym nie był taki, jaki jestem, nie mówił tyle, ile mówię, to czy w ogóle potrafiłby kopnąć piłkę? Czy gdybym był cichy jak Karwan i nie dotykał alkoholu niczym Jurek Brzęczek grałbym lepiej? To wcale nie jest powiedziane. Wszakże to mnie, a nie ich, nie zżerała trema w najważniejszych meczach. To ja w tych meczach błyszczałem. Ze mną w gazetach jechano od 1992 roku i to ja tę nawałnicę wytrzymywałem. Ktoś inny by się spalił.

Zgoda, mogło się to wszystko potoczyć inaczej, ale kto wie - lepiej czy gorzej? Może gdyby Legia nie musiała mnie sprzedawać w 1994, gdy miałem tylko 22 lata, mógłbym poczekać choćby rok, zagrać w Lidze Mistrzów i odejść do jeszcze lepszego klubu? Może gdyby Legia nie odrzuciła oferty z Nottingham Forest to trafiłbym do Manchesteru United? Może gdyby Betis przyjął ofertę PSV, to zrobiłbym furorę w Holandii? Może tak, ale nic na to za bardzo nie wskazuje. Robiłem wszystko, aby być gwiazdą ligi hiszpańskiej i nią nie zostałem.

Moja kariera mogła być lepsza, mogła być gorsza. Tylko, że na koniec życia nie będzie się liczyło, czy grałem w Milanie, Realu czy w innym pipidówku. Będzie się liczyło, czy mogłem godnie przeżyć swoje dni i czy na to godne życie zapracowałem. Tak, zapracowałem. Wykonałem kawał dobrej roboty. A jak ktoś chce mówić, że coś tam zmarnowałem przez alkohol, to niech mówi. To lepsze niż gdyby miał rozpowiadać, że widziano Kowalczyka, jak zebrał na Stadionie Dziesięciolecia, żeby dać mu na prochy.

Powiem wam, czym jest zmarnowana kariera. W Polonie Warszawa był na jedenastu. Fakt, ja byłem najlepszy, ale reszta chłopaków mogła z powodzeniem trafić chociażby do pierwszej ligi. Trafił Piotrek Rocki. Gdzie pozostali? Widziałem ostatnio jednego, waży z pół tony. I to jest właśnie zmarnowana kariera. Ja mam sukcesy, mam mistrzostwa Polski, puchary, medal olimpijski, wiele lat gry w kadrze, dziesiątki meczów w lidze hiszpańskiej...

Było wielu świetnych piłkarzy, którzy grali w takich czasach, że się nie dorobili. Nie mogli wyjechać z kraju, dziś myślą, jak związać koniec z końcem. Zmarnowali kariery? Nie, robili co mogli. Jednak oni mogą powiedzieć - piłka nam nic nie dała. Ja nie mogę. Mnie dała niezależność finansową, szczęśliwą rodzinę. Pograłem, pobawiłem się, pozwiedzałem. Robiłem to, co od małego chciałem. I wiem jedno - byłem dobrym piłkarzem. Kibice za dwadzieścia lat wciąż będą wiedzieli, kim był Dziekanowski, kim był Kosecki. I kim był Kowalczyk też. Bo był super piłkarzem.

KONIEC